

# Catherine Coulter

## CEL

### *Prolog*

Widział tego mężczyznę bardzo wyraźnie: był wysoki, ubrany na ciemno, a jego szczupła sylwetka ostro rysowała się na tle zamglonego, szarego nieba. Wchodził do wielkiego granitowego gmachu, paskudnego i dziwnie spłaszczonego, o wielu oknach, z których nie roztaczał się żaden ciekawy widok, chyba że ktoś patrzył z najwyższych pięter.

Nagle okazało się, że jest tuż za nim, za jego plecami. Bez trudu dotrzymywał mu kroku i zobaczył, jak tamten wciska w windzie guzik z cyfrą 19. Potem szedł za nim, gdy ten szybko przemierzył długi korytarz i otworzył drzwi prowadzące do dużego gabinetu.

Uśmiechnięta recepcjonistka przywitała go serdecznie i roześmiała się w odpowiedzi na jakąś uwagę. Widział, jak obserwowany przez niego człowiek wita się z dwiema innymi osobami, młodym mężczyzną i młodą kobietą. Oboje byli elegancko ubrani i najwyraźniej pracowali dla niego.

Mężczyzna wszedł do obszernego gabinetu, w którym na ścianie wisiała flaga Stanów Zjednoczonych. Pod oknem stało wielkie biurko z komputerem, a całą boczną ścianę zajmowały półki z książkami. Znowu znalazł się tuż za jego plecami - był tak blisko, że mógłby pomóc mu włożyć długą czarną togę i zapiąć dwa guziki. Mężczyzna otworzył drugie drzwi i wszedł do dużej sali. Jego twarz miała teraz poważny, chłodny wyraz, wcześniejszy uśmiech zniknął bez śladu. Panujący w sali gwar ucichł w jednej chwili.

Nagle sala zaczęła wirować, twarze zlały się w wielobarwne pasma, powietrze pociemniało. Szerokie drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do

środku wpadło trzech mężczyzn. Wszyscy trzymali w rękach krótkie karabiny, podobne do rosyjskich AK47. W mgnieniu oka wybuchła gwałtowna strzelanina, ludzie krzyczeli krew tryskała szkarłatnymi fontannami. Ujrzał, jak na twarzy mężczyzny pojawia się przerażenie i wściekłość.

Bez chwili wahania przeskoczył przez barierkę, oddzielającą go od pozostałej części sali. Czarna toga uniosła się wysoko w powietrze. Mężczyzna wykonał zręczny półobrót, podniósł wyprostowaną nogę i uderzył nią jednego z napastników. Zrobił to tak szybko, że trudno było dojrzeć, co właściwie się stało. Ktoś wrzasnął przeraźliwie.

Znowu był obok mężczyzny. Słyszał jego oddech, czuł trzymaną na wodzy furie, złowrogie napięcie i determinację. Nagle mężczyzna odwrócił się do niego. Patrzył we własną twarz, prosto w oczy człowieka, który przed chwilą zadał śmierć i zamierzał zrobić to ponownie. Poczował smak śliny, zbierającej w ustach i napięcie mięśni. Wyrzucił twarde jak stal ramię w bok, mierząc w krtani drugiego mordercy.

Zerwał się, z krzykiem zamierającym na ustach, dysząc ciężko i odpychając obiema rękami prześcieradło, które owinęło się dookoła niego tak ciasno jak całun mumii. Był mokry od potu, włosy przykleiły mu się do skóry głowy. Serce biło tak szybko i mocno, jakby chciało rozsadzić klatkę piersiową.

Znowu, pomyślał. Znowu ten cholerny sen. Nie wytrzyma tego dłużej.

Godzinę później wyszedł z domu, starannie zamykając za sobą drzwi. Był w połowie drogi do samochodu, kiedy nagle z krzaków wyskoczył jakiś człowiek i oślepił go raz po raz migającym fleszem. To była ostatnia kropla. Chwycił fotoreportera za koszulę i potrząsnął nim z całej siły.

- Przegiąłeś pałę, skurwysynu! - wrzasnął mu prosto w twarz.

Złapał aparat fotograficzny, wyrwał z niego film i rzucił w krzaki. Potem cisnął aparat na pierś mężczyzny, który leżał na plecach, gapiąc się na niego z pełnym niedowierzaniem przerażeniem.

- Nie wolno panu tego robić!

- Ale właśnie to zrobiłem. I wynoś się z mojego terenu. Fotoreporter podniósł się, przyciskając aparat do piersi.

- Podam cię do sądu, draniu! Opinia publiczna ma prawo wiedzieć, jak się zachowujesz!

Miał ochotę zlać dziennikarza do nieprzytomności. To pragnienie było tak silne, że chwyciły go dreszcze. Właśnie wtedy ostatecznie zdał sobie sprawę, że musi wyjechać. Jeśli tego nie zrobi, w końcu oszaleje i rzeczywiście zrobi krzywdę jednemu z tych pasożytów. A może już oszalał?

## ***Rozdział 1***

### *Góry Skaliste Wiosna*

Stał na krawędzi zbocza, które opadało ostro w dół i dopiero mniej więcej sześćdziesiąt metrów niżej tworzyło kilka porośniętych drzewami skalnych półek, aby wreszcie przejść w łagodne zejście, barwne od dzikich kwiatów, przerywane widniejącymi w kilku miejscach rozpadlinami.

Głęboko wciągnął rozrzedzone powietrze, tak świeże, że aż parzyło płuca, chociaż musiał przyznać, że dziś to odczucie było o wiele mniej dotkliwe niż wczoraj. Wiedział, że już niedługo zimne, krystaliczne powietrze, którym oddychał na wysokości prawie dwóch tysięcy metrów, stanie się dla niego czymś zupełnie naturalnym.

Zaledwie wczoraj uświadomił sobie, że przez cały dzień ani razu nie pomyślał o telefonie, telewizji, radiu, faksie, dźwięku ludzkich głosów, osaczających go ze wszystkich stron, o ludziach chwytających za rękaw i wykrzykujących jakieś pytania prosto w twarz. Nie myślał o oślepiających eksplozjach białego światła z lamp błyskowych. Poczuł, że dopiero teraz zaczyna się odprężyć i przynajmniej na jakiś czas zapominać o tym, co się wydarzyło.

Spojrzał ku drugiemu krańcowi doliny, na potężne, surowe góry, ciągnące się długimi kilometrami, podobne do krzywych, nierówno rozmieszczonych zębów. Pan Goudge, właściciel stacji benzynowej Union 76 w Dillinger, powiedział mu, że wielu miejscowych nazywa ten fragment gór Łańcuchem Ferengi.

Najwyższy szczyt, liczący blisko cztery tysiące metrów, był lekko przechylony na południe i wyglądał jak zniekształcony penis. Nie miał najmniejszego zamiaru wspinać się na górę o tak mało subtelnym kształcie. Mieszkańcy Dillinger uwielbiali żarty na temat tego szczytu i z przyjemnością opowiadali, że przyjezdni powinni oglądać go latem, kiedy śnieg spływa powoli z czubka fallusa.

Po raz kolejny zdał sobie sprawę, że jest tu zupełnie sam. Ta świadomość nawiedzała go ostatnio coraz częściej. Na wysokości, gdzie mieszkał, rosły gęste lasy sosnowe i świerkowe, zdarzały się też brzozy i jałowce. Były tu również piękne modrzewie o drżących, miękkich gałęziach. Do tej części Gór Skalistych nie dotarły dotąd firmy zajmujące się wyrębem drzew.

Wysokie szczyty po drugiej stronie doliny były prawie gołe, nie porośnięte żadną roślinnością, ani drzewami, ani krzewami czy kwiatami. Tam królował śnieg i surowe skały, dzikie, zimne piękno, nietknięte ręką człowieka.

Spojrzał w stronę małego Dillinger w odległym końcu doliny, rozciągającej się ze wschodu na zachód. Miasteczko liczyło dokładnie tysiąc pięciuset trzech mieszkańców. W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku odkryto tu złoża srebra i natychmiast wybudowano kopalnię. Wtedy w dolinie stłoczyło się ponad trzydzieści tysięcy ludzi - górników, prostytutek, właścicieli sklepów, oszustów. Był tu także szeryf, pastor i kilka osiadłych na stałe rodzin.

Tamte czasy dawno minęły. Potomkowie tych, którzy zdecydowali się stawić czoło przeciwnościom i pozostać po zamknięciu kopalni srebra, teraz

zajmowali się głównie obsługą przyjeżdżających na lato turystów. Wypasali też bydło w dolinie, lecz trudno powiedzieć, czy czerpali z tego jakieś zyski.

Nie raz widział, jak zdziczałe owce i kozice schodziły po półkach skalnych w pobliże bydła, widywał też skubiące trawę długorogie antylopy i polujące kojoty.

Odwiędził Dillinger tylko raz. Musiał usiąść za kierownicą swojego dżipa z czterokołowym napędem, aby pojechać do sklepu spożywczego po zapasy. Kiedy to było? We wtorek, dwa dni temu? Zapomniał, że ma lodówkę bez zamrażalnika, i kupił paczuszkę mrożonego groszku, który musiał ugotować, zaraz po powrocie, na piecyku opalanym drewnem. Zjadł cały groszek, siedząc przy stole, pod jedyną stojącą lampą, działającą, podobnie jak lodówka, na prąd wytwarzany przez generator umieszczony za domkiem.

Przeciągnął się, odchylając głowę do tyłu, i zauważył dwa lecące nisko jastrzębie. Ptaki najwyraźniej polowały na jakąś zdobycz. Wbił siekierę w pień, na którym rąbał drewno, zdjął puchową kurtkę i flanelową koszulę. Spociał się, ponieważ pracował szybko, ciesząc się wysiłkiem na świeżym powietrzu. Ciepłe słońce przyjemnie rozgrzewało skórę i mięśnie.

Czuł, że jest silny i zdrowy. Lubił pracę fizyczną. Miał już dosyć drewna na cały tydzień, ale zaczął rąbać znowu, zwiększając tempo i z radością czując, jak jego mięśnie napinają się i rozluźniają, twardnieją i mięknią. Przerwał na chwilę, aby otrzeć twarz rękawem koszuli. Nawet pot pachniał świeżo, jakby całe ciało zostało oczyszczone.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk.

Bardzo słaby dźwięk. Na pewno wydało go jakieś zwierzę. Z pewnością tak było, ale przywykł już do okrzyków wydawanych przez sowy i jastrzębie oraz do odgłosów świstaków, skunksów i wilków. Ten dźwięk był inny. Miał nadzieję, że nie świadczył o obecności innego człowieka na jego górze. Poza drewnianą chatą, w której mieszkał, w promieniu kilometra nie było tu nawet szałasów. Inne domy stały znacznie niżej. Nikt nie wchodził na tę wysokość,

oczywiście poza turystami, którzy docierali tu latem. Teraz był jednak dopiero środek kwietnia i sezon jeszcze się nie rozpoczął.

Podniósł siekiere, lecz zamarł, ponieważ znowu dobiegł go ten sam dźwięk. Przypominał rozpaczliwy pisk. Zabłąkany kociak? Nie, to niemożliwe. Włożył koszulę i kurtkę, zacisnął palce na stylisku siekiery, której ciężar wydał mu się dziwnie krzepiący. Czyżby na jego górę wdarł się inny człowiek?

Stał bez ruchu, pozwalając, aby panująca wokół cisza ogarnęła go całego. Chłodny popołudniowy wiatr rozwiewał mu włosy. Wreszcie, po długim czasie, usłyszał to znowu - słabe, jeszcze słabsze niż poprzednio popiskiwanie, które nagle ucichło, jakby stworzeniu, które go wydało, zabrakło sił. Jakby to stworzenie było prawie martwe.

Szybko przebiegł przez płaską łąkę, na której stał dom, i zagłębił się w sosnowy las. Zwolnił, ponieważ poszycie było dość wysokie i chciał sprawdzić, czy posuwa się we właściwym kierunku. Nadal nie był do końca pewien, czy się nie przesłyszał.

Słyszał swój szybki oddech. Przystanął. Przez gęste gałęzie drzew przedzierały się tylko słabe promienie słońca. Teraz było późne popołudnie i w lesie panował mrok. Mrok i zupełna cisza. Nasłuchiwał. Nadal cisza. Szelest. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył małego preriowego grzechotnika, wpełzającego pod pokrytą mchem skałę. Na tej wysokości nie powinno go tu być.

Czekał, spokojny i nieruchomy jak pnie drzew wokół niego. Niespodziewanie chwycił go skurcz w prawym ramieniu. Powoli oparł siekiere o ziemię.

I wtedy wyłowił z ciszy ten sam dźwięk, przytłumiony i bardzo, bardzo słaby, prawie jak echo pierwszego dźwięku, jak jego wspomnienie. Dobiegł z lewej strony. Teraz poruszał się powoli, długim krokiem, baczny spojrzeniem przeszukując poszycie. Dotarł do małej polanki.

Tutaj słońce świeciło jeszcze całkiem jasno. Gęsta, wysoka trawa chwiała się na wietrze. Niebieski orlik, symbol stanu Kolorado, kwitł obficie, delikatny i piękny, radośnie witający wiosnę. Polana była uroczym miejscem, którego jeszcze nie zdążył odkryć podczas swych codziennych pieszych wycieczek.

Znowu czekał, nasłuchując, zwróciwszy twarz ku ciepłemu słońcu. Po gałęzi pobliskiego drzewa przemknęła wiewiórka, lecz ten dźwięk nauczył się już rozróżniać. Przeskoczyła na cienką gałązkę, wprawiając ją w rozchybotany ruch. Liście zaszeleściły niespokojnie.

Potem w lesie zapadła całkowita cisza. Wiedział, że promienie słońca już niedługo zmienią kąt padania. Cienie wydłużały się, pożerając światło. Wkrótce zapanuje ciemność, czarnogranatowa jak włosy Susan. Nie, nie chciał myśleć o Susan. Szczerze mówiąc, nie myślał o niej od bardzo dawna.

Powinien już chyba wracać do domu, do chaty, gdzie na kominku czekało przygotowane rano drewno. Wystarczy jedna zapalka i ogień zapłonie, trzaskając wesoło. Nauczył się rozpalać ogień i w kominku, i w kuchennym piecu, osiągając w tym prawdziwe mistrzostwo. Pokroi kilka pomidorów i wymiesza je z listkami lodowej sałaty. Wszystko to kupił dwa dni temu w sklepie Clementa w Dillinger. Podgrzeje też sobie jarzynową zupę. Zawrócił do lasu.

Ale skąd wziął się dźwięk, który go zaniepokoił? W lesie było teraz mroczniej niż parę minut temu. Musiał iść ostrożnie, patrząc pod nogi. Zaczepił rękawem o gałąź sosny i zatrzymał się, aby się uwolnić. Położył siekiere na ziemi. Kiedy podnosił głowę, dostrzegł jasnożółtą plamę po prawej stronie. Przez chwilę tylko wpatrywał się w tę jasną rzecz, zupełnie nieruchomą, podobnie jak on sam. Szybko podniósł siekiere i ruszył w kierunku żółtej plamy, przystając co parę sekund i wyęzając wzrok, aby zorientować się, co to takiego.

W pierwszej chwili pomyślał, że leży tam kupka szmat. Gdy zbliżył się na odległość paru kroków, zrozumiał, że jest to dziecko. Dziewczynka. Leżała na brzuchu, ciemnobrązowe splecione włosy zakrywały jej plecy i twarz.

Uklęknął przy niej, nie mając odwagi jej dotknąć. Potem położył rękę na jej ramieniu i lekko nią potrząsnął. Nie poruszyła się. Znalazł pulsującą żyłkę na szyi. Na szczęście była tylko nieprzytomna, nie martwa. Ostrożnie obejrzał ręce, ramiona i nogi. Nie wyglądało na to, aby coś sobie złamała, ale mogła odnieść obrażenia wewnętrzne. Jeżeli tak było, nic nie mógł na to poradzić.

Delikatnie odwrócił ją na plecy. Na policzku miała dwa długie zadrapania. Rozmazana krew zdążyła już zaschnąć. Znowu przytknął palce do szyi. Tętno było zwolnione, lecz dość silne. Powoli podniósł ją i chwycił siekierę. Przytulił dziecko do siebie, aby osłonić je przed niskimi gałęziami sosen i krzewów.

Dziewczynka była mała, mogła mieć najwyżej pięć, może sześć lat. Dopiero teraz zauważył, że nie ma na sobie kurtki, tylko cienką żółtą koszulkę i bardzo brudne żółte dżinsy. Nosila białe tenisówki, jedno sznurowadło rozwiązało się i zwisało smutno. Była bez skarpetek, rękawiczek, kurtki, czapki... Skąd się tutaj wzięła, zupełnie sama? Co jej się stało?

Przystanął. Mógłby przysiąc, że usłyszał, jak cienkie gałązki i zeszłoroczne liście zaszleściły pod czyjąś ciężką stopą. Nie, to tylko złudzenie. Ciaśniej ogarnął dziecko ramieniem i przyspieszył kroku, mimo wszystko nie mogąc się pozbyć przestachu, jaki obudził w nim tamten odgłos.

Zapadł już zmrok, kiedy zamknął za sobą drzwi chaty. Położył dziewczynkę na kanapie i przykrył ją grubym pledem z afgańskiej wełny w czerwono-niebieską kratę, prawdopodobnie starszym niż on sam, ale nadal bardzo ciepłym. Zapalił światła we wszystkich pomieszczeniach.

Odwrócił się i spojrzął na drzwi. Zmarszczył brwi, a potem przekręcił klucz w zamku i zasunął zasuwę. Przez sekundę się zawahał, lecz zaraz wetknął końcówkę łańcucha do otworu we framudze. Lepiej zabezpieczyć się na wszelkie możliwe sposoby. Rozpalił ogień w kominku i po dziesięciu minutach w dużym pokoju zrobiło się ciepło.



Dziewczynka nie odzyskała jeszcze przytomności. Usiadł obok niej i lekko poklepał ją po policzkach. Nie poruszyła się, więc postanowił czekać. Nie ulegało wątpliwości, że ten dzień kończy się zupełnie inaczej niż pozostałe.

- Kim jesteś? - zapytał, nie spuszczać wzroku z twarzy dziecka.

W świetle lampy zadrapania na policzku były krwawe, głębokie i brzydkie. Przyniósł miskę letniej wody, która przez całe popołudnie stała na kuchni, parę czystych białych frotowych skarpet i kostkę mydła. Nałożył jedną skarpetkę na dłoń i ostrożnie, bardzo ostrożnie zmył zaschniętą krew z buzi dziecka.

Wziął jedną ze swoich białych koszulek, która po wieloletnim praniu była bardzo miękka i przyjemna w dotyku, i zaczął powoli rozbierać dziecko. Musiał sprawdzić, czy pod ubraniem nie kryje się jakaś rana. Kiedy zdjął z niej koszulkę i spodnie, jego serce ścisnęło się z bólu i wściekłości.

Całe ciało małej pokryte było siniakami i niezagojonymi zadrapaniami. Wszędzie widział zaschniętą krew. Wewnętrzna strona ud była czerwona od krwi. O Boże... Wciągnął powietrze i na chwilę mocno zacisnął powieki.

Umył ją dokładnie, sprawdzając, czy nie odniosła jakichś poważnych ran, ale widział tylko głębokie zadrapania i siniaki. Odwrócił ją na brzuch. Plecy, ramiona i nogi dziewczynki poznaczone były długimi, wąskimi siniakami, które nie zlewały się ze sobą. Wszystko wskazywało na to, że ciosy nie zostały zadane w gniewie, lecz celowo, na chłodno, jakby ten, kto ją bił, chciał zyskać określony efekt.

Była wychudzona i biała jak sięgająca prawie do kostek koszulka, którą włożył jej przez głowę. Ponownie otulił ją kocem i palcami przeczesał włosy, starając się jak najdelikatniej usunąć z nich kawałki gałęzi. Całe szczęście, że nie obudziła się, kiedy ją mył. Usiadł wygodniej, uważnie wpatrując się w nieruchome dziecko.

Nagle uświadomił sobie, że cały trzęsie się z wściekłości. Co za potwór wyrządził taką krzywdę tej dziewczynce? Doskonale wiedział, że na świecie nie

brak zboczeńców, ale bezpośrednie zetknięcie z udreńczonym dzieckiem sprawiło, iż zrobiło mu się niedobrze, a jednocześnie miał ochotę zabić tego, kto zadał jej tyle cierpienia.

Miał nadzieję, że dziewczynka zaraz się ocknie, ale dotąd nawet nie drgnęła. Zastanawiał się, czy powinien zabrać ją teraz do szpitala. Nie miał telefonu, więc nie mógł zadzwonić. Swoją komórkę zostawił w domu. Było już dosyć późno, a on nie wiedział, gdzie znajduje się szpital. Nie miał też pojęcia, kto ją zgwałcił i pobił, ani gdzie był teraz ten zbrodniarz.

Nie, zawiezie ją do szpitala jutro i zostanie przy niej. Nie potrafiłby zostawić jej samej. Tak, jutro zawiezie ją do szeryfa. Na pewno w Dillinger jest jakiś szeryf. A dziś zajmie się nią sam. Jeżeli dziewczynka obudzi się i powie, że coś ją boli, natychmiast pojedą do szpitala, niezależnie od tego, która będzie godzina, ale na razie nie będzie ruszał jej z miejsca.

Ciekawe, czy sama wyrwała się z rąk tego zboczeńca i uciekła do lasu? Czy potknęła się o korzeń lub kamień i upadając, uderzyła się w głowę? A może to jej oprawca zostawił ją w lesie, aby umarła z zimna i wycieńczenia? Nachylił się nad dzieckiem i delikatnie przesunął palcami po głowie. Nie wyczuł żadnych guzów, a tętno nadal było takie samo.

Jeżeli uciekła, to prześladowca na pewno jej szuka. W gruncie rzeczy od początku zdawał sobie z tego sprawę i właśnie dlatego zaraz po powrocie do chaty tak starannie zaryglował drzwi. Sprawdził swój karabinek Browning Savage 99. Na stoliku obok kanapy leżał rewolwer Smith&Wesson 357 magnum. Zawsze bardzo go lubił, od dnia, kiedy ojciec podarował mu go na czternaste urodziny i pokazał, jak ma się nim posługiwać. Nazywał się „czarna magia”, ponieważ nierdzewna stal, z której go wykonano, pociągnięta została czarnym, niezwykle trwałym lakierem. Uwielbiał z niego strzelać, ale nigdy dotąd nie musiał użyć go przeciwko człowiekowi. Podniósł rewolwer i z przyjemnością zważył go w dłoni. Był naładowany, jak zwykle. Z bronią w ręku

odwrócił się twarzą do drzwi, starając się ocenić odległość. Co za człowiek mógł zrobić coś takiego?

Zrobił sałatkę i zjadł ją, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z leżącego nieruchomo dziecka. Potem podgrzał zupę. Pachniała wspaniale. Podsunął parującą łyżkę pod nos dziewczynki.

- No, mała, nie masz ochoty spróbować? Zupka Campbella, pyszna i gorąca, prosto z piecyka. Trochę to trwa, zanim człowiek zdoła tu coś zagrześć, ale w końcu zawsze się udaje. No, skarbie, obudź się...

Jej usta drgnęły. Chwycił mniejszą łyżkę, zanurzył w zupie i przytknął do dolnej wargi dziewczynki. Ku jego zdumieniu i uldze, małe usta otworzyły się lekko. Wlał w nie parę kropel zupy, a kiedy przełknęła, powtórzył całą operację. Zjadła prawie pół miski. Dopiero wtedy podniosła powieki. Robiła wrażenie całkowicie zagubionej i nieprzytomnej.

Powoli odwróciła ku niemu twarz i spojrzała na niego.

- Witaj - powiedział z uśmiechem. - Nie bój się. Nazywam się Ramsey. Znalazłem cię w lesie. Teraz nic ci już nie grozi.

Otworzyła usta i wydobyła z siebie ten dziwny dźwięk, który usłyszał, ni to pisk, ni to miauczenie, dźwięk, z którego wyczytał dręczący ją strach i bezradność.

- Wszystko w porządku, nikt nie zrobi ci krzywdy. Ze mną jesteś bezpieczna.

Jej usta znowu się otworzyły, lecz tym razem nie usłyszał tego przerażającego zawodzenia. Wyszarpnęła ramiona spod koca i zaczęła okładać go pięściami. Nie zaskoczyło go to. Zalała go fala bezbrzeżnej litości i czułości, zapragnął przytulić do piersi ten ludzki okruszek i chronić go przed wszelkimi cierpieniami.

Pospiesznie odstawił miseczkę z zupą i chwycił ją za przeguby dłoni. Zamknęła oczy, lecz wcześniej dostrzegł w nich błysk bólu. Natychmiast

zwolnił uścisk i uważnie obejrzał jej ręce. Przeguby były otarte do krwi. Nie ulegało wątpliwości, że jeszcze niedawno była związana, i to dość długo.

- Przepraszam cię, kochanie. Naprawdę przepraszam. Nie walczy ze mną, proszę. Nie zamierzam zrobić ci krzywdy.

Zwinęła się w kłębek i odwróciła plecami do niego, osłaniając głowę ramionami. Leżała bez ruchu. Siedział obok niej długą chwilę, zastanawiając się, co powinien zrobić. Dziewczynka była przerażona. Bała się go, a on nie mógł mieć jej tego za złe. Dlaczego nie krzyczała? Wydawała z siebie tylko to straszne zawodzenie... Czy była niemową?

- Twoje przeguby i kostki u nóg są bardzo mocno otarte - odezwał się bardzo cicho, mając nadzieję, że go słyszy. - Pozwolisz mi je zabandażować? Będą cię mniej bolały i poczujesz się trochę lepiej.

Nie wiedział, czy go usłyszała. Nie poruszała się. Spod stosu ubrań, które ze sobą przywiózł, wyciągnął starą koszulkę i podarł na długie kawałki. Gdy dokładnie obmywał jej rany, smarował antybiotykową maścią i bandażował, czuł każdy gram czającego się w niej, strachu. Skończył i wstał powoli, świadomy, że nie powinien wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Spojrzał na nią. Nadal leżała zwinięta w kłębek, a jej zabandażowane ręce ukryte były pod kocem.

Zjadła sporo zupy, więc nie będzie głodna, pomyślał. Jest jej ciepło, jest czysta, zadrapania zdezynfekował i opatrzył. Zerknął na drzwi, potem na okna. Opuścił żaluzje i zaciągnął zasłony, potem sprawdził, czy okna są dokładnie zamknięte. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Aby dostać się do środka, napastnik musiałby stłuc szybę. Zamknął kuchenne drzwi, zabezpieczył je zasuwą. Nie było tu łańcucha, więc przysunął jedno z krzeseł i podstawił oparcie pod klamkę. Gdyby ktoś otwierał drzwi, nogi krzesła na pewno zaskrzypią o podłogę, a wtedy się obudzi.

Przeniósł spojrzenie na dziewczynkę.

- Jeżeli się obudzisz, zawołaj mnie - powiedział łagodnie. - Nazywam się Ramsey. Będę tu z tobą. Nie masz się już czego bać. Łazienka jest za kuchnią, za twoimi plecami. Możesz z niej spokojnie skorzystać, wysprzątałem ją wczoraj.

Koc poruszył się lekko. Dobrze, to znaczy, że go słyszała. Nadal nie wydała żadnego dźwięku, nawet tego przerażającego miauczenia.

Jego łóżko stało w małym pokoju. Wyciągnął się na nim w ubraniu, kładąc karabinek i rewolwer na stoliku obok nocnej lampki. Trochę czytał, lecz wkrótce wsunął zakładkę między kartki kryminału i położył książkę na podłodze. Jedną lampę zostawił zapaloną. Nie chciał, żeby dziewczynka przestraszyła się ciemności, gdyby obudziła się w nocy.

Długo nie mógł zasnąć. Kiedy w końcu zapadł w sen, śniło mu się, że widzi twarz jakiegoś mężczyzny, który przez okno wpatruje się w małą dziewczynkę. Obudził się i z bijącym sercem podszedł do okna, lecz zasłony były szczelnie zaciągnięte. Jednym szarpnięciem odsłonił okno. Spojrzał w ciemność i zamiast twarzy tamtego ujrzał wykrzywioną z wściekłości twarz kobiety, która wrzeszczała, że go zabije. Dopiero o świcie obudził się naprawdę i natychmiast usłyszał przerażające zawodzenie cierpiącego dziecka.

## ***Rozdział 2***

Twarz dziewczynki była pozbawiona wszelkiej barwy, widział to nawet w szarawym świetle wczesnego poranka, rozbielonym blaskiem lampy. Oczy miała szeroko otwarte. Wpatrywała się w niego z takim lękiem, że przeszył go nagły dreszcz.

- Nie bój się - przemówił bardzo powoli, starając się w ogóle nie poruszać. - Wszystko w porządku. To ja, Ramsey. Jestem tu po to, żeby się tobą opiekować, nie zrobię ci krzywdy. Miałaś zły sen?

Leżała sztywno wyprostowana, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Po długiej chwili powoli pokręciła głową. Zobaczył, jak jej ramiona się poruszają.

Małe dłonie wydobyły się spod koca i spoczęły na wierzchu. Były zaciśnięte w pięści. Bandaże na wychudzonych rękach wyglądały potwornie, prawie obscenicznie.

- Proszę cię, nie bój się.

Zgasił lampę. W pokoju szybko robiło się widno. Oczy dziewczynki były jasnoniebieskie, bardzo duże w drobnej, wymizerowanej buzi, źrenice rozszerzone. Miała wąski, prosty nosek, ciemne rzęsy i brwi, zaokrąglony podbródek i dwa dołeczki w kącikach ust. Była bardzo ładną dziewczynką. Przeczynał, że kiedy się uśmiechnie, będzie więcej niż ładna, po prostu śliczna.

- Boli cię coś?

Potrząsnęła głową. Odetchnął z ulgą.

- Powiesz mi, jak się nazywasz?

Patrzyła na niego, zmrożona i napięta, jakby tylko czekała na okazję, aby uciec.

- Chcesz pójść do łazienki?

Dostrzegł tę potrzebę w jej oczach i uśmiechnął się. Dzięki Bogu, nerki działały jak należy. Wyglądało na to, że wszystko jest z nią w porządku, oczywiście poza tym, że nie mówi. Chciał wyciągnąć rękę i pomóc jej wstać, ale natychmiast się powstrzymał.

- Łazienka jest z drugiej strony kuchni, za twoimi plecami - powiedział spokojnie, zupełnie naturalnym tonem. - Mam ci pomóc?

Powoli potrząsnęła głową. Ramsey czekał. Dziewczynka ani drgnęła. Wtedy zdał sobie sprawę, że nie chce wstawać w jego obecności. Uśmiechnął się.

- Zaparzę kawę i zobaczę, czy mam w lodówce coś, co mogłoby smakować małemu dziecku, dobrze?

Wiedział, że nie doczeka się odpowiedzi, więc tylko skinął głową i zostawił ją samą. Po chwili usłyszał, jak zamyka drzwi łazienki. Przekręciła klucz w zamku.

Nasypał sporo chrupek Cheerios do jednej z pomalowanych na niebiesko miseczek i postawił obok karton z odtłuszczonym mlekiem. Przynajmniej cholesterol nie zatka jej arterii, pomyślał z rozbawieniem i poszedł do spiżarni sprawdzić, czy ma jeszcze jakieś świeże owoce. Zostały tylko dwie brzoskwinie. Kupił sześć, ale cztery zdążył już zjeść. Pokroił jedną w kostkę i ułożył w miseczce na chrupkach.

Teraz mógł już tylko czekać. Spuściła wodę, ale nie wychodziła. Może coś jej się stało? Czekał dalej. Obawiał się, że przestraszy ją, jeśli zapuka do drzwi, ale w końcu doszedł do wniosku, że minęło już za dużo czasu. Lekko uderzył knykciami w sosnowe drewno.

- Wszystko w porządku, skarbie?

Cisza. Zmarszczył brwi. Ależ był głupi, przecież mała zamknęła się od środka i na pewno teraz uważa, że znalazła tam bezpieczne schronienie. Najprawdopodobniej nigdy nie wyjdzie stamtąd dobrowolnie. Nalał sobie kawy do dużego kubka i usiadł pod drzwiami łazienki, wyciągając długie nogi na całą szerokość korytarzyka. Jego czarne buty były znoszone i wygodne jak stare kapcie. Skrzyżował nogi w kostkach i zaczął mówić.

- Naprawdę chciałbym wiedzieć, jak masz na imię. Oczywiście mogę dalej mówić do ciebie „skarbie”, ale to nie to samo, co imię. Wiem, że nie możesz mówić, zdołałem to już zrozumieć, ale mógłbym ci dać ołówek i kartkę papieru, a wtedy napisałabyś na niej swoje imię. Co ty na to? Niezły pomysł, prawda?

Kompletna cisza, ani cienia dźwięku. Napił się kawy, wykonał kilka kolistych ruchów ramionami, aby rozluźnić mięśnie i wygodnie oparł się o ścianę.

- Założę się, że masz mamusię, która bardzo się o ciebie martwi. Nie zdołam ci pomóc, dopóki nie wyjdiesz z łazienki i nie napiszesz, jak się nazywasz i skąd jesteś. Dopiero wtedy zadzwonię do twojej mamy.

Zza drzwi rozległ się ten przejmujący, zawodzący dźwięk. Ramsey pociągnął łyk gorącej kawy.

- Tak jest, mama na pewno bardzo się denerwuje, boi się o ciebie. Zaraz, zaraz, jesteś za mała, żeby umieć pisać, tak? Może zresztą nie, po prostu nie wiem, jak to jest z pisaniem. Nie mam własnych dzieci.

Cisza.

- No dobrze, wyjdź już i zjedz śniadanie. Mam cheeriosy i brzoskwinie. Mleko jest co prawda odtłuszczone, ale w smaku nie ma różnicy. Nie przyglądaj mi się tylko zbyt uważnie, bo jest strasznie wodniste, takie byle jakie. Za to brzoskwinia jest pyszna, bardzo słodka. Dwa dni temu kupiłem sześć sztuk, ale cztery już zjadłem. To chyba o czymś świadczy, nie sądzisz? Dostaniesz przedostatnią. Jeżeli masz ochotę, mogę też zrobić ci grzanekę. Mam dżem truskawkowy. No, wyjdź, proszę. Dam głowę, że jesteś głodna jak wilk.

Żadnej reakcji.

- Posłuchaj, naprawdę nie zamierzam cię skrzywdzić. Wczoraj nie zrobiłem ci nic złego, prawda? Ani w nocy? I rano także nie. Możesz mi zaufać. Kiedyś należałem do skautów i byłem jednym z najlepszych, wierz mi. Ten człowiek, który cię zranił, na pewno się tu nie pokaże. A jeśli nawet, to ja go zastrzełę, a potem zbiję na kwaśne jabłko. Przepraszam, jeżeli niewłaściwie się wyrażam, ale rzadko mam do czynienia z dziećmi. Mam trzy bratanice i dwóch bratanków, których widuję co najmniej raz w roku. Bardzo ich lubię. To dzieci mojego brata. W czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia nauczyłem dziewczynki, jak grać w futbol. Lubisz futbol?

Cisza.

Przypomniał sobie, jak jego bratowa, Elaine, krzyczała i klaskała z radości, kiedy mała Ellen przejęła piłkę i dotarła z nią do punktowanej strefy.

- Nieważne. Jednego możesz być na sto procent pewna - jeżeli ten potwór pokaże się gdzieś w pobliżu, gorzko pożałuje, że zrobił ci krzywdę. Obiecuję ci to. Proszę, wyjdź. Wschód słońca jest bardzo piękny. Chciałabyś to zobaczyć?



Niebo robi się już różowe, delikatnie szare i pomarańczowe. Zaraz pokaże się słońce...

Zamek kliknął cicho i drzwi się otworzyły. Stała w progu, ubrana w jego koszulkę, która prawie zakrywała małe stopy i spadała z jednego ramienia.

- Cześć - powiedział spokojnie, w ogóle się nie poruszając. - Zjesz teraz chrupki?

Kiwnęła głową.

- Pomożesz mi wstać? - Wyciągnął do niej rękę.

W jej oczach natychmiast pojawił się strach, dzika panika. Patrzyła na jego rękę tak, jakby miała przed sobą jadowitego węża, który w każdej chwili może ją ukąsić. Obiegła go dookoła i wpadła do kuchni. Cóż, widać było jeszcze za wcześnie na to, aby mu zaufała.

- Mleko jest na stole! - zawołał. - Dosięgniesz?

Bardzo powoli wszedł do kuchni. Siedziała w kącie, przytulona do ściany, ściskając w rękach miseczkę z chrupkami. Twarz prawie przytknęła do krawędzi miski, ciemnobrązowe włosy opadały splątanymi pasmami, zasłaniając buzię.

Bez słowa nalał sobie więcej kawy, włożył dwie kromki pszennego chleba do metalowego testera i przytrzymał go nad piecem. Mniej więcej po dwóch minutach grzanki były smakowicie przyrumienione z obu stron. Usiadł przy stole na jednym z dwóch kuchennych krzeseł. Drugie nadal tkwiło pod klamką tylnych drzwi.

Dokładnie w tej chwili zrozumiał, że nie ma zamiaru powierzać małej obcym ludziom. Odpowiadał za nią i z ochotą wziął ten ciężar na swoje barki. Nawet nie chciał sobie wyobrazić, co spotkałoby ją w szpitalu. Doktorzy, pielęgniarki, laboranci, wszyscy ci ludzie stłoczeni wokół niej, sztywnej z przerażenia, zadający pytania, przeprowadzający badania i testy... Psychiatrzy podtykający lalki, aby wreszcie opowiedziała, co zrobił jej tamten człowiek...

Lekarze, którzy być może nie rozumieliby, że nie wolno jej traktować tak, jak inne dziewczynki, bo nie jest do nich podobna, jest inna, ponieważ

odmieniło ją straszne cierpienie... O nie, nic z tego, w każdym razie na pewno nie teraz. Powinien jednak porozmawiać z szeryfem... Dobrze, porozmawia z nim, ale później. Najpierw niech mała się trochę uspokoi i zacznie mu ufać, przynajmniej odrobinę.

- Chcesz grzanek? Opanowałem już sztukę posługiwania się tym testerem i robię wyśmienite grzanki. Prawie od tygodnia nie spaliłem ani jednej.

Pokręciła głową.

- W takim razie zjem obie. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to mam tu pyszny dżem truskawkowy. Wspaniałe domowy dżem. Kupiłem go w Dillinger, u pewnej pani Harper. Mówiła, że robi go od dawna. Można powiedzieć, że jest specjalistką od dżemów, bo ma już sześćdziesiąt cztery lata. Mieszkam tu drugi tydzień, wiesz? Przyjechałem z San Francisco. Ten domek zbudował dziadek mojego przyjaciela, który mi go pożyczył. Nigdy dotąd tu nie byłem. To piękne miejsce. Może później powiesz mi, skąd ty jesteś. Chciałem pobyć trochę sam, z dala od pracy, znajomych i różnych spraw. Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda? Nie, chyba raczej nie. Kto to powiedział, że życie osacza nas ze wszystkich stron? Może sam to powiedziałem i zdążyłem już zapomnieć. Kiedy człowiek jest dorosły, spotyka go mnóstwo różnych rzeczy, czasami bardzo niemiłych, i wszyscy się spodziewają, że sam poradzi sobie z tymi paskudnymi przeżyciami. Ale ty jesteś jeszcze mała. Nic złego nie powinno ci się przydarzyć. Wiem, że tak się stało i postaram się coś z tym zrobić, jeżeli tylko mi pozwolisz.

Cisza.

- Wydaje mi się jednak, że powinniśmy pojechać do lekarza, nie dziś, ale za jakieś dwa dni, a potem do szeryfa - ciągnął powoli, patrząc na bandaż na przegubach jej dłoni i kostkach u nóg, myśląc o tym drobnym, bezlitośnie zbitym ciele, wiedząc, że została zgwałcona. - Mam nadzieję, że w Dillinger jest jakiś szeryf...

Zacząła zawodzić cicho, potem coraz głośniejsze. Postawiła pustą miseczkę na podłodze obok siebie i podniosła głowę, potrząsając nią mocno, raz po raz. Z głębi jej gardła wydobywało się żalosne pomiaukiwanie, głośne i okropne.

Ramsey poczuł, jak jego ramiona pokrywa gęsia skórka.

- Nie chcesz jechać do lekarza?

Przywarła do ściany i podciągnęła kolana pod brodę. Koszulka sterczała wokół niej jak biały namiot. Kołysała się do przodu i do tyłu, w jakimś własnym rytmie.

- W porządku, nigdzie nie pojedziemy. Zostaniemy tutaj. Tu jest przytulnie i bezpiecznie. Mam mnóstwo jedzenia. Mówiłem ci już, że dwa dni temu byłem w Dillinger? Kupiłem sporo rzeczy, które mogą przypaść do gustu nawet dziecku. Parówki, bułki paluszki, takie trochę bez smaku, francuską musztardę i pieczoną fasolkę. Przysmażam cebulkę, dodaję do niej fasolkę, trochę musztardy i keczupu, i stawiam to wszystko na kuchni na jakieś dwadzieścia minut. Ślinka cieknie, co?

Przestała się kołysać i odwróciła ku niemu twarz. Odgarnęła włosy z czoła.

- Lubisz hot dogi?

Kiwnęła głową.

- Świetnie. Ja też. Kupiłem też trochę takich prawdziwych frytek, naprawdę tłustych, takich, po których olej kapie ci z palców. Lubisz frytki?

Ponownie kiwnęła głową. Rozluźniła się trochę, tylko odrobinę, ale zawsze... Najwyraźniej lubiła jeść. Na początek dobre i to.

- Nie zbrzydziło cię od tego odtłuszczonego mleka?

Potrząsnęła głową. No i co teraz, pomyślał Ramsey.

- Pozwolisz, że zjem teraz grzanekę? Trochę już wystygła. - Nie czekając na kolejne skiniecie głową, uśmiechnął się do niej i zaczął smarować grzanekę masłem. Potem pokrył ją grubą warstwą dżemu truskawkowego i pokazał dziewczynce. - Chcesz spróbować?

Długo wpatrywała się w kapiący od dżemu kawałek chleba.

- Położę ci ją na serwetce.

Chwała Bogu, że kupił serwetki. Podał jej grzanekę. Wzięła ją i szybko przełknęła trzy kęsy, prawie nie gryząc. Potem westchnęła i zaczęła jeść wolniej. Zlizwała odrobinę dżemu z dolnej wargi. Po raz pierwszy wyglądała na spokojniejszą i prawie szczęśliwą.

- Od dawna nic nie jadłaś?

Powoli przeżuwała kawałek grzanki. Miał wrażenie, że zastanawia się nad odpowiedzią na jego pytanie. W końcu kiwnęła głową.

- Widzę, że muszę ci zadawać tylko takie pytania, na które można odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Czujesz się dziś trochę lepiej?

Strach zmył wszelkie ślady koloru z jej drobnej buzi. Wpatrywała się w zabandażowaną rękę, w której trzymała połowę grzanki.

- Po śniadaniu posmaruję te otarte miejsca maścią.

Oboje w milczeniu kończyli swoje grzanki. Cóż więcej mógł powiedzieć? Wiedział, że powinien jeszcze raz dokładnie obejrzeć całe jej biedne ciało, ale nie chciał tego robić, nie teraz, kiedy była jeszcze wyraźnie przerażona. Wstał od stołu i przeszedł do dużego salonu, nie nalegając, aby poszła z nim.

- Chciałabyś się wykapać? - zapytał przez ramię. - Mógłbym zagrzać wodę na kuchni i wlać ją do wanny. Mam tu kilka bardzo dużych garnków, które doskonale się do tego nadają. - Nie musiał na nią patrzeć, aby się zorientować, że energicznie potrząsa głową, przytulona do ściany w kuchni. - Jesteś już dużą dziewczynką i na pewno umiesz myć się sama, prawda?

Odwrócił się i rzucił jej pogodny uśmiech. Powoli wstała. Skinęła głową.

- W łazience jest mój szampon. Potrafisz umyć sobie włosy? Doskonale. Potem opatrzę ci ręce i nogi. Masz też kilka innych mocnych zadrapań, które trzeba posmarować maścią. No i będziemy mieli pewien problem z ubraniem. Coś ci powiem - kiedy się umyjesz i wytrzesz, włóż tę moją starą koszulkę. Poszukam jeszcze czegoś, co by się dla ciebie nadawało.

W ciągu ubiegłych dwóch tygodni tak przyzwyczał się do ciszy, że teraz, słysząc swój głos, czuł się co najmniej dziwnie. Zagrzał wodę w dwóch wielkich garnkach i przelał ją do wanny, potem zaś powtórzył tę operację, żeby miała czym umyć i spłukać włosy.

Gdy się kąpała, poszedł do swojego pokoju i usiadł przy stoliku, na którym stała stara Olivetti, maszyna do pisania jego mamy. Stukanie w jej wielkie klawisze sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Włożył okulary i zaczął czytać to, co napisał poprzedniego dnia.

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało, ale gdy nagle podniósł wzrok, ujrzał ją stojącą obok. Nie wydała najmniejszego odgłosu, po prostu stała nieruchomo. Mokre, splątane włosy okalały jej starannie wymytą, prawie błyszczącą twarz, przeguby dłoni były paskudnie zaczerwienione. Miała na sobie jego koszulkę.

- Cześć - powiedział, zdejmując okulary. - Przepraszam, że nie usłyszałem, jak wychodziłaś z łazienki. Kiedy pracuję, czasami zapominam o całym świecie. Usiądź sobie na kanapie, dobrze?

Starannie umył swój grzebień i przez następne dziesięć minut rozczesywał jej włosy, usiłując nie sprawić bólu. Posmarował maścią poranione przeguby dłoni i kostki i znowu owinął je bandażem. Powinien zająć się innymi zadrapaniami, ale nie wyobrażał sobie, w jaki sposób miałby zdjąć z niej tę nieszczęsną koszulkę. Nie, będzie musiał wymyślić coś innego. Wstał.

- A teraz ubranie...

Nie miał zamiaru namawiać ją, aby włożyła rzeczy, w których ją znalazł. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jakie wspomnienia wywołałby w niej ich widok.

- Będiesz dziewczynką, która reklamuje sportowe stroje Ralphi Laurena, co ty na to?

Wyciągnął z szafy wycięty w serek sweter z miękkiej wełny. Przynajmniej będzie jej w tym ciepło. Nie miał przecież dla niej żadnej bielizny, choćby majtek, no i żadnych butów. Podał sweter.

- Przebierzesz się w łazience?

Tym razem wróciła już po pięciu minutach. Najwyraźniej czuła się coraz pewniej. Całe szczęście. Sweter sięgał do kostek, a rękawy były o jakieś pół metra za długie. Podwinął je do łokci. Wyglądała śmiesznie i wzruszająco. Jak można zabawić małe dziecko?

- Wiesz, jakie miasto jest stolicą Kolorado?

Kiwnęła głową. Wyciągnął mapę, ale zaraz uświadomił sobie, że nie wie, czy mała umie czytać. Ale w gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia. Pokazała palcem Denver, obok którego narysowana była czerwona gwiazdka. A więc mieszkała w Kolorado...

- Świetnie. Nie sądzę, aby moje bratanice i bratankowie znali stolicę któregośkolwiek stanu, nawet Pensylwanii, gdzie mieszkają. Wiesz, gdzie teraz jesteśmy?

Lęk. Zimny, lodowaty lęk.

- W Górach Skalistych, mniej więcej dwie godziny jazdy samochodem na południowy zachód od Denver - powiedział spokojnie. - W pobliżu nie ma żadnych dużych ośrodków wypoczynkowych, więc jest tu raczej pusto. Tak czy inaczej, bardzo podoba mi się to miejsce. Oglądasz *Star Trek*?

Skinęła głową. Jej buzia odzyskała odrobinę koloru.

- Podobno miejscowi ludzie nazywają góry naprzeciwko naszego domku Łłańcuchem Ferengi.

Otworzyła usta i potarła palcami zęby. Roześmiał się.

- Właśnie! Szczyty są poszarpane, krzywe i nierówne, jak zęby Ferengi.

Rękawy swetra znowu zwisały prawie do ziemi, więc nachylił się, aby je poprawić. Natychmiast wydała z siebie ten straszny dźwięk i rzuciła się pod ścianę przy kominku. Skulona, przywarła do niej mocno, tak samo jak poprzednio w kuchni.

Przestraszył ją. Wstał powoli i podszedł do kanapy. Usiadł.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem. Chciałem ci tylko podwinąć rękawy. Twoje ręce są krótsze od moich. Powinienem być powiedzieć ci, co zamierzam zrobić. Pozwolisz mi je podwinąć? W szufladzie kuchennej szafki są chyba jakieś agrafki. Jeżeli podepniemy rękawy, nie będą ci już przeszkadzały.

Wstała i zrobiła jeden krok w jego kierunku. Przystanąła. Drugi krok. Znowu przerwa. Nie spuszczała wzroku z jego twarzy, zastanawiając się, czy może mu zaufać, czy też zaraz chwyci ją i skrzywdzi... Wreszcie stanęła przy nim. Zajrzała mu w oczy. Uśmiechnął się i powoli podniósł ręce, aby podwinąć rękawy.

- Mógłbym też spróbować zapleść włosy - rzekł. - Na pewno nie wyjdzie mi to zbyt dobrze, ale nie będą ci opadały na twarz.

Warkocz okazał się nie najgorszy. Ramsey owinął koniec gumką z torebki po brzoskwiniach.

- Słońce jasno świeci i jest dosyć ciepło. Może chciałabyś wyjść na dwór? Owinąłbym cię w koc i...

Mógł się domyślić, co się stanie. W jednej chwili zniknęła w kuchni. Wiedział, że znowu siedzi pod tą cholerną ścianą. Dobrze chociaż, że nie zamknęła się w łazience. Co tu robić?

Powoli, tylko powoli. Każdy gest, każde słowo mogło ją panicznie przestraszyć. Na szczęście w dużym pokoju leżał stos starych czasopism.

- Chciałabyś pooglądać zdjęcia? - odezwał się. - Jeżeli chcesz, możemy przejrzeć je razem, a ja będę ci czytał podpisy. Co ty na to?

W końcu podniosła głowę.

- Najpierw przyniosę agrafki i zapnę ci rękawy.

Poszła za nim do dużego pokoju. Nie było łatwo, ponieważ najwyraźniej nie miała ochoty zbliżyć się do niego na wyciągnięcie dłoni. Kiedy oboje usiedli, rozłożył magazyn na siedzeniu kanapy między nimi. Udało mu się otulić ją kocem. Podniósł wzrok i spojrzał na nią uważnie.

- Skarpetki - powiedział.

Zamrugwała i lekko przechyliła głowę na bok.

- Martwię się, że zmarzną ci stopy, bo przecież chodzisz na bosaka. Chcesz przymierzyć moje? Będą wyglądały bardzo zabawnie. Zmieścisz się w nich po szyję, zobaczysz. Mogłabyś zacząć rozśmieszać ludzi jako clown, wiesz? Włóż moje skarpety, żeby sprawdzić, czy nie pękne ze śmiechu.

Skarpetki były wielkim przebojem. Nie próbowała go rozśmieszać, ale kiedy podciągnęła je sobie aż za kolana, na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Bardzo słaby, ale zawsze.

Przez następną godzinę oglądali magazyn „People” z października ubiegłego roku. Ramsey pomyślał, że nie chce więcej widzieć na oczy Cindy Crawford, która pojawiała się tu na co drugiej stronie. Skończywszy czytać opowieść o jakiejś gwiazdce filmowej, która wreszcie pojednała się z bratem, ostrożnie podniósł wzrok.

Dziewczynka spała, z dłońmi pod policzkiem, na oparciu kanapy. Poprawił koc i wrócił do maszyny do pisania. Jakiś czas potem tak szybko zerwał się z krzesła, że o mały włos nie stłukł okularów. Zawodzenie brzmiało tym razem głośniejsze, było jeszcze bardziej rozpaczliwe. Miała koszmarne sen i niespokojnie rzucała się w kokonie z koca. Jej mała twarz była zaczerwieniona, pełna przerażenia. Musiał ją obudzić, nie miał wyboru.

Lekko potrząsnął ją za ramię.

- Obudź się, skarbie. Proszę, obudź się!

Otworzyła oczy. Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Nie, skarbie, nie trzeba. - Nie zastanawiając się ani chwili, usiadł i wziął ją na kolana. - Tak mi przykro, kochanie... Ale teraz nie masz się już czego bać, wszystko jest w porządku...

Przytulił jej głowę do swojej piersi, ogarnął ją ramionami, szczelniej otulił kocem, żeby nie marzła. Skarpetka zsunęła się z jej lewej stopy, więc podciągnął ją ostrożnie.



- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Nie pozwolę, aby ktokolwiek cię skrzywdził, przysięgam. Nikt już nigdy nie zrobi ci krzywdy, skarbie...

Uświadomił sobie, że mała jest zupełnie sztywna. Przestraszył ją. Trudno. Nie chciał wypuścić jej z ramion, wiedząc, że właśnie teraz potrzebna jest jej bliskość drugiego człowieka. Przecież w tej chwili nie miała nikogo poza nim.

Nadal powtarzał szeptem, że jest bezpieczna, że on w żadnym razie nie pozwoli jej skrzywdzić. Po paru minutach poczuł, jak małe ciało rozluźnia się, mięknie. W końcu ciężkie westchnienie wyrwało się z jej piersi i, o cudzie nad cudy, znowu zasnęła.

Było wczesne popołudnie. Ramsey był głodny, ale za żadne skarby świata nie chciał jej budzić. Postanowił, że zjedzą coś razem później. Spała przytulona do niego, z głową na jego ramieniu. Ułożył ją trochę wygodniej i sięgnął po książkę.

Jęknęła we śnie. Przygarnął ją bliżej. Pachniała słodko, tym jedynym w swoim rodzaju zapachem dziecka. Spojrzał w kierunku okna i w jego oczach zapłonęła wściekłość.

- Tylko spróbuj się tu zjawić, ty skurwysynu - mruknął. - Odstrzelę ci łeb bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

### ***Rozdział 3***

Krople deszczu waliły w szyby, gnane ostrym zachodnim wiatrem. Ramsey siedział obok dziewczynki na kanapie, z jedną z wielu powieści, które przywiózł tu ze sobą, czytając przyciszonym głosem, tak jak robił to przez ostatnie trzy dni.

Mała czuła się w jego obecności coraz bardziej swobodnie i nie uciekała już za każdym razem, kiedy zdarzyło mu się przypadkiem ją przestraszyć. Siedzieli więc na kanapie, w odległości mniej więcej pół metra od siebie.

- Pan Phipps nie wiedział, co ma robić - czytał Ramsey. - Mógł wrócić do żony i zawrzeć z nią jakąś umowę, albo poddać się i zostawić ją samą sobie i wszystkim tym mężczyznom, którzy jej pragnęli, wszystkim bogaczom, którzy mogli dać jej to, na czym jej zależało. Sęk w tym, że pan Phipps nigdy się nie poddawał... - Przerwał.

Przebiegł wzrokiem fragment tekstu i zorientował się, że nie jest to lektura dla dziecka. Bohater powieści zastanawiał się, czy nie zabić swojej żony. Cóż, w ogóle nie powinien zaczynać tej książki. Odchrząknął.

- Zdał sobie jednak sprawę, że ma jeszcze inne wyjście - ciągnął, udając, że czyta dalej. - W domu czekała na niego jego mała i córeczka. Kochał ją mocniej niż samego siebie, czyli naprawdę i z całego serca. Kochał ją bardziej niż cały świat...

Siedziała obok niego nieruchomo, w całkowitym milczeniu. Nie przysunęła się ani odrobinę bliżej. Nie wiedział nawet, czy go słucha. Miał nadzieję, że nie jest jej zimno. Ubrana była w jego koszulkę, tym razem szarą, zapinany z przodu sweter, który włókł się za nią po podłodze, i skarpetki.

Otulona była w koc, bo wiatr dmuchał naprawdę mocno. Ramsey coraz lepiej radził sobie z zaplataniem warkocza. Gdyby nie była taka milcząca i gdyby chociaż trochę się uśmiechała, można by ją wziąć za zupełnie zwyczajne dziecko, które siedzi obok ojca i słucha czytanej na głos opowieści. Ale ona nie była zwyczajnym dzieckiem, o nie. Powoli spuścił oczy i utkwiał je w książce.

- Chciał, by jego córeczka wiedziała, że przy nim zawsze będzie bezpieczna - rzekł, w pełni świadomy, że jego słowa płyną prosto z serca. - Że do końca życia będzie ją chronił przed złem i zawsze będzie ją kochał. Była słodka i łagodna, i również go kochała, ale ostatnio dużo przeżyła, za dużo jak na małą dziewczynkę, i teraz bała się świata i ludzi. Rozumiał to i był pewien, że wszystko to z czasem minie. Była najdzielniejszą dziewczynką, jaką znał. Tak, dużo wycierpiała, lecz teraz już zawsze będzie razem z nim. Pomyślał o drewnianej chacie w Górach Skalistych, stojącej na łące pełnej cudownie

kolorowych kwiatów. Wiedział, że to miejsce spodoba się jego córeczce. Będzie się tam czuła zupełnie swobodnie, a on znowu usłyszy jej śmiech. Od tak dawna się nie śmiała... Wszedł do domu i zobaczył ją. Stała przy kuchennych drzwiach, tuląc do siebie małą pluszową małpkę. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę...

Odwrócił się do niej i bardzo powoli, bardzo lekko dotknął czubkami palców jej policzka.

- Czy ty też masz swoje ulubione pluszowe zwierzątko?

Nie spojrzała na niego. Wpatrywała się w okno, w szary deszcz, który chyba nigdy nie zamierzał przestać padać. Po długiej chwili kiwnęła głową.

- Małpkę? Nie.

- Pieska?

Popatrzyła na niego. Jej oczy były pełne łez.

- Nie płacz, kochanie. Zaraz, on wcale nie jest pluszowy, tak? To prawdziwy, żywy pies? Daję ci słowo, że niedługo znowu go zobaczysz. Jakiej jest rasy?

Tym razem sięgnęła po długopis i papier, które poprzedniego dnia wieczorem położył na stoliku obok kanapy. Wcześniej w ogóle nie zwracała na nie uwagi. Poczuł przypływ nadziei. Narysowała psa w kropki.

- Dalmatyńczyk?

Skinęła głową i uśmiechnęła się nieśmiało. Mimo wszystko był to jednak uśmiech. Pociągnęła go za rękaw. Dotknęła go!

- Chcesz, żebym czytał dalej?

Tak. Przysunęła się trochę bliżej i otuliła się kocem.

- To zabawne, zawsze chciała mieć psa, ale najbardziej na świecie kochała swoją pluszową małpkę - mówił Ramsey. - Małpka nazywała się Geek. Miała bardzo długie ramiona i śmieszoną brązową mordkę. Dziewczynka nigdzie się bez niej nie ruszała. Pewnego dnia, kiedy szła z tatą przez łąkę wysoko w górach, usłyszeli głośny dźwięk. Była to ciężarówka rozwożąca mleko.

„Dlaczego przyjechała aż tutaj?”, zapytała dziewczynka. „Kierowca przywiózł nam zapas mleka na cały tydzień”, odpowiedział tata. I rzeczywiście, kierowca przywiózł mleko, ale nie tylko. Przywiózł też sześć małych szczeniaków, cały miot, wszystkie białe jak mleko. Wkrótce pieski szczekały na siebie głośno i uganiały się po łące, chowając się wśród kwiatów, baraszkując i po prostu wspaniale się bawiąc. Ale Geek nie był zadowolony. Siedział na ganku, z bezwładnie opuszczonymi ramionami, i obserwował, jak szczeniaki skupiają na sobie całą uwagę dziewczynki. Słyszał, jak jego ukochana właścicielka śmieje się i bawi z pieskami, które lizały japo buzi, gramoliły się na jej kolana i piszczały, jeżeli nie dość szybko drapała je po brzuskach. Ze smutkiem opuścił głowę. Był bardzo nieszczęśliwy. I wtedy nagle dziewczynka wróciła i usiadła obok niego. Podniosła go i mocno pocałowała w kudłaty pyszczek. „Chodź pobawić się z dziećmi, Geek”, powiedziała. „Tata mówi, że zaraz trzeba je będzie odwieźć do ich mamy. Mleczarz przywiózł je tylko na chwilę, żebyśmy mogli się nimi nacieszyć”. Kiedy Geek zastanowił się nad tym wszystkim trochę później, doszedł do wniosku, że szczeniaki bardzo mu się podobały. Były takie śmieszne! Może nawet nie byłoby najgorzej, gdyby dziewczynka mogła zatrzymać jednego z nich... Wieczorem zasnął, przytulony do swojej pani. Śnił mu się mały biały szczeniak, na którego futerku wkrótce miały pojawić się czarne plamki... - Ramsey ostentacyjnie zamknął książkę.

- No i co myślisz o małpce Geek?

Wzięła długopis i papier. Chwilę rysowała coś pracowicie, potem oceniła wzrokiem swoje dzieło i wyprostowała się. Rysunek przedstawiał patykowatą małą dziewczynkę, trzymającą w ramionach coś, co musiało być małpką Geek. Dziewczynka uśmiechała się i mocno przytulała małpkę do piersi.

- Świetny rysunek - powiedział.

Czy to możliwe, że usiadła tuż obok niego? Tak jest! Teraz to on zasnął pierwszy, z głową na oparciu kanapy. Kiedy obudził się kilka godzin później, dziewczynka spała, wtulona w niego, miękka i ciepła. Nachylił się i pocałował

ją w czubek głowy. Pachniała jego szamponem i małym dzieckiem. Bardzo podobał mu się ten zapach. Ostrożnie przesunął ją trochę dalej, okrył kocem i poszedł do kuchni. Zaparzył kawę, usiadł przy stole i słuchał, jak deszcz uderza o dach domku.

Opiekował się małą od czterech dni. W tym czasie ani razu nie zauważył nikogo kręcącego się w pobliżu chaty. Nie miałby nic przeciwko temu, aby ten, który ją skrzywdził, nawinał mu się pod rękę. Miał ochotę go zabić i chętnie wykorzystalby taką szansę. Gdzie jest teraz ten skurwysyn? Najprawdopodobniej uciekł.

Jak długo jeszcze on, Ramsey, miał ukrywać ją tutaj przed całym światem? Dobrze chociaż, że nie musiał martwić się o jej zdrowie. Drugiego dnia wieczorem dał jej jedną trzecią tabletki nasennej. Kiedy zapadła w głęboki sen, uważnie obejrzał wszystkie siniaki i zadrapania, posmarował je maścią antybiotykową, a potem okrył ją i na palcach poszedł do siebie. Wszystko goiło się tak, jak trzeba, i na szczęście podczas całej operacji mała nawet nie drgnęła.

Ciekawe, czy naprawdę ma dalmatyńczyka... Doskonale zdawał sobie sprawę, że zajął miejsce jej ojca. Trudno. Dopóki była z nim, był jej ojcem, czy komuś się to podobało, czy nie. Ale co z jej rodzicami? Czy byli świadkami porwania? Może byli za nie odpowiedzialni, może pozwolili, aby ją porwano? Jacy byli? Nie, to nie miało znaczenia, w każdym razie jeszcze nie teraz.

Był szczęśliwy. Mała po raz pierwszy zbliżyła się do niego zupełnie z własnej woli. Co prawda dopiero wtedy, gdy zasnął, ale jednak... Na początek dobre i to. Uśmiechnął się, wstał i otworzył puszkę rosółu z kurczaka z makaronem. Dziewczynka lubiła rosół i grzanki z żółtym serem.

Tego wieczoru opiekli ostatnie dwa hot dogi i zjedli resztkę pieczonej fasolki, a na deser galaretkę truskawkową, którą Ramsey nauczył się robić na tyle dobrze, że na dnie nie zostawała gumowa warstwa.

- Będę teraz mówił imiona dziewczynek - powiedział po kolacji. - Jeżeli uda mi się trafić na twoje, możesz trzy razy kiwnąć głową, szarpnąć mnie za ramię albo kopnąć w kostkę, w porządku?

Nie poruszyła się, wyraz jej twarzy się nie zmienił. Brak entuzjazmu nie był dobrą wróżbą dla wymyślonej przez niego zabawy.

- W porządku, spróbujmy. Jennifer? Bardzo ładne imię. Nie nazywasz się przypadkiem Jennifer?

Zero reakcji.

- Lindsey? Nic.

- Więc może Morgan?

Odwróciła się do niego plecami, wyraźnie manifestując swoją opinię. Nie miała najmniejszej ochoty ciągnąć tej zgadywanki. Ale dlaczego?

- Narysuj portret swojej mamy.

W jednej chwili znalazła się przy stole i chwyciła kartkę papieru. Nie patrzyła na niego, z napięciem wpatrywała się w czysty papier. Potem zaczęła rysować. Była to postać z kresek, ubrana w spódnicę, tenisówki, z głową spowitą w chmurę loków. W rękach trzymała coś jakby pudełko z małym kółkiem z przodu.

- Bardzo ładnie - pochwalił. - Czy włosy ma ciemnobrązowe, takie jak twoje?

Pokręciła głową.

- Rude?

Uśmiechnęła się szeroko i przytaknęła. Narysowała jeszcze więcej loków wokół głowy kobiety.

- Zgadłem, że rude, bo to mój ulubiony kolor włosów. I naprawdę są kręcone? Długie?

Wzruszyła ramionami.

- Rozumiem, średniej długości. Czy ona trzyma pudełko? Potrząsnęła głową. Pokazała zdjęcie na okładce magazynu leżącego na stoliku do kawy i kilka razy strzeliła palcem wskazującym o kciuk.

- Ach, aparat fotograficzny! - wykrzyknął z ulgą. - Twoja mama jest fotografem?

Przytaknęła, znowu pokazując na zdjęcie.

- I fotografuje ludzi?

Tak, najwyraźniej o to właśnie chodziło. Nagle jej buzia posmutniała. Myślała o swojej matce, tęskniła za nią, zastanawiała się, co się z nią dzieje, a on nic nie mógł na to poradzić.

- Narysuj mi jeszcze tatę - poprosił szybko. Chwyciła długopis tak, jakby był to sztylet i z gardła wyrwał jej się ten straszny jęk, który przyprawiał go o gęsią skórę.

- Wszystko w porządku, skarbie. Jestem tutaj. Nic ci nie grozi.

Myślał, że to już koniec rysowania, ale ona ku jego zdziwieniu sięgnęła po następną kartkę i kilkoma pociągnięciami naszkicowała postać mężczyzny z zawieszoną na szyi gitarą i otwartymi ustami. Czyżby jej ojciec był piosenkarzem? Nacisnęła papier tak mocno, że końcówka długopisu ześlizgnęła się po nim. Więc może to ojciec naraził ją na niebezpieczeństwo, może to przez niego została porwana? Może to on ją skrzywdził? Nie, przecież żaden ojciec nie zrobiłby czegoś takiego własnemu dziecku... Rzeczywiście, akurat.

Sporo przeżył, niejedno widział, z wieloma sprawami miał już do czynienia i doskonale wiedział, że było to możliwe. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej na temat ojca, lecz z reakcji wywnioskował, że lepiej będzie, jeśli odłoży te pytania na później.

Zgniotła kartkę papieru, odsunęła się od niego i zwinęła w kłębek na kanapie. Rozumiał, że proces gojenia ran potrwa długo, być może bardzo długo. Ale czy tak długo mógł zatrzymać ją przy sobie?

\*

- Nie zostawię cię w dziupie, to niezbyt bezpieczne. Pójdiesz ze mną, dobrze? Weź mnie za rękę. Dasz radę, skarbie? - Przerwał na chwilę i delikatnie musnął jej policzek czubkami palców. - Wszystko w porządku. Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale wszystko będzie dobrze. Nikt cię nie skrzywdzi. Masz teraz mnie, a ja jestem duży i silny. Znam karate, jestem w tym całkiem niezły, wiesz? Prawie jak Chuck Norris. Słyszałaś o nim? Chuck potrafi rozłożyć na obie łopatki więcej złych facetów niż Godzilla.

Dziewczynka wykonała kilka ruchów rękami. Wyglądało to tak, jakby siekała powietrze.

- Właśnie tak to wygląda. Wiem, że nie lubisz tych ubrań, które masz na sobie, ale zaraz je z siebie zdejmiesz. Kupię ci nowe rzeczy, przebierzesz się w sklepie, a te wyrzucimy. Zresztą najlepiej będzie, jeżeli po prostu zostawimy je w przymierzalni.

Uprał jej żółte dżinsy i jasnożółty T-shirt w wannie, razem ze swoimi koszulkami i bielizną, i z wielką niechęcią namówił ją, aby je włożyła, ale przecież nie mieli wyboru. Nie mogła jechać do sklepu w Dillinger, ubrana w sweter i bosa. Ostrożnie dotknął brody dziewczynki.

- Chodźmy. To będzie przygoda, nie przejmuj się. Jestem przy tobie. Wyobraź sobie, że jestem twoją małpką Geek, tylko o wiele większą. Jak sądzisz, co zrobiłaby Geek, gdyby ktoś próbował cię skrzywdzić? No, właśnie. Geek i ja jesteśmy dobrymi, porządnymi małpkami. Gotowa?

Przez jej twarz przemknął cień uśmiechu, lecz Ramsey świetnie wiedział, że nie ma ochoty wysiadać z dziupa. Nie mógł jednak zostawić jej w środku.

- Im szybciej wejdziemy, tym szybciej wyjdziemy - rzekł filozoficznie.

W końcu przyzwalająco skinęła głową. Wyniósł ją z samochodu i postawił na chodniku. Potem zamknął wóz i wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją.

- No, doskonale - powiedział, lekko ściskając drobne palce. - Wykupimy cały sklep, co ty na to?



Sklep w Dillinger z pewnością nie był wielkomięjskim supermarketem, zajmował może jedną dwudziestą powierzchni przeciętnego domu towarowego. Gdy weszli do środka, dziewczynka przyłgnęła do jego nogi. Uśmiechnął się do niej.

- Świetnie sobie radzisz. Najpierw poszukamy džinsów, potem rozejrzemy się za koszulkami. O, tędy. Pokaż mi palcem, jeżeli zobaczysz coś, co ci się spodoba.

Czuł, że drży, więc wziął ją na rękę. Po chwili się uspokoiła. Spodnie, które miała na sobie, były na pięć lat, koszulka od czterech do sześciu. W dziale odzieży dziecięcej przywitała ich uśmiechnięta, tęga i ładna kobieta o olśniewająco białych zębach.

- Chcielibyśmy kupić parę rzeczy dla mojej córeczki.

Nie trwało to długo. Kobieta, Mildred, jak się przedstawiła, zmierzyła wzrokiem dziewczynkę i zaczęła wybierać rzeczy. Jego „córeczka” sama nawet wskazała jedną koszulkę, w kolorze limonki. Koniec końców wybrali dwie pary džinsów, jedno czerwone, drugie zwykłe, niebieskie, cztery koszulki, wszystkie w jasnych, rzucających się w oczy barwach, pomarańczowe tenisówki, zielone, czerwone i niebieskie skarpetki oraz pomarańczową kurtkę w zielone wzory.

Ramsey miał mieszane uczucia. Z jednej strony, dziewczynkę łatwo było teraz zauważyć, nawet w najgęstszym tłumie, co było niekoniecznie pozytywne, lecz z drugiej powinien się cieszyć, że bez wahania zdecydowała się na tak jaskrawe, optymistyczne kolory.

Mildred była zachwycona.

- Wyglądasz jak cukiereczek, kochanie. Jak ci na imię?

- Córka nie mówi, ale wszystko słyszy i rozumie - powiedział spokojnie Ramsey. - Naprawdę ślicznie wygląda, prawda?

- Nie ulega wątpliwości, że pomarańczowy i zielony to jej kolory. Ile masz lat, kochanie?

Dziewczynka podniosła sześć palców.

- Sześć lat! No, proszę, co za bystre dziecko! I takie ładne! Twoja mamusia będzie bardzo zadowolona, że wybrałaś takie przyjemne rzeczy.

Mała zamarła. Ramsey pospiesznie zerwał z wieszaka jasnoblękitną puchową kurtkę, mniej więcej na jej rozmiar.

- Może się jeszcze zrobić zimno - powiedział. - Przecież to dopiero połowa kwietnia.

- Ma pan rację. Zanim zrobi się naprawdę ciepło, możemy się spodziewać jeszcze co najmniej dwóch burz śnieżnych.

Skinął głową.

- Tak, w górach trzeba być przygotowanym na każdą pogodę. - Pomógł dziewczynce włożyć kurtkę i cofnął się o krok, aby jej się przyjrzeć. - Wspaniale! Podoba ci się? Rękawy są może trochę za długie, ale gdy trochę urośniesz, będą w sam raz.

Z uśmiechem podciągnęła rękawy i kiwnęła głową.

- Przyjechaliście tu na ten tydzień? Całą rodziną?

- Tak - odparł. - Piękna okolica. Bardzo miło spędzamy czas.

- Mieszkam tu od urodzenia. Może pan spokojnie postawić dwudziestkę, że w najbliższych dniach będą jeszcze ze dwie zamiecie. Mam nadzieję, że już po waszym wyjeździe, ale u nas nigdy nie wiadomo.

Ramsey nie bardzo wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Miał wrażenie, że spędzili w sklepie za dużo czasu. Chciał zabrać już małą z powrotem do chaty na zboczu góry. Uśmiechnął się do Mildred.

- Pomachaj Mildred na pożegnanie.

Dziewczynka skinęła Mildred głową. Ramsey nachylił się nad nią.

- Mogę cię wziąć na rękę? - zapytał bardzo cicho, żeby sprzedawczyni ich nie usłyszała.

Spotkało go miłe zaskoczenie, bo mała bez wahania uniosła rękę. Po drodze do kasy wrzucił jeszcze do wózka butelkę szamponu dla dzieci. Nikt nie

przyglądał im się podejrzliwie, wszyscy zachowywali się przyjaźnie i szczerze. W całym sklepie natknęli się na najwyżej dziesięć osób.

Pan Peete, właściciel sklepu, obsłużył ich przy kasie.

- No, no, dzieciaku, będziesz najlepiej ubraną dziewczynką na terenie całego Łącucha Ferengi. Proszę, weź sobie lizaka. Twój tatuś zrobił u nas wielkie zakupy, częstuj się, proszę.

Spędzili w sklepie trzydzieści pięć minut i wydali sto sześćdziesiąt dziewięć dolarów.

- A teraz mam dla ciebie prawdziwą niespodziankę - powiedział, wkładając pakunki do bagażnika. - Widzisz tę księgarnię? Chodźmy!

Znowu pozwoliła mu się nieść. Wrócili do dżipa po przyjemnie spędzonej pół godzinie, z torbą pełną książek. Ramsey otworzył drzwi i posadził ją na tylnym siedzeniu. Potem wyprostował się i znieruchomiał. Ktoś go obserwował.

## ***Rozdział 4***

Włosy mu się zjeżyły. Odwrócił się powoli Jakby od niechcienia, ale nie zauważył nikogo, kto by się w niego wpatrywał. Ale zaraz, tam w alejce, za stacją benzynową... Czy ktoś tam był? Wpatrywał się uważnie, czując, jak lekki wiatr podnosi mu włosy. Za stacją benzynową nikogo nie było.

Tak czy inaczej, nie podobało mu się to. Nigdy nie lekceważył swojej intuicji. Szybko wskoczył za kierownicę. Dzięki Bogu, że mała niczego nie podejrzewa. Starannie otuliła się kocem, który zabrali z domu i na moment ukryła twarz w miękkiej wełnie. Chyba chciało jej się spać. Nie był pewien, czy jest naprawdę zmęczona, czy po prostu szuka we śnie ucieczki przed dręczącym ją strachem.

Spojrzał w kierunku biura szeryfa, które znajdowało się trochę dalej, w dole Boulder Street. Niewykluczone, że policja poszukuje dziewczynki... Wiedział, że nie może bez końca trzymać jej w domku. Miała przecież

rodziców. Matkę, którą gorąco kochała, jeżeli można ocenić miłość na podstawie uśmiechu. Kiedy zapytał ją, czy jej mama jest tak samo miła jak ona, przytaknęła gorliwie. Ale co z ojcem?

Nieważne, wcześniej czy później dowie się wszystkiego. Był jednak pewien, że przynajmniej matka musi umierać ze zmartwienia. W ciągu ubiegłych sześciu dni nie było godziny, w której nie chciałby zadać małej pytania, co ją spotkało, lecz czuł, że jest jeszcze na to za wcześnie. Wiedział, że wkrótce będzie musiał zdecydować, co robić dalej, ale kiedy widział, jak strach ścina jej bladą buzię, nie mógł nawet myśleć o tym, żeby oddać jaw ręce obcych.

Miał nadzieję, że im więcej czasu z nim spędzi, tym szybciej wróci do zdrowia. W gruncie rzeczy to ona sama go powstrzymywała... Spojrzał na uśpione dziecko. Policzki miała delikatnie zaróżowione. Szary odcień skóry, którego przez kilka dni nie traciła nawet we śnie, wreszcie zniknął bez śladu. Wyglądała jak normalna mała dziewczynka.

Uśmiechnął się. Była śliczna w jasnych, pogodnych kolorach. I zaraz przypomniał sobie, jak poprzedniego wieczora, kiedy po kolacji usiedli, żeby poczytać, ponownie poruszył temat szeryfa. Tym razem nie tylko energicznie potrząsnęła głową, ale z całej siły złapała go za rękę i spojrzała na niego z przerażeniem w oczach.

- W porządku - powiedział. - Jeszcze trochę poczekamy. Ale twoi rodzice, dziecko... Przecież oni na pewno umierają ze strachu o ciebie...

Spuściła głowę i zaczęła płakać.

Miał ochotę zakląć, lecz oczywiście nie zrobił tego. Od sześciu dni ani razu porządnie nie zaklął, w każdym razie nie w jej obecności. Sytuacja wydawała się oczywista - dziewczynka była śmiertelnie przerażona, że jeśli ktokolwiek dowie się, gdzie jest, ktokolwiek, nawet jej rodzice, to znowu spotka ją coś złego. I Ramsey nie mógł wykluczyć, że ma rację.

W jaki sposób ten potwór ją dopadł? Czy rodzice jej nie pilnowali? Zostawili samą w centrum handlowym? A może porywacz najzwyczajniej w świecie zabrał ją z podwórka przed domem? Zaczeka jeszcze dwa dni i pojedzie do szeryfa. Ledwo o tym pomyślał, już potrząsnął głową. Nie, dziewczynce potrzeba więcej czasu, musi nauczyć się mu ufać, musi uwierzyć, że on nie pozwoli, aby stało jej się coś złego.

Kiedy mała wróci do rodziców, już jej nie będzie widywał. Nie zdoła jej chronić. Ci cholerni rodzice już raz jej nie upilnowali! Co będzie, jeżeli sytuacja się powtórzy? Trudno, dziewczynka nie była jego córką. Uratował ją, ale nie należała do niego. Nie miał pojęcia, co robić.

Pokręcił głową i przyspieszył. Dżip, niczym koń roboczy, uwielbiał wysiłek. Był piękny dzień, trochę chłodny, najwyżej piętnaście stopni, ale bardzo pogodny. Na ulicach kręciło się mnóstwo ludzi. Przypomniawszy sobie swoje wrażenie, że jest obserwowany. Czy naprawdę tak było?

Usłyszał cichy jęk i odwrócił się szybko. Kolejny koszmar senny. Lekko dotknął jej twarzy. Przytuliła policzek do jego dłoni i uspokoiła się. Delikatnie potargał jej włosy. Otworzyła piękne, jasnoniebieskie oczy i zamrugnęła. Ujrzał, jak lęk znika powoli i na jego miejsce pojawia się ciepły uśmiech. W tej chwili wszystkie wątpliwości rozwiały się jak obłoczek dymu. Nie miał zamiaru pozwolić, aby ktoś mu ją odebrał, przynajmniej do chwili, kiedy nabierze pewności, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

- No, dobrze, dobrze - wymamrotał. - Galareta ze mnie, i tyle, wiesz? Ale nie jestem przekonany, czy to rzeczywiście źle. Niekoniecznie. I powiem ci coś jeszcze - jesteś nie tylko najlepiej ubraną dziewczynką na terenie Łańcucha Ferengi, jesteś też najcudowniejszą dziewczynką na całym świecie.

Następnego dnia po południu, kiedy wszedł do domu z naręczem świeżo porąbanych szczap do kominka, drgnęła nerwowo i schowała się za kanapą. Ramsey stanął jak wryty.

- Co się stało? - zapytał niespokojnie.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie wypadło to przekonująco.

- Przestraszyłem cię?

Kiwnęła głową, zadowolona, że tak szybko znalazł wyjaśnienie. Uśmiechnął się.

- Następnym razem zapukam. Narąbałem drewna do kominka i do kuchni. Ułożę je teraz, a potem może wyjdziemy na łąkę, co? Chcę ci pokazać moją niespodziankę dla ciebie. Kiedy ty mierzyłaś dzinsy, ja wybrałem coś naprawdę miłego.

Wiedział, że jest to jedyny sposób, aby nakłonić ją do wyjścia na dwór. Od powrotu z miasteczka nie chciała nawet wychylić nosa na ganek. Musi przecież złapać trochę świeżego powietrza... Nie paliła się do wyjścia, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Jej mała twarz była blada, spojrzenie czujne i pełne napięcia.

- Niespodzianka jest super - powiedział spokojnie. - Włóż puchową kurtkę, bo jest trochę chłodno.

Wyglądała uroczo w nowych, odrobinę sztywnych dzinsach, jaskrawopomarańczowych tenisówkach, czerwonych skarpetkach i pomarańczowej koszulce w zielone jabłuszka. Ramsey nabierał coraz większej wprawy w pleceniu warkocza. Wyglądała ślicznie, ale nie potrafiła ukryć lęku, który nadal czał się w niej tuż pod skórą.

Nienawidził tego strachu, ale przecież znalazł ją zaledwie przed tygodniem. W tym czasie obydwójce zrobili ogromny postęp. Czy porywacz uprowadził ją tak łatwo dlatego, że była niema? Że nie mogła wzywać pomocy?

- To jest naprawdę świetna niespodzianka. No, włóż kurtkę. Przecież wiesz, że nigdy bym cię nie okłamał, prawda? Kiedy się rozgrzejesz, zdejmiesz ją, w porządku?

Jeszcze się wahała. Przygotował drewno w kominku i kuchni, i stanął, opierając się o framugę. Czekał. Wreszcie skinęła głową i pobiegła po kurtkę.

Nie mogła ściągnąć jej z wieszaka, więc pomógł jej. Kurtka doskonale na nią pasowała, zwłaszcza po podwinięciu rękawów.

- Trzeba będzie trochę pobiegać, żeby nacieszyć się tą niespodzianką - powiedział z uśmiechem.

Wyprowadził ją na środek łąki, gdzie leżał wielki latawiec ze smoczym ogonem. Chwilę stała i wpatrywała się w niego, lecz zaraz kąciki jej ust zadrgały. Uśmiechnęła się szeroko, radośnie. Pierwszy raz widział u niej taki beztroski uśmiech.

- Puszczalaś kiedyś latawce?

Nie piszczała z podniecenia, ale wiedział, że zdobył maksymalną liczbę punktów. Niecierpliwie podskakiwała w miejscu. Podał jej uchwyt, zczekał, aż podniesie wielki czerwony trapez i ułoży długi, błyszczący ogon. Popuściła trochę sznurek.

- Dobrze sobie radzisz.

Uśmiechnęła się. Doskonale wiedziała, co robi. Kto ją tego nauczył? Matka?

- W porządku, puszczaj! - krzyknął. Zaczęła biec po płaskiej łące, ciągle popuszczając sznurek. Ramsey puścił latawiec, gdy poczuł, że chwyta wiatr.

- Masz wiatr! - zawołał.

Przystanęła, cofnęła się o parę kroków i przesunęła uchwyt w lewo. Długi wielobarwny ogon zawirował i zakreślił półokrąg na niebie.

- Świetnie! Pokaż, co jeszcze potrafisz!

Potrafiła to robić o wiele lepiej od niego. Była naprawdę niezła. Obserwował, jak porusza dłonią w prawo, potem w lewo, robi szybki zwrot... Latawiec łopotał nad nią, unosił się wysoko i opadał, ciągnąc za sobą ogon. Nie miał pojęcia, jak to zrobiła, ale raz zachybotła ręką i kolorowa folia zakreśliła się tak, jak prawdziwy smoczy ogon.

Ten, kto ją tego nauczył, musiał być mistrzem w puszczeniu latawców. Nadal milczała, ale było widać, że zabawa sprawia jej wielką radość. Ramsey

stanął z boku i przyglądał się. Była to najlepsza dwunastodolarowa inwestycja, jakiej kiedykolwiek dokonał. Po paru minutach usiadł na schodach, nie spuszczać dziewczynki z oka. Czas zwolnił bieg, kto wie, może nawet zatrzymał się na chwilę... Liczyło się tylko dziecko, puszczające latawiec na pełnej wiosennych kwiatów łące.

I wtedy nagle ciszę rozdarł głośny huk wystrzału. Latawiec zanurkował i opadł na ziemię, kończąc lot w zaroślach. Dziewczynka bez chwili wahania rzuciła się w stronę Ramseya. W ciągu sekundy był już przy niej, w biegu chwycił ją na ręce i zaniósł do domku. Kiedy mocnym kopniakiem zatrzęsął drzwi, na zewnątrz rozległ się drugi wystrzał. Posadził ją na podłodze za kanapą.

- Zostań tutaj. Nie ruszaj się.

Wetknął rewolwer za pasek od spodni i złapał karabinek. Przykucnął przy oknie, czujnie obserwując łąkę i ciemną ścianę drzew. Podświadomie szukał jakiejś zmiany, czegoś, co nie należało do tego świata. Zabrzmiał trzeci strzał, zaraz potem czwarty, ale nie mógł się zorientować, z której strony je oddano.

Usłyszał okrzyk i głośną odpowiedź. Dwóch mężczyzn. Znajdowali się w pewnej odległości od domu, jakieś sto metrów, na samym brzegu lasu. Chyba tylko tych dwóch, bo nie słyszał żadnych innych głosów.

- Zostań za kanapą, kochanie - odezwał się cicho. - Wszystko będzie dobrze, ale na razie nie wychodź. Pamiętaj, co ci mówiłem. Jestem duży i silny, a kiedy trzeba, potrafię każdemu dokuczyć. Nikt cię nie skrzywdzi, nie ma mowy.

Ku jego zdumieniu, pomiędzy gęstych sosen wytoczyło się nagle dwóch mężczyzn, każdy ze strzelbą w ręku. Jednego z nich wziął na muszkę, lecz w tej samej chwili zorientował się, że obaj pękają ze śmiechu, zataczając się i podpierając nawzajem. Zaklął paskudnie. Ci idioci byli pijani. Jezu, wszędzie w lesie wiszą znaki zakazujące polowania, a ci spokojnie sobie strzelają!



Jeden z mężczyzn był bardzo wysoki i chudy, co dało się dostrzec mimo grubych sztruksowych spodni i brązowej puchowej kurtki, które miał na sobie. Na głowę włożył myśliwski kapelusz w kratę.

- Hej, jest tam kto? - krzyknął, machając ręką w kierunku domu. - Przepraszamy, nie mieliśmy żadnych złych zamiarów!

- Właśnie! - wrzasnął drugi, niski facet o krzywych nogach, w kowbojskich butach. - Myśleliśmy, że jesteście parą jeleni! Co prawda, mówiłem Tommy'emu, że jelenie nie puszczają latawców, ale tak jakoś wyszło...

Chudy zachichotał głośno.

Ramsey odłożył karabinek i trzymając rękę na kolbie rewolweru, powoli otworzył drzwi. Cały dygotał z wściekłości. Miał ochotę porozwalać łby tym baranom.

- Dlaczego tutaj strzelacie?! - krzyknął. - Nie widzieliście mojego dziecka?!

Pomachali do niego beztrosko. Byli pijani i najwyraźniej wydawało im się, że zaprasza ich na piwo.

- Hej, stary, to był wypadek przy pracy! - zawołał chudy. - Coś ty za jeden? Nie przyszło nam do głowy, że ktoś tu mieszka! Naprawdę nam przykro!

Facet o krzywych nogach ruszył w kierunku Ramseya, wpatrując się w swoją strzelbę, a może w noski kowbojskich butów.

- Od dawna tu jesteście?

Kiedy chudy zadał to pytanie, Ramsey na ułamek sekundy oderwał wzrok od niskiego. To wystarczyło, aby tamten podniósł strzelbę i wziął go na muszkę. Ramsey strzelił bez chwili wahania. Trafił niskiego w prawe ramię, lecz jednocześnie sam poczuł silne, lodowato zimne uderzenie w lewe udo. Chudy w mgnieniu oka poderwał broń do strzału, ale tym razem Ramsey był szybszy. Trafił napastnika w ramię. Chudy zachwiał się i runął na ziemię. Ramsey zrobił

kilka kroków w ich stronę, potknął się i przystanął. Dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę, że on także został trafiony.

- Czego chcecie?! - krzyknął. - Kim jesteście?!

Tamci dwaj, klnąc na czym świat stoi, podnieśli się jakoś, gubiąc jedną strzelbę i nierównym truchtem pognali w stronę lasu. Ramsey strzelił za nimi ze swego Smitha&Wessona i zobaczył grubą drzazgę, odrywającą się od pnia sosny. Oddał drugi strzał. Jeden z mężczyzn wrzasnął z bólu.

Trafiłem go, pomyślał z satysfakcją. Zniknęli z jego pola widzenia, zagłębili się w las. Chętnie pobiegłby za nimi, ale nie miał siły. Zerknął na swoje udo. Gruby dzins powoli nasiąkał krwią. Nagle poczuł, że noga potwornie go boli. Szybko odwrócił się i utykając, poszedł do domu, najszybciej jak potrafił.

Jeden napastnik nadal miał broń i Ramsey wiedział, że stanowi teraz doskonały cel. Tamci ukryli się wśród drzew, a on znajdował się w otwartym terenie. Zobaczył leżącą na ziemi strzelbę niskiego. Nie wyglądała na specjalnie dobrą broń, ale na pewno była wystarczająco dobra, aby go zabić. Z niewielkiej odległości strzelała celnie i szybko.

Dotarł do chaty i zaczął wchodzić po schodach, krzywiąc się z bólu. Nagle podniósł wzrok i znieruchomiał. Dziewczynka stała na ganku, patrząc na niego z przerażeniem w oczach. Złapał ją na ręce, wbiegł do domu i zatrzęsął drzwiami. Ból szarpnął ostro lewą nogą. Spojrzał w dół i zobaczył, że dzinsy ma rozdarte na całą długość uda, a krew powoli spływa w dół. Powoli postawił dziewczynkę na ziemi.

Kurczowo trzymała się jego prawej nogi i znowu zawodziła żałośnie. Przytulił ją lekko. Nie chciał, żeby pobrudziła się jego krwią, bo wiedział, jak niewiele trzeba, aby ją przestraszyć. Zupełnie niesamowite było jednak to, że przewyciężyła strach i wyszła na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

- Nic mi nie jest, skarbie. Ci źli ludzie uciekli, taką mam w każdym razie nadzieję. Bardzo dzielna dziewczynka z ciebie. Jestem z ciebie dumny. I szybko biegasz, po prostu jak strzała. Nie okłamałem cię, widzisz? Dokopaliśmy im, prawda? Przegoniliśmy ich i poszli sobie...

Ale na jak długo? Czego chcieli, do diabła? Kim byli? Cholera jasna, czego oni chcieli?

Usiadł na jedynym krześle w dużym pokoju. Mała stała tuż obok niego, kiedy ostrożnie ściągał dzinsy, aby obejrzeć ranę. Kula rozerwała skórę z boku uda i trochę poszarpała mięśnie. Rana nie była zbyt głęboka, długa może na cztery, pięć centymetrów. Nie było tak źle. Miał szczęście.

Polał ranę wódką. Piekło jak wszyscy diabli, ale ona stała nad nim, przerażona i biała jak górski śnieg, więc nie miał zamiaru krzyczeć. Zacisnął zęby i lał dalej, dopóki nie był pewien, że rana jest zupełnie czysta. Prawdopodobnie należałoby założyć szwy, lecz tego nie umiał zrobić, nie miał zresztą zielonego pojęcia, jak wysterylizować igłę i nić.

Ściągnął krawędzie rany i założył opatrunek z gazy, potem urwał zębami kawałek szerokiej taśmy klejącej i umocował nią gazę. Syknął z bólu. Dziewczynka jęknęła i szybko położyła rękę na jego kolanie.

- Już w porządku - powiedział. - Trochę bolało, ale nie bardzo. Najgorsze było przylepianie taśmy...

Wzmocnił opatrunek jeszcze jednym kawałkiem taśmy, podniósł się powoli i wciągnął dzinsy.

- A teraz, skarbie, łyknę sobie aspirynę.

Wziął cztery tabletki z opakowania aspiryny dla wrzodowców, którą kupił w Dillinger, i popił pełną szklanką soku pomarańczowego. Roześmiał się cicho i otarł usta.

- Witamina C to dobra rzecz, niewykluczone, że pomaga nawet na postrzał.

Noga bardzo go bolała, ale to był i tak najmniejszy problem. Wiedział, że mała obserwuje go bez przerwy i że strach powoli znika z jej pobladłej buzi. Zamknął frontowe drzwi na zasuwę, umocował łańcuch. Pomyślał, że może później warto byłoby pójść po tę porzuconą przez tamtych strzelbę.

Był przekonany, że nie wróca. Skąd mieliby wiedzieć, że on nie ma żadnej możliwości nawiązania kontaktu ze światem? Na pewno doszli do wniosku, że natychmiast wezwał policję i uciekli, gdzie pieprz rośnie. Poza tym obaj byli ranni i musieli poszukać pomocy.

Ma trochę czasu, ale chyba niewiele. Spojrzał na nią. Stała tuż obok niego. Zrozumiał, że musi sprostać tej sytuacji. Nie mógł jej zawieść, musiał wymyślić jakieś rozwiązanie.

- Usiądźmy - powiedział i wyciągnął do niej rękę. Zewnętrzna strona dłoni była trochę zakrwawiona, ale miał nadzieję, że dziewczynka tego nie zauważy.

Podala mu rękę. Usiadł obok niej na kanapie i niepostrzeżenie odsunął z jej pola widzenia miskę pełną zmieszanej z krwią wódki.

- Nie wiem, kim byli ci mężczyźni - rzekł, patrząc jej prosto w oczy i modląc się, aby jej nie przestraszyć. - Rozpoznałaś któregoś z nich?

Przechyliła głowę na bok. Zastanawiała się, znał ten wyraz twarzy. Sam czasami przybierał bardzo podobny. Wreszcie potrząsnęła głową, widział jednak, że nie jest zupełnie pewna. Cóż, na razie musi mu to wystarczyć.

Może porwał ją nie jeden człowiek, ale dwóch... Może byli to właśnie ci dwaj, którzy wytoczyli się z lasu, udając pijanych, a potem usiłowali go zastrzelić... Może kiedy ją porwali, nosili maski... Znaczyłoby to, że nie zamierzali jej zabić. Jaki wobec tego mieli plan? Czy chcieli ją więzić i wykorzystywać, dopóki nie znudzi im się ta zabawa?

Serce waliło mu jak szalone. Czy byli gotowi go zabić, żeby znowu dostać ją w swoje łapy? Tylko że tym razem nie mieli masek... Więc co, ją także chcieli teraz zamordować?

Pierwszy strzał, który oddali, nie był chyba wymierzony w niego... Nie mógł się skupić. Później przemyśli to jeszcze raz, prześledzi wszystko sekunda po sekundzie. Dziwne... Co się właściwie działo? I jak go tu znaleźli, do diabła?

Okazał się prawdziwym głupcem. Powinien był zostawić jaw samochodzie, nie zabierać z sobą do sklepu w miasteczku. Trudno, zrobił to i teraz nie mógł już cofnąć czasu. Prawdopodobnie widzieli ich razem w Dillinger, może kiedy wchodzili do sklepu, może później, gdy ją niósł. Poczul, że aspiryna zaczyna wreszcie działać. Najwyższy czas.

W ostatniej fazie strzelaniny tamci starali się go zabić, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości...

Wziął ją za rękę.

- Będziemy teraz musieli bardzo uważać - powiedział spokojnie. - Zawsze trzymaj się blisko mnie, dobrze?

Zupełnie jakby miała zamiar oddalić się od niego choćby na centymetr...

Kiwnęła głową.

- Wyrzebiemy się z tego, skarbie. Obiecuję.

Znowu skinęła głową. Jej mała twarz była tak poważna, blada i napięta, że nagle zachciało mu się płakać.

## ***Rozdział 5***

Aspiryna nie bardzo mu pomogła, udo ani na chwilę nie przestało pulsować bólem. Nie mógł znaleźć wygodnej pozycji i nie mógł zasnąć. Czuł, że ma lekką gorączkę. Dochodziła druga w nocy. W końcu wstał, posłuchał spokojnego oddechu dziewczynki i doszedł do wniosku, że śpi głęboko. Nauczył się już rozpoznawać, kiedy zaczynają ją męczyć złe sny.

Na palcach przeszedł do kuchni i usiadł przy stole, manewrując latarką w taki sposób, aby cały krąg światła padał na jego nogę. Musiał zdjąć taśmę klejącą i gazę, żeby sprawdzić, czy nie wdała się infekcja. Jeżeli tak, powinien

natychmiast wsiąść do dżipa i jechać do szpitala. Oznaczało to konieczność bezpośredniego kontaktu z policją, ponieważ była to rana postrzałowa. Nie miał najmniejszych szans, aby tego uniknąć. Musiałby także oddać dziewczynkę w ręce władz i tym samym zrzec się wszelkiej możliwości dalszej opieki nad nią...

Ściągnął luźne spodnie od dresu, w które przebrał się po opatrzeniu rany, i spojrzął na spuchnięte udo. Było mocno ciepłe, ale to chyba całkowicie normalne. O mało nie zawył z bólu, odrywając taśmę klejącą i gazę, która, naturalnie, przykleiła się do rany, lecz pociągnął duży łyk wódki prosto z butelki, zacisnął zęby i jakoś wytrzymał. Ciało wokół rany było opuchnięte i gorące, ale nigdzie nie dostrzegł zaczerwienienia czy sączącej się ropy, dzięki Bogu. Jeszcze raz obficie polał ranę wódką, posykurując z bólu.

Nagle poczuł jej obecność, a zaraz potem dotyk małej dłoni na ramieniu. Miał nadzieję, że nie wygląda tak źle, jak się teraz czuje. Odwrócił się powoli.

- Cześć, skarbie - odezwał się. - Przepraszam, że cię obudziłem. Musiałem sprawdzić, co z nogą. Na szczęście nie jest źle. Trochę spuchła i jest mocno rozgrzana, ale to normalne w tych okolicznościach. Staram się być ostrożny, to wszystko. Teraz założę świeży opatrunek...

Wzięła w palce czysty tampon z gazy i cierpliwie czekała. Ramsey obiema dłońmi ściągnął brzegi rany i skinał głowę. Przyłożyła gazę, odwinęła kawałek taśmy, przycisnęła go do gazy i skóry po obu bokach, mocno naciągnęła i przytrzymała. Sam nie zrobiłby tego lepiej.

- Może zostaniesz lekarzem - powiedział, z trudem powstrzymując okrzyk bólu. Pot spływał mu po twarzy, która na pewno była równie szara jak jego koszulka. Odetchnął głęboko. - Dzięki, skarbie. Wszystko w porządku, naprawdę. Przykleję tylko więcej taśmy, żeby opatrunek nie spadł.

Cofnęła się o krok, lecz nadal trzymała rękę na jego ramieniu. Co jakiś czas poklepywała go delikatnie. Ramsey w pełni doceniał jej wysiłki. Kiedy skończył, ostrożnie podciągnął spodnie.

- Jutro wieczorem całe udo będę miał niebieskoczarne - rzekł. - Mam nadzieję, że do tego czasu opuchlizna trochę ustąpi. Zażyję jeszcze trzy aspiryny i gotowe. Chcesz wrócić do łóżka?

Potrząsnęła głową.

- Ja też nie. Poczytać ci książkę?

Nie. Kilka razy poruszyła wargami, otwierając je i zamykając.

- Opowiedzieć ci jakąś historię?

Tak, o to chodziło. Ku jego wielkiej radości wzięła go za rękę i zaprowadziła do dużego pokoju. Wyciągnął się na kanapie i przykrył kocem. Dziewczynka ułożyła się obok, na kocu, a wtedy Ramsey przykrył ich oboje jeszcze dwoma kocami i ciepłą narzutą. Rewolwer położył na podłodze, w zasięgu dłoni. Mała przytuliła policzek do jego szyi.

- Dawno, dawno temu żyła sobie mała księżniczka imieniem Sonia, która potrafiła puszczać latawce lepiej niż ktokolwiek inny w królestwie jej ojca. Pewnego razu tata Soni postanowił zorganizować zawody, chociaż wiedział, że i tak nikt nie wygra z jego córeczką. Sonia miała wyjątkowy latawiec, wiesz, taki ze smoczym ogonem, który wznosił się bardzo wysoko i wykonywał więcej figur niż niejedna łyżwiarka figurowa. Był tylko jeden zawodnik, którego pojawienie się odrobinę zaniepokoiło króla - księżę Luther z sąsiedniego królestwa. Luther był niezły, lecz król głęboko wierzył, że Sonia pokona tego chwalipiętę i zabijakę. Chcesz wiedzieć, co wydarzyło się podczas konkursu?

Pochrapywała cicho. Ramsey nachylił się i pocałował ją w czubek głowy. Uświadomił sobie, że opowiadając bajkę, zupełnie zapomniał o swoim cholernym udzie. Bajka nieszczególnie mu się udała, może dlatego, że był potwornie zmęczony. Dobrze, że mała zasnęła, bo na pewno wkrótce strasznie by ją znudził.

Przez cały dzień starał się oszczędzać nogę. Nie wychodził na zewnątrz. Siedział przy oknie i prawie bez przerwy obserwował łąkę i las. Nie działa się

nic, co mogłoby zwiastować kłopoty. Postanowił trochę odpocząć, odzyskać siły i dopiero wtedy podjąć decyzję, co dalej.

Dziewczynka była przestraszona. Widział to, lecz nic nie mógł poradzić. Opowiedział jej sześć historyjek, znacznie lepszych niż tamta niedokończona. Bohaterką wszystkich była księżniczka Sonia, która oczywiście pokonała paskudnego Luthera w czasie zawodów latawcowych. Potem uratowała jeszcze życie ojcu, ugotowała wspaniałą potrawę z grzybów i zrobiła wiele innych godnych pochwały rzeczy. Ramsey nie miał wprawdzie pomysłu na wątek następnej bajki, ale odkrył, że najlepiej wychodzi mu improwizacja.

Siedziała na podłodze obok jego krzesła, rysując coś ołówkiem. Było już popołudnie i cienie zaczęły się wydłużać. Ramsey zerknął na kartkę i zobaczył rysunek przedstawiający kobietę z kręconymi włosami, która trzymała latawiec, oraz małą dziewczynkę z jeszcze większym latawcem. Obie uśmiechały się szeroko.

Więc to matka nauczyła ją puszczać latawce... Rysunek był naprawdę wzruszający. Ramsey głośno wyraził uznanie. Może udałoby się namówić ją, żeby narysowała mężczyznę czy mężczyzn, którzy ją porwali... Może w ten sposób by się dowiedział, dokąd ją zabrali i co jej zrobili... Może i tak, ale nie chciał tego robić. Nie był psychiatrą, a poza tym bardzo się bał, czy takie zabiegi nie pogorszyłyby jej stanu.

- Czas na kolację. Jesteś głodna?

Z zapałem kiwnęła głową i szybko pozbierała z podłogi kartki papieru i trzy ołówki, które jej dał. Położyła je na stoliku do kawy, starannie wyrównując kartki. Ramsey zdał sobie sprawę, że on też to robi po skończonej pracy. Potem wyciągnęła do niego rękę.

Mocno chwycił małą dłoń i postarał się, aby uwierzyła, że bez jej pomocy nigdy nie podniósłby się z krzesła. Noga nadal potwornie bolała, ale to wcale go nie zaskoczyło. Rana była trochę mniej opuchnięta i ciepła, gorączka ustąpiła. Zajrzał pod opatrunek i zauważył zasinienie, którego się spodziewał. Poza tym



wszystko wydawało się w porządku, postanowił więc nie zdejmować opatrunku i zostawić ranę w spokoju, przynajmniej do następnego dnia.

Zapasy w spiżarni były mocno przetrzebione, a to oznaczało, że jutro lub pojutrze będzie musiał pojechać do Dillinger, kolejny raz narażając ją na niebezpieczeństwo. Mógł też wcześniej rano zapakować wszystkie rzeczy do dzipa i wynieść się stąd na dobre. Ktoś odkrył ich kryjówkę, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, i nawet jeżeli nic nie groziło im ze strony tamtych dwóch mężczyzn, to przecież ludzie, którzy ich wysłali, wiedzieli teraz, gdzie jest dziewczynka.

Szczerze mówiąc, powinien natychmiast pojechać do szeryfa. Rozumiał to, ale wiedział też, że nie zrobi tego, w każdym razie jeszcze nie teraz. Ile razy o tym myślał, w uszach brzmiało mu zawroźnienie, które wyrywało się z jej gardła. W obecności obcych mogłaby się załamać. Dręczyła go jeszcze jedna wątpliwość - jak zdobędzie się na odesłanie jej do domu ze świadomością, że w każdej chwili może zostać ponownie porwana.

Teraz, kiedy zagrożenie było tak oczywiste, powinni jak najszybciej opuścić dom na zboczu góry. Ramsey chciał zadzwonić do swego przyjaciela, Dillona Savicha z FBI, i poprosić go o radę. Naturalnie, Savich powie mu, aby skontaktował się bezpośrednio z FBI. Niewykluczone nawet, że wie o porwaniu dziewczynki. Od czasu porwania dziecka Lindberghów w latach trzydziestych i jego tragicznych konsekwencji tego typu przestępstwa stały się szczególną domeną FBI.

Ramsey zdawał sobie jednak sprawę, że do chwili nawiązania kontaktu z Savichem od niego zależy bezpieczeństwo dziewczynki, a to oznaczało, że musi ją mieć przy sobie. Jutro stąd wyjedziemy, pomyślał. Jutro z samego rana. W myśli szybko sporządził listę rzeczy, którymi powinien się zająć przed wyjazdem.

Otworzył puszkę zupy jarzynowej i spojrzał na małą. Starannie darła listki sałaty i wrzucała je do dużej miski. Na jej małej twarzy malowało się intensywne skupienie.

- Wolisz francuski sos do sałaty czy włoski?

Sięgnęła po butelkę francuskiego sosu.

- Dobry wybór. Kiedy byłem w twoim wieku, też wolałem francuski.

Na razie nie zamierzał mówić jej o wyjeździe. Postanowił, że zrobi to dopiero wtedy, gdy samochód będzie przygotowany do drogi i pozostanie mu już tylko pomóc jej zapiąć pasy na tylnym siedzeniu.

Przechyliła głowę na bok. Ramsey uświadomił sobie, że sam wykonuje identyczny ruch. Czyżby nauczyła się go od niego? Zaledwie w ciągu tygodnia? Pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Tak, tak, kiedyś byłem w twoim wieku, chociaż było to bardzo dawno temu. Nie żartuj sobie ze mnie tylko dlatego, że jestem już stary.

Rzuciła mu lekko kpiący uśmiech, tak naturalny, jak kopnięcie leżącej na ziemi piłki. Robiła wrażenie zwyczajnego, pogodnego dziecka. Usiedli przed kominkiem i z apetytem zjedli zupę oraz sałatę. Wieczór był zimny, zaraz po zachodzie słońca temperatura spadła prawie do zera. Gdzieś w lesie ponuro zawył kojot.

O świcie otworzył drzwi i starając się stapać jak najciszej, wyszedł na ganek, prosto w cichy, spokojny świat, gdzie jego oddech natychmiast uniósł się małym obłokiem w zimnym powietrzu. Musiał narąbać trochę drewna do kominka i kuchni. Stał nieruchomo, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu czegoś niepokojącego, ale łąka i las były takie jak zwykle. Położył rewolwer na ziemi, tuż obok swojej lewej stopy i znowu ogarnął teren czujnym spojrzeniem. Nic, zupełny spokój.

Udało mu się rozłupać kilka kawałków drewna, lecz musiał przelać, bo noga zaczęła go boleć ze zdwojoną siłą. Biorąc klucze do domu od swego przyjaciela, obiecał, że zostawi wszystko w takim stanie w jakim zastał, co

oznaczało, że powinien ułożyć stosik drewna koło kominka. Trudno, tyle musi wystarczyć. Klnąc pod nosem, dźwignął z ziemi drewno, wetknął rewolwer pod pachę i wrócił do domu.

Był szary świt, linia drzew zamazana we mgle i niewyraźna. Las trwał w kompletnym bezruchu, nawet wiewiórki jeszcze się nie obudziły. Ramsey stanął w progu chaty i zobaczył, że dziewczynka siada gwałtownie na pościeli, wyprostowana jak struna, jęcząc cicho. Jej twarz miała kolor popiołu.

Pospiesznie położył drewno i broń koło kominka i usiadł obok niej na kanapie. Powoli, świadomy, że nie może sobie pozwolić na żaden gwałtowny ruch, przytulił ją do siebie i pocałował w głowę.

- Wszystko w porządku, skarbie. Musiałem wyjść po drewno do kominka.  
- Nie chciał jeszcze mówić, że wyjeżdżają. - Poleż pod przykryciem, a w tym czasie ja rozpalę ogień, dobrze?

Ułożył ją wygodnie i sięgnął po koce, żeby przykryć ją aż po szyję.

- Nie dotykaj jej, ty zboczony skurwysynu! Odsuń się od niej!

Oboje, i Ramsey, i dziecko, zamarli w bezruchu, słysząc kobiecy głos. Ramsey pomyślał, że jest największym głupcem, jaki chodzi po świecie - zostawił drzwi domku otwarte. Kątem oka zerknął na karabinek Smith&Wesson, który poprzedniego wieczoru położył na stoliku obok kanapy.

Huknął strzał i karabinek spadł ze stołu, lądując na podłodze pod ścianą.

- Żadnych sztuczek, draniu, bo następną kulkę umieszczę w twojej głowie! Przysięgam, że to zrobię! Odsuń się od niej! Już!

Spełnił jej polecenie, wstał i odwrócił się. Ujrzał stojącą w progu kobietę w czarnej puchowej kurtce, czarnych dżinsach i butach, w czarnej dzierganej czapeczce na głowie. Jej twarz była bardzo blada, źrenice wielkie i czarne. W dłoni trzymała Detonics 45 ACP, świetny mały pistolet, lekki i bardzo celny, zwłaszcza w promieniu sześciu metrów. A jego dzieliła od niej znacznie mniejsza odległość.

W jej oczach dojrzał chęć mordy, lecz głos miał spokojny, cichy, pełen nienawiści.

- Ruszaj się, skurwysynu. Nie będę dwa razy powtarzać. Odsuń się od niej, jeszcze dalej! Jeżeli będę musiała, odstrzelę ci łeb, i zrobię to bez wahania. Dalej, do cholery!

- Zrobisz duży błąd, jeżeli mnie zabijesz. To nie ja ją porwałem, daję ci słowo honoru.

- Zamknij się, zboczeńcu. Widziałam, jak ją dotykałeś. Co byś jej zrobił, gdybym nie zjawiała się na czas? Ruszaj się!

Ramsey odsunął się o metr od kanapy. Kobieta mierzyła prosto w jego pierś. Na ułamek sekundy przeniosła wzrok na dziewczynkę.

- Nic ci nie jest, kochanie?

To była jej matka. Jakim cudem ich tu znalazła?

- Musisz mi uwierzyć - powiedział. - To nie ja ją porwałem.

- Morda w kubel! Wszystko w porządku, Em?

- Znalazłem ją tydzień temu w lesie, niedaleko stąd. Nie porwałem jej.

- Cicho! Co się dzieje, Em? Posłuchaj mnie, on już nie robi ci krzywdy. Trzymam go na muszce. Chodź tutaj, Em, chodź do mamy.

Dziewczynka jęczała cicho, przejmująco. Odrzuciła przykrycie i wodziła wzrokiem od Ramseya do matki.

- Odsuń się od niego, Em, i podejdź tu do mnie. Zamierzam go związać i zawieźć do biura szeryfa. Wtedy nie będziemy już musiały się go bać. Rozumiesz, co mówię, prawda? Chodź tutaj, Em...

Kobieta podniosła pistolet trochę wyżej.

- Jesteś wielki jak niedźwiedź - powiedziała raczej do siebie niż do Ramseya. - Nie mam najmniejszych szans zbliżyć się do ciebie, prawda? Jasne, że nie. Kiedy do ciebie podejdem, natychmiast się na mnie rzucisz: Więc muszę cię zabić. Nie mam wyboru, po prostu nie mam wyboru...

- Masz wybór. Dobrze się zastanów, zanim strzelisz. Nie porwałem jej. Uratowałem ją.

- Zamknij się wreszcie! Nie pozwolę, abyś do końca mojego życia czaił się gdzieś w mroku, w każdej chwili gotowy skrzywdzić moje dziecko. Wiem, że jestem w stanie to zrobić, i zrobię to. Jesteś zły do szpiku kości, jesteś potworem! O Boże, wykorzystałeś ją, tak? Modliłam się ze wszystkich sił, żeby to się nie stało, ale nadaremnie, widzę to. Nie zasługujesz na to, żeby żyć. Em, chodźże tutaj, co się z tobą dzieje? Teraz nic ci już nie grozi, mamusia jest przy tobie...

Mierzyła prosto w jego pierś. Położyła palec na spuście. Nagle dziewczynka rzuciła się do przodu, zasłaniając sobą Ramseya. Przypadła do jego kolan i objęła je mocno.

- Nie, mamó, nie! - krzyknęła przeraźliwie. - To jest Ramsey! On mnie uratował! Nie rób mu krzywdy!

Kobieta i Ramsey znieruchomieli. Spojrzeli sobie w oczy.

- Spokojnie, Em, ten człowiek zabrał cię ode mnie - powiedziała. - Wykorzystuje cię teraz, on...

- Nie. To nie ja ją porwałem, ile razy mam ci to powtarzać? Nie skrzywdziłem jej. I powiem ci coś - mała odezwała się teraz po raz pierwszy od chwili, kiedy tydzień temu znalazłem ją w lesie!

Powoli przykucnął, chociaż mięśnie rannego uda zawyły z bólu. Były sprawy ważniejsze niż jego chora noga.

- Masz na imię Em? To skrót od Emily?

- Nie, od Emmy - szepnęła dziewczynka. Miała na sobie jedną z jego szarych koszulek, tak spraną, że stała się bardziej miękka od najdelikatniejszej irchy. Odwróciła się twarzą do kobiety. - Mamó, Ramsey naprawdę mnie uratował. Naprawdę. - Oparła rękę na jego ramieniu. - Uratował mnie, mamó - powtórzyła cichym, bardzo zmęczonym głosem. - Nigdy w życiu nie

pozwoliłby nikomu mnie skrzywdzić. Dostaje białej gorączki, kiedy tylko o tym pomyśli.

Kobieta opuściła broń, lecz Ramsey widział, że zrobiła to bardzo niechętnie.

- Kim jesteś?

Podniósł Emmę i wstał, o mały włos nie tracąc równowagi.

- Przepraszam, ale muszę usiąść - powiedział. - Noga potwornie mnie boli.

Lufa Detonicsa natychmiast wróciła do poprzedniej pozycji.

- Ani kroku, do cholery! Postaw ją na ziemi!

## ***Rozdział 6***

Zignorował ją, pewny, że teraz do niego nie strzeli. Trzymał przecież na rękach jej córkę. Zaniósł Emmę na kanapę i usiadł. Dopiero wtedy podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w twarz.

- Mam ci dużo do powiedzenia - rzekł spokojnie. - Nazywam się Ramsey Hunt. Możesz mi zaufać.

- Oddaj mi moją córkę. Puść ją.

Postawił Emmę na podłodze i patrzył, jak biegnie do matki. Kobieta osunęła się na kolana i mocno przytuliła dziewczynkę. Po jej twarzy płynęły łzy. Całowała buzię Emmy, dotykała rąk i nóg, gładziła włosy i ścisnęła ją tak mocno, aż mała zaczęła pisać i wyzwoliła się z jej ramion. Położyła małą rękę na głowie matki i pieszczotliwie ją poklepała.

- Nic mi nie jest, mamo, naprawdę. Ramsey mnie uratował i zaopiekował się mną. Wyglądasz jak GI Joe. Masz świetne czarne rękawiczki...

Kobieta roześmiała się i ściągnęła rękawiczki.

- Teraz znowu jestem twoją mamą, nie jakimś komandosem.

Ramsey przyglądał się, jak Emma splata palce z palcami matki. Kobieta miała krótko obcięte paznokcie, niektóre połamane. Jej dłonie były zaczerwienione i spierzchnięte z zimna.

Ogarnęło go uczucie ogromnej, niewypowiedzianej ulgi i zmęczenia. Usiadł wygodnie, rozprostowując nogi. Nie spuszczał wzroku z matki i dziecka. Po paru chwilach kobieta usiadła obok niego, biorąc Emmę na kolana i mocno przytulając ją do piersi.

- Dziękuję - odezwała się. - Przepraszam, że chciałam cię zabić. Teraz wiem, że rzeczywiście popełniłabym błąd.

Nie robiła wrażenia, jakby było jej z tego powodu szczególnie przykro, ale nie miał jej tego za złe. Potrafił sobie wyobrazić, przez co przeszła i co myślała.

- Tak, to byłby błąd - przyznał. - Cieszę się, że Emma nie jest niema. Dobrze sobie razem radziliśmy. Emma świetnie rysuje.

- Dlaczego się nie odzywałaś, Em? Dziewczynka pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

- Próbowałam, ale nie mogłam wykrztusić ani słowa - szepnęła. - Dopiero wtedy, kiedy chciałaś zastrzelić Ramseya... Nie mogłam na to pozwolić. Nie wiedziałam, co robić, więc się odezwałam. Ramsey chciał, żebym napisała swoje imię, ale tego też nie potrafiłam... Myślał, że nie umiem pisać. Nie mogłam nic zrobić, mamó, po prostu nic, tylko rysowanie jakoś mi wychodziło...

- Dzielnie się spisałaś - rzekła matka i pocałowała ją, nie raz, ale kilka razy. - Och, Emmo, tak strasznie cię kocham...

- Cieszę się, że przyjechałaś, mamusiu. Myślałam, że cię już więcej nie zobaczę, odzyskałam trochę nadziei dopiero, kiedy Ramsey mnie znalazł. To było okropne, mamó. Tak bardzo się bałam...

Emma zarzuciła matce ręce na szyję i wybuchnęła płaczem. Jej głośny, głęboki szloch raz po raz rozrywał ciszę.

- Już dobrze, dziecinko, teraz jesteś już bezpieczna. Znowu jesteśmy razem. Nigdy więcej nie spuszczę cię z oczu, nawet na pół sekundy. Och, kochanie, moje najdroższe kochanie... Boże, prawie straciłam nadzieję, że cię odnajdę...

Ramsey odwrócił się, chcąc dać im chwilę względnej intymności. Obie płakały, Emma bardziej przejmująco niż matka. Poczekał, aż się uspokoją, wysłuchał ostatnich siąkań nosami i przyniósł im koc. Kobieta otuliła nim siebie i córeczkę.

- Emma ma na sobie męską koszulkę - powiedziała z niepewnym zdumieniem.

- Tak, bo zapomniałem kupić jej piżamę. Wybrałem najkrótszą ze swoich, żeby się w niej nie potykała. Zamknę drzwi, dobrze? Nie możemy ryzykować.

Kobieta milczała. Przypuszczał, że teraz, trzymając Emmę w objęciach, zupełnie się rozluźniła. Idąc w kierunku drzwi i zamykając je, czuł na plecach jej czujny, lecz spokojny wzrok. Kiedy się odwrócił, zdjęła z głowy czarną czapkę, spod której wyskoczyła burza rudych, kręconych włosów, z tyłu splecionych w warkocz. Okalały bardzo szczupłą, ładną twarz, blade policzki, które zarumieniły się lekko.

Wyraz napięcia i rozpaczony zniknął z niej powoli. Uśmiechnęła się, a jej oczy nagle wydały mu się jaśniejsze niż przed chwilą. Miał jej tyle do powiedzenia, chciał jej zadać tyle pytań...

- Napijesz się kawy? Minie parę minut, zanim się zaparzy. Nie ma tu ekspresu ani nic w tym rodzaju.

Skinęła głową.

- Bardzo chętnie. Jestem tak zmarznięta, że chyba nigdy nie zdołam się rozgrzać.

Poszedł do kuchni. Kiedy sięgnął po ronderek, poczuł dłoń Emmy na swoim kolanie. Przyszła tu za nim, w sięgającej kostek szarej koszulce i białych frotowych skarpetkach, które prawie spadały z chudych nóg. Stała przy



stole i wsypała miarkę mielonej kawy do garnuszka. Ramsey zalał kawę wodą i postawił ją na kuchni. Opracowali tę metodę cztery dni temu.

Zerknął na stojącą w progu kobietę, która przyglądała się im ze zdumieniem. Nie wiedział nawet, jak się nazywa, ale w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. Liczyło się tylko to, aby stworzyć normalną, zwyczajną atmosferę.

- Emma i ja tworzymy zgrany zespół - rzekł. - Najpierw opracowaliśmy tę technikę parzenia kawy i szczerze mówiąc, mieliśmy zamiar ją opatentować. Kto pierwszy zostałby wpisany do logo, Emmo?

- Nie wiem, co to znaczy.

- Czyje imię powinno zostać zapisane pierwsze w patencie naszego sposobu parzenia kawy, twoje czy moje?

- Ja jestem młodsza, więc chyba moje.

Roześmiał się i lekko potargał jej włosy. Spojrzał na matkę Emmy, która dalej stała w progu, z tym samym wyrazem twarzy. Widział, że próbuje zrozumieć istotę więzów, łączących córkę z tym obcym mężczyzną, ale w jej spojrzeniu malowało się coś więcej. Kobieta nadal nie mogła uwierzyć, że córka jest bezpieczna i że znajduje się tuż obok niej. Wyglądała na bardzo, bardzo zmęczoną.

- Na pewno myślisz sobie, że gotowana kawa skręci ci jelita w kłębek, i niewykluczone, że tak będzie, ale smakuje całkiem nieźle i szybko stawia człowieka na nogi. Mamy tu tylko małą lodówkę i światło, wszystko to na prąd z generatora za domem. Nawet wodę do mycia grzejemy na kuchni.

- Grzanki robimy w takim metalowym czymś z długą rączką - dodała Emma.

Kobieta potrząsnęła głową, nadal usiłując pojąć, co działo się z jej dzieckiem.

- W tej chwili wypiłabym wszystko, co chociaż z grubsza przypomina smakiem kawę. Przesiedziałam w zaroślach wiele godzin, czekając na świt.

Myślałam, że zaskoczę cię, kiedy wyjdiesz na dwór, ale miałeś przy sobie broń, a ja byłam zbyt daleko, żeby wiele zdziałać swoim Detonicsem.

- Nie powinienem był zostawiać otwartych drzwi, to było idiotyczne. Na szczęście zjawiłaś się ty, lecz równie dobrze mogli to wykorzystać oni...

- Na szczęście byłam to ja. Nie widziałam na zewnątrz nikogo innego. Co to za „oni”? O kim mówisz?

- Poczekajmy z tym jeszcze trochę - rzekł, wskazując głową Emmę.

Nalał wrzącej kawy do filiżanki i podał ją kobiecie.

- Usiądź i postaraj się to wypić. Powinnaś poczuć się znacznie lepiej i jakoś dotrwać do południa. Potem na pewno stracisz całą parę. Emmo, przygotuję ci miseczkę cheeriosów, dobrze? Z brzoskwinia czy z bananem?

- Z bananem. Nie bardzo lubię brzoskwinie.

- Więc dlaczego jadłaś je bez protestu?

- Nie chciałam ci zrobić przykrości - odparła, biorąc z jego rąk miseczkę.

- Po prostu wolę banany.

Pokroił banana w plasterki i wrzucił do miski, a ona wyjęła z małej lodówki mleko.

- Spójrz, mamó, nie ma tu nawet zamrażalnika - powiedziała. - Jemy wszystko świeże, jak w domu.

- Nigdy nie widziałam takiej lodówki. Bardzo ładna.

Nie miała pojęcia, jak to się dzieje, że z jej ust bez trudu wydobywają się takie zwyczajne, codzienne słowa. Trudno jej było w to wszystko uwierzyć. Spodziewała się, że będzie musiała walczyć z porywaczem i uspokajać rozhisteryzowane dziecko, a tymczasem spokojnie piła gotowaną kawę przy kuchennym stole, oglądała czyjaś lodówkę i słuchała, jak jej córeczka chrupie cheeriosy.

Obrzuciła uważnym spojrzeniem wysokiego mężczyznę, który najwyraźniej nie golił się od dwóch dni. Uratował jej dziecko? Narażał dla niego życie? Jak to możliwe? Dlaczego? Emma z apetytem wcinała chrupki z

bananem. Kobieta milczała, czekając, aż dziewczynka skończy jeść, a mężczyzna wypije drugą filiżankę kawy.

- Szukałam jej przez dwa tygodnie - odezwała się. - Kiedy pokazałam zdjęcie Emmy w Dillinger, po prostu nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Kilka osób powiedziało mi, że to dziewczynka Ramseya. Nie miałam pojęcia, co o tym myśleć. Wczoraj zaczęłam obserwować dom, ale bałam się wdrzeć do środka, żeby nie wyrządzić krzywdy Emmie. Przez cały dzień nie wychodziłam z domu, ona także nie...

- Jak się nazywasz?

- Molly Santera.

Emma przełknęła plasterek banana i podniosła wzrok.

- Mama mówi, że nasze nazwisko brzmi jak nazwa zespołu muzycznego, ale co z tego? Mój tata tak się nazywa, i już.

Molly uśmiechnęła się do córki i pogłaskała ją po głowie.

- To prawda. Ale założę się, że w książce telefonicznej Nowego Jorku aż roi się od Santerów.

- Nigdy nie byłam w Nowym Jorku - oświadczyła Emma.

- Wybierzemy się tam, kiedy będziesz troszkę starsza, Em. I będziemy się świetnie bawić. Zatrzymamy się w hotelu Plaza i wypuścimy się na wielkie zakupy.

Santera... Nazwisko wydawało mu się dziwnie znajome. Przypomniał sobie rysunek Emmy, przedstawiający mężczyznę z gitarą i nagle wszystko już wiedział. Szczerze mówiąc, szczeka mu trochę opadła.

- Santera... - powtórzył powoli. - Louey Santera? Gwiazdor rocka?

- Ten sam - potwierdziła krótko Molly, głosem zimniejszym niż górski wiatr.

Ramsey chciał dowiedzieć się czegoś więcej o ojcu Emmy, na przykład, dlaczego, do diabła, nie ma go tutaj, lecz natychmiast się zorientował, że Molly wolałaby o tym nie rozmawiać. Będzie miał jeszcze dość czasu, aby zadać jej

wszystkie dręczące go pytania i odpowiedzieć na te, jakie jej przyjdą do głowy. Emma jadła cheepsy, uśmiechając się do matki i do niego, jak zwyczajne, pogodne kiecko.

- Wiem już, kim jesteś - rzuciła nagle Molly.

Przechylił głowę na bok.

- Ja? Jak to?

- Twoje nazwisko. Wreszcie to do mnie dotarło. Sławny Ramsey Hunt, tak?

Ze względu na obecność Emmy wołał zbyć ją żartem.

- Raczej niesławny Ramsey Hunt.

- Akurat!

Zakrztusił się kawą. Kiedy przestał kasłać, podniósł wzrok.

- Mężczyźni! - mruknęła, grzejąc ręce o filiżankę. - Jeżeli tylko da się im szansę, wolą, żeby świat widział w nich raczej niesławnych brutali czy niegrzecznych chłopców niż bohaterów. Nie chcą, by o nich myśleć, że próbowali zrobić albo zrobili coś naprawdę ważnego i dobrego.

- Nie jestem taki - zaprotestował.

Westchnęła i wzruszyła ramionami, odwracając od niego oczy.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedziała. - Jesteś tym sędzią z San Francisco, prawda? Ale jesteś tutaj i uratowałeś Emmę...

- Tak.

- Biorąc pod uwagę twoje wyczyny na sali sądowej, muszę przyznać, że nikt inny nie mógłby jej zagwarantować większego bezpieczeństwa.

W milczeniu pociągnął następny łyk bardzo mocnej, trochę przypalonej kawy. Sławny sędzia federalny, bohater... Nie chciał o tym mówić i Molly go rozumiała. Nie pojmowała tylko, jak to się stało, że ona i Emma siedzą obok niego w kuchni. Ale cóż, w ciągu ostatnich dwóch tygodni życie dało jej taką szkołę, że nie powinna się już niczemu dziwić.

- Em, ślicznie wyglądasz, kochanie - powiedziała do dziecka. - Jak się czujesz, skarbie?

Emma siedziała ze spuszczoną głową. Rzeczywistość spadła na nią zbyt nagle i jeszcze nie zdążyła się przyzwyczaić do kolejnej zmiany. Molly poczuła, że nie jest już w stanie walczyć z obezwładniającym zmęczeniem. Wiedziała, że powiedziała coś głupiego, wręcz niedorzecznego, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Kiedy Ramsey odezwał się lekkim, nieco rozbawionym tonem, miała ochotę uściskać go z wdzięczności.

- Musieliśmy zdobyć jakieś ubranie dla Emmy, nie mogła przecież ciągle chodzić w moich koszulkach i skarpetkach. Odkładaliśmy to, jak długo się dało, ale w końcu wyruszyliśmy do sklepu w Dillinger. Dzięki temu wpadłaś na nasz trop.

- Mówiłam ci już, że pokazałam jej zdjęcie kilku osobom i wszyscy zidentyfikowali ją jako twoją córeczkę. Może trzeba było pójść na policję i pozwolić, aby oni i FBI zajęli się wszystkim, ale... Oczywiście, policja i FBI prowadzą śledztwo w sprawie porwania Emmy, ale jak na razie bez rezultatów, nic, zero. Dałam im dwa dni, a potem ruszyłam w drogę. Słyszałam, że już po czterech dniach odwołali grupy poszukiwawcze.

- Gdzie mieszkacie?

- W Denver. - Molly wzięła łyżeczkę i zaczęła się nią bawić, uważnie wpatrując się w czerwono-białą kratę na obrusie.

- Ojciec Emmy jest teraz w Europie, na tournée. Nie mógł go przerwać z dnia na dzień, ale niedługo wróci. - Odwróciła się do córeczki i pogłaskała ją po rękę. - Rozmawiam z nim prawie codziennie, Em. Bardzo się o ciebie martwi, naprawdę.

Emma nie odrywała wzroku od cienkiego krążka banana, pływającego w resztkę mleka.

- Nie wiem, dlaczego miałby przyjeżdżać - odezwała się. - Nie widziałam go od dwóch lat.

Ramsey spostrzegł, że te słowa zupełnie zbiły Molly z tropu.

- Rozumiem, że jesteście rozwiedzeni - powiedział szybko.

- Tak. - Molly zdołała wziąć się w garść. - Emmo, stosunek taty do ciebie nie ma nic wspólnego z naszym rozwodem. Tata bardzo cię kocha, tylko jest zawsze zajęty i...

- Tak, mamusiu.

Czas to przerwać, pomyślał Ramsey.

- Więc poczekałaś dwa dni i kiedy policja nic nie zrobiła, wzięłaś sprawy we własne ręce? - zapytał.

- Tak. Nie chciałam siedzieć beczynn timer domu, bo wcześniej czy później bym oszalała.

Zamierzał powiedzieć jej, że może porywacze zechcieliby się z nią skontaktować, ale zaraz pomyślał, że policyjni detektywi na pewno ją o tym poinformowali. Emma słuchała opowieści matki z zapartym tchem.

- Jechałam przez Aspen i Vail do Keystone, zaglądając do wszystkich dziur po drodze. Dillinger było moją ostatnią nadzieją.

- Miałaś szczęście. Gdyby nie to, że Emma potrzebowała ubrań, nie zabrałbym jej do sklepu. Zanim ją znalazłem, mieszkałem tu już mniej więcej od dwóch tygodni.

- Dlaczego tu przyjechałeś?

Wzruszył ramionami, wpatrując się w fusy po kawie.

- Miałem wszystkiego dosyć. Po prostu dosyć. Dziennikarze brukowców nie dawali mi chwili spokoju, paparazzi czaili się za krzakami na podjeździe przed moim domem, żeby znieczeka zrobić mi zdjęcie...

- Mówią o tobie „sędzia Dredd”.

- To idiotyczne. - Miał ochotę zakląć, ale w porę się zorientował, że Emma słucha go z napięciem. - Wziąłem trzymiesięczny urlop od całego życia -

od ludzi, telefonów, telewizji, prasy. I wtedy znalazłem Emmę. - Nachylił się i delikatnie objął dłonią podbródek dziewczynki. Na policzkach miała śliczne rumieńce, wyglądała na zdrowe, zadowolone z życia dziecko. - Może poszłabyś się teraz umyć? - zaproponował. - I koniecznie włoż nowe dżinsy i jakąś bardzo kolorową koszulkę. Mama i ja jeszcze chwilę porozmawiamy i postanowimy, co robić dalej.

Emma rzuciła matce zaniepokojone spojrzenie.

- Ale nie będziesz próbowała zastrzelić Ramseya, co, mamó?

- Nigdy nie piję kawy z człowiekiem, którego później próbuję zastrzelić, kochanie. Tak się nie robi.

- To był dowcip, prawda? - Emma uśmiechnęła się promiennie.

- Tak, i to dobry dowcip - powiedział Ramsey. - Idź się umyć, Emmo.

Kiedy dziewczynka wyszła, z uwagą przyjrzał się jej matce.

- Emma narysowała kilka twoich portretów. Na wszystkich jesteś szeroko uśmiechnięta...

Teraz na twarzy Molly nie można było doszukać się choćby cienia uśmiechu. Błada, mizerna, o najbardziej rudych włosach, jakie kiedykolwiek widział. Rzeczywiście całe w lokach, jak na rysunkach Emmy. Jej oczy były zielonoszare, odrobinę skośne, egzotyczne. Nie miała piegów i w ogóle nie wyglądała na matkę Emmy.

- Mówiłem do niej „skarbie”. Emma to ładne imię. Pasuje do niej.

- Tak miała na imię moja babka.

Zerwała się na nogi i zaczęła przemierzać małą kuchnię dużymi krokami, podekscytowana po mocnej kawie i żadna odpowiedzi na swoje pytania.

- Jak znalazłeś Emmę?

- To było osiem dni temu. Rąbałem drewno na opał, kiedy nagle usłyszałem dziwny dźwięk, inny od wszystkich, jakie wcześniej tu słyszałem. Zacząłem szukać jego źródła i znalazłem ją nieprzytomną w lesie. Zauważyłem ją wyłącznie dlatego, że miała na sobie jaskrawożółtą koszulkę. Przyniosłem ją

tutaj i zająłem sienią. Do dzisiaj nie powiedziała ani słowa... - Zrozumiał pytanie w jej oczach i powoli pokiwał głową. - Tak, była bita i została zgwałcona. O ile mogłem stwierdzić, nie doszło do aktu sodomii, ale przecież nie jestem lekarzem. Czuje się już znacznie lepiej, chociaż w nocy znowu miała koszmarne sen. Minęły cztery dni, zanim zdecydowała się mi zaufać. To wspaniałe dziecko, Molly.

Łzy płynęły jej po policzkach, ściekały na wargi. Pociągnęła nosem. Podał jej chusteczkę. Energicznie wydmuchała nos i otarła oczy.

- Ona ma zaledwie sześć lat... Porwał ją zboczeniec i to wszystko moja wina... Gdybym tylko...

- Przestań, przestań. Znam cię dopiero od godziny, ale zdążyłem już zrozumieć, że nigdy nie zostawiłabyś jej bez opieki i nie naraziłabyś jej na żadne niebezpieczeństwo. Nie chcę więcej słuchać tych bzdur. - Westchnął ciężko, doskonale wiedząc, że Molly do końca życia będzie się obwiniać za to, co się stało. - Wierz mi, jeszcze nigdy nie czułem się tak przerażająco bezradny. Emma jest słodkim, dobrym stworzeniem... Bała się mnie, bo jestem mężczyzną. Nie mówiła tak długo, że uwierzyłem, iż jest niema.

Mówił dużo i szybko, aby zdołała się opanować. W końcu wyprostowała ramiona, podniosła głowę.

- Powodem jej milczenia musiał być szok - ciągnął. - Może czuła się bezpieczniejsza, nie mówiąc i nie pozwalając mi poznać swego imienia. A może naprawdę nie mogła się odezwać do chwili, kiedy okazało się, że jest to sprawa życia i śmierci. Strzeliłabyś do mnie?

- Bez chwili wahania. Wystarczyłoby, żebyś się poruszył.

- W takim razie miałem szczęście, że Emma odzyskała głos. Ale nie dziwię ci się. Wyobrażam sobie, co przeżyłaś, jeżdżąc od miasta do miasta i pokazując jej zdjęcie...

- Wszyscy byli dla mnie bardzo mili, to znaczy wszyscy z wyjątkiem lokalnej policji. Ci wszędzie traktowali mnie jak rozhisteryzowaną babę,



poklepywali mnie po ramieniu i zachęcali, abym zostawiła im tę sprawę. Wielcy faceci, cholerni spece... Jednego takiego, w Rutland, o mało nie pobiłam. Kiedy w końcu znalazłam tę chatę, zaczęłam zastanawiać się, jak to rozegrać. Znam system prawny wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nawet jeśli dostarczyłabym policji porywacza, sąd mógłby wypuścić go za kaucją. I co wtedy? Czy ponownie próbowalby porwać Emmę? Załóżmy zresztą, że sędzia odmawia zwolnienia za kaucją, zatrzymuje go w areszcie, facet zostaje skazany na więzienie. Wszystko pięknie, ale co z tego? Wcześniej czy później wyjdzie warunkowo i będzie prześladował inne dzieci, a może znowu Emmę. Ta świadomość wisiałaby nade mną do końca życia, lecz, co jeszcze gorsze, Emma także żyłaby w jej cieniu. Zboczeniec, porywacz... Taki potwór nie zasługuje na to, aby żyć. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Gdybyś to ty nim był, postarałabym się przynajmniej poważnie cię postrzelić. Wtedy nie wyszedłbyś za kaucją. Zamknęliby cię w szpitalu. Może ktoś dosypałby ci czegoś do lekarstwa i kopnąłbyś w kalendarz...

Ramsey dopił kawę i lekko uniósł brwi.

- Nie pokładasz zbyt wielkiej wiary w naszym systemie sprawiedliwości.

- Ani grama wiary. Ten system jest taki popieprzony, że nie sposób mu ufać. Zresztą, komu ja to mówię? Tobie, sędziemu federalnemu, który żyje z tym na co dzień? Porywacz Emmy, nawet gdyby go schwytano, dostałby wyrok, wkrótce zmniejszony o siedem lat w wyniku niezliczonych apelacji obrońcy, i wreszcie zrobiłoby się z tego trzy lata. Po trzech latach odsiadki wyszedłby na wolność. To nie jest dobre ani sprawiedliwe, ale adwokaci nie bardzo liczą się ze sprawiedliwością. Najczęściej chodzi im tylko o pieniądze. Dlatego skupiają całą uwagę opinii publicznej na biednym przestępcy i jego nieszczęśliwym dzieciństwie, zupełnie jakby to usprawiedliwiało brutalność i przemoc. To jest z gruntu złe, Ramsey! Wiesz, że mam rację!

- Tak, to jest złe - rzekł spokojnie. - Musisz jednak uwierzyć, że nikt nie chce, aby przestępcy chodzili wolno po ulicach. Większość nas naprawdę ciężko

pracuje nad tym, aby siedzieli w więzieniach. - Lekko wzruszył ramionami. - Czasami zdarza się jednak coś naprawdę złego...

- I kto to mówi?

- Chyba nikt z nas nie jest w stanie uciec przed samym sobą.

- Ale ty powiedziałeś, że przyjechałeś tu właśnie po to!

Z zażenowaniem podrapał się po brodzie.

- Sprawy w moim życiu zawodowym wymknęły się spod kontroli. Przyjechałem tu, żeby się trochę pozbierać. Chciałem też, by inni o mnie zapomnieli, co wkrótce się stanie.

- Jesteś sędzią i na pewno znasz mnóstwo osób ze swojego środowiska. Musisz wierzyć w system, który reprezentujesz, prawda? Więc dlaczego od razu nie zawiozłeś Emmy na policję? Albo do szpitala?

- Nie mogłem tego zrobić - odparł po prostu. - Najzwyczajniej w świecie nie mogłem. Nie byłem w stanie znieść myśli, że znajdzie się wśród zupełnie obcych ludzi, przerażona i samotna. - Spuścił wzrok. - No i martwiłem się, że jeśli wróci do domu, ten facet może znowu ją porwać.

Długą chwilę obserwowała go bez słowa. Wreszcie skinęła głową.

- Na twoim miejscu także nie oddałabym jej obcym - powiedziała. - I nie odesłałabym jej do domu, chyba że byłabym całkowicie pewna, iż rodzice zapewnią jej bezpieczeństwo. Emma jest dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby zginęła.

Myślał, że Molly się rozpłacze, ale szybko otrząsnęła się i wstała.

- I dlatego nie chcę wracać do Denver.

## ***Rozdział 7***

- Na twoim miejscu czułbym to samo. - Ramsey oparł łokcie na podrapanym blacie. - Dręczyło mnie, że tak długo zwlekam z powiadomieniem policji, że nie zawiozłem jej do szpitala, lecz koniec końców nie zdołałem

zmusić się do tego, aby oddać ją w ręce obcych. Rozmawiałaś z szeryfem w Dillinger?

- Nie, sześć miasteczek wcześniej dałam sobie spokój z miejscowymi glinami. Wyjmowałam tylko zdjęcie Emmy i pytałam napotkanych ludzi, czyjej nie widzieli. Pytałam i pytałam bez końca. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Miałam takie dziwne wrażenie, że porywacz zabrał ją na zachód, nie na północ, w kierunku Fort Collins i Cheyenne. Chociaż nie, to nie było tylko wrażenie. Byłam pewna, że ona jest gdzieś tutaj, w Górach Skalistych.

- Dlaczego?

- Policja z Denver uruchomiła gorącą linię dla tych, którzy zauważyli coś podejrzanego. Odebrali mnóstwo telefonów, prawie wszystkie bez znaczenia, ale jeden wydał mi się istotny. Jakaś starsza pani poinformowała, że widziała biały van, jadący na zachód. Gliniarze uznali, że ma sklerozę i zlekceważyli jej telefon, lecz ja poszłam się z nią zobaczyć. Mieszka bardzo niedaleko mnie, przy tej samej ulicy. Ma zaawansowany artretyzm i większość czasu spędza w fotelu przy oknie. Powiedziałam o tym policjantom, ale oni pokiwali tylko głowami i obiecali, że sprawdzą tę informację.

- Skąd wiedziała, że samochód jedzie na zachód?

- Mieszkamy na wzgórzu, którego zbocze schodzi w kierunku zachodnim, ku drodze numer 70. Z okna zobaczyła, jak van skręca na tę odnogę autostrady, która prowadzi na zachód. Przysięgała, że z tyłu wozu siedziała mała dziewczynka.

- Porywacz nie zażądał okupu?

Molly potrząsnęła głową.

- Nie, w każdym razie do wczoraj, bo wtedy sprawdzałam ostatni raz. Agenci FBI bardzo na to liczyli. Ciągłe mi powtarzali, że muszę zachować cierpliwość, siedzieć przy telefonie i czekać. I pozwolić im, żeby mówili mi, co mam robić, bo oczywiście oni wiedzą wszystko o takich sprawach, a ja jestem laik. Jednego z nich miałam ochotę zdzielić czymś twardym. Czekałam dwa dni

i nic. Kazali mi czekać dalej. Czekać, czekać, nie tylko czekać. Myślałam, że oszaleję. Trzeciego dnia wstałam o świcie i ruszyłam w drogę. Dzwonię do nich codziennie i pozwalam im na siebie wrzeszczeć. Nawet już nie pamiętam, w ilu miastach i miasteczkach pytałam o Emmę. Kiedy zatrzymałam się w Dillinger, po prostu nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Wszyscy zgodnie twierdzili, że to dziewczynka Ramseya. Gdybym wtedy zobaczyła cię bez Emmy, najprawdopodobniej wpakowałabym w ciebie cały magazynek.

- I poszłabyś do więzienia.

- No, właśnie, tak wygląda sprawiedliwość.

- Gdybyś mnie zastrzeliła, to wsadzenie cię do więzienia byłoby sprawiedliwe, Molly. Mam nadzieję, że nie wypuściliby cię w wyniku apelacji.

Chyba nie powinien był tego powiedzieć. Molly nie zareagowała, ale czuł, że jest bardzo niezadowolona. Chciał się jeszcze dowiedzieć, w jaki sposób Emma została uprowadzona, dlaczego jej ojciec zwlekał z powrotem z Europy i kilku innych rzeczy, ale mała stała już w progu, umyta i uśmiechnięta, ze szczotką do włosów w ręku. Podeszła do Ramseya i wręczyła mu szczotkę. Usłyszał, jak z piersi Molly wyrywa się ciche westchnienie. Uśmiechnął się, wziął szczotkę i ustawił Emmę między swoimi kolanami. Starannie rozczesał włosy i zaczął splatać warkocz.

- Mamo, mogłabyś pokazać Ramseyowi, jak robisz francuski warkocz? - odezwała się Emma.

- Oczywiście. Widzę, że dobrze sobie radzi.

- Szkoda, że nie widziałaś, jak poszło mu za pierwszym razem!

Warkocz był całkiem krzywy i włosy sterczały z niego na wszystkie strony. Kiedy skończył, Emma podała mu gumkę.

- Gotowe! - Odwrócił ją twarzą do siebie i położył ręce na jej ramionach. - Bardzo ładnie wyglądasz. Wszyscy będą cię pytać gdzie chodzisz do fryzjera. Jestem najlepszy.

- Naprawdę niezły warkocz - zauważyła Molly. Mówiła spokojnie, lecz Ramsey i Emma zrozumieli, że niełatwo jest jej zaakceptować ufność i serdeczność, jakie jej córka okazuje człowiekowi, którego przed tygodniem w ogóle jeszcze nie znała. - Czy mogę pokazać Ramseyowi, jak zaplata się francuski warkocz jutro, Em?

- Jasne, mamo.

Ramsey pochylił się ku dziewczynce i ujął obie jej dłonie.

- Zbierz wszystkie swoje rzeczy do powłoczki na poduszkę, dobrze, Emmo? Nie zapomnij o niczym, to bardzo ważne. Jeżeli ci ludzie tu wrócą, nie chcę, żeby znaleźli coś, co należało do kogoś z nas, rozumiesz? Za piętnaście minut wyjeżdżamy. W porządku?

Długą chwilę wpatrywała się w niego uważnie. Potem kiwnęła głową. Zaczekał, aż Emma przejdzie do dużego pokoju i odwrócił się do Molly.

- Mówiłem ci, że mieliśmy tu nieproszonych gości. Dwóch facetów, z bronią.

Emma zajrzała do kuchni, trzymając w ręku wypełnioną do połowy powłoczkę.

- Obejrzyj swoją nogę, Ramsey?

Zupełnie zapomniał. Powinien to zrobić, sprawdzić, czy nie wdała się infekcja. Przytaknął.

- Przyniosę taśmę! - zawołała.

- Jak to było? - zapytała Molly.

- Dwóch facetów wyszło wczoraj z lasu na łąkę. Strzelali i udawali pijanych. Wniosłem Emmę do domu i wyszedłem do nich z karabinkiem i rewolwerem. Trafili mnie w nogę, ale udało mi się postrzelić obu, jednego dwukrotnie. Uciekli. Mam ich strzelbę, więc może policja na podstawie wydanej licencji mogłaby dojść, do kogo należy. Nie mam pojęcia, kim byli i dlaczego tu przyszli. Mam wrażenie, że chodziło im o Emmę... - Dziewczynka już stała

obok niego. - Podaj mi gazę, Emmo - poprosił spokojnie. Podniósł się niezgrabnie i zdjął spodnie.

Molly spojrzała na przesłoniętą opatrunkiem ranę i ostro wciągnęła powietrze.

- Spróbujmy teraz zerwać taśmę i gazę... No, udało się. Nie wygląda to bardzo źle. Skóra dookoła jest sina, ale to żadna niespodzianka. Dobrze, Emmo, daj mi gazę. Wiesz, wydaje mi się, że opuchlizna już zeszła.

- Mam nadzieję - powiedziała Emma, nachylając się nad jego nogą. - Nie śmierdzi, więc chyba wszystko w porządku.

Molly z dziwnym wyrazem twarzy obserwowała, jak oboje sprawnie nakładają świeży opatrunek. Emma podała Ramseyowi kilka pasków taśmy klejącej i pomogła mocno je naciągnąć, aby brzegi rany się nie rozstały.

- Skąd wiesz, że jeśli rana nie cuchnie, to znaczy, że się goi, Em? - zapytała.

- Och, wiem sporo takich rzeczy, mam. Oglądałam program o historii starożytnej, ten z panem Spockiem, i tam mówił o takim fara... fara...

- Faraonie?

- Właśnie. No, więc ktoś zranił go oszczepem i potem ta rana zaczęła ropieć, i cała noga mu zgniła, i w końcu umarł.

- To była gangrena, tak?

- Tak, gangrena. Nie widzę żadnego zaczerwienienia, Ramsey.

- Ja też nie, Emmo.

- Jest jeszcze ciepła? - Nie czekając na jego odpowiedź, leciutko przytknęła małą dłoń do opatrunku. - Troszeczkę. Kiedy zrobi się chłodniejsza?

- Nie wiem, kochanie. Chyba niedługo, bo zwykle wszystkie rany goją się na mnie bardzo szybko.

- Ale jest lepiej, prawda?

Usłyszał lęk w jej głosie, więc natychmiast uśmiechnął się szeroko i pogłaskał ją po policzku.

- Jeszcze parę dni i wybiorę się na narty, skarbie. Chciałabyś pojechać do Vail?

- Mama lubi jeździć na nartach w Vail. Ja dopiero się uczę.

- Mogłabyś być moją maskotką. Woziłbym cię na barana, a jeśli bym upadł, poleciałabyś prosto w zaspę i wyglądałabyś jak śniegowy bałwanek...

Mimo jego słów nadal wyglądała na zaniepokojoną i zmartwioną. Położyła dłonie po obu stronach bandaża.

- Wszystko w porządku, Em, daję ci uroczyste słowo bonom. Gdybym nie był tego pewien, już pędziłbym do szpitala, szybciej niż samochód.

- On powiedział, że w pobliżu nie ma szpitala, ale jest duży, ładny kościół. - Głos Emmy był cichy i spokojny.

Molly i Ramsey wpatrywali się w nią, wstrzymując oddech. Wydawało im się, że powietrze w kuchni nagle wyschło. Ramsey pochylił się do przodu. Nigdy nie zadał Emmie ani jednego pytania na temat człowieka, który ją więził i maltretował, chociaż od początku bardzo chciał to zrobić. Nie miał jednak żadnego doświadczenia w tego rodzaju sytuacjach i bardzo bał się ją przestraszyć.

- Kto to powiedział, Emmo? - zapytał teraz, starając się, aby jego głos brzmiał jak najbardziej naturalnie. - Co za „on”?

Zaczęła tak gwałtownie kręcić głową, że warkocz uderzał raz w jeden jej policzek, raz w drugi.

- Nikt, nikt, nikt...

- W porządku, Em, nic się nie stało. - Molly uklękła i przytuliła córkę. Emma całym ciężarem opierała się o nogę Ramseya, pociągając matkę za sobą, lecz nie czuła żadnego bólu. - Wszystko w porządku. Kocham cię, moje maleństwo.

Ramsey spojrzał Molly w oczy ponad głową Emmy i wyczytał w nich zimną wściekłość. Miał nadzieję, że jeśli kiedykolwiek złapią tego faceta, zdążą wyciągnąć z niego jakieś informacje, zanim Molly dopadnie go w jakiś sobie

tylko wiadomy sposób i zabije. Chociaż z drugiej strony, może to on, Ramsey, uprzedzi Molly...

- Spakowałaś wszystkie rzeczy, Em?

Uwolniła się z objęć matki i spojrzała na niego. Jej buzia była blada i tak napięta, że kości policzkowe sterczały ostro, jakby lada chwila miały przebić cienką skórę.

- Tak, jestem prawie gotowa. Nie mogę tylko znaleźć jednej czerwonej skarpetki.

- Wyjeżdżamy za pięć minut, z czerwoną skarpetką czy bez niej. I weź taśmę klejącą, dobrze? Dziś zostawimy nogę w spokoju, ale jutro zmienimy opatrunek, więc może nam się przydać. No, chodźcie. Ruszamy w drogę.

Nikt ich nie zaskoczył. Oczywiście ktoś mógł obserwować ich z lasu, ale nie zauważyli niczego podejrzanego. Ramsey szybko przeprowadził Molly i Emmę do dżipa.

- Gdzie jest twój samochód? - zapytał, siadając za kierownicą.

Jednym płynnym ruchem włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go. Silnik zamruczał głośno w porannej ciszy.

- Jakiś kilometr niżej, przy drodze. To wynajęty wóz, chevrolet. - Przerwała na chwilę. - Słuchaj, Ramsey, jesteś sędzią - zaczęła spokojnie, nie patrząc na niego. - Stanowisz część tego systemu, w który ja zupełnie nie wierzę. Nie zamierzam oddawać się pod opiekę glin i wracać do Denver, więc może po prostu podwiesz nas do mojego samochodu i zajmiesz się własnym życiem, co?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Zaskoczony i wściekły, wykonał zbyt gwałtowny ruch kierownicą i dżip o mało nie zjechał z wyboistej, wąskiej drogi.

- To, że nas nie znasz. Ani na moment nie odrywała wzroku od przedniej szyby. - Znalazłam Emmę, jestem przy niej i odpowiadam za nią. Nie musisz się w to mieszać.

- Nie ma mowy.



- Nie zamierzam zgłaszać się na policję.

- W porządku, niech tak będzie, przynajmniej na razie. Ale nie zgadzam się z tobą.

Czuł, że przed oddaniem sprawy w ręce policji powstrzymuje ją coś jeszcze, coś, o czym mu nie powiedziała. Zresztą, bardzo niewiele się od niej dowiedział.

- Nie obchodzi mnie, czy się ze mną zgadzasz, czy nie. Ja podejmuję decyzje w tej sprawie, a jeśli ci się to nie podoba, możesz nas zostawić.

- Mamo, nie chcesz, żeby Ramsey z nami został?

Molly musnęła wargami zaróżowione ucho córki.

- Ramsey został przypadkowo wmieszany w nasze kłopoty, Em. To nie jego problem.

- W jaki sposób doszłaś do tego błyskotliwego wniosku? - parsknął. Dżip podskoczył na wystających kamieniach i zjechał trochę na bok. - Wczoraj jacyś faceci próbowali mnie zabić, a ty mi mówisz, że to nie mój problem! Co za inteligencja i wyczucie!

- Nie przyszło ci do głowy, że mogło im chodzić wyłącznie o ciebie, nie o Emmę?

Ramsey miał ochotę złamać kierownicę.

- Nie słuchaj tego, co teraz mówimy, Emmo - odezwał się. - Zasłoń uszy rękami i nie słuchaj. Tak, właśnie o to mi chodziło. Muszę szczerze porozmawiać z twoją mamą.

- Wcale nie musisz, wszystko rozumiem, zresztą to i tak nie ma znaczenia. Spełniłeś dobry uczynek, jasne! Zostałeś nawet ranny w obronie Emmy. Chciałam tylko powiedzieć, że to wystarczy. Nie musisz angażować się w nasze życie! Kiedy przesiądziemy się do mojego samochodu, będę bardzo uważała, a jestem w tym naprawdę dobra. Jeśli ktoś by nas śledził, natychmiast to zauważę i zgubię go. Nie wrócę do Denver, więc nie musisz się martwić, że Emma znowu znajdzie się w niebezpieczeństwie. Zadzwoń na policję i do FBI, i

powiem im, że Emma jest cała i zdrowa. Powiem im też, gdzie ją znalazłeś, może zdołają odnaleźć miejsce, gdzie przetrzymywał ją porywacz. No i oczywiście nie omieszkam ich poinformować, że znakomicie się spisali, po prostu wspaniale, jak zwykle...

Emma siedziała nieruchomo na kolanach matki, zasłaniając uszy dłońmi. Z jej gardła zaczęło się nagle wydobywać przerażające zawodzenie. Molly zbladła, jakby dostała cios w brzuch. Przytuliła Emmę, otoczyła ją ramionami.

- Nic się nie stało, kochanie, wszystko w porządku. Przepraszam cię, Em, przepraszam, skarbie. Proszę, zaufaj mi. Obiecuję, że będę się tobą lepiej opiekować, że będę nad tobą czuwać. To moja wina, że cię wtedy złapał, ale nigdy więcej na to nie pozwolę, nigdy! Jesteś bezpieczna, kochanie, uwierz mi! I nie będę już wrzeszczeć na Ramseya, przyrzekam...

Ramsey zatrzymał samochód i odwrócił się twarzą do nich.

- Emmo, odsłoń uszy - polecił spokojnie. - Posłuchaj mnie teraz uważnie. Nie wydawaj więcej tych dźwięków, słyszysz? Jeżeli chcesz coś powiedzieć, to zrób to, i nie strasz mnie. Umieram ze strachu, kiedy tak jęczysz. Noga gorzej mnie od tego boli, rozumiesz? A teraz do rzeczy - nie zamierzam was zostawić. Twoja mama może sobie na mnie wrzeszczeć, jeśli to poprawia jej samopoczucie. Możliwe, że ja też wrzasnę na nią kilka razy, ale nic nie skłoni mnie do tego, żeby was zostawić. Słyszysz mnie, Emmo?

Długie milczenie.

- Obiecujesz, że nas nie zostawisz, Ramsey?

- Obiecuję. Nigdy nie łamię obietnic. Twoja mama przyzwyczai się do mnie, tak jak ty się przyzwyczaiłaś. Nie namówi mnie, żebym się od was odczepił, nie bój się, niezależnie od tego, jakie argumenty wytoczy. Na razie dostosuję się nawet do reguł, zgodnie z którymi chce rozegrać tę sprawę. A ty będziesz od teraz mówić, nie jęczeć, jasne?

Powoli kiwnęła głową.

- Nie podoba mi się, że na siebie krzyczycie.

- Nam też się to nie podoba, ale tak czasami bywa. Jeżeli będziemy się za bardzo awanturować, możesz powiedzieć nam, żebyśmy byli cicho, w porządku?

Molly milczała. Robiła wrażenie głęboko wstrząśniętej, zupełnie załamanej. Ramsey miał ochotę rzucić jej jakąś zgryźliwą uwagę, ale powstrzymał się. Podejrzewał, że mogłaby się rozplakać. Albo go zastrzelić.

- Wszystko będzie dobrze, Molly, zobaczysz - rzekł spokojnym, głębokim głosem, który oddawał mu nieocenione usługi w sali sądowej. - Nie ma nic złego w tym, że potrzebuje się pomocy, zwykłego wsparcia ze strony drugiego człowieka. No dobrze, zbierajmy się stąd. Emmo, zerkaj w tylne okno. Jeżeli zobaczysz jakiś samochód, od razu mi powiedz.

- Dobrze, Ramsey.

- Liczę na ciebie, mała. Bądź czujna.

- Będę.

- Jeśli chodzi o tamtych facetów... - odezwała się Molly. - Sądzisz, że mogło im chodzić o ciebie, nie o Emmę?

- Nie wiem.

- Narobiłeś sobie przecież mnóstwo wrogów. Czytałam, że dostawałeś listy z pogrózkami, między innymi od kobiety, której mąż zginął wtedy na sali sądowej.

- To prawda, dostałem sporo takich listów, ale nikt nie próbował mnie zabić.

- Rozumiem. To oznaczałoby, że Emmę porwało dwóch mężczyzn, niejeden.

- Właśnie. Mogłabyś nalać mi filiżankę kawy z termosu?

Molly wiedziała, że Ramsey nie chce rozmawiać o tym przy Emmie, ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni nagromadziło się w niej tyle gniewu, bólu i nienawiści... Czuła, że musi mówić o tym, co spotkało je obie, z trudem się

powstrzymywała. Westchnęła ciężko. Poczekaj. Musi poczekać. W żadnym razie nie chciała jeszcze bardziej przestraszyć Emmy.

Podawała kubeczek z kawą Ramseyowi Huntowi, człowiekowi, o którym dużo czytała i słyszała, nad którego postępowaniem i uczuciami zastanawiała się razem z wieloma milionami innych Amerykanów... Potem przestała się nim interesować, bo jej własny świat rozpadł się na drobne kawałki. Mocniej przytuliła Emmę.

- Puść mnie, mamusiu. Muszę wyglądać przez tylną szybę. Dżip jest strasznie brudny, Ramsey. Powinniśmy zatrzymać się i umyć go.

- Dobry pomysł. Nikt nie będzie szukał czyściutkiego dżipa prawda?

Zostawili wynajęty przez Molly samochód tam, gdzie stał. Molly zabrała tylko dokumenty ze schowka na rękawiczki.

- Zadzwoń do tej firmy i powiem im, gdzie jest samochód. Mogą obciążyć moje konto jakąś dodatkową opłatą.

Umyli dżipa, kiedy zatrzymali się na lunch w Rappahoe, małym miasteczku przy drodze numer 70. O ile Ramsey był w stanie się zorientować, nikt za nimi nie jechał.

- Jak twoja noga? - zapytała Molly.

- Trochę zeszywniała - odparł, przełykając duży kęs hamburgera. Zamknął oczy i przez chwilę rozkoszował się smakiem mięsa. - Tłuszcz... - mruknął. - Nie ma nic lepszego na świecie...

- Mój tata powiedział kiedyś, że najlepszą rzeczą na świecie jest seks - oznajmiła Emma, biorąc do ust pokrytą keczupem frytkę.

- Ja tam myślę, że najlepsze na świecie są małe dziewczynki i kociątka - rzuciła Molly, ani odrobinę nie zbita z tropu.

Ramsey poczuł najszczerzy podziw. Jemu samemu po uwadze Emmy opadła trochę szczeka.

- Zabrałeś mój latawiec, Ramsey?

- Tak jest. Ta mała jest profesjonalistką - poinformował Molly, która jak na razie zjadła tylko dwie łyżki zupy jarzynowej. - Ty nauczyłaś ją puszczać latawce, prawda?

Kiwnęła głową i zaczęła mieszać łyżką w zupie. Na jej powierzchni pływała gruba warstwa tłuszczu. Molly odłożyła łyżkę i sięgnęła po kawałek bułki. Posmarowała ją masłem i dżemem, ugryzła kawałek.

- Ramsey, widzę dwóch facetów. Przed chwilą weszli. Spoglądają w naszą stronę. Jeden ma strzelbę.

Melissa Shaker obserwowała, jak jej ojciec płynnie i sprawnie porusza wiosłami. Miała ochotę powiedzieć mu, że jak na faceta w swoim wieku wygląda naprawdę świetnie. Powinien częściej chodzić tylko w koszulkach bez rękawów i w szortach. Kiedy wkładał jeden z tych bardzo drogich garniturów z Savile Row, robił zabawne wrażenie.

Co tu dużo mówić, wyglądał wtedy na prawdziwego gangstera. Tak to już jakoś było z jej ojcem - im droższe nosił ubrania, tym bardziej upodabniał się do stereotypowego mafiosa, takiego, jakiego można zobaczyć w prawie każdym gangsterskim filmie. Wystarczyło jednak, że zrzucił te drogie szmaty i już wszystko było w porządku.

- Zauważyłam, że przestałeś oprowadzać Eleanor po klubach - odezwała się.

Odchrząknął, ani na chwilę nie gubiąc rytmu. Pociągnąć, puścić, pociągnąć, puścić...

- Tak. Ma taką klasę, że przy niej wyglądam na ochroniarza. Podniosła brwi. Nie przypuszczała, że ojciec zdaje sobie z tego sprawę. Ale żeby Eleanor miała być dziewczyną z klasą? Śmieszne!

- Im młodsza i piękniejsza dziewczyna, tym gorsze ja robię wrażenie - ciągnął gładko, spokojnym, równym głosem, zupełnie nie zdradzającym wysiłku.

Melissa się roześmiała.

- Masz rację, ale nigdy nie ośmieliłabym się powiedzieć tego głośno. Chyba przedwczoraj widziałam cię na basenie z naprawdę śliczną dziewczyną. Ona była w bikini, ty w kąpielówkach. I wiesz co? Wyglądałeś znacznie lepiej niż ona. Noś szorty i kąpielówki, tato, a będziesz wyglądał pierwsza klasa.

Dopiero teraz zaczął powoli zwalniać tempo. Ćwiczył przy wiosłach już czterdzieści minut. Cały spływał potem, jego mięśnie były napompowane i błyszczące. Gdyby nie był jej ojcem, kto wie, czy by się nim nie zainteresowała...

Ciszę w siłowni rozdarł dzwonek telefonu.

- Podnieś, ale nic nie mów - rzucił, nie patrząc na nią.

Podala mu słuchawkę. Przestał wiosłować. Jego oddech był trochę przyspieszony.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał.

Potem słuchał. Melissa żałowała, że nie może podnieść słuchawki drugiego aparatu. Podeszła do półki i zdjęła z niej dwa ciężarki po dwa i pół kilograma. Zaczęła ćwiczyć bicepsy. Odwróciła się, gdy usłyszała, że odłożył słuchawkę.

- Nie powinno to potrwać długo - powiedział. - Dostaniemy dwójkę za cenę jednego. Szkoda, że tak się to ułożyło.

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Wykonywała ćwiczenia dopadnie tak, jak ją nauczył.

- Nie sądzę, żebyś naprawdę tego żałowała. Bawisz się tą sprawą, i to nieźle. Cóż, obiecałem ci, a wiesz, że nigdy nie łamię danego słowa.

Odłożyła ciężarki i podeszła do niego. Uściskała go, chociaż był taki spocony.

- Dziękuję, tato. Wiem. I doceniam to. Odepchnął ją lekko i sięgnął po ręcznik.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Mellie, ale czasem przychodzą ci do głowy dziwaczne pomysły... - Podniósł dłoń przeproszającym gestem. - Nie, wszystko w porządku. Dzięki temu życie jest ciekawsze.

Pogwizdując cicho, Rule Shaker wszedł do wielkiej kabiny prysznicowej w wykładanej marmurem łazience, znajdującej się obok jego prywatnej siłowni.

## ***Rozdział 8***

- Emmo, schyl głowę i jedz frytki. Molly, nie wyciągaj od razu broni, na miłość boską. Posłuchaj mnie uważnie. Pójdziecie teraz obie do toalety, tam jest napis, widzisz? Jeżeli znajdziecie tylne wyjście, idźcie prosto do dżipa, jeżeli nie, zostańcie w łazience. Kiedy wsiądziecie do samochodu, zamknijcie drzwi. Zapłacę rachunek i wyjdę za wami. Starajcie się zachowywać naturalnie i nie oglądajcie się.

Molly nawet nie drgnęła.

- Widziałaś tych dwóch mężczyzn, którzy napadli was w górach, Em?

- Niedokładnie, mamó.

- Więc nie rozpoznałybyś ich?

- Nie, ale Ramsey ich rozpozna.

- Oczywiście. Idźcie już, Molly, nie mamy czasu na dyskusje. Jeżeli to ci ludzie, wyjdę zaraz po was i prawdopodobnie będę szedł bardzo szybkim krokiem.

- To dowcip, Ramsey, prawda? Przecież nie możesz iść szybko z tą nogą...

- Zobaczymy.

Molly rzuciła mu ostatnie długie spojrzenie, wzięła torbę i skupiała uwagę na Emmie. Poszły na tył małej restauracji i zamknęły sobą drzwi toalety. Ramsey odwrócił się bardzo powoli, podniesieniem ręki przywołując kelnerkę.

Dwaj mężczyźni stali niedaleko wejścia, plecami do niego. Jeden wysoki i chudy, drugi niski. Ramsey nie mógł dojrzeć, czy niski ma krzywe nogi. Nie wydawało mu się, aby byli to ci sami, którzy zaatakowali go pod chatą. To chyba niemożliwe, pomyślał. Przecież postrzeliłem obu tamtych drani. Nie miał przy sobie rewolweru. W restauracji było dużo ludzi. Modlił się, aby tamtym nie przyszedł do głowy jakiś głupi pomysł. Kelnerka podeszła i uśmiechnęła się do niego.

- Czy jest tu tylne wyjście? - zapytał, nie patrząc na nią.

- Tak, zaraz za męską toaletą.

- Świetnie. Ile płacę?

Zapisała kilka pozycji na bloczku, podliczyła, lekko marszcząc brwi, wyrwała rachunek i podała go Ramseyowi.

- Nie zjedliście zbyt dużo, więc odjęłam trochę z całości - powiedziała.

- To bardzo miło z pani strony. Moja żona nie najlepiej się czuje. Jest w ciąży.

- Och, gratuluje! Zdarza się to nawet najlepszym, oczywiście chodzi mi o napady mdłości.

- Hej, Elsa, jak tam biznes?

Ten facet był jednak podobny do tamtego w kowbojskich butach... Stał tuż za kelnerką. Ramsey nie widział jego twarzy, ponieważ Elsa była postawna, a wokół jej głowy szalała burza włosów. Ale nie, to nie był ten sam mężczyzna... Ramsey nie wiedział, czy powinien poczuć ulgę, czy strach z powodu nowego zagrożenia.

- Jestem śliczna i złośliwa jak zawsze - rzekła kelnerka, odwracając się twarzą do tamtego i zupełnie zasłaniając go przed wzrokiem Ramsey a. - Jesteś tu nowy, prawda? Przeprowadziłeś się tutaj?

- Tak. Ja i moja pani przenieśliśmy się tu z Wyoming. Ładna okolica.



- Bardzo ładna. Jeżeli chcecie zjeść lunch, usiądź ze swoim kumplem w tamtej kabinie. - Elsa wskazała stolik ołówkiem, który zaraz wsadziła sobie za ucho.

- Hej, gdzie się podziała ta śliczna mała dziewczynka, do której się uśmiechałem, proszę pana?

Ramsey podniósł się powoli. Elsa odsunęła się na bok, nagle zaniepokojona. Ramsey pochylił się nad facetem, który musiał mieć koło pięćdziesiątki, na wszystkich frontach przegrywał wojnę z tłuszczem i był tak sympatyczny jak Ted Bundy w najgorszym ze swoich humorów.

- To było pana dziecko?

- Tak, moje. Dlaczego pan pyta?

- Tak sobie, bez powodu. Ładna dziewczynka, podobna do jednej z moich wnuczek.

Ramsey podał kelnerce dwudziestodolarowy banknot.

- Miłego dnia - powiedział spokojnie. - Do widzenia. Ruszył w kierunku drzwi wejściowych, szukając wzrokiem drugiego faceta. Nie widział go i bardzo go to martwiło. Gdzie jest ten drań? Jego żołądek podskakiwał i kurczył się boleśnie. Ogarnął spojrzeniem całą salę. Ten wysoki zniknął bez śladu, jakby rozwiął się w powietrzu. Dlaczego tamten pytał o Emmę?

Właśnie wtedy usłyszał zgrzyt hamulców i w jednej chwili wypadł na zewnątrz. Molly cofnęła dżipa i znowu zahamowała gwałtownie, o centymetry wymijając zaparkowanego pick-upa. W stronę dżipa biegł jakiś mężczyzna. Molly wrzuciła drugi bieg i samochód wystrzelił do przodu. Mężczyzna wrzasnął krótko i zanurkował w niskie krzaki pod ścianą restauracji.

- Molly!

Ramsey chwycił przednie drzwiczki od strony pasażera, otworzył je i wskoczył do środka. Zanim zdążył zatrzasnąć drzwi, Molly już gnała po wjeździe na drogę numer 70.

Obejrzał się szybko. Mężczyzna otrzepywał spodnie i patrzył za nimi. Sekundę później z restauracji wyszedł drugi, ten, z którym Ramsey rozmawiał. Obaj zaczęli rozmawiać gorączkowo. Molly z piskiem hamulców skrzyła na drogę 70 i Ramsey stracił mężczyzn z oczu.

- Ramsey...

Usłyszał cichy głos i szybko spojrział w dół. Emma siedziała skulona na podłodze u jego stóp.

- Chodź, dziecko. Już wszystko dobrze. Twoja mama jest bohaterką, uratowała nas. Chodź tutaj i obejmij mnie mocno. Potrzebuję trochę czułości i buziaka. Tak jest, czuję, że dzięki temu serce przestanie mi walić jak szalone, a żołądek wróci na swoje miejsce...

Pozwoliła się wziąć na kolana. Wiedział, że nie powinien tak z nią siedzieć, ale nie miał teraz zamiaru przejmować się pasami bezpieczeństwa. Pocałowała go w policzek.

- Znacznie lepiej. Dziękuję. - Odwrócił głowę w stronę Molly. - Zwolnij i zjedź z autostrady.

- Ale... Och, tak, jasne, masz rację. Musimy sprawdzić, czy za nami jada.

- Zwolnij. Nie możemy zwracać na siebie uwagi. Kiedy zjedziesz, skreć w prawo i zatrzymaj się za tamtą stacją benzynową. Przytul mnie mocniej, Emmo. O, wreszcie dobrze się czuję.

- Jeżeli ich zobaczę, wracam na autostradę. Może uda nam się zobaczyć ich tablicę rejestracyjną. Będziesz mógł sprawdzić, do kogo należy ten wóz, prawda?

Skinął głową. Molly robiła wrażenie zupełnie spokojnej i świetnie radziła sobie z dżipem. Emma przywarła do niego jak pijawka. Przyjemnie było czuć te chude ramionka, mocno zaciśnięte wokół szyi. Dziecko miało krzepę, na szczęście.

Molly zjechała z autostrady, skrzyła w prawo i zahamowała tuż za stacją Mobil. Wszystko razem zajęło jej najwyżej dwadzieścia sekund.

- Dobra robota - pochwalił. - Emmo, teraz ty i ja będziemy razem obserwowali autostradę. Zależy nam, żeby dowiedzieć się, czy tamci dwaj jadą za nami.

- Powinna była poczekać i zobaczyć, jaki mają samochód - powiedziała Molly, waląc pięścią w kierownicę. - Cholera jasna, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?!

- Nie przejmuj się, rozpoznamy ich. Patrz uważnie, Emmo.

Przed nimi niespiesznie przejechała ciemnozielona toyota corolla, z dwiema kobietami w środku. Potem ciężarówka z owczarkiem niemieckim na miejscu obok kierowcy. Pies wystawił głowę przez otwarte okno i dyszał. Po pięciu sekundach pojawiła się brudna czarna półciężarówka. W kabinie siedziało dwóch mężczyzn.

- To oni - rzucił Ramsey. - W porządku, Molly, teraz powoli wróc za nimi na autostradę. Zachowaj odstęp, tak żeby dzieliły nas od nich co najmniej trzy samochody.

Molly już wyjeżdżała z za stacji benzynowej. Przed nią znajdowała się mała biała honda. Molly miała ochotę zatrąbić, wyprzedzić, wrzasnąć coś pod adresem siedzącej za kierownicą starszej kobiety, ale udało jej się zapanować nad sobą.

- Ruszaj się, ruszaj - szeptała niecierpliwie.

Ramsey nadal lekko obejmował Emmę.

- Wszystko w porządku, mała?

- Boję się.

Przytulił ją i pocałował w czubek głowy.

- Chciałbym podarować ci taką magiczną siłę, żebyś niczego się nie bała, ale nie umiem tego zrobić. Strach nie jest zły, pod warunkiem że nie pozwolimy, aby nas paraliżował. Wiem, że nie lubisz o tym myśleć, lecz musisz sobie uświadomić, że naprawdę doskonale sobie poradziłaś. Nie pozwoliłaś się sparaliżować i uciekłaś do lasu, gdzie cię znalazłem. Spisałaś się niezwykle

dzielnie, Emmo. Mówię to, byś wiedziała, że kiedy się nie poddajesz i nie przestajesz myśleć, możesz sobie pomóc. - Widział, że Molly uważnie przysłuchuje się jego słowom. - Nie zapomnisz o tym, prawda, Em?

- Nie - odszepnęła. - Nie zapomnę. Jest ciężarówka, Ramsey. Mama podjechała już bardzo blisko...

- Widzisz tablicę rejestracyjną?

- Jest strasznie brudna... Tak, widzę ją, ale...

Roześmiał się.

- Widzisz ją, ale nie możesz odczytać liter i cyfr, tak? Jutro nauczę cię czytać, dobrze?

- Trochę już umiem. Mama pokazuje mi litery i dużo mi czyta. Przyglądamy się razem różnym wyrazom w książkach. Myślisz, że wystarczy jeden dzień, bym się nauczyła?

- W twoim przypadku może nawet pół dnia. - Ramsey lekko dotknął ramienia Molly. - Wygląda mi to na B, potem L, dalej jest gruda błota. Trzy, osiem, osiem... I jeszcze jakaś cyfra, znowu zbyt zamazana.

- W mojej torbie znajdziesz telefon komórkowy - powiedziała. - Jesteś sędzią federalnym, więc na pewno znasz kogoś, kto będzie mógł się dowiedzieć, czyją własnością jest ta półciężarówka. Kiedy już będziemy to wiedzieli, obiecuję, że sama zadzwonię na policję w Denver i wszystko im powiem. Teraz zwolnię, żebyś mógł spokojnie zadzwonić.

Telefon komórkowy... Miała telefon komórkowy, ale powiedziała mu o tym dopiero w chwili, kiedy wszystko zawisło na włosku. Miał ochotę wrzasnąć na nią, lecz oczywiście nie zrobił tego. Wyciągnął z torby małą, lekką komórkę i zaczął wybierać numer Virginii Trolley w San Francisco.

Nagle przerwał. Nie, Virginia nie będzie w stanie tego załatwić. Potrzebny był mu ktoś całkowicie obiektywny, ktoś, kto nie będzie się wahał i od razu weźmie się do roboty. Wybrał numer biura FBI w Waszyngtonie i

poprosił o połączenie z Dillonem Savichem z Wydziału Zapobiegania Przestępczości. Po dwóch minutach ze słuchawki dobiegł go głos Savicha.

- Dlaczego nigdy nie korzystasz z poczty elektronicznej, Ramsey? Wiesz, jak nienawidzę telefonów. Czasami wydaje mi się, że kiedy byłem mały, kabel telefoniczny owinał mi się dookoła szyi i prawie mnie zadusił...

- Przepraszam, ale nie mam przy sobie laptopa i modemu. To długa historia. Potrzebuję pomocy, Savich.

- Gadaj.

Żadnego wahania, żadnych pytań.

- Muszę wiedzieć, do kogo należy wóz z następującą rejestracją. - Podał zapisane litery i cyfry. - Dzwonię z komórki. Tak, podam ci numer i zostawię włączoną. Jestem ci bardzo wdzięczny, Savich.

W odpowiedzi usłyszał tylko niewyraźne chrząknięcie. Uśmiechnął się i przerwał połączenie.

- Do kogo zadzwoniłeś? Na policję w San Francisco?

- Nie. Do mojego przyjaciela w Waszyngtonie.

- To chyba bardzo dobry przyjaciel. Nie zadawał ci żadnych pytań.

- Masz rację, bardzo dobry przyjaciel. Poznaliśmy się cztery lata temu, na konferencji w sprawie środków przymusu prawnego w Chicago. Pracowałem wtedy w biurze prokuratora okręgowego. Savich zawodowo ćwiczy karate i od czasu do czasu daje pokazy. Sześć miesięcy temu ożenił się z koleżanką z pracy, agentką Sherlock... Trzymaj się dalej od niego, Molly...

- Och, tylko nie to!

Półciężarówka zwalniała. Siedzący na miejscu obok kierowcy mężczyzna oglądał się.

- Zorientowali się, że nie jedziemy przed nimi - mruknął Ramsey. - Zwolnij, Molly, jeszcze. Tak, pozwól, żeby ten chevrolet cię wyprzedził. Dobrze. Mocniej objął Emmę. - Nie chcę, żeby cię zobaczyli, mała. Schył się.

- Zjeżdżają z autostrady, Ramsey! - zawołała Molly. Wiele dałby, żeby za nimi pojechać, Molly prawdopodobnie również, ale oboje wiedzieli, że nie mogą narażać Emmy na niebezpieczeństwo.

- To i tak bez znaczenia - rzekł. - Potrzebna nam tylko informacja, kto jest właścicielem wozu. Nie musimy nic więcej robić.

- Sama nie wiem, czy rzeczywiście nie musimy - odparła cicho Molly, dziwnie napiętym głosem, lecz zaraz uśmiechnęła się do Emmy. - Ale oczywiście masz rację, Ramsey.

- Trzymają się blisko pobocza - rzucił, zastanawiając się, co robić. - Teraz gaz do dechy, Molly. Zostawimy za sobą ze dwa z jazdy i będziemy ich mieli z głowy.

Nie wahała się ani chwili. Mocno przycisnęła pedał gazu i dżip w ciągu minuty osiągnął prędkość stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jak wiatr przemknęli obok dwóch zjazdów. Potem Molly zwolniła i skręciła w trzeci. Znaleźli się na biegnącej wysoko, a potem schodzącej do poziomu terenu drodze, która wiodła na południe.

- Doskonale. Jedź dalej i za jakieś półtora kilometra skręć w stronę... Jak nazywa się najbliższe miasto?

- Paulson. Przed sekundą minęliśmy znak.

- Zbliź się do miasta i skręć w pierwszą z brzegu boczną drogę. Postoimy tam chwilę. Założę się, że wy też konacie z pragnienia. Kupimy butelkę wody.

- Muszę pójść do łazienki - odezwała się Emma.

- Ja też. - Ramsey uściskał ją mocno. - Wytrzymaj jeszcze trzy minuty, Em.

Komórka zaświergotała melodyjnie.

- Savich?

- Tak. Ponieważ nie miałeś wszystkich znaków, w grę wchodzi trzy możliwości.

- W porządku, zaraz wezmę kartkę i ołówek. - Wyciągnął bloczek ze schowka na rękawiczki i szybko zapisał trzy nazwiska z adresami. - Dzięki, Savich. Możesz na mnie liczyć w trudnej sytuacji. - Przerwał na chwilę. - Opowiem ci wszystko przy pierwszej okazji, ale nie teraz. Pozdrów ode mnie Sherlock.

Wyłączył telefon.

- Wszystko wskazuje na to, że zgubiliśmy tych facetów z restauracji, Molly. Czas zadzwonić na policję.

- Nie, jeszcze nie. Proszę, jeszcze nie teraz.

Ramsey westchnął ciężko. Nie chciał naciskać, obawiając się, że mogłaby zabrać Emmę i spróbować ucieczki na własną rękę. Miał dziwne wrażenie, że tu nie chodzi tylko o brak zaufania Molly do policji. W jej zachowaniu kryło się coś jeszcze. Coś, o czym mu nie powiedziała.

- No, dobrze - rzekł. - Raz się żyje. Jedźmy do Aspen, co wy na to? Zatrzymamy się w hotelu Jerome i zabiorę was do Cantiny na prawdziwe meksykańskie jedzenie.

Minutę później Molly zjechała z drogi i zaprowadziła Emmę w zarośla na poboczu. Ponad głową dziecka spojrzała na Ramseya. Jego oczy były prawie tak ciemne jak włosy, teraz trochę za długie, po trzech tygodniach w górach wymagających wizyty u fryzjera. Miał zdecydowane, mocne rysy, wysokie kości policzkowe i dość ciemną karnację.

Ciekawa była, czy w jego żyłach nie płynie przypadkiem włoska krew. Na policzkach widać było cień zarostu. Szczerze mówiąc, teraz, kiedy przyjrzała mu się uważnie, dostrzegła, że jest bardzo przystojny. Oczywiście nie tak przystojny jak gwiazdor filmowy, na którego widok kobiety omdlewają, ale jednak bardzo atrakcyjny, i już tylko z samego wyglądu godny zaufania. Winna mu była reszta prawdy, ale jeszcze nie teraz...

Pomagając Emmie uporządkować ubranie, pomyślała, że dziwnie jest nie być samej. Znała Ramseya dopiero od kilkunastu godzin, co przecież znaczyło,

że nie zna go wcale. Słyszała o nim wcześniej, uratował Emmę - poza tym właściwie nic o nim nie wiedziała. Ale to wystarczyło, aby do końca życia mógł liczyć na jej wdzięczność. Rzuciła mu krótki uśmiech.

Odpowiedział jej uśmiechem. Żałował, że w restauracji nie zdążył przyjrzeć się temu drugiemu mężczyźnie. Czy teraz mieli do czynienia z dwoma zupełnie nowymi prześladowcami? Prawdopodobnie tak, bo żaden z nich nie wyglądał na rannego. Jeżeli rzeczywiście byli nowi, znaczyło to, że sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż mu się wydawało. Co ukrywała przed nim Molly?

Kiedy obie wróciły do samochodu, podał Molly telefon.

- Powinnaś zadzwonić na policję w Denver i powiedzieć, że Emma jest bezpieczna. Nie musisz mówić im wszystkiego, ale zrób przynajmniej tyle.

Wyjęła z torby mały notes, znalazła numer i wybrała go. Ramsey podał jej kartkę z zapisanymi trzema nazwiskami. Przesiadł się na miejsce za kierownicą, a Emma natychmiast przylgnęła do boku matki.

- Znalazłam moją córkę, detektywie Mecklin - powiedziała Molly bez wstępów.

- To pani, pani Santera? Co pani powiedziała? Czy nic pani nie jest? Nie jest pani ranna?

- Nie, nie jestem ranna. Powiedziałam, że odzyskałam córkę.

Oczami wyobraźni ujrzała, jak detektyw mruży okrągłe, niebieskie oczy i wbija wzrok w słuchawkę, zastanawiając się, czy Molly Santera nie zwariowała. Miała to w nosie. Liczyła na to, że nigdy więcej nie będzie musiała rozmawiać z tym idiotą, ale trudno...

Detektyw Mecklin od początku nie potrafił ukryć wewnętrznego przekonania, że to ona ponosi odpowiedzialność za porwanie Emmy. Znienawidziła go za to. Wyrzuty sumienia o mało ją nie zabiły, nie potrzebowała, aby ktokolwiek jaw nich utwierdzał. Po drugiej stronie słuchawki zapadło długie milczenie.



- Nie rozumiem, jak to możliwe - przemówił w końcu detektyw Mecklin.

Molly się roześmiała. Jej napięcie zniknęło, zaczynała się świetnie bawić. Co za pewny siebie buc! Cholerny męski szowinista!

- Mam ją przy sobie, detektywie, proszę mi wierzyć. Chce pan, żebym opowiedziała, co się wydarzyło?

- Ale my wczoraj wieczorem otrzymaliśmy list z żądaniem okupu! Porywacze chcą dostać pół miliona dolarów!

- Więc trochę się spóźnili. Emmo, przywitaj się z panem detektywem.

- Dzień dobry, detektywie Mecklin. Jestem razem z mamą i Ramseyem. Ramsey mnie uratował, a potem mama nas znalazła. Nic nam nie jest.

- Ramsey? Kto to jest, u diabła?!

Molly wzięła słuchawkę z ręki Emmy.

- W tej chwili to nieistotne, detektywie. Proszę mnie posłuchać: mam tu trzy nazwiska i adresy prawdopodobnych właścicieli wozu o numerze rejestracyjnym, który zaraz panu podam. Jedną z tych osób z całą pewnością jest porywacz Emmy.

- Nie rozumiem tego wszystkiego. Musi pani wrócić do Denver i porozmawiać z nami. Jeżeli rzeczywiście ma pani Emmę, musi ją pani oddać pod opiekę lekarzy i zespołu psychiatrów. Tu będzie miała wszystko, czego jej potrzeba. Czy to naprawdę była Emma? Skąd pani dzwoni?

- Zrobi pan coś z informacją, którą chcę panu przekazać, czy znowu tylko tracę czas, detektywie Mecklin?

Długie milczenie, przerywane ciężkim oddechem detektywa.

- Niech mi pani poda te nazwiska - warknął w końcu.

Molly powoli podyktowała mu zdobyte przez Ramseya dane.

- Żadne z tych nazwisk z nikim mi się nie kojarzy, ale któraś z tych osób niewątpliwie zamieszana jest w sprawę porwania. Teraz ma pan szansę ją złapać, prawda? Na pewno w liście porywacze wskazali miejsce, gdzie należy zostawić okup. Nie musi się pan już martwić o Emmę, więc proszę wziąć się do

roboty, detektywie, i zamknąć porywaczy. I jeszcze coś - Emma była więziona w górach w pobliżu Dillinger. Jestem pewna, że porywaczy też już tam nie ma, ale może mimo wszystko znajdzie pan tam jakąś wskazówkę.

- Jest pani teraz w Dillinger?

- Nie, detektywie Mecklin. Jestem dość daleko od Dillinger, więc proszę nie nasyłać na mnie miejscowych policjantów. Po co ma pan ich fatygować?

- Cała sprawa wygląda teraz zupełnie inaczej, pani Santera.

- Oczywiście - zgodziła się Molly. - Zdążył pan wszystko zapisać?

- Tak. Musi mi pani jednak powiedzieć, co się dzieje. Właśnie weszli agenci FBI i chcą z panią mówić. Oni...

- Tablica rejestracyjna była przymocowana do brudnej czarnej półciężarówki, raczej nowej - przerwała mu Molly, mówiąc powoli i wyraźnie. - To chevrolet. Zapisał pan?

- Tak, tak. Chwileczkę, proszę się nie rozłączać! Jesteśmy pani potrzebni! Oddaję słuchawkę agentowi Anchor!

- Nie mam ochoty na dłuższą rozmowę. Proszę przekazać im informacje. Jeżeli wykażą się wystarczająco dużym rozsądkiem, aby mi uwierzyć, zaślina się z radości.

- My też wkrótce uzyskalibyśmy te informacje. Wierzę pani, ale... Widzi pani, to bardzo nietypowy tryb prowadzenia śledztwa... - Tym razem odezwał się agent Anchor, człowiek z dużym doświadczeniem w prowadzeniu spraw kidnapingowych.

Molly nie miała nic przeciwko agentowi Anchorowi, zdążyła się jednak zorientować, że ma on dyktatorskie zapędy i mocno wierzy, iż poza nim samym wszyscy mają mózgi wielkości ziarnka grochu. Anchor wydawał polecenia policji z Denver z taką pewnością siebie, jakby była to jego gwardia przyboczna.

- Nie interesują mnie pańskie zastrzeżenia, agencie Anchor. Proszę złapać ludzi, którzy porwali moją córkę.

- Nie ma pani pojęcia, czy wóz o tych numerach rejestracyjnych rzeczywiście ma coś wspólnego z porywaczami, prawda? Proszę mi natychmiast powiedzieć, gdzie się pani teraz znajduje! Rozumie pani co mówię? Możliwe, że jest pani w wielkim niebezpieczeństwie. Gdzie znalazła pani Emmę? Nie może pani nam rozkazywać...

- Proszę zająć się łapaniem porywaczy, agencie. Tę półciężarówkę ostatnio widziano na zachód od Rappahoe, na drodze numer 70.

Molly z pełnym satysfakcji uśmiechem wyłączyła telefon.

- Może niepotrzebnie mu to powiedziałam, bo nie jest głupi i zorientuje się, że my też jesteśmy gdzieś niedaleko, ale musiałam to zrobić. W przeciwnym razie nigdy by ich nie znaleźli. Mam nadzieję, że szybko zlokalizują miejsce, gdzie porywacz trzymał Emmę i znajdą tam jakieś wskazówki.

- Dobrze zrobiłaś. Zresztą zanim przystąpią do akcji, my będziemy już w Aspen. Nie sądzę, żeby chciało im się nas szukać, chociaż kto wie... Ale przynajmniej tamci faceci nie mają pojęcia, że ich namierzaliśmy, więc nie powinni się ukrywać. Czy agenci FBI byli bardzo dokuczliwi?

- Potwornie. Gdybym tak bardzo nie bała się o Emmę, byłoby mi naprawdę żal miejscowych gliniarzy. Ci z FBI traktowali ich jak kmiotków. Detektyw Mecklin nie jest takim znowu idiotą, tylko nie wykazuje się szczególną elastycznością. Ma wielkie, ufarbowane na czarno wąsy, wyobrażasz sobie? Opadają mu na usta, przez co wygląda jak basset. I jest bardzo gruby. Mam nadzieję, że nie skończy na atak serca. - Molly pokręciła głową. - On po prostu nie chciał uwierzyć, że Emma jest ze mną... Z kolei agent Anchor cierpi na silny kompleks Boga...

Ramsey pomyślał, że wielu federalnych agentów cierpi na ten kompleks. Prawdę mówiąc, tylko nieliczni bronią się przed nim ze względnym powodzeniem, między innymi Dillon Savich. Po zakończeniu całej sprawy chętnie spotkałby agenta Anchora i dał mu popalić...

- Doskonale ci poszło, Molly. Trzeba to było zrobić, sama rozumiesz. No, jedziemy do Aspen. Zapomnijmy teraz o wszystkich agentach. Jutro zadzwonimy do Mecklina i dowiemy się, co zdziałał.

- Wczoraj przyszedł list z żądaniem okupu. Porywacze chcieli pół miliona.

- Blefowali. - Ramsey szybko spojrział na Emmę, która wygląda na bardzo śpiącą, lecz w rzeczywistości nieźle strzygła uszami. - Tylko blefowali - powtórzył. - Teraz policja ma dużą szansę. Z tego wszystkiego wynika, że poza porywaczem w sprawę zamieszane są jeszcze co najmniej cztery osoby. Dlaczego aż tyle? To nie jest zwykłe porwanie, Molly.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Emma, przytulając się do matki. - Wcale mi się to nie podoba...

Obydwoje dorośli wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Nam też nie, Emmo - rzekła Molly. Ramsey wjechał na autostradę. Czarnej półciężarówki nie było nigdzie widać, dzięki Bogu.

## ***Rozdział 9***

Kiedy Molly pokazała mu gruby plik studolarowych banknotów i zapewniła, że ma ich dużo więcej w biustonoszu, Ramsey wziął dla nich mały apartament w hotelu Jerome, podając fałszywe nazwisko i płacąc gotówką.

Zaprowadzono ich do wielkiego pokoju umeblowanego w stylu wiktoriańskim. Abażury lamp obszyte były czerwonymi i złotymi frędzlami, całą podłogę zakrywał dywan w wielkie róże i pnącza winorośli. Ściany łazienki wyklejono intensywnie czerwoną tapetą, a kabinę prysznicową wyłożono kaflami z różowego marmuru.

Połączenie nowoczesności i ducha dawno minionej epoki tworzyło fascynujący efekt. W jednym krańcu wielkiego pokoju urządzono coś w rodzaju

saloniku, natomiast w drugim znajdowało się łóżko, szafa na ubrania, komoda i jeszcze kilka krzeseł. Wysokie okna zdobiły drapowane zasłony z grubego aksamitu.

- Zawsze chciałem tu zamieszkać - oświadczył Ramsey, oglądając apartament. - Podziwiałem ten hotel jako mały chłopiec, kiedy przyjechałem tu na narty w czasie zimowych wakacji. To jest coś, prawda?

- Tak - powiedziała Molly z roztargnieniem. - Nie mieli pokoju z dwoma łózkami? Tylko z tym królewskim łóżem?

- Nie zapominaj, że jesteśmy małżeństwem. I nie przyglądaj mi się zbyt długo, bo dostaniesz zgagi. Nie przejmuj się, zaraz przyniosła mnie tapczan. Jaskrawoblękita welwetowa narzuta obszyta była grubymi czerwonymi frędzlami, które stanowiły niedwuznaczne nawiązanie do wiktoriańskiego Dzikiego Zachodu.

- Co to jest zgaga? - zapytała Emma.

- Pieczenie w przelyku. To objaw podrażnienia żołądka i wątroby.

Ramsey słyszał, jak kilka razy powtarzała sobie nowe słowo. Potem z uśmiechem patrzył, jak Molly klęka na podłodze i mocno z całej siły ściska Emmę. Kiedy mała zaczęła piszczeć, matka puściła ją i obie zaczęły się śmiać jak szalone.

- To taka nasza gra - wyjaśniła Molly. - Jeżeli Emma pozwoli mi się mocno ściskać przez całą minutę, nie wydając żadnego dźwięku, dostaje lody. Zwykle Emma wygrywa, ale tym razem chyba ogarnęła ją litość, prawda, kociaczku?

- Chciałam tylko zobaczyć, jak się uśmiechasz, mamo.

- Wobec tego wygrałaś jeszcze jeden uśmiech.

Molly miała duży zamszowy worek, Emma powłóczkę na poduszkę, a Ramsey dwie walizki. Starą Olivetti, która należała kiedyś do jego matki, to, co zdążył napisać w czasie pobytu w górach oraz kilka powieści i książek historycznych zostawił w dziupie. Ludzie z obsługi hotelowej przynieśli tapczan,

który okazał się trochę za krótki, lecz Ramsey zdecydowanie potrząsnął głową, gdy Molly usiłowała protestować.

Pomyślał, że w gruncie rzeczy równie dobrze mógłby położyć się na podłodze. Noga bardzo mu dokuczała, miał potworny ból głowy i czuł się tak, jakby zderzył się z czołgiem. Molly także nie była chyba w najlepszej formie, bo wyglądała bardzo mizernie. Stała na środku pokoju, przeczesując palcami skłębione rude włosy. Uśmiechnął się.

- Chcesz, żebym wykąpał Emmę? Nie, co ja gadam. Emma doskonale potrafi sama się umyć.

- Może nie doskonale, ale bardzo się stara. - Molly chwyciła Emmę i powąchała miejsce za jej małym uchem. - Słodko pachniesz, skarbie. Chciałabyś, żebym cię umyła? Tak dla odmiany?

Emma z radością kiwnęła głową. Molly odwróciła się do Ramseya, który prawie chwiał się na nogach.

- Połóż się, zaraz przyniosę ci aspirynę. Robiłeś okłady z lodu na nogę?

- Nie pomyślałem o tym. Właściwie dlaczego nie?

- Dobrze. Połóż się. Zaraz wrócę.

Połknął trzy aspiryny i pomógł jej ułożyć owiniętą w ręcznik torebkę z lodem na chorej nodze.

- Czy będzie ci bardzo przykro, jeśli nie pójdziemy do Cantiny? - zapytała.

- Zaraz sprawdzę, czy dowożą jedzenie na zamówienie - odparł.

Okazało się, że dowożą, za dodatkową opłatą w wysokości pięćdziesięciu dolarów. Cóż, w końcu co Aspen, to Aspen, pomyślał Ramsey, jedząc taco za dziesięć dolarów. Gdy pochłonęli sześć dużych wołowych taco oraz wielką porcję chipsów i salsy, którą z pewnością zadowolilaby się cała drużyna piłkarska, zmęczenie wreszcie zważyło ich z nóg.

Emma miała resztki sosu guacamole na brodzie i

wyglądała cudownie. Zasnęła dziesięć minut później, przytulona do matki. Ramsey i Molly w ostatniej chwili namówili ją, aby umyła zęby. Oni sami zapadli w ciężki sen pięć minut po Emmie.

Molly obudziła się o północy, wraz z ostatnim uderzeniem dużego szafkowego zegara, stojącego w korytarzu. Księżyc w nowiu wysyłał biały promień światła, który wciskał się do pokoju przez otwarte okno. Nie było zimno, ale dość chłodno. Molly podciągnęła nakrycia pod samą brodę i wystawiła twarz na powiew świeżego powietrza.

Od ponad dwóch tygodni po raz pierwszy przespała bite trzy godziny. Dokładnie od szesnastu dni, pomyślała, spoglądając na Emmę, która spała obok, zwinięta w ciepły kłębuszek, z poduszką przytuloną do piersi. Jej piękne włosy, uwolnione z warkocza, opadały na prześcieradło. Była bezpieczna.

Piekące łzy wypełniły powoli oczy Molly. Pozwoliła im popłynąć po policzkach. Miały tyle szczęścia... Bo przecież ostatecznie to nie ona uratowała Emmę, nie ona okazała się najważniejszym czynnikiem w tym trudnym równaniu. Jej córeczkę uratował Ramsey Hunt, człowiek, który był gotów chronić ją i osłaniać za cenę własnego życia, aż do końca...

Łzy popłynęły szybciej. Z gardła Molly wyrwał się szloch. Och, nie, to takie upokarzające... Zatkaną sobie usta pięścią.

- Molly? Spokojnie, spokojnie...

Usłyszał ją? Na szczęście Emma dalej twardo spała.

- Płacz, to ci dobrze zrobi - powiedział cicho. - Założę się, że po raz pierwszy od bardzo dawna możesz się spokojnie wypłakać. Nie przejmuj się mną.

Płakała i płakała, a on mówił do niej o jakichś zupełnie nieważnych rzeczach, uspokajając ją swoim głosem.

- Mamo, co się stało?

Emma siedziała na łóżku, sztywna z przerażenia.

- Nic, kochanie - rzekł Ramsey szybko. - Przytul mamę, dobrze? Obejmij ją mocno, o tak. Mama płacze, bo czuje ogromną ulgę, że wreszcie ma cię znowu przy sobie. Bardzo długo strasznie się martwiła i bała o ciebie.

Molly dostała napadu czkawki i w końcu roześmiała się głośno. Emma nie wypuszczała jej z ramion.

- Już mi lepiej - rzekła. - Dziękuję, Em.

Pocałowała córkę w karczek i zrozumiała, że jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. W tym samym momencie przypomniała sobie inną chwilę, dawno, dawno temu, kiedy wydawało jej się, że nigdy nie będzie bardziej szczęśliwa. Tamta chwila okazała się kłamstwem.

Niedługo potem wszyscy troje zasnęli znowu, Ramsey także, chociaż nogi wystawały mu daleko za krawędź tapczanu. Obudził się koło trzeciej nad ranem. Może zaniepokoił go jakiś dźwięk, choć umysł nadal tkwił w ciepłe przyjemnego snu. Śniła mu się Susan. Miała na sobie mundur i była pogodnie uśmiechnięta. Zasalutowała, a potem żartobliwie szturchnęła go w brzuch.

Kiedy zupełnie się ocknął, zalała go fala słodko-gorzkich wspomnień, które natychmiast zniknęły w powodzi przeszłości. Nie chciał mieć więcej snów o Susan.

Tym razem dźwięk był wyraźniejszy. Czyżby tamci byli aż tak dobrzy? Wstał powoli, z pewnym wysiłkiem. Emma i Molly spały spokojnie. Słyszał głęboki, spokojny oddech Molly. Postanowił zrobić wszystko, żeby ich nie przestraszyć.

Zesztywniała noga ugięła się pod nim, więc szybko oparł się o wysokie krzesła. Stał nieruchomo i nasłuchiwał. Szelest. Dobiegał z korytarza, gdzieś z naprzeciwka. Wziął do ręki rewolwer, który wieczorem położył na okrągłym stoliku obok tapczanu. Z trudem zrobił pierwszy krok, potem drugi. Co chwilę przystawał i uważnie słuchał.



Kiedy dotarł do drzwi, usłyszał dochodzące z korytarza głosy. Nie, niemożliwe, żeby to oznaczało kłopoty. Niemożliwe, aby ich tu znaleźli. W rejestracji nikt nie zażądał od niego żadnego dokumentu tożsamości, więc w jaki sposób mogliby za nimi trafić?

Co prawda, przyjechali dziupem, którego rejestrację można było sprawdzić. Ktoś mógł ich też zauważyć, kiedy wjeżdżali do miasta. Zaklął pod nosem. Jak mógł być takim idiotą! Z samego rana zostawi samochód na jakimś dużym parkingu i wypożyczy, albo nawet kupi inny wóz, innego dziupa, albo jakiegokolwiek auto z czterokołowym napędem. Znowu usłyszał rozmowę, prowadzoną zbyt cicho, aby mógł rozróżnić słowa. Zacisnął palce na kolbie.

Stojący w korytarzu mężczyzna odezwał się teraz nieco głośniej.

- Słuchaj, Doris, rób, co chcesz. Masz ochotę wracać do swojego starego, to wracaj, ale on może się w każdej chwili obudzić, rozumiesz? Nie chcę, żeby odstrzelił mi łeb. Nie, nie wchodź tam teraz, zaczekaj, aż sobie pójdę.

Ramsey oparł głowę o framugę drzwi, czując ogromną ulgę. To tylko jakaś kobieta zdradzała męża. Nikt nie próbował ponownie porwać Emmy. Kobieta odpowiedziała coś wysokim, pełnym hysterii głosem.

Lepiej, żeby nie wracała do swojego pokoju, pomyślał Ramsey, ale to nie moja sprawa, dzięki Bogu. Cicho sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte i założył łańcuch. Odłożył rewolwer na stolik i usiadł na tapczanie. Kiedy się odwrócił, zobaczył Molly, która właśnie podniosła się na łokciu i patrzyła na niego z niepokojem.

- To nic - szepnął. - Jakaś kobieta oszukuje męża, nic, co by nas dotyczyło.

- Ale to chyba nie on, co, Ramsey? - sennym głosem odezwała się Emma.  
- Nie widział zbyt dobrze i czasami zapominał włożyć okulary. Dzięki temu uciekłam. Ułożyłam poduszkę w taki sposób, żeby mnie przypominała. W tym czasie on siedział na schodach i palił papierosa. Kiedy wrócił, zajrzał do pokoju, wydawało mu się, że mnie widzi. Wyczołgałam się z domu, gdy nalewał sobie

whisky. Bardzo lubił whiskey. Ciągłe powtarzał, że nie cierpi alkoholu, jego dusza gnije od whiskey, ale bardzo dużo pił...

- O Boże... - jęknęła Molly. - Wiesz, jak się nazywał, Em?

Lecz Emma już wsunęła się głębiej pod przykrycie i zapadła w sen. Oddychała równo i spokojnie. Ramsey i Molly spojrzeli na siebie.

- Co ja mam robić? - zapytała.

- Mówiłem ci, że nie mam zamiaru was zostawić, więc pytanie brzmi: Co mamy robić? Jesteśmy teraz zbyt zmęczeni, żeby rozsądnie myśleć. Porozmawiamy o tym rano.

Molly kręciła głową, wprawiając w ruch rude loki.

- Nie mogę wrócić do Denver. Nie wrócę tam. Nie rozumiem, co się dzieje. Ile osób jest w to zamieszanych? Kim oni są? Dlaczego to robią? Czy porwanie Emmy to jakiś cholerny spisek?

- Spisek... - powtórzył powoli Ramsey. - Dlaczego użyłaś tego słowa?

Wzruszyła ramionami. Brzeg nocnej koszuli zsunął się, odsłaniając wystający obojczyk.

- Porwanie dziecka może być spiskiem, jeżeli uczestniczą w nim rodzice, albo jeśli dokonuje się go w innym celu - ciągnął. - Ale ty nie to miałaś na myśli, prawda?

- Po prostu akurat to słowo przyszło mi w tej chwili do głowy. Zresztą niewykluczone, że mamy do czynienia ze spiskiem. Już teraz wiemy, że zamieszanych jest w to około pięciu osób.

- Wobec tego jest to starannie obmyślony plan. Ale spisek? To brzmi zupełnie inaczej, jakbyś zakładała, że są w to zaangażowani ludzie z twojego najbliższego otoczenia...

Molly w milczeniu podciągnęła brzeg koszuli, na jej przedzie widniał duży napis: WIELKA STOPA BYŁ TUTAJ. Włosy zwijały się w szalone sprężynki wokół bladej twarzy. Wyglądała na śmiertelnie zmęczoną.

Jest bardzo ładna, pomyślał, nieco zaskoczony, że zauważył to właśnie teraz, w środku nocy. Miała wyjątkowo jasną, prawie papierowobiałą skórę, przy której jego karnacja wydawała się jeszcze bardziej oliwkowa. Miał ochotę położyć jej dłoń na swojej, aby porównać barwę skóry. Co za bzdury...

- Musimy odpocząć - powiedział zdecydowanym tonem. - Jutro stąd wyjeżdżamy.

Ramsey wrócił do hotelu Jerome w południe. Molly i Emma grały w wojnę, siedząc po turecku na wielkim łożu. Między nimi leżała talia kart.

- Nie, nie wstawajcie. Zostaliśmy dumnymi właścicielami toyoty z 1989 roku, z czterokołowym napędem i mnóstwem kilometrów na liczniku, trochę sfatygowanej, ale co z tego? Jest duża i prawie tak wygodna jak dżip.

Wyplacił maksymalną sumę z bankomatu AMEX i kupił toyotę za gotówkę.

- Nawet gdyby trafili tu za nami, minie dużo czasu, zanim znajdą dżipa na tym długoterminowym parkingu obok windy - dodał. Wiedział jednak, że nie są bezpieczni. Jeszcze nie.

- Czas się stąd wynosić - powiedział szybko. - Wystarczy wam piętnaście minut? Zrobimy zakupy i ruszamy na zachód.

Rozmawiał o tym z Molly wcześniej rano, zaraz po przebudzeniu.

- Przeczekamy tam tak długo, jak się da - powiedział wtedy. - Tak czy inaczej, będziemy już trochę bliżej mojego domu...

- Wiem, że nie możemy tutaj zostać - rzekła Molly cicho, bojąc się obudzić Emmę. - Dokąd chcesz pojechać?

- Do Truckee. Dobrze znam tamtejszą okolicę i uważam, że to będzie najlepsze wyjście. Na jakiś czas zaszyjemy się w Górach Sierra Nevada. W college'u miałem przyjaciela, który mieszkał nad jeziorem Tahoe.

Teraz Molly nie odezwała się ani słowem, dopóki nie zamknęły się za nimi drzwi łazienki. Emma w sypialni pakowała swoje rzeczy do powłoczki.

- Każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, z łatwością zauważy, że ściągnąłem z konta sporą sumę, a wydaje mi się, że w tym wypadku mamy do czynienia z profesjonalistami. Dlatego powinniśmy zniknąć im z oczu. Góry Sierra Nevada są bardzo piękne i znajdują się na uboczu. W porządku?

- Nigdy nie byłam nad jeziorem Tahoe - powiedziała Molly, porządnie składając ręcznik.

- Truckee to małe miasteczko, które cały rok żyje w oczekiwaniu na zimowy sezon i narciarzy. Latem zaglądają tam tylko amatorzy górskich wędrówek i wspinaczki. Emmie powinno się tam spodobać. Będziemy bezpieczni, Molly.

Podniosła wzrok znad ręcznika i spojrzała mu w oczy.

- Jak twoja noga?

- Znacznie lepiej. Zresztą sama widziałaś - obie z Emmą stałyście nade mną, kiedy zmieniałem opatrunek. Krawędzie rany trzymały się razem, to dobry znak. Skóra jest różowa, opuchlizna znikła. Trochę boli, ale to normalne.

- Naprawdę? Nie okłamywałbyś mnie chyba?

- Owszem, ale nie na ten temat.

- W porządku, w takim razie możemy jechać. - Odwróciła się i położyła rękę na klamce. - Nie musisz tego robić, naprawdę - rzuciła przez ramię. - Mam pieniądze, nie tylko tę gotówkę, którą ci pokazałam. Mam mnóstwo pieniędzy, od rodziców i to, co dostałam od Loueya po rozwodzie. Potrafię zapewnić Emmie bezpieczeństwo.

- Przestań, Molly. Nie mógłbym was zostawić, dopóki Emmie cokolwiek grozi.

Westchnęła i owinęła wokół palca przypominający korkociąg rudy lok.

- Wiem.

Otworzyła drzwi łazienki i przeszła do pokoju.

- Em, kochanie, jesteś gotowa? - zawołała. - Wiesz co? Kupię ci zamszowy worek na rzeczy, taki jak mój.

- Nie mogłabym dostać worka Strażników Mingusa? Twój wygląda tak jakoś strasznie wojskowo...

- Dobrze, niech będzie worek Strażników Mingusa. *Strażnicy Mingusa* to film rysunkowy dla dzieci - powiedziała Molly pod adresem Ramseya. - Występują w nim nie tylko dzielni chłopcy, ale także dzielne dziewczynki. Bardzo modny film.

Jechali przez cały dzień, noc i następny dzień. Molly i Ramsey prowadzili na zmianę. Do Truckee dotarli o szóstej wieczorem i zatrzymali się na noc w motelu Best Western.

Rano Ramsey poszedł do miejscowej agencji nieruchomości i przejrzał oferty domów do wynajęcia. Powiedział obsługującej go kobiecie, że nie chce bliźniaka ani domu w zabudowie szeregowej, ponieważ zależy im na absolutnym spokoju. Długo oszczędzali na te wakacje, mają gotówkę i nie chcą płacić kartą kredytową.

Jeżeli mu nie uwierzyła, nie dała tego po sobie poznać. Pokazała im najlepsze domy z oferty. Emma zakochała się w trzecim, niewielkim domu z dwiema sypialniami, tuż pod lasem, nad małą zatoczką. Za domem widać było porośnięte gęstym lasem góry; jezioro Tahoe znajdowało się w odległości zaledwie pięciu kilometrów. Było tu pusto i bezpiecznie.

Wszyscy byli zadowoleni.

Zapłacili pięćset dolarów za tydzień z góry, włącznie z depozytem. Zostawili rzeczy w domu i pojechali do supermarketu Food Giant, gdzie zrobili zakupy na kilka dni.

Kiedy wrócili do Nathan Creek, było już późne popołudnie. Emma spała spokojnie w ramionach Molly, więc Ramsey ostrożnie zaniósł ją do większej sypialni i otulił kocem. Potem zszedł na dół. Molly czekała na niego w kuchni. Podała mu szklanekę wody mineralnej z lodem.

- Chodź do pokoju - powiedział. - Czas na zwierzenia.

- Dobrze - odparła. - Masz rację, przyszedł czas. Musimy porozmawiać i spokojnie zastanowić się, co dalej.

Zaczekał, aż wygodnie usadowi się w dużym fotelu z przetartym obiciem.

- Przestań mnie zwodzić, Molly - rzekł poważnie. - Kim jesteś? Co przede mną ukrywasz?

- Jestem absolutnie pewna, że porwanie Emmy nie może mieć nic wspólnego z tym, czego ci nie powiedziałam.

- Molly, zaraz obleję cię szklanką zimnej wody!

- Zanim wyszłam za mąż, nazywałam się Margaret Lord.

Długą chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, wstrzymując oddech. Potem powoli wypuścił powietrze z płuc. Noga bolała go znacznie bardziej niż przed chwilą.

- Cholera jasna! - mruknął. - Czy to znaczy, że twoim ojcem jest Mason Lord?

Joe Elders uwielbiał te chwile tuż przed świtem, kiedy słońce jeszcze nie zaczęło wznosić się nad niskimi, skalistymi wzgórzami, odległymi o dwa kilometry od jego farmy. Stał na progu domu, wdychając przyjemnie chłodne powietrze, napełniając nim płuca i zanurzając się w spokoju i ciszy wczesnego poranka.

Słońce uderzyło go w oczy jasnym promieniem. Uśmiechnął się, mrużąc powieki. Usłyszał zniecierpliwione muczenie Millie. Zaraz po niej odezwało się sześć jej kuzynek. Czas zacząć dzień, czas wydoić krowy. Pogwizdując, ruszył w kierunku obory, nowej, pięknej obory, której budowę zakończył dopiero miesiąc temu, wyposażonej we wszystkie nowoczesne urządzenia.

Doradcy finansowi powiedzieli mu, że dzięki unowocześnieniu hodowli krów będzie miał nie mniejsze szanse na rozkręcenie interesu niż te wielkie mleczarnie, od których niedawno zaroilo się w okolicy. Na szczęście Joe miał na

to pieniądze. Był sprytny, naprawdę sprytny. Nie dał się zrobić w konia, o nie. Po tamtym zastrzyku gotówki nie musiał pożyczać ani centa.

Wszedł do obory i nagle przystanął. Mógłby przysiąc, że zaleciał go słodki, ciężki zapach marihuany Kopnął leżącą w przejściu starą rękawicę, którą uwielbiała żuć jego koza, i zaklął siarczyście. Tak jest, to marycha. Nancy znowu pali a przecież obiecała jemu i matce, że skończy z tym raz na zawsze. Marihuana, na miłość boską!

Dziewczyna ma szesnaście lat i jest bardzo popularna w szkole. Joe miał nadzieję, że nie nazbyt popularna. Nie, była jeszcze za młoda, żeby porządnie napalić się na jednego z tych chłopców, z którymi czasem ją widywał. Ale żeby palić to gównno... Cholera jasna!

Stanął na progu zagrody dla krów, witany chóralnym muczeniem. Większość brzmiała entuzjastycznie, lecz niektóre krowie głosy zdradzały duże zniecierpliwienie, Joe znał się na tym. Nie podobał im się ten nowy sprzęt, który od niedawna uwalniał je od ciężaru mleka.

Największą przeciwniczką nowoczesności okazała się Shirley. Ponieważ była jedną z najstarszych krów, tydzień temu Joe zdecydował, że sam będzie ją doił. Sprawiało jej to widoczną przyjemność i co jakiś czas leniwie odwracała głowę, aby przyjrzeć się, jak Joe rytmicznie pociąga jej wymiona.

Najpierw podłączył do automatycznej dojarki wszystkie pozostałe krowy. Trochę to trwało, ale Joe był przekonany, że niedługo nabierze wprawy. Potem wziął stołek i zaniósł go do przegrody Shirley, która stała nieruchomo, ociążała od mleka, obserwując zbliżającego się właściciela.

- Dzień dobry, staruszko! - zawołał Joe i mrugnął do niej.

Robił to codziennie rano od siedmiu lat. Pogwizdując, ustawił stołek na właściwym miejscu i usiadł.

- Zaraz będziesz o parę kilo lżejsza, starucho.

Tuż za sobą usłyszał nagle jakiś szelest. Gwałtownie odwrócił się na stołku i zobaczył stojącego nad sobą czarnoskórego mężczyznę. Obcy był

potężnie zbudowany, miał zimne, duże oczy i ogoloną na łyso głowę. Joe nie zdążył nawet zapytać, kim jest intruz. Na ramieniu poczuł ciężką, dużą dłoń i ujrzał, jak z góry spada na niego wielki młotek. Całe ciało Joe odczuło cios, chociaż dziwne, drżące odrętwienie, które go ogarnęło, nie było bolesne. Mrugnął raz, jakby ze zdziwieniem, a potem duża dłoń obcego puściła jego ramię.

Joe Elders padł na ziemię obok stołka, z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami utkwionymi w nabrzmiałe mlekiem wymiona Shirley.

## ***Rozdział 10***

- Słyszałem, jak Emma poruszyła się na górze. Mamy tylko parę minut, zanim zejdziesz do nas, więc rozmowę o twoim ojcu odłożymy na później. Teraz wróćmy do najważniejszej sprawy - musimy przyjąć do wiadomości, że ścigają nas zawodowcy, którzy z pewnością należą do jakiejś zorganizowanej grupy. Jeżeli chociaż raz użyjemy kart kredytowych, natychmiast nas znajdą, ale jeśli będziemy ostrożni, twoje trzy tysiące i moje dwa powinny wystarczyć nam do czasu, kiedy wreszcie wypłaczymy się z tej afery.

Molly pomyślała, że tylko raz w życiu musiała liczyć się z pieniędzmi, dokładnie przez trzynaście miesięcy. Odeszła z bogatego domu i zaczęła radzić sobie sama, ale nie trwało to długo. Potem trafiła do nowego domu. Od bogatego ojca do bogatego męża... Przez ostatnie dwa lata była znowu sama, wzięła się do pracy i była z tego bardzo zadowolona.

Uśmiechnęła się szeroko, chyba pierwszy raz od dawna.

- Pójdę wyszorować toaletę - oświadczyła.

- Mamo, znowu żartujesz!

Emma zbiegła na dół, wypoczęta i pełna energii. Molly przyciągnęła ją do siebie, uściskała i soczyście pocałowała w ucho.



- Nie, kochanie, wcale nie żartuję - powiedziała. - No, może trochę. Jak ograłam Ramseya w pokera, wtedy on będzie musiał umyć klozet, co ty na to?

Emma przechyliła głowę na bok.

- Lepiej zagraj z nim w wojnę, może ci się uda. Ostatnim razem to ja ograłam cię w pokera, pamiętasz?

- Dzięki za słowa zachęty, moje dziecko. No dobrze, jeszcze o tym pomyślę. Pewnie dam mu mata?

- Mata daje się w szachach, mamusiu.

- Wiem, ale może wpadnę na pomysł, jak zastosować mata w pokerze. Hej, macie ochotę na hot dogi na kolację?

- Och, tak! Ramsey robi najpyszniejsze hot dogi na świecie. Wtykamy parówki na metalowe wieszaki i trzymamy je nad ogniem w kominku.

Ramsey siedział w dużym fotelu, z rękami założonymi na brzuchu i nogą wspartą na poduszce.

- Będziesz musiała bardzo się postarać, żeby wygrać z moimi hot dogami, Molly.

- Za to ja wiem, jak przyrządza się pyszny piankowy deser. Ten sekret zdradziła mi rodzina babci, która była Włoszką. Mój deser sprawi, że Emma szybko opuści twoje okopy, Ramsey.

- Zobaczymy, zobaczymy. Mam w zanadru kilka innych pysznych rzeczy, na przykład pyszną zwykłą musztardę. Skąd wiesz, że mat to pozycja w szachach, Emmo?

- Mój chłopak nauczył mnie grać w szachy.

- Masz chłopaka, Em?

- Ma na imię Jake. Jest głupi, ale to mój chłopak, i już.

Ramsey przewrócił oczami.

- A masz też mądrego chłopaka?

- Nie, Ramsey! Mądrzy chłopcy są zwykle ohydni!

- Zaraz, ja byłem kiedyś niegłupim chłopakiem i wcale nie byłem ohydny!

- Czy to było dawno temu?

- Tak, kiedy byłem mały.

- Taki jak ja?

Ramsey z powagą spojrzał w skupioną, zwróconą ku niemu buzię.

- Nie, Em, nigdy nie byłem taki mały jak ty.

Zachichotała. Naprawdę zachichotała! Ramseyowi zrobiło się ciepło wokół serca. Molly spojrzała na nich z uśmiechem.

- Cieszę się, że teraz jesteś starszy - powiedziała Emma i położyła rękę na opatrunku na jego nodze. - Rana nie jest już ciepła Ramsey.

- Nie. Teraz cały jestem w temperaturze pokojowej.

Poklepała go po ramieniu i pobiegła do kuchni, żeby pomóc matce. Był to miły, spokojny wieczór, w czasie którego żadne z nich ani słowem nie wspomniało o wiszącym nad ich głowami mieczu Damoklesa, ani o mocno związanym ze światem przestępczym ojcu Molly. Grali w gry słowne, potem Ramsey zaczął uczyć Emmę czytać, układając wyrazy z plastikowych liter, które kupił jeszcze w Dillinger.

Dziewczynka była bardzo inteligentna i bystra. Tuż przed dziewiątą wieczorem umiała już napisać jego imię, a także imię matki i swoje własne.

- Wystarczy zetknąć najlepszego nauczyciela na świecie z najmądrzejszym dzieckiem na świecie, i proszę, oto efekty - rzekł Ramsey, nachylając się nad stołem, aby przeczytać ostatnie ułożone przez Emmę słowo - UBIKACJA...

Oboje zapakowali Emmę do łóżka w dużej sypialni.

- Zostawić zapaloną lampkę, Em?

- Nie, mamusiu. Dziś też będziesz spała ze mną?

- Tak - odparła Molly spokojnie. - Jeżeli Ramsey obudzi się w nocy i poczuje się samotny, będzie mógł porozmawiać z nami przez ścianę.

Emma uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Długo stali, wpatrując się w dziecko, które odmieniło życie każdego z nich.

- Ułożyła moje imię - powiedział Ramsey. - Potem użyła go w zdaniu. Zdumiewające.

- Odziedziczyła inteligencję po matce. - Molly roześmiała się cicho. - Widziałam to zdanie: MÓJ RAMSEY JEST MĄDRY. Tak, to nawet nieźle brzmi. Uwierzysz, że napisała też UBIKACJA?

- I to bezbłędnie. Zaśmiewała się przy tym do rozpuku. Skąd ma takie włosy?

- Po ojcu - rzuciła krótko.

Nie powiedziała nic więcej. Dlaczego ojciec Emmy nie wrócił do Stanów, kiedy dowiedział się o porwaniu? Ramsey wiele razy zadarł sobie to pytanie. Po prostu nie wyobrażał sobie, że ojciec może nie szaleć z niepokoju o dziecko. Wydawało mu się to niemożliwe. Rozwód rodziców niczego przecież nie zmieniał, jeśli chodzi o ich uczucia w stosunku do dzieci.

- Chodźmy na dół - powiedział. - Teraz, kiedy Emma zasnęła, musisz opowiedzieć mi o swoim ojcu.

- Powinnam najpierw zadzwonić do Mecklina i Anchora. Kompletnie o nich zapomniałam...

- Wcale nie zapomniałaś, ale to bez znaczenia. Zadzwon, kto wie, może dowiedzieli się czegoś nowego.

- Wierzysz w to?

Poprosiła o połączenie z detektywem Mecklinem. Po minucie oczekiwania gwałtownym ruchem odłożyła słuchawkę.

- Próbują namierzyć telefon - warknęła. - Znam ich sztuczki. Dranie!

- Chyba masz rację. Zadzwonimy rano. Nie przejmuj się, nie mieli dość czasu, aby sprawdzić centralę.

- Nie wątpię, że wiesz o tym znacznie więcej ode mnie.

- Daj spokój, Molly. Na szczęście nie musimy ukrywać się przed policją.

- Nie chcę, żeby dostali jawn swoje łapy. Mogliby zabrać ją i postawić przed całym oddziałem lekarzy, psychiatrów. Bóg wie, kogo jeszcze. Emma

świetnie sobie radzi, powoli wychodzi z szoku. Boję się ryzykować, zresztą ty też się bałeś. Ona musi mieć spokój, to najważniejsze.

- W porządku. Wiesz co? Zadzwońmy do Dillona Savicha, tego mojego przyjaciela z Waszyngtonu. Może on wie, co jest grane.

- Kim właściwie jest ten twój przyjaciel?

- Informatykiem, specem od komputerów, a przy okazji agentem FBI. Zaufaj mi, Molly, Savich pod żadnym względem nie przypomina agenta Anchora. To on razem ze swoją partnerką, teraz żoną, Sherlock, rozwikłał sprawę Opiekacza w Chicago. Pamiętasz to?

- Ten młody facet, który mordował całe rodziny?

- Tak. Russel Bent.

- Kogoś takiego jak on chyba nigdy nie zwolnią z więzienia, co?

- W tym wypadku możesz zaufać systemowi, Molly. Bent do końca życia nie wyjrzy z więziennego szpitala psychiatrycznego.

- Może masz rację... Pamiętam jednak także przypadek zabójcy z Bostonu, który uciekł po tym, jak sędzia kazał przenieść go do szpitala psychiatrycznego na badania. Dziennikarze nazywali go Mordercą z Linką, pamiętasz?

- Pamiętam. Rzeczywiście tak było.

Rzuciła mu długie, zaczepne spojrzenie.

- Dobry system, co?

- Słuchaj, Molly, nasz system prawny zwykle działa zupełnie prawidłowo, ale ponieważ jego wykonawcami są ludzie, zdarzają się pomyłki. Powinnaś być trochę bardziej obiektywna.

Molly westchnęła ciężko i podeszła do wysokiego okna, wychodzącego na łąkę i płynący niżej strumień, wezbrany po wiosennych roztopach. Daleko, na szczytach gór, śnieg lśnił w świetle księżyca.

- To naprawdę piękne miejsce - odezwała się. - Zadzwońisz do Dillona Savicha?

- Tak. Zapomniałem o tym, bo zaczęliśmy rozmawiać na inny temat. Chciałbym powiedzieć mu, kim jesteś, ale oczywiście Dillon nie podejmie żadnych kroków bez twojej wiedzy, w porządku?

Molly skinęła głową.

Ramsey wybrał numer z telefonu stacjonarnego. Po trzech sygnałach ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę i Ramsey się przedstawił.

- Zdajesz sobie sprawę, że jest pierwsza w nocy? - zapytał Savich. - Nie, nic nie szkodzi. Gdzie jesteś? Widzę, że masz włączony mikrofon. Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

- Słyszałeś o przypadku porwania w Denver? Chodzi o dziewczynkę, Emmę Santera.

- Słyszałem. Zaczekaj, nic nie mów - masz z tym coś wspólnego?

Ramsey krótko opowiedział mu o wszystkim, co wydarzyło się do chwili ich przyjazdu do Kalifornii.

- Teraz wszystko jest w porządku, mamy bezpieczną kryjówkę - zakończył. - Pani Santera nie chce, aby ktokolwiek wiedział, gdzie jesteśmy.

- Nawet FBI? Nawet policja? Wszystko to razem wydaje mi się bardzo dziwne, Ramsey.

- Wiem, ale wykrzesaj z siebie jeszcze odrobinę cierpliwości. Możesz mi powiedzieć, co się dzieje w Denver? Czy w jakiś sposób dotarło może do ciebie, co mówi o tej sprawie agent Anchor?

Savich wybuchnął głośnym śmiechem.

- Co mówi Bud? Bud teraz nie mówi, tylko wrzeszczy. Odgraża się, że oskarży panią Santera o utrudnianie śledztwa. Z trudem mi przyjdzie trzymać gębę na kłódkę, Ramsey, ale będę milczał jak Hiob, dopóki nie pozwolisz mi mówić. Wyobrażasz sobie, co działałby się w kwaterze głównej FBI, gdyby ktoś się dowiedział, że jestem zamieszany w tę sprawę i że ja przekazuję ci nasze wewnętrzne informacje?

- A co z tą półciężarówką? Podaliśmy policji w Denver i agentowi Anchorowi trzy nazwiska, które od ciebie dostałem.

- Z pierwszej wersji wynikało, że półciężarówką została skradziona w zeszłym miesiącu z farmy mleczarskiej w Loveland w Kolorado. Kradzież zgłosiła żona farmera. Potem mąż oświadczył, że samochód wcale nie został skradziony. Zznał, że sprzedał go bez wiedzy żony. Kto wie, być może kupili go porywacze. To by grało nie sądzisz?

- Masz rację.

- Zastanówcie się, czy jednak nie lepiej się ujawnić. Były jeszcze jakieś próby porwania dzieciaka?

- Nie. W każdym razie nie odkąd tu jesteśmy.

- Dokładnie rozważ wszystkie za i przeciw, Ramsey. Sprawa wydaje mi się dość śliska. To chyba coś więcej niż zwykle porwanie. Masz jakieś pomysły?

- Może. Słuchaj, zostaniemy tu przez pewien czas. Zadzwoń w piątek, jeżeli nic się wcześniej nie wydarzy. Dzięki, stary.

- Nie martw się, upomnę się o dług.

- Słyszysz Sherlock, czy tylko mi się wydaje? Ucałuj ją ode mnie.

- Nigdy w życiu! Jesteś facetem z jej marzeń, twardym i zdecydowanym na wszystko. Po twoich ostatnich popisach na sali sądowej, mówię o tych w stylu macho, i tak trudno mi będzie utrzymać jaz daleka od ciebie. Nie, żadnych całusów, absolutnie! Uważaj na siebie, Ramsey, i dzwoń bez wahania, gdybym mógł coś dla ciebie zrobić.

- Dziękuję, Savich. - Ramsey powoli odłożył słuchawkę. - Słyszałaś wszystko?

Molly skinęła głową.

- A teraz koniec z unikaniem tematu. Opowiedz mi o ojcu. Milczała.

- Molly, twoim ojcem jest Mason Lord. Najwyższy czas, żebyśmy zastanowili się nad rolą, jaką mógł odegrać w tych wydarzeniach. Nie sądzę,

aby był w to bezpośrednio zamieszany, ale nie możemy wykluczyć, że któryś z jego wrogów kazał porwać Emmę, żeby wyrównać z nim rachunki.

W zamyśleniu gładziła dłonią lekkie lniane zasłony.

- Myślę, że uprzedziłby mnie, gdyby liczył się z takim niebezpieczeństwem.

- Nie wątpię, ale może niczego nie podejrzewał. Nie zaprzeczysz chyba, że Mason Lord ma wrogów, i to takich, którzy chętnie ujrzeliby go na kolanach? Zastanawiałaś się, skąd ci wszyscy ludzie, którzy za nami węszą. Być może to jest właśnie odpowiedź na twoje pytanie.

Nadal stała tyłem do niego. Powoli zasunęła zasłony i spuściła głowę. Milczała. Ramsey zauważył, że jest boso. Paznokcie jej stóp pomalowane były na jasnoróżowy kolor, lakier odprysnął już w kilku miejscach.

- Kiedy ostatnio rozmawiałaś z ojcem?

- W zeszłym tygodniu.

- I powiedziałaś mu, co się stało?

Kiwnęła głową.

- Powiedz mi coś, Molly. Kiedy ostatni raz widziałaś się z ojcem?

- Nie twoja sprawa! To nie ma nic wspólnego z porwaniem Emmy!

Przestań mnie dręczyć!

- Zależy mi tylko na tym, żebyśmy wyszli z tego cali i zdrowi. Utrudniasz mi to zadanie, bo ciągle coś przede mną ukrywasz. Kiedy to było, Molly? Zasługuję chyba na odrobinę szczerości...

- No dobrze, ale ta informacja jest zupełnie bez znaczenia, sam się o tym przekonasz. Ostatni raz widziałam się z nim trzy lata temu.

Ramsey zerwał się na równe nogi, uderzając fotelem o podłogę.

- Trzy lata temu?! Dlaczego, na miłość boską?!

Odwróciła się twarzą do niego, ale nie podeszła bliżej.

- Emma skończyła wtedy trzy lata - powiedziała. - Mój ojciec przyleciał do Denver w dzień jej urodzin, ale to nie był prawdziwy powód jego wizyty. Był wściekły na mojego męża i uznał, że musi z nim porozmawiać.

- I zrobił to?

- Tak. Po tej rozmowie Louey trafił do szpitala z dwoma złamanymi żebrami, odbitą nerką i siniakami na całym ciele, z wyjątkiem twarzy. Doszedł do siebie dopiero przed Bożym Narodzeniem.

- Co takiego zrobił Louey?

- Nie chcę o tym mówić. To nie ma nic wspólnego ze sprawą. Nie mam zielonego pojęcia, czy może mieć coś wspólnego z tą sprawą, Molly. Wiesz przecież, że Louey jest moim byłym mężem. Rozwiedliśmy się dwa lata temu. Nie kłamałam, mówiąc Emmie, że jej ojciec bardzo się o nią martwi. Louey zadzwonił zaraz po tym, jak dowiedział się o jej zniknięciu. Jeśli mam być szczerą, bardzo mnie tym zaskoczył. Zadzwonił pierwszy, zanim zdążyłam się z nim skontaktować. Wydało mi się to o tyle dziwne, że od naszego rozstania w ogóle się nią nie interesował. Dzwonił z Berlina, po koncercie. Pamiętam dokładnie, co powiedział - że ktoś znajomy z Denver zawiadomił go o jej porwaniu. Zapytał, czy już ją odzyskałam. Kiedy zaprzeczyłam, przez chwilę robił wrażenie zaniepokojonego i przygnębionego, zaraz jednak roześmiał się i powiedział, że mój ojciec zapłaci za Emmę każdą sumę, więc nie powinnam się martwić. I zaczął opowiadać, jak układa mu się trasa koncertowa. Pochwalił się, że jakaś dziennikarka z „Berliner Zeitung”, Fraulein reporter, tak ją chyba nazwał, porównała go do Bruce’a Springsteena. Mówił, że Europejczycy mają lepszy gust niż Amerykanie, co znaczy, że on sam cieszy się większą popularnością w Europie, i że może przedłuży trasę do końca roku. Szczegółowo opowiedział o wszystkich swoich europejskich podbojach i ani słowem nie wspominał więcej o Emmie. Policjantka, która słuchała go razem ze mną, miała oczy okrągłe ze zdziwienia. Uwielbiała Loueya i modliła się, żeby zadzwonił, bo wtedy mogłaby usłyszeć ten jego słynny seksowny głos, ale kiedy



usłyszała, co ten seksowny głos mówi, zmieniła zdanie. Gdy odłożyłam słuchawkę, ze współczuciem poklepała mnie po ramieniu. Zaczęłam płakać, a ona klepała mnie dalej. Myślała chyba, że rozpaczam z powodu rozstania z Loueyem i że jego łózkowe zwierzenia są dla mnie ciosem w samo serce...

- Przypominam sobie teraz, że prasa niewiele pisała o waszym rozwodzie - odezwał się Ramsey. - Nie było żadnych plotek o zdradach, narkotykach czy kłótniach, tylko krótkie oświadczenie o niezgodności charakterów. Dziennikarze bardzo szybko przestali się tym interesować.

- Mój ojciec jest potężnym człowiekiem. W tym wypadku wykorzystał swoje możliwości w dobrej sprawie. Prasa rzeczywiście szybko dała nam spokój, dokładnie po dwóch dniach. Byłam mu za to bardzo wdzięczna...

Spojrzała na swoje paznokcie. Na palcu wskazującym prawej ręki pozostał ślad po musztardzie. Zlizwała go szybko.

- Molly?

- Louey, ojciec Emmy, nigdy jej nie chciał. Wydaje mi się, że po naszym rozstaniu poczuł ulgę, między innymi dlatego, że dziecko zupełnie nie pasowało do wizerunku symbolu seksu i gwiazdy rocka. To zabawne, ale Emma jest chyba nie mniej uzdolniona muzycznie od niego. Może nawet bardziej...

- Skąd Louey wiedział o porwaniu Emmy? Powiedziałaś, że zaskoczył cię telefonem.

- Też się nad tym zastanawiałam. Niewykluczone, że rzeczywiście zadzwonił do niego ktoś ze znajomych z Denver, a Louey szybko doszedł do wniosku, że jako troskliwy tatuś lepiej wypadnie w prasie. Zresztą, kto wie, jak to było.

- Ciekawe, kto pofatygował się, żeby się z nim skontaktować...

- Nie wiem, byłam zbyt zdenerwowana, żeby go o to zapytać. Louey zna mnóstwo dziennikarzy, więc może to ktoś z nich.

- Ma jakiegoś bliskiego kumpla z tej branży?

- Tak. Nazywa się James Hicks i pracuje dla „Denver Post”. Dlaczego pytasz?

- Bez specjalnego powodu. Po prostu lubię gromadzić informacje. Więc jak, zadzwonisz do ojca i powiesz mu, że Emma jest bezpieczna?

- Powinnam to zrobić. Bardzo się przejął, kiedy zadzwoniłam do niego zaraz po porwaniu. Wiedziałałam, że natychmiast przyśle do imię swoich ludzi i nie pomyliłam się. W sześć godzin po naszej rozmowie zgłosiły się do mnie dwie kobiety i mężczyzna. Gliniarze z Denver dostali kota ze złości, atmosfera była gęsta od podejrzeń i wzajemnych oskarżeń. Zignorowałam ostrzeżenia policji i powiedziałam tamtym wszystko, co wiedziałam. Dlaczego miałabym tego nie zrobić? Chcieli mi pomóc, ojciec zapłacił im za to, żeby szukali Emmy. Widziałam ich jeszcze kilka razy, ale w gruncie rzeczy nie wiem, czy udało im się zdobyć jakieś informacje. Rozmawiali ze mną o różnych tropach i możliwościach, lecz ja zaraz potem wyjechałam.

- Mówiłaś im, że zamierzasz szukać Emmy na własną rękę?

- Nie. Zaczekaj, zaraz do niego zadzwonię. Przynajmniej on nie będzie próbował namierzyć mojego telefonu. - Zamilkła na moment i rzuciła Ramseyowi pytające spojrzenie. - Ciekawe, czy ojciec podejrzewa, że to porwanie może mieć coś wspólnego z nim... Założę się, że tak. I wiem jedno - jeżeli dowie się, kto to zrobił, nie zawaha się nasłać na niego płatnego zabójcę.

## ***Rozdział 11***

Nasłać płatnego zabójcę... Powiedziała to tak łatwo i naturalnie. Ile razy musiała słyszeć te słowa, gdy była dzieckiem?

- No to dzwonię... Zaraz, zaraz, a co, jeżeli tamci mężczyźni zjawili się wtedy, aby uratować Emmę i wzięli cię za porywacza? To zrozumiałe, że próbowaliby się ciebie pozbyć, a potem cię śledzić. O Boże, można tak roztrząsać tę sprawę bez końca. Głowa mnie od tego rozboleła, Ramsey.

- Świetnie się składa, bo mnie rozboleła noga. Tę teorię można było brać pod uwagę do chwili, kiedy ty wkroczyłaś na scenę. - Myślisz, że nie widzieli twojego zdjęcia? I nie mieli pojęcia, że jesteś córką ich szefa? Dzwon, Molly. Chciałbym wiedzieć, co twój ojciec ma do powiedzenia. Z komórki, dobrze? I podejdź tutaj, żebym wszystko słyszał.

Usiadła na poręczy fotela i zaczęła wybierać numer. Kierunkowy 312, Chicago i przedmieścia willowe, na przykład Oak Park. Jasne, gdzieś indziej mógłby mieszkać Mason Lord... Tylko w najlepszej dzielnicy. Ramsey zobaczył, jak dłoń Molly zaciska się na telefonie.

Dlaczego przez trzy lata nie widywała się z ojcem?

Po dwóch sygnałach w słuchawce odezwał się głęboki, urzekająco miły męski głos.

- Miles? To ja, Molly.

- Tak, Molly? Masz jakieś wiadomości o Emmie?

- Z Emmą wszystko w porządku. Odzyskałam ją. Dziękuję, że zapytałeś. Chciałabym sama zawiadomić o tym tatę.

- Zaczekaj chwilę. Boże, co za ulga! Pan Lord potwornie się denerwował.

- Dobrze słyszysz? - zapytała Ramseya, który znajdował się w odległości dziesięciu centymetrów od słuchawki.

- Tak, bardzo dobrze.

W słuchawce mniej więcej przez dwadzieścia sekund panowała cisza.

- Molly? Emma jest bezpieczna?

- Cześć, tato. Tak, Emma jest ze mną. Znalazłam ją. Nic jej nie jest.

- Czegoś tu nie rozumiem... Moi ludzie nie dawali ostatnio znaku życia. Czy policja w Denver wie, że ją odnalazłaś?

- Tak. Nie podoba im się, że udało mi się to zrobić bez nich.

- Opowiedz mi wszystko. Molly wzięła głęboki oddech.

- Wiesz, że kiedy policja i FBI nie popchnęli sprawy na krok, sama wyruszyłam na poszukiwania. Myślałam, że twoi ludzie o tym wiedzą. Tak czy

inaczej, znalazłam ją. Uratował ją pewien facet i po dziesięciu dniach wpadłam na ich trop. Emma jest teraz bezpieczna, ale na pewien czas zostaniemy tu, gdzie jesteśmy.

- Nie ma powodu, żebyście się ukrywały, Molly. Wracajcie do domu. Nie wątpisz chyba, że zdołam zapewnić wam odpowiednią ochronę?

- Na razie nie wrócimy, tato. W tę sprawę zamieszanych jest sporo osób, nie tylko sam porywacz. Nie chcę ryzykować. Zostanę z Emmą w ukryciu, dopóki ci ludzie nie przestaną się nią interesować. - Molly ścisnęła słuchawkę tak mocno, że kostki jej palców zupełnie pobieleły. - To nie jest zwyczajne porwanie...

- Ale przecież policja dostała list z żądaniem okupu!

- Tak. Odebrali ten list po tym, jak odzyskałam Emmę. To był blef. Rozumiesz coś z tego?

- Nie, ale pomówię o tym z Buzzem. Zastanawialiśmy się już, czy przypadkiem nie jest to sprawka jednego z moich wrogów. Nieważne, najważniejsze, że Emma jest z tobą. To ogromna ulga. - Mason Lord westchnął. Molly wyobraziła sobie, jak przeczesuje palcami włosy, energicznie, lecz nie na tyle mocno, aby je potargać. - Na razie trudno mi coś powiedzieć, ale nie podoba mi się to wszystko. Ilu ludzi widziałaś?

- Prawdopodobnie czterech. Udało nam się ich zgubić. Teraz jesteśmy w całkowicie bezpiecznym miejscu.

- Dobrze. Zaraz zadzwonię do Buzza Carmena. Nadal jest w Denver. W jaki sposób zorientowałaś się, że ktoś was śledzi?

- Jechali za nami, więc zjechałam z autostrady i ukryłam się za stacją benzynową. Kiedy nas mijali, zanotowałam numer rejestracyjny ich wozu. Pewien znajomy dowiedział się, że ta półciężarówka została jakoby skradziona farmerowi z Loveland w Kolorado. Żona farmera zgłosiła policji kradzież, a zaraz potem jej mąż przyznał się, że po prostu sprzedał samochód, niewykluczone, że właśnie porywaczom. Przekazałam numery rejestracyjne

policji w Denver i FBI. Byłabym wdzięczna, gdybyś ty również je sprawdził, tato. - Podyktowała ojcu numer czarnej półciężarówki.

- Zapisałem. Na pewno nie powiesz mi, kto zdobył dla ciebie te informacje?

- Nie mogę.

Mason Lord znowu westchnął.

- Cóż, dobrze. Wracaj do domu, Molly.

- Zadzwoń jutro. Emma czuje się dobrze i jestem przekonana, że tamci ludzie nie zdołają nas znaleźć.

- A ten człowiek, który uratował Emmę? Kto to jest? Skąd pewność, że możesz mu ufać?

- Gdybym nie mogła mu zaufać, byłoby już po mnie, tato. Wierz mi, to najbardziej godny zaufania człowiek na świecie. Odezwę się jutro.

Wyłączyła komórkę i położyła ją na stole.

- Dobrze, że nie musisz się do niego zwracać per „ojcze chrzestny”.

Uśmiechnęła się do niego. Był to czarujący uśmiech, ciepły i szczery. Miała szerokie usta i bardzo białe zęby. Ojciec Ramseya był dentystą, dlatego on zawsze zwracał uwagę na zęby świeżo poznanych osób. Pomyślał teraz, że jego ojciec na pewno byłby zachwycony stanem uzębienia Molly. Podobał mu się także jej uśmiech. Odnosił wrażenie, że Molly powoli przestaje się bać.

- Mason Lord jest bardzo przystojny - powiedziała. - Prawdziwy czarnowłosy Irlandczyk: jasna skóra, włosy jak atrament, proste i gęste, tylko odrobinę przyprószone siwizną na skroniach, oczy tak intensywnie błękitne, że kobiety wprost nie mogą oderwać wzroku od jego twarzy. Nie czuje się zbyt swobodnie w roli ojca dorosłej córki, a tym bardziej dziadka, ale jakoś sobie z tym radzi. Moja matka podpowiedziała mi, żebym mówiła do niego po imieniu, ale zupełnie mi to nie wychodziło. On też nie mógł do tego przywyknąć. W końcu powiedziałam mu, że robię to wbrew samej sobie, wtedy rozłożył ręce, roześmiał się i kazał mi dać sobie z tym spokój. Od czasu, gdy po rozwodzie

rodziców wyprowadziłam się razem z matką, mówię do niego „tato” i chyba mu to nie przeszkadza...

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Mason Lord może mieć ludzkie cechy, na przykład poczucie humoru. Nie jesteś do niego podobna, Molly.

- Nie. Najbardziej przypominam swoją babkę, która w latach pięćdziesiątych była aktorką. Nie zrobiła kariery, bo nie była ani piękna, ani fotogeniczna. Potrafiła świetnie grać, ale okazało się, że to nie wystarczy.

- Nie można powiedzieć, że masz przeciętną urodę, chyba wiesz o tym?

Rzuciła mu wspaniały, szeroki uśmiech.

- Powinieneś zobaczyć moją matkę, to prawdziwa piękność w wielkim stylu. Ma pięćdziesiąt pięć lat, ale mężczyźni nadal oglądają się za nią na ulicy. Myślę, że i ona, i ojciec byli niemile zaskoczeni, kiedy stwierdzili, że nie odziedziczyłam urody po żadnym z nich.

Najwyraźniej naprawdę wierzyła w to, co mówi... Czy aż tak długo nie przeglądała się w lustrze?

- Gdzie mieszka twoja matka? Jak ma na imię?

- Alicia. Mieszka w pobliżu Livorno, we Włoszech. Stamtąd pochodzi jej rodzina. Ona i ojciec rozwiedli się, kiedy miałam osiem lat. Potem przez dziewięć miesięcy w roku mieszkałam z nią, a trzy miesiące wakacji spędzałam z ojcem. Na stałe przyjechałam do Stanów dopiero na studia. Skończyłam Vassar i od tego czasu, czyli już od jakichś siedmiu, ośmiu lat widujemy się z mamą tylko raz do roku.

- Wie o porwaniu Emmy?

- Nie sądzę, chyba że przeczytała o tym w jakiejś włoskiej gazecie, ale nie wydaje mi się, aby ta wiadomość dotarła aż tam. Nie chciałam jej niepokoić.

- Twój ojciec nie ożenił się ponownie...

- Och, tak, ożenił się, prawie trzy lata temu. Jego druga żona ma na imię Eve i jest o dwa lata młodsza ode mnie.

- Mówisz, że Emma jest muzykalna. Gra na pianinie albo na innym instrumencie?

- Nie chcesz dłużej słuchać o Eve, prawda? Nie dziwię ci się. Eve obrzuciłaby cię jednym baczny spojrzeniem i oblizalaby się łakomie, oczywiście jeżeli ojca nie byłoby w pobliżu. Niedawno zadzwoniła do mnie jedna z dawnych przyjaciółek mamy i uraczyła mnie całym mnóstwem opowieści o Eve Lord. Ta pani jest nauczycielką w szkółce niedzielnej, więc chyba można jej wierzyć. Chociaż nigdy nie wiadomo, może sama miała ochotę złowić mojego ojca... Nieważne. Emma gra na fortepianie.

- Jutro kupię jej przenośne pianino na dwie oktawy. Chciałbym usłyszeć, jak gra.

- Dziękuję, Ramsey.

- Dlaczego przez trzy lata nie spotykałaś się z ojcem?

Stała dość daleko od niego, lecz bez trudu zauważył, że zeszywniała.

- Czy dlatego, że tak źle obszedł się z twoim mężem? - zapytał cicho.

- Dobry z ciebie sędzia śledczy.

- Wiem, ale to nie ma nic wspólnego z moim zawodem. Nie jestem wścibski, po prostu usiłuję się zorientować, co dzieje się wokół ciebie i Emmy. Pomóż mi.

- Częściowo z powodu, który podałeś.

- Ale tylko częściowo, słyszę to w twoim głosie. Powiedz mi całą prawdę, Molly.

- Zgoda. Louey zagroził, że odbierze mi Emmę, jeżeli kiedykolwiek zobaczę się z ojcem. O ile pamiętam, nazwał go „wyjątkowym skurwysynem”.

- Dlaczego?

- Louey znienawidził go, ponieważ ojciec dowiedział się czegoś o nim...

- Czego?

Westchnęła głęboko.

- Louey mnie zbił.

Ramsey poderwał się z fotela, chwycił się za nogę. Lzę stłumionym okrzykiem bólu opadł na siedzenie.

- Ten chuderlawy, pajacowaty sukinsyn ośmielił się uderzyć ciebie?! Podniósł na ciebie rękę?!

- Tak. Nie wyobrażaj sobie, że odegrałam w tym wszystkim rolę bezbronnej ofiary, o nie. Powiedziałam mu, że jeżeli jeszcze kiedykolwiek mnie tknie, zabiję go. Nie wiem, czy uwierzył, ale ja wiedziałam, co mówię i nie wątpię, że Louey to wyczuł.

- Dziwne, bo nie sędzę, aby miał choć odrobinę inteligencji...

- Zdarzyło się to trzy lata temu. Zaraz potem jedna z moich przyjaciółek dowiedziała się, co zrobił Louey, i zadzwoniła do mojego ojca. Mason natychmiast przyjechał do Denver i osobiście stłukł Loueya na kwaśne jabłko. Powiedział mu też, że zabije go, jeżeli jeszcze raz mnie uderzy. Louey uświadomił sobie, że wpadł w poważne tarapaty, ale ponieważ nie potrafił znieść upokorzenia, zabronił mi widywać się z ojcem.

- Rzeczywiście zabiłabyś go, gdyby cię uderzył?

- Prawdopodobnie nie, ale nie zawahałabym się go zostawić. Tamten pierwszy i jedyny raz uderzył mnie chyba dlatego, że właśnie otrzymał bardzo mamą recenzję swojej nowej płyty, *Niebezpieczna głębina*, i był naprawdę wściekły. Tego samego dnia ja dostałam zawiadomienie od redakcji pewnego czasopisma, że moje zdjęcia zostały przyjęte do publikacji. Ogarnęła go zazdrość, co było po prostu śmieszne, jeżeli porówna się oba te wydarzenia. Ale on nie widział w tym nic zabawnego i wyładował na mnie swoją złość.

- Nie przypominam sobie, aby w prasie czy telewizji pojawiła się wiadomość o niedyspozycji Loueya Santery...

- Nie, nie było o tym żadnej wzmianki. Ojciec wezwał lekarza do domu, by go opatrzył. Rok później wyrzuciłam Loueya z domu.

- Dlaczego zwlekałaś z tym tak długo? - Ramsey uniósł lekko brwi.



Molly westchnęła, uświadamiając sobie, jak dobrze i łatwo jej się z nim rozmawia.

- Chciałam dać mu jeszcze jedną szansę, oczywiście ze względu na Emmę. Nie był to dobry pomysł. Kiedy Louey w końcu się wyprowadził, była to czysta formalność. Prosto ode mnie przeniósł się do jednej ze swoich kochanek.

- Molly zaśmiała się niewesoło. - Mój ojciec zadbał, abym przy rozwodzie dostała więcej, niż Louey miał. Louey był wściekły, ale nic nie mógł na to poradzić. Próbował znowu szantażować mnie Emmą, lecz nie dałam się nabrać. Powiedziałam mu, że zabiję go, jeśli tylko spróbuje ją zabrać, i wiem, że tym razem uwierzył bez żadnych zastrzeżeń.

- Dlaczego nie widywałaś się z ojcem, kiedy byłaś już po rozwodzie?

- Istnieją dwa powody - odparła powoli. - Kiedy ludzie zadają mi to pytanie, zwykle mówię, że Eve nie chce, aby widywano ją w towarzystwie pasierbicy, która jest starsza od niej. No i sprawa Emmy... Eve i przyszywana wnuczka? Aż strach myśleć!

- A drugi powód? Ten prawdziwy?

Molly nerwowo potarła ramiona.

- Większość osób, które słyszały o moim ojcu, wyobraża sobie, że jest on bardzo bogatym, szacownym biznesmenem.

Mason inwestuje w wynalazki opracowywane w Dolinie Krzemowej, w telekomunikację, ma tartaki na północnym zachodzie, sieć restauracji na południu i mnóstwo innych firm i przedsięwzięć. Nigdy nie został o nic oskarżony, ba, nigdy nie padł na niego choćby cień podejrzenia. Jego księgowi to specjaliści najwyższej klasy, więc nie ma żadnych problemów z fiskusem. Tylko ludzie tak dobrze zorientowani jak ty wiedzą, że Mason Lord balansuje na krawędzi dwóch światów, że do jego specjalności należy także ściąganie długów, wymuszenia, organizacja prostytutki, praktycznie wszystko poza narkotykami, których nienawidzi z całego serca. Moja matka wykazała się wielką mądrością. Zaraz po rozwodzie wywozła mnie daleko, aż do Włoch,

dzięki czemu dorastałam z dala od jego wpływów. Pamiętam, że zawsze płakała, kiedy na początku wakacji odwoziła mnie na samolot do Stanów. Nie chcę, aby Emma zbyt często widywała mojego ojca. Matka trzymała mnie z dala od niego i ja mam zamiar zrobić to samo. Chciałabym, żeby moja córka miała względnie normalne dzieciństwo.

- „Naśle płatnego zabójcę”... Tak powiedziałaś.

- Masz rację, wyrwało mi się. Sam widzisz, jak łatwo można przesiąknąć tego rodzaju atmosferą. Czy miałam się zgodzić, aby Emma poznała takie słownictwo? Kiedy pomyślę, na kogo mogłaby wyrosnąć, stykając się z moim ojcem, robi mi się zupełnie... Dostyc tego. Na pewno jesteś już zmęczony moimi wyznaniem, panie Hunt. Powinniśmy się trochę przespać. Nie znasz jeszcze Emmy - o szóstej rano będzie gotowa do zabawy i rozświergotana jak skowronek.

- Wiem. Kiedy postrzelili mnie w nogę, doczekała do siódmej. Obudziłem się i poczułem, jak gładzi mnie po ramieniu... - Ramsey zamyślił się na chwilę. - Emma jest wspaniałym dzieckiem, Molly.

- Wiem. Och, wiem.

- Zrobimy wszystko, żeby była bezpieczna.

- Wiem...

W środku głębokiej nocy Molly poderwał z łóżka przeraźliwy krzyk. Chwyła córkę w ramiona i potrząsnęła nią lekko.

- Em, obudź się, skarbie! Obudź się!

Potrząsnęła nią znowu. Ramsey stanął w progu. Serce waliło mu jak oszalałe, w rękę trzymał rewolwer. Molly usiadła i wzięła dziecko na kolana.

- Obudź się, kochanie, obudź się! Wszystko w porządku. Jestem przy tobie, Ramsey też tu jest. Obudź się, Emmo!

Emma nagle wygięła się do tyłu, potem wyprostowała się i z całej siły objęła matkę ramionami. Jej drobnym ciałem wstrząsały dreszcze, szlochała głośno. Ramsey szybko usiadł obok nich na krawędzi łóżka i otoczył je

ramieniem. Dopiero po chwili, kiedy Emma trochę się uspokoiła, odgarnął z jej twarzy splątane, wilgotne od potu włosy.

- Wszystko w porządku, Emmo. Naprawdę, nic się nie dzieje. Jesteśmy przy tobie. Nie ma tu nikogo oprócz nas.

Powoli przestała dygotać. Ponad głową dziewczynki spojrzał na Molly. Jej oczy były pełne niepokoju, usta ściągnięte. Dostrzegł w nich głęboki ból i bez trudu zrozumiał, co czuje, ponieważ sam czuł to samo.

- On mi się śnił, mamó - odezwała się Emma dziwnym, nieswoim głosem.  
- Przywiązał mnie do łóżka za ręce i nogi cienkim sznurkiem. Powiedział, że nie potrzeba grubszego, bo jestem tylko małą dziewczynką. Że jestem idealna i on potrzebuje mnie bardziej niż Bóg jego. Że nie potrzebuje nikogo z wyjątkiem mnie. Owinął mnie sznurkiem jak paczkę...

Zamilkła. Ramsey i Molly czekali, zrozpaczeni i wstrząśnięci, lecz Emma nie powiedziała już ani słowa. Długo tulili ją do siebie.

- Zasnęła - szepnęła w końcu Molly. - Dziękuję, Ramsey. Położę się teraz obok niej.

Minęło sporo czasu, zanim sama zapadła w sen. Obudziła się, czując mokry pocałunek Emmy na policzku. Emma chwyciła ją za ramię i pociągnęła. Molly przewróciła się na bok i wtuliła twarz w kark córeczki.

Ramsey ocknął się bardzo wcześnie. Nie mógł przestać myśleć o koszmarnym śnie Emmy. Cienki sznurek... owinął ją sznurkiem jak paczkę. Nie potrzebował grubszego sznurka, bo była tylko małą dziewczynką...

Gdyby dostał go w swoje ręce, najprawdopodobniej zabiłby go bez wahania. Czy zdecydowałby się powierzyć takiego zbrodniarza systemowi sprawiedliwości, ufając, że zostanie mu wymierzona należyta kara? Nie był tego pewien. Po prostu nie wiedział, co by zrobił. A przecież powinien wiedzieć... Cicho stanął w progu drugiej sypialni, patrząc na pogrążone we śnie Emmę i Molly. Nagle dobiegł go cichutki, ledwo słyszalny szept.

- Ramsey?

- Dzień dobry, Emmo. Dobrze spałaś?

- O tak. Mama mocno się do mnie przytuliła, widzisz? To bardzo miłe, ale muszę iść do łazienki.

Molly zachichotała głośno. Pocałowała Emmę w szyję i powiedziała, że najpierw obie pójdą do łazienki, a później wszyscy zjedzą po miseczce płatków z mlekiem i bananami, oczywiście bez tych obrzydliwych brzoskwiń.

Ramsey wrócił do łóżka i aż po szyję przykrył się kołdrą. Nie był w stanie zrozumieć Loueya Santery i wcale nie dziwił się, że Mason Lord postanowił sam go ukarać. On także z przyjemnością zamieniłby z nim parę słów. Kiedy schodził do kuchni, do głowy przyszło mu pewne pytanie. Ciekawe, czy przed tym incydentem Molly kochała swojego męża...

## ***Rozdział 12***

Emma była tak podniecona, że o mało nie wyskoczyła ze skóry. Zaczęła grać na dwuoktawowym pianinku, kiedy tylko je zobaczyła. Ramsey stał za nią, ze zdumienia nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Emma grała sonatę Mozarta, która była motywem przewodnim w starym filmie pod tytułem *Elwira Madigan*.

Wszyscy sprzedawcy ze sklepu z zabawkami zgromadzili się dookoła niej razem z przybyłymi na zakupy dziećmi i ich rodzicami. W milczeniu obserwowali, jak małe palce Emmy biegają po klawiszach tej zabaweczki, bo przecież trudno było nazwać to instrumentem, wydobywając z niej niewiarygodnie piękną muzykę.

Ramsey spojrzał na Molly. Widział, że podśpiewywała cicho, słuchając gry córki. Wyglądała przy tym tak, jakby występ Emmy nie był niczym nadzwyczajnym. Bez wahania kupił pianino.

- Szkoda, że nie ma prawdziwego fortepianu - powiedziała sprzedawczyni. - Jest bardzo utalentowana. Od dawna gra?

- Odkąd skończyła trzy lata - odparła Molly. - Jesteśmy tu na wakacjach i zapomnieliśmy zabrać z domu przenośne pianino, ale to wystarczy na te kilka tygodni.

- Zdumiewające - westchnęła kobieta. - Po prostu zdumiewające. Macie państwo śliczną, wyjątkowo uzdolnioną dziewczynkę.

Ramsey skinął głową.

- Tak, ma pani rację - rzekł.

Poczuł, jak ciepła łapka Emmy wślizguje się do jego dłoni i przytulił ją do swojej nogi, która bardzo ładnie się goiła. Ramsey brał teraz nie więcej niż cztery aspiryny dziennie. Zastanawiał się, czy Emma pamięta swój koszmarny sen. Chciał zapytać ją o to, ale szybko się rozmyślił. Nie, Emma powinna porozmawiać o tym z lekarzem specjalistą. Wiedział, że musi spróbować dowiedzieć się o nazwisko jakiegoś dobrego psychiatry dziecięcego.

- Sądysz, że z Emmą wszystko jest w porządku? - zapytał cicho, otwierając drzwiczki samochodu.

- Nie wiem - odpowiedziała Molly. - Nie pytałam ją. Po ubiegłej nocy boję się bardziej niż kiedykolwiek.

- Wydaje mi się, że powinniśmy poszukać miejscowego psychiatry, który specjalizuje się w leczeniu dzieci. Co o tym myślisz?

Zastanawiała się długą chwilę, w końcu potrząsnęła głową.

- To za duże ryzyko. Myślę, że na razie lepiej będzie, jeśli zapewnimy jej całkowity spokój i poczekamy, aż odzyska poczucie bezpieczeństwa.

Wiedziała jednak dobrze, że Emmę nieprędko przestaną dręczyć te straszne sny. Zmarszczyła mocno brwi, aby nie okazać, jak bardzo chce jej się płakać.

Ramsey nie był do końca przekonany, czy jest to dobre rozwiązanie. Emma siedziała na tylnym siedzeniu toyoty, przyciskając do piersi duże pudło z pianinem. Miała zamknięte oczy. O czym myślała? A może wyobrażała sobie,

że nadal gra? Ramsey modlił się, aby jej myśli krążyły wokół muzyki, nie wokół tego, co ją niedawno spotkało.

Mniej więcej kilometr za centrum handlowym zauważył jadącą za nimi hondę civic. Na szosie numer 89, jedynej drodze prowadzącej z Truckee nad jezioro Tahoe, nie było zbyt wielu samochodów. Do miejsca, w którym skręcali w Alpine Meadows Road, zostało jeszcze ponad dziesięć kilometrów. Nie zdradził się ze swoją obserwacją, lecz co parę minut zerkał w lusterko. W końcu nie miał już żadnych wątpliwości, że są śledzeni.

- Molly, odwróć się do tyłu i sprawdź, czy widzisz numery rejestracyjne tej hondy dwa samochody za nami. Raczej nowy, szary wóz. Postaraj się zrobić to dyskretnie, dobrze? Nie chciałbym, żeby się zorientowali.

Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, dostrzegł jednak paniczne przerażenie w jej oczach. Potem pojawił się w nich twardy chłód, ten sam, z którym patrzyła na niego parę dni temu, gdy o świcie wpadła do chaty w górach.

Spojrzała na Emmę. Dziewczynka wyglądała przez okno, nadal mocno trzymając tekturowe pudło. Wyglądało na to, że w ogóle nie słyszała ich ostatniej wymiany zdań. Byli już bardzo blisko skrętu, kiedy wreszcie udało jej się odczytać tablicę.

- FARB 333 - powiedziała. - To za łatwe. Śmieszna rejestracja! Jesteś pewien, że jadą za nami?

- Nie, ale nie zamierzam ryzykować. Masz rewolwer?

- Oczywiście. Co chcesz zrobić?

- Skręcimy i zobaczymy, co oni na to. Dwóch mężczyzn, prawda?

- Tak mi się wydaje. Są ostrożni i cały czas trzymają się z tyłu. Nie widzę, czy są to ci sami faceci... Moja komórka została w domu, ładuje się.

- Nie szkodzi. Zadzwonimy i prześlemy ich numer zaraz po powrocie do domu...

Jeżeli w ogóle wrócimy do domu, pomyślał niespokojnie.

- Ramsey, widzę litery „A” i „R” na ich tablicy - odezwała się Emma. - Jestem pewna, bo akurat te dobrze zapamiętałam. Są w naszych imionach. Przyda mi się jeszcze jedna lekcja.

Ramsey spojrzał na Molly.

- Świetnie, Em - powiedziała. - Ja też widzę „A” i „R”. Są tam jeszcze „F” i „B”, ale to trudniejsze litery. Dziś wieczorem poukładamy sobie wyrazy, żebyś mogła się ich nauczyć.

- Niepotrzebnie pojechaliśmy po pianino dla mnie. W ten sposób nas znaleźli. To wszystko moja wina. - Drobną twarz dziewczynki była bardzo blada.

- To nie jest twoja wina - rzekł Ramsey dobitnie. - Nie mów tak, bo będę musiał na cały tydzień wziąć cię na dietę bez hot dogów. Nie bój się, Emmo. Nic nam się nie stanie, zobaczysz.

Molly odwróciła się twarzą do córki.

- Posłuchaj uważnie, Em - jeżeli ktokolwiek spróbuje mi cię znowu zabrać, zastrzelę go, choćby to był sam prezydent, rozumiesz?

- Tak, mamusiu.

- Sprawdź swój pas, Emmo.

- Jest zapięty, Ramsey.

Skręcili w prawo, w Alpine Meadows Road. Motel River Ranch znajdował się na rogu po lewej, po przeciwnej stronie duży sklep ze sprzętem narciarskim i alpinistycznym, chyba zamknięty. Wysoko w górach leżało jeszcze sporo śniegu, lecz perspektywa ostatnich zjazdów zwabiła do motelu niewielu chętnych, na parkingu stało więcej niż sześć samochodów. Ramsey miał cichą nadzieję, że honda civic też skręci na parking. Dzień był pogodny i dość ciepły.

- Pójdiesz ze mną na wycieczkę w góry po południu, Emmo? - zapytał. - Może będziemy mieli szczęście i zobaczymy całe mnóstwo zwierząt - lisy, jelenie, ptaki i króliki.

Rzeczy, które kupił dla niej w Dillinger, doskonale nadawały się na taką wyprawę. Starał się odwrócić uwagę od jadącego z tyłu samochodu, ale bezskutecznie.

- Chcesz z nami pójść, Molly?

- Może, zobaczymy. Jesteś głodna, maleństwo?

- Nie wiem, mam. Staram się zobaczyć tych ludzi w samochodzie. Myślicie, że to ci sami, którzy byli w restauracji w Kolorado?

- Nie mam pojęcia - odparła Molly. - Są za daleko. Ramsey spojrzął we wsteczne lusterko. Toyota minęła wjazd na parking przed motelem. Cholera jasna! Teraz nie było już między nimi żadnych innych samochodów. Tamci ciągle trzymali się dobre sto metrów z tyłu.

- Są za nami - rzucił. - Pojadę prosto, aż do tego wielkiego ośrodka wypoczynkowego. Jest tam duży objazd. Potem ruszymy w kierunku Tahoe City, to tylko kilkanaście kilometrów na wschód. Nie pozwolę im zbliżyć się do naszego domu.

Dostrzegł, że Molly wyjęła swego Detonicsa i położyła go na siedzeniu. Sam także wyciągnął naładowaną i gotową do strzału broń. Pod wyciągami koło ośrodka wypoczynkowego zaparkowanych było jakieś pięćdziesiąt samochodów, w tym mniej więcej dwanaście z czterokołowym napędem w pobliżu kas biletowych. Śnieg był brudny i wyraźnie się topił.

Ludzie, którzy przyjechali jeździć w takich warunkach, mogli być tylko albo profesjonalnymi, albo początkującymi narciarzami. Ramsey powoli przejechał przed budynkami, okrążył je i znowu znalazł się na Alpine Meadows Road, zmierzając w stronę głównej drogi.

Honda civic zwolniła pod rzędem kasowych okienek, ale nie zatrzymała się. Ramsey wiedział, że tak będzie. Zastanawiał się, czy tamci zdają sobie sprawę, że zostali zauważeni. Na drodze natychmiast przyspieszył. Po dotarciu do skrzyżowania z autostradą 89 skręcił w prawo, w kierunku Tahoe City. W samochodzie panowało pełne napięcia milczenie.



Zastanawiał się, jak zgubić hondę w małym, turystycznym mieście. W Tahoe City królowały niezliczone restauracje i bary, kioski z pamiątkami oraz wypożyczalnie sprzętu narciarskiego. Było tam także duże centrum handlowe z licznymi arkadami i ścieżkami spacerowymi. Uznał, że będzie to najlepsze dla nich miejsce.

Przypomniał sobie, że centrum znajduje się po prawej stronie, na obrzeżach miasta. Będzie musiał pozbyć się toyoty. Szkoda, ale przecież nie miał wyboru. Zerknął we wsteczne lusterko i stwierdził, że na razie droga za nimi jest pusta. Skręcił na rozległy parking i zahamował przed samym wejściem do centrum.

- Wsiadamy, szybko!

Chwycił pudło z pianinem Emmy i w ciągu pięciu sekund znaleźli się w środku.

- Idźcie prosto przed siebie, Molly. Za minutę spotkamy się przy tylnym wyjściu.

W kompleksie handlowym kręciła się tylko garstka ludzi. Widział, jak Molly szybko idzie w kierunku wyjścia, obejmując Emmę ramieniem. Sam został na chwilę przy drzwiach, którymi weszli. Nie musiał długo czekać. Honda podjechała wolno i zatrzymała się. Jej kierowca zdążył już dostrzec toyotę. Ramsey nie musiał wiedzieć nic więcej.

Przebiegł przez centrum, potrącając kilka osób i wypadł na zewnątrz. Dogonił Molly i Emmę koło małej restauracji.

- Wejdźcie do toalety w tej restauracji - rzucił. - Za pięć minut tu podjadę. Czekajcie na mnie przy drzwiach. Pięć minut, z zegarkiem w ręku.

Zawrócił do centrum. Nigdzie nie widział tamtych z hondy. Obszedł budynek i wszedł na parking. Honda stała na jednym z bocznych miejsc, pusta. Uśmiechnął się. Po czterech i pół minutach był przed restauracją, a Molly otwierała drzwiczki samochodu.

- Doskonale. Emmo, jest ci wygodnie? - Tak, Ramsey. Mam pianino.

Trzymała pudło tak mocno, że kostki jej paluszków były zupełnie białe.

- Trzymaj się, mała. Zaraz damy stąd nogę.

- Czy oni pojedą za nami?

Ramsey spojrzał na Molly. Wjeżdżali już na autostradę.

- Nie, trochę im to zajmie, zanim ruszą z miejsca. Zabrałem zakrętkę od wlewu paliwa z ich samochodu. Najprawdopodobniej mają telefon komórkowy i zaczną teraz dzwonić do swoich mocodawców. Zgubiliśmy ich, ale ponieważ wiemy, gdzie nas szukać, nie możemy ryzykować powrotu do tamtego domu.

Dziesięć minut później byli na autostradzie 80 i jechali na zachód.

- Nie poszliśmy na wycieczkę w góry, Ramsey.

- Pójdziemy jeszcze nie raz, Emmo, zobaczysz.

Po trzech i pół godzinie znaleźli się na moście Golden Gate. Dzień był słoneczny, choć nieco chłodny. Wymarzony dzień na robienie pięknych zdjęć, pomyślał Ramsey. Mgła dopiero zaczynała zbierać się pod łukami mostu.

- Czy to aby na pewno dobry pomysł, Ramsey?

- Nie wiem, ale mam dosyć ciągłego uciekania, Molly. To mój teren, więc tu bez trudu znajdziemy pomoc. Rozmawialiśmy o tym wcześniej i wydawało mi się, że zgadzasz się ze mną.

- Ale ci ludzie szybko się dowiedzą, kim jesteś i wtedy znowu nas dopadną!

Ramsey zaklął pod nosem.

- Masz rację. Nie wiem, dlaczego o tym nie pomyślałem. Założę się, że już teraz wiemy, co lubię jeść na śniadanie. Spokojnie... Zatrzymamy się w moim domu tylko na godzinę, żebyśmy mogli przebrać się, spakować trochę rzeczy i zadzwonić w parę miejsc. Jeszcze dziś po południu polecimy do twojego ojca. Przykro mi, Molly, ale nie widzę innej możliwości, chyba że chcesz pójść na policję w San Francisco.

- Nie - warknęła. - Rzeczywiście nie mamy innej możliwości, prawda? Dobrze, polecimy do Chicago. Nadal nie zamierzam narażać Emmy na setki pytań ze strony policji, psychologów i psychiatrów, nie mówiąc już o FBI. Jeżeli agent Anchor jest typowym przedstawicielem FBI, to włosy stają mi dęba na samą myśl o tym, co mogliby zrobić z Emmą.

- Anchor nie jest typowym przedstawicielem FBI, ale nieważne. W takim razie jedziemy do Chicago. Kiedy poczujesz, że nadszedł odpowiedni moment, skontaktujemy się z tamtejszą policją.

- Chyba już wcześniej powinnam poprosić ojca o pomoc. Mason zapewniłby Emmie lepszą ochronę niż wszyscy ludzie z FBI i policji razem wzięci. Jest przestępcą, to prawda, ale stanie na głowie, żeby Emma była bezpieczna.

- W porządku, skorzystamy z jego pomocy. Pozwolimy mu zatroszczyć się o Emmę.

Molly zamknęła oczy. Po chwili skinęła głową i uśmiechnęła się do nich.

- Spójrz, Em. Tam jest wyspa Alcatraz. Jeszcze w latach pięćdziesiątych to szare gmaszysko pełniło funkcję więzienia dla najbardziej niebezpiecznych kryminalistów.

- Ładna wyspa. Chyba chciałbym tam zamieszkać.

- Czytałam, że dawali więźniom posiłki wartości sześciu tysięcy kalorii dziennie. Chcieli ich utuczyć, żeby nie byli w stanie uciec i dopłynąć do brzegu. Myślę, że karmili ich głównie hot dogami i fasolą. I na pewno nie pozwalali im dużo spacerować.

Ramsey zerknął w lusterko i rzucił dziewczynce pogodny uśmiech.

- Nie wyobrażaj sobie tylko, że piekli wbite na wieszaki parówki nad ogniem, Emmo. Założę się, że po prostu je gotowali.

- Blee...

Ramsey skręcił w Scenie Drive, wiodącą przez piękną, starą dzielnicę miasta, zwaną Sea Cliff.

- Te domy znajdują się najbliżej zatoki. Mój ma numer dwadzieścia siedem i stoi na samym końcu.

- Wiedziałaś, że sędziowie federalni muszą sporo zarabiać, ale żeby aż tyle? - odezwała się Molly. - Ten dom na pewno sporo cię kosztował, Ramsey.

- Rzeczywiście jest dużo wart, ale nie kupiłem go. Dostałem go po dziadkach, razem z okrągłą sumą. Nie jestem tak bogaty jak ty, lecz głód mi nie grozi. Roztacza się stąd nieprawdopodobnie piękny widok. Kiedyś tu wrócimy, Emmo, i urządzimy sobie barbecue na trawniku za domem. Będziemy siedzieć i patrzeć, jak mgła napływa od Golden Gate, podobna do przejrzystych białych palców. Zawsze uwielbiałem mgłę. W domu jest także fortepian, na którym grywał jeszcze mój dziadek. Był wspaniałym człowiekiem.

Ledwo otworzył drzwi, a już poczuł okropny odór zgnilizny. Niemożliwe, pomyślał. Stał na progu salonu i natychmiast się cofnął. Pokój był kompletnie zrujnowany. Ktoś wybebeszył najwyższej jakości sprzęt do słuchania muzyki i z wściekłością go podeptał. Na drewnianej podłodze poniewierały się potłuczone płyty CD. Wszystkie meble zostały poprute ostrym narzędziem.

Ramsey wszedł do kuchni, gdzie odór zaatakował go z całą siłą. Drzwi lodówki stały otworem. Ktoś rozrzucił resztki jedzenia po podłodze. Talerze i naczynia były potłuczone, z wyszarpiętych na siłę szuflad sterczały pogięte srebrne sztuce. Czyjeś pełne nienawiści ręce po prostu wymiotły wszystko z szafek, niszcząc bez opamiętania.

- Nie wchodź tu, Emmo - powiedział.

- Och, nie... - jęknęła Molly, zatrzymując Emmę w progu.

Po paru minutach Ramsey wiedział już, że włamywacze nie zapomnieli o żadnym pokoju. Wszedł do swojego gabinetu, pięknego pokoju o ścianach wyłożonych dębową boazerią, z oknami wychodzącymi na Marin Headlands. Antyczne biurko z roletowym przykryciem na blacie było poorane głębokimi rysami, jego szuflady zostały połamane na drobne kawałki, a papiery, które się w nich znajdowały, rozrzucono po całym pokoju.

Na cennym dywanie leżały stosy książek z powyrywaniem kartkami. Ukochany skórzany fotel Ramseya był pocięty nożem, ktoś odpiłował nóżki fortepianu, który leżał na boku, z wyrwanymi klawiszami. Dom stanowił obraz kompletnej dewastacji. Czego szukali? Jakiegoś wyjaśnienia więzi, które połączyły go z Molly i Emmą?

- Strasznie mi przykro, Ramsey - przemówiła Molly. - Naprawdę strasznie mi przykro... To my sprowadziłyśmy to na ciebie...

Dopiero po paru sekundach w pełni dotarło do niego znaczenie jej słów. Odwrócił się powoli i ujął jej rękę.

- Kiedy to zobaczyłem, byłem wściekły i litowałem się nad sobą, ale teraz, po tym, co powiedziałaś, uświadomiłem sobie, że ten dom jest tylko miejscem do życia, niczym więcej. Jeśli kiedyś dopadnę tego, kto to zrobił, z przyjemnością skopię mu tyłek, lecz Emma znaczy dla mnie dużo więcej niż kupa zwykłych gratów. Nawet nie potrafię tego porównać, rozumiesz mnie, Molly?

Kiwnęła głową.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego ktoś wykazał się takim bezmyślnym okrucieństwem. Mogli przecież po prostu przeszukać dom, nie musieli wszystkiego niszczyć...

- Ja też nic z tego nie rozumiem, ale z czasem dowiemy się, o co chodzi.

- Mam nadzieję.

Schyliła się i podniosła z podłogi wielki atlas ze złamanym grzbietem i poszarpanymi kartkami. Usiłowała je rozprostować. Robiła wrażenie zupełnie otepiącej. Delikatnie wyjął książkę z jej rąk.

- Pomóż mi się spakować - poprosił. - Potem zadzwonię do kilku osób i pojedziemy na lotnisko.

Okazało się jednak, że ani jedna sztuka ubrania nie była cała. Włamywacze pocięli na kawałki nawet komplet skórzanych walizek, które dostał na gwiazdkę od rodziców.

Telefon nie działał, więc poszli do automatu na rogu California Avenue i Gough. Pierwszą rozmowę odbył z przedstawicielem firmy zajmującej się sprzątaniami, drugą z Dillonem Savichem, trzecią z Virginią Trolley z policji w San Francisco. Na końcu zadzwonił do linii lotniczych i wstąpił do pobliskiego banku.

- Jedziemy - powiedział po wyjściu z banku, uśmiechając się do Emmy. - Szykuje się podniecająca przygoda, i przynajmniej w tej chwili jestem bogatszy od twojej mamy. - Podał małej dwudziestodolarowy banknot. - Weź to, Emmo, i schowaj na później.

Molly rzuciła mu pytające spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Jej córka starannie złożyła banknot i wsunęła go do pudła z pianinem.

- Trochę już mnie zmęczyły te podniecające przygody - oświadczyła Emma. - Chciałabym, żebyśmy dla odmiany mieli trochę spokoju.

- Może kupimy trochę ubrań dla Em na lotnisku - rzekła Molly.

Ramsey zmarszczył brwi.

- Jeśli pamiętam, nie ma tam żadnego sklepu z odzieżą dla dzieci. Nie mamy czasu na wyprawę do miasta. Myślę, że na lotnisku kupimy jej koszulę, a już w Chicago dokładnie zajmiemy się garderobą. Także naszą.

## ***Rozdział 13***

Ktoś mógłby pomyśleć, że w pomieszczeniu nie dzieje się zupełnie nic, wystarczył jednak lekki ruch palca, aby ciszę przerwał gwałtowny szelest rozdieranego papieru. W piersi mężczyzny ział teraz otwór o poszarpanych brzegach, a dookoła unosił się ostry zapach prochu.

Gunther kiwnął głową i odwrócił się.

- Nieźle - skomentował cicho.

- Jak to, nieźle? - odezwała się kobieta, podchodząc do celu i oglądając wyrządzoną szkodę. - Wręcz doskonale.

Gunther dmuchnął w wylot lufy, jednego z nielicznych dziesięciomilimetrowych automatów produkowanych w Europie, którym czasami lubił się chwalić. Powiedział jej kiedyś, że zna tylko jednego człowieka, który ma taką samą broń i potrafi się nią odpowiednio posługiwać. Jeszcze raz dmuchnął w lufę, chociaż nie unosił się nad nią najmniejszy dymek.

Przyszło jej do głowy, że jest to zupełnie symboliczny gest, wykonywany dla uczczenia pamięci rewolwerowców z Dzikiego Zachodu.

Bez słowa rzucił jej pełne irytacji spojrzenie.

- Nie lubisz być doskonały, Guntherze? - Podeszła bliżej i przesunęła palcami po jego przedramieniu i dłoni, kończąc tę dziwną pieszczotę muśnięciem lufy pistoletu.

Gunther milczał. Wiedział, że ona robi to, by doprowadzić go do szaleństwa, i usilnie starał się nad sobą zapanować. Była tak blisko, tak bardzo blisko... Na szczęście on nie był głupi. Nie mógł dotknąć jej nawet palcem, niezależnie od tego, jak bardzo go prowokowała. Nie, nie wolno mu było nawet okazać, że wie, na czym polega jej gra.

Miał wrażenie, że pan Lord również lubił te jej zabawy, może nawet zachęcał ją do nich. Niewykluczone, że stał teraz w mroku z tyłu galerii, obserwując ich i żując koniec cygara (nabrał tego przyzwyczajenia w ciągu ostatniego roku, kiedy rzucił palenie). Gunther odsunął się bez pośpiechu, trzymając pistolet w obu dużych dłoniach. Lubiał czuć dotyk zimnej, gładkiej stali w ciepłej ręce.

Pokręciła głową i roześmiała się.

- Pieścisz ten pistolet, jakby to była kobieta - rzuciła. - Co się z tobą dzieje, Guntherze?

- Ten pistolet jest narzędziem, które pomaga mi wykonywać moją pracę - odrzekł spokojnie. Jak zawsze uśmiechnął się uprzejmie i odwrócił się od niej. - Pan Lord ceni sobie moją broń - dodał przez ramię, na moment zatrzymując się w progu.

Chwilę patrzyła na niego w milczeniu, potem zaś parsknęła śmiechem, zginając się w pół.

- Mam nadzieję, że nie - wykrztusiła. - Naprawdę, mam nadzieję, że się mylisz, Guntherze...

Mocno zacisnął szczęki. Poczuł, jak od wewnątrz zalewa go fala wielkiego zażenowania, zupełnie jakby ktoś podsunął mu pod oczy jego czerwone wnętrzości. Nienawidził tego uczucia.

- Masz rację, Guntherze, bardzo cenię sobie twoją broń - usłyszeli nagle cichy głos, - Idź wyczyścić pistolet. Używałeś go dzisiaj wiele razy, ze znakomitym skutkiem.

- Tak jest, proszę pana.

Mason Lord odprowadził wzrokiem Gunthera i dopiero gdy ten opuścił strzelnicę, odwrócił się do swojej żony.

- Znęcasz się nad biednym Guntherem - rzekł z rozbawieniem.

- Tak, ale Gunther to łatwa zwierzyna. Przyniosłeś moją Lady Colt, Mason?

Skinął głową.

- Szkoda, że nie chcesz, bym nauczył cię strzelać z prawdziwego pistoletu, nie z tej zabaweczki.

Jej głos stwardniał. Było to nieco dekoncentrujące, ponieważ miała twarz anioła z włoskich fresków - drugie, gęste i bardzo jasne włosy, niebieskie oczy, których błękit przywodził na myśl letnie niebo.

- Jeżeli znajdę się wystarczająco blisko celu, moja Lady Colt spełni swoje zadanie - rzuciła. - Nie chcę mieć takiej broni jak biedny Gunther. To nieeleganckie.

Musiał się z nią zgodzić. Nie ulegało też wątpliwości, że odrzut dużego pistoletu przewróciłby ją na ziemię. Podał jej Lady Colt, cofnął się i obserwował, jak pakuje sześć kul prosto w pierś tekturowej postaci.

Spojrzała na niego i zdjęła tłumiące hałas słuchawki. Jej oczy błyszczały.



- I wcale nie musiałam pieścić jej dotykiem - mruknęła.

- Nie - powiedział, stając tuż za nią. - Lubisz pieścić tylko mnie, prawda?

Mimo tych podniecających słów nie reagował na nią tak jak zwykle. Jeszcze niedawno już leżałaby na plecach...

Odsunęła się, odkładając pistolet na stół.

- Ciekawe, co się dzieje z twoją córką.

- Parę godzin temu dzwoniłem do Buzza Carmena z Denver - oznajmił. - Mówi, że gliniarze nadal zachowują się jak ostatni idioci. Są na nią wściekli, bo udało się jej uratować własną córkę i próbują wytropić ją i tego faceta, który jest z nimi. Buzz uczestniczy w tej akcji z trzema swoimi ludźmi. Molly jest amatorką, a oni zawodowcami, więc wcześniej czy później na pewno ją znajdą. Przyznał, że nie wiedzieli o jej wyjeździe z Denver. Trzymali się od niej z daleka, bo miejscowi gliniarze bardzo im przeszkadzali.

- Może Molly i Emma jednak dostały się w ręce porywaczy, Mason. Musisz brać to pod uwagę.

- Molly jest sprytna. Jest amatorką, to prawda, ale nie brak jej inteligencji.

- Myślałam, że jest podobna do twojej pierwszej żony.

Spojrzał na nią ze zdumieniem i roześmiał się.

- Do Alicii? Molly uważa się za brzydkie kaczątko i chyba coś w tym jest. Rzeczywiście nie dorównuje Alicii urodą, lecz jest mądra. - Mason lekko zmarszczył brwi. - Pod tym względem jest raczej podobna do mnie. Szkoda tylko, że nie chce przyznać, iż mnie potrzebuje i przyjechać tutaj. Dobrze wie, że potrafię zapewnić bezpieczeństwo i jej, i Emmie.

- Założę się, że to ten facet o wszystkim decyduje, nie sądzisz?

- Nie mam nawet pojęcia, kto to jest. - Mason wziął żonę pod ramię. - Poprosimy teraz Milesa, żeby przygotował nam pyszną margeritę.

Nie zdążyli jeszcze dopić pierwszego drinka, kiedy w drzwiach salonu stanął Miles.

- Proszę pana, przyjechała Molly. Jest z nią Emma i jakiś człowiek, którego nie znam.

- Długo się zastanawiała - powiedział Mason Lord, powoli podnosząc się z fotela.

Postawił pucharek na marmurowym stoliku. Z holu dobiegł ich głos dziecka, wysoki, miękki, z nutą nie tyle przestachu, ile ostrożności.

- To bardzo duży dom, panie Miles.

- To prawda, Emmo.

- Jeszcze większy od tego, w którym mieszkaliśmy z tatą. Strasznie wysoki sufit...

Potem wszyscy troje stanęli w progu. Miles rzucił zza ich pleców pytające spojrzenie Masonowi.

- Wszystko w porządku, Miles. Zawołam cię, kiedy będziesz potrzebny.

Jego córka odwróciła się, kładąc rękę na ramieniu Milesa.

- Mógłbyś przynieść Emmie szklanek wody, Miles?

Miles spojrzał na małą dziewczynkę, która stała tuż obok matki, trzymając za rękę wysokiego mężczyznę.

- Może wolałabyś lemoniadę?

- Och, tak, panie Miles!

Mason Lord pomyślał, że minęły całe trzy lata, odkąd po raz ostatni widział córkę i wnuczkę. Mała była bardzo podobna do Alicii, chociaż miała ciemne włosy. Po ojcu, tym wiecznie napalonym draniu, który zawsze przypominał mu młodego Micka Jaggera. Emma miała teraz sześć lat, była wysoka i bardzo szczupła, i miała perłowobiałą skórę, jaką miewają tylko dzieci. Niewykluczone, że kiedy dorośnie, będzie jeszcze piękniejsza niż Alicia.

Pragnął, żeby Molly przyjechała do niego i namawiał ją, aby to zrobiła, lecz teraz, gdy zjawiała się tutaj z dzieckiem i tym potężnie zbudowanym, obcym mężczyzną, nie wiedział, jak się zachować. Co miał jej powiedzieć? Trzy lata... Trzy lata to długi okres i Mason nie mógł zapomnieć, że to jej zależało na

utrzymaniu dystansu między nimi. Ale teraz wszystko się zmieniło. I to nieodwołalnie.

- Witaj, Molly.

- Witaj, tato. Świetnie wyglądasz. - Molly spojrzała na Eve, która siedziała na żółtej brokatowej sofie, elegancka jak modelka z paryskich wybiegów, ubrana w obcisłe czarne dżinsy i białą bluzkę, zawiązaną w luźny supeł na płaskim brzuchu. - Dzień dobry, Eve. Dawno temu rozmawialiśmy przez telefon...

- Naturalnie, pamiętam. Bardzo się cieszę, że wreszcie możemy się poznać osobiście. Witaj, Molly.

- Tato, Eve, to jest Ramsey Hunt. To on ocalił Emmę, ja zjawiłam się dopiero później. Od kilku dni śledzi nas pięciu ludzi, może więcej. Są profesjonalistami. Nie mamy pojęcia, czego od nas chcą.

Wysoki mężczyzna odchrząknął.

- Zdecydowaliśmy się przyjechać tutaj, panie Lord, ponieważ ci ludzie odkryli, kim jestem. Baliśmy się, że nie będziemy w stanie zapewnić Emmie bezpieczeństwa. Oni są dobrzy, naprawdę dobrzy. Mamy nadzieję, że pod pana opieką Emmie nie będzie nic grozić.

Mason Lord podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że mogę pana poznać, sędzio Hunt.

Ramsey uściskał jego dłoń.

- Dziękuję. Wierzimy, że w pańskim domu Emma będzie bezpieczna i dlatego przyjechaliśmy...

- Ani na chwilę nie przyszło mi do głowy, że przyjechaliście z wizytą, sędzio Hunt. Tak, tak, wiem, kim pan jest, cała Ameryka zna przecież pana twarz. Jestem zdumiony, że to właśnie pan uratował Emmę.

Molly obserwowała ich z zapartym tchem. Wydawało się, że wszystko jest w jak największym porządku, lecz widziała, jak mierzą się wzrokiem i oceniają swoje siły. Przytuliła do siebie Emmę. Nie chciała tu przyjeżdżać, nie

chciała narażać małej na bliski kontakt ze swoim ojcem, ale naprawdę nie miała innego wyjścia.

Wiedziała, że Mason Lord nie pozwoli nikomu zbliżyć się do wnuczki, którą ostatni raz widział w dniu jej trzecich urodzin. Emma była krwią z jego krwi, kością z jego kości, więc będzie bronił jej wszelkimi sposobami.

- Ocalił pan Molly i jej córeczkę - rzekł Mason Lord miłym, głębokim głosem. - Dziękuję panu za to z całego serca. Jestem też bardzo wdzięczny, że przywiózł pan je tutaj. W moim domu będziecie całkowicie bezpieczni. Nikt, ani policja, ani ktokolwiek inny nie tknie Emmy bez pozwolenia jej matki.

- Dziękuję - rzekł Ramsey i mocno ścisnął rączkę Emmy, zastanawiając się, czy dokonał dobrego wyboru, powierzając życie dziewczynki, Molly i własne znanemu gangsterowi. - Prawdę mówiąc, Emma uratowała się sama. Uciekła porywaczowi do lasu, tam ją znalazłem i zabrałem do domu, w którym mieszkałem. Kilka dni później znalazła nas Molly.

Ramsey spojrzał na Emmę, która z otwartymi ustami wpatrywała się w zawieszoną nad kominkiem głowę nosorożca. Kiedy poczuła na sobie jego wzrok, lekko szarpnęła go za rękę i ruchem głowy wskazała trofeum dziadka.

- Ciekawe, czym czyszczony jest jego róg - powiedział. - Bardzo mocno błyszczący... Jak myślisz, Emmo?

Mocniej ścisnęła jego palce.

- Mydłem i wodą - odparła. - Mama zawsze mówi, że mydło i woda są najlepsze.

- Ludzie, którzy nas śledzą, na pewno odkryli już, dokąd poleciliśmy z San Francisco. - Ramsey znowu zwrócił się do Masona Lorda. - Na lotnisku musieliśmy pokazać dokumenty ze zdjęciami. Nie wątpię, że ktoś z obsługi nas zapamiętał, chociaż bilety kupowaliśmy osobno. Więc prawdopodobnie wkrótce się tu zjawia...

- Wzięliście taksówkę z lotniska O'Hare?

- Tak, do centrum. Emma nie miała żadnych ubrań na zmianę, podobnie jak Molly i ja. Nie prezentowaliśmy się zbyt dobrze. Z Michigan Avenue drugą taksówką pojechaliśmy na posterunek policji, gdzie przez chwilę pogadaliśmy z dyżurnym sierżantem, a trzecią taksówką przyjechaliśmy prosto do pana. Staraliśmy się być ostrożni, ale jestem pewny, że nas znajdą. Najprawdopodobniej już wiedzą, że tu jesteśmy. Mówiłem panu, że dobrze znają się na swojej robocie i bez wątplenia należą do jakiejś większej grupy. Molly podziela moją opinię.

Mason Lord z namysłem kiwnął głową.

- Dobry pomysł z tą wizytą na posterunku policji - zauważył. - Sądzę, że trochę zbiło ich to z tropu. Proszę, siadajcie. A co do większej, zorganizowanej grupy... Porozmawiamy o tym później. Ach, jest Miles i lemoniada!

- Pozwoliłem sobie przynieść cały dzbanek, proszę pana. Na pewno nie tylko Emma jest spragniona.

- Dziękuję ci, Miles - odezwała się Molly. I ciasto czekoladowe, które upiekłem dziś rano. - Miles nalał Emmie szklaneczkę lemoniady i rzucił jej pytające spojrzenie. - Lubisz ciasto czekoladowe, Emmo?

- Och, tak! Uwielbiam!

Ramsey się roześmiał.

- Proszę uważać, bo może pochłonąć wszystko. Od dość dawna nie jadła takich pysznych rzeczy.

Miles z uśmiechem lekko potargał włosy Emmy. Mason Lord ściągnął brwi. Patrzył, jak jego córka wyciera dłonie dziecka wilgotnymi chusteczkami higienicznymi, które przyniósł z kuchni Miles, i zastanawiał się, skąd jego lokaj wiedział, że się przydadzą.

Miles był jak jedna z tych cholernych stewardes, które w czasie lotu bez przerwy kręcą się dookoła pasażerów. Milczał, aż Molly, Ramsey i Emma wypili lemoniadę i zjedli ciasto. Oczywiście on sam nie wiedział, że w kuchni jest jakieś ciasto. Podobnie jak Emma, uwielbiał czekoladowe ciasto, ale Miles

mu go nie zaproponował, ani na lunch, ani teraz. Poprzedniego wieczoru Mason dostał na deser niskokaloryczną tartę, która nie zachwyciła go smakiem.

Spojrzał na swoją piękną żonę. Eve nie spuszczała wzroku z Molly, a jej twarz była kompletnie nieruchoma. Ciekawe, o czym myślała...

Ramsey Hunt był wysokim, świetnie zbudowanym mężczyzną. Cóż, można się było tego spodziewać, sądząc po tych wyczynach w sali sądowej. Nie ulegało wątpliwości, że dobrze dba o stan swoich mięśni, bo robił wrażenie mężczyzny, który jest w stanie poradzić sobie z każdym niebezpieczeństwem. I chyba był dosyć przystojny. Miał regularne rysy twarzy, oliwkową skórę, ale oczy zielone, co przeczyło włoskiemu pochodzeniu, chociaż ktoś to mógł naprawdę wiedzieć?

Wszyscy Amerykanie są mieszańcami, włącznie z nim, Masonem Lordem. Dobrze przynajmniej, że ma w żyłach sporo irlandzkiej krwi. Natomiast Eve jest rodowitą Szwedką, o czym najlepiej świadczy jej promienna uroda. Eve mówiła mu kiedyś, że jej ojciec zakochał się w niemieckiej hrabinie, ale nie ożenił się z nią. Dzięki temu Eve, jego piękna żona, jest czystej krwi Skandynawką. Tym razem Mason Lord wybrał bez pudła...

Znowu przeniósł wzrok na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Sędzia Ramsey Hunt z IX Okręgowego Sądu Federalnego w San Francisco... Kto by mógł pomyśleć, że to właśnie on znajdzie Emmę? Jak to się stało? Mason odchrząknął dyskretnie.

- Sędzio Hunt, powiedział pan, że natknął się pan na Emmę w lesie. Czy nie bała się pójść z panem?

- Była nieprzytomna. - Ramsey zauważył, że Emma przestała jeść i nastawiła te swoje małe uszka. - Opowiem panu o tym, kiedy Emma będzie w swoim pokoju, dobrze?

- Doskonale - zgodził się Mason. - Miles, daj im trzy pokoje.

- Emma i ja będziemy mieszkać w jednym pokoju, tato.

- Wobec tego dwa.

Ramsey odwrócił się do Molly.

- Twój ojciec chce wziąć mnie na spytki - powiedział cicho. - Zabierz teraz Emmę na górę.

Molly nie miała ochoty zostawiać go samego. Ramsey świetnie o tym wiedział.

- Proszę, Molly, idź z nią. Poradzę sobie.

- Nie - odparła. - Emma jest moją córką. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek wysłał mnie do kuchni po herbatę! Ramsey rozumiał, o co jej chodzi.

- Może trochę później - odezwał się do Masona. - Molly i ja chcielibyśmy pomóc Emmie rozgościć się w pokoju. Jeżeli potem Emma zgodzi się zostać z Milesem, zejdziemy na dół i udzielimy panu wszelkich możliwych wyjaśnień.

Mason Lord obrzucił córkę zimnym spojrzeniem.

- Zabierz dziecko na górę, Molly. Chcę porozmawiać z panem Huntem w cztery oczy, a ciebie i tak nie było przy tym, jak znalazł Emmę. Poza tym chciałbym jeszcze raz podziękować mu za to, że was tu przywiózł. Przestań się wygłupiać, Molly, nie jesteś już młodą kozą. Zabieraj dzieciaka. Sędzia Hunt i ja musimy omówić parę spraw...

Molly wstała, drżąc na całym ciele. To dziwne, że ojciec potrafi tak szybko doprowadzić mnie do ostateczności, pomyślała. Ale tym razem nie miała zamiaru zabierać swoich zabawek i zniknąć ze sceny. Zdaniem ojca powinna podkulić ogon i uciec chyłkiem... Podniosła głowę. Zbyt wiele przeszła, aby teraz pozwolić przejąć kontrolę nad swoim życiem. Musiała zachować spokój i nie okazywać, że nadal jest pod jego wpływem.

- Rozumiem - przerwała mu spokojnie i lekko dotknęła ramienia Emmy. - Nie jesteś już głodna, kochanie? Więc wytrę ci buzię, dobrze? No, to wychodzimy. Okazało się, że to miała być tylko krótka wizyta. Chodź, Emmo. - Molly uśmiechnęła się do Ramseya. - Idziesz z nami?

- Oczywiście - odparł i skinął Milesowi głową. - Dziękuję za lemoniadę i ciasto. Było pyszne.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób, Molly!

- Nie mówiłam przecież do ciebie, tato. Do widzenia. Cieszę się, że wreszcie cię poznałam, Eve. Jesteś niezwykłą macochą.

- Przestań, co ty wyprawiasz? Dokąd się wybierasz?

Kiedy dorastała, wiele razy przemawiał do niej tym zimnym, surowym tonem. Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Wychodzimy, tato - powiedziała spokojnie. - Najwyraźniej tylko jedno z nas jest tutaj mile widziane, a tym kimś nie jest ani twoja córka, ani wnuczka.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, co zaszło i jakie sędzia Hunt ma plany, do diabła!

- O tym wszystkim możemy opowiedzieć ci wyłącznie we dwoje, tato. Przykro mi, ale z tego, że jesteście mężczyznami, wcale nie wynika, iż macie rządzić moim światem.

- Co też ty powiesz? Gdyby mężczyzna nie pojawił się na horyzoncie, Louey nadal biłby cię rano i wieczorem.

Molly wiedziała, że Emma dokładnie usłyszała słowa Masona.

- Cicho bądź - rzekła, starając się zapanować nad sobą. - Lepiej już nic nie mów.

Mason ujrzał, jak dziewczynka odwraca się, wyraźnie zaniepokojona, i wbija w niego niepewny wzrok. Najwyraźniej nie wiedziała, o co chodzi, ale wkrótce zrozumie. Mocno trzymała za rękę Molly i sędziego. Czy Molly zaprosiła już Ramseya Hunta do swojego łóżka? Mimo obecności córki?

- Niech pan tu wraca - odezwał się do Hunta. - Nigdy nie zgodzę się, aby wyszedł pan teraz z mojego domu i zabrał je ze sobą. Biorąc pod uwagę, kim pan jest, nie ma szans na to, aby was nie rozpoznali.

Zupełnie niespodziewanie Eve podniosła się z sofy i obdarzyła ich wszystkich pięknym uśmiechem.

- Może jeszcze trochę lemoniady? - zapytała czarującym głosem wzorowej pani domu. - Na pewno chętnie się napijecie, zresztą ja również.



To był bardzo długi dzień, aż zbyt długi bez Ingrid. Louey Santera potarł kark, usiłując rozluźnić napięte ze zmęczenia mięśnie. Koncert sprawił mu ogromną frajdę, burzliwe oklaski brzmiały jeszcze w uszach, ale teraz, po zejściu ze sceny, czuł się fatalnie. Dałby wszystko, aby w pobliżu czekała Ingrid, Ingrid ze swoimi sprawnymi dłońmi...

Niestety, wczoraj sam dał Ingrid dzień wolny i dziewczyna pojechała odwiedzić rodziców we Frankfurcie. Może któraś z jego fanek chciałaby go wymasować? Podszedł do drzwi i otworzył je jednym szarpnięciem.

- Alenon! Chodź no tutaj!

Zza ściany wystawił głowę młody, chudy chłopak z obsypaną krostami twarzą i prostymi, rzadkimi jasnymi włosami.

- Tak, szefie?

Nawet jego głos był słaby, taki jakiś byle jaki...

- Przyrowadź mi dziewczynę, która będzie umiała rozmasować mi kark i ramiona.

Po pięciu minutach Alenon wrócił, prowadząc drobną, czarnowłosą dziewczynę. Miała najwyżej szesnaście lat, wyglądała na zupełnie dziecko. Czy była jedną z jego fanek, które włóczyły się za nim wszędzie niczym grupka szczeniąt? Miał wrażenie, że nigdy wcześniej nie widział jej twarzy.

- To jest Karolina, proszę pana. Mówi, że jej matka jest masażystką i ona też umie masować.

Louey spojrział dziewczynie w oczy. Niewykluczone, że rzeczywiście miała dopiero szesnaście lat, ale z pewnością nie brakowało jej doświadczenia. Kiwnął głową.

- Cześć, Karolino. Możesz mi pomóc?

- Z przyjemnością, panie Santera - odparła płynnym angielskim. - Czy z pańską córeczką już wszystko w porządku? Czytałam w gazecie, że została porwana.

Cóż to znowu za gównno?

- W jakiej gazecie?

- „Berliner Zeitung” wydrukował artykuł o panu, a na samym dole była krótka notatka o porwaniu pańskiej córki. Dziennikarka napisała, że wydarzyło się to gdzieś na Dzikim Zachodzie. Bardzo mi przykro...

Skąd ta dziennikarka mogła o tym wiedzieć? Przecież przez cały czas tylko słuchała, pilnie notowała każde słowo i obejmowała go nogami, więc chyba nie miała kiedy węszyć?! Louey wymamrotał coś na temat Emmy, ale nie było to nawet pełne zdanie! Musiała zadzwonić do Denver...

- Mówisz po angielsku o wiele lepiej od tej dziennikarki - odezwał się do dziewczyny.

- Moja matka jest Amerykanką.

- Ach, tak... - mruknął nieuważnie, rozcierając sobie szyję.

Patrzył, jak Karolina fachowo rozpościera flanelowe prześcieradło na stole do masażu. Kiedy skończyła, cofnęła się o krok. Louey uśmiechnął się i zaczął się powoli rozbierać. Gdy sięgnął do gumki szortów, Karolina podała mu rozłożony ręcznik.

- Należę do ruchu Al-Anon - powiedziała, masując jego stopy. - To organizacja dla dzieci, których rodzice są alkoholikami. Dlaczego nazywa pan tak Rudy'ego?

Rudy? Więc tak miał na imię ten krostowaty chudzielec? Louey wzruszył ramionami, z konieczności mało wyraziście, bo leżał na brzuchu.

- Ponieważ mnie to bawi - odparł.

- Rozumiem. - Karolina przesunęła się trochę.

Louey poczuł, jak jej palce wbijają się w obolałe ramiona i zamknął oczy. To był najlepszy masaż w jego życiu. Kiedy obudził się dwie godziny później, Karoliny już nie było. Alenon stał nad nim i obserwował go uważnie. Ciekawe, jak długo? Może chrapał? Albo się ślinił?

- Czego chcesz? - warknął.

- Mam wiadomość od pana Lorda.

- Tylko nie to! - jęknął Louey, siadając i owijając biodra prześcieradłem. - Kiedy dzwonił? Co powiedział?

- Jakiś człowiek zadzwonił w imieniu pana Lorda i powiedział, że nie musi rozmawiać z panem bezpośrednio, szefie. Kazał przekazać, że pana córka jest już bezpieczna i znajduje się teraz w domu pana Lorda. To wszystko.

Rudy Brinker ujrzał, jak jeden z najbardziej utalentowanych ludzi na świecie chowa twarz w dłoniach. Wyglądał na przygnębionego, nawet załamane, ale gdy się odezwał, w jego głosie brzmiała wściekłość. Louey klął bez przerwy przez jakieś trzydzieści sekund. Potem zamilkł i wtedy Rudy cicho wyszedł z pokoju. Poszedł w głąb korytarza, do pokoju pana Murdocka i dwa razy zapukał we framugę.

Drzwi otworzył najszeptniejszy mężczyzna, jakiego Rudy kiedykolwiek widział.

## ***Rozdział 14***

Mason Lord poruszył kieliszkiem sławnej firmy Waterford, przyglądając się, jak złocisty koniak osiada na jego ściankach. Był to wspaniały koniak, prawdziwa rozkosz dla podniebienia, i Mason codziennie po kolacji pozwalał sobie na jeden niewielki kieliszek.

Eve siedziała na kanapie, oglądając telewizję. Był to chyba jeszcze jeden z tych idiotycznych programów w rodzaju *Koła fortuny*, tylko znacznie gorszy. Chociaż Mason gardził gustem Eve już przed ślubem, jej ciało budziło w nim wyłącznie pożądanie, a zgodnie z jego sposobem myślenia, pogarda pod żadnym względem nie dorównywała żądzy.

Eve spojrzała na niego. Oderwała wzrok od ekranu telewizora, co oznaczało, że przyszedł czas na reklamy.

- Co zamierzasz z nimi zrobić, Mason?

Przełknął ostatni łyk koniaku i ostrożnie postawił kieliszek na marmurowym blacie stołu.

- Chciałem, żeby tu przyjechali - powiedział. - Słyszałaś przecież, że zapraszałem ich, kiedy wcześniej rozmawiałem z Molly przez telefon.

- No i posłuchała cię...

- Ale wbrew sobie. Namówił ją ten facet, Ramsey Hunt. - Zerknął na złotego roleksa na przegubie swojej dłoni. - Obiecał, że zejdzie, żeby ze mną porozmawiać. Miles miał mu przekazać, aby zostawił Molly na górze.

- I co? Przekazał?

- Tak. Powiedział mu, że musi to zrobić, jeśli zależy mu na mojej opiece. Zrobi, co kazałem, bo jestem mu potrzebny.

Mason nerwowo przeczesał włosy palcami. Eve zmierzyła go zdumionym spojrzeniem.

- Co się dzieje?

- Muszę krótko trzymać Molly. Zachowywała się wobec mnie w taki sposób, że o mało jej nie uderzyłem, Eve.

- Ale nie zrobiłeś tego, prawda? Kiedy zagroziła, że odejdzie, wycofałeś się i powiedziałeś to, co chciała usłyszeć. - Przerwała na chwilę, bo program znowu się zaczął. - Pochlebiłeś jej i dała się nabrać. Dobrze wiesz, jak trzymać ją pod kontrolą.

- Nie - odparł Mason. - Molly wcale nie dała się nabrać. Boi się o Emmę i jest gotowa zawrzeć układ z samym diabłem, żeby zapewnić dziecku bezpieczeństwo, nawet jeżeli tym diabłem okaże się jej ojciec.

Wiedział jednak, że gdyby się nie wycofał, Molly już by tu nie było. Zabrałaby dziecko, a ten facet odszedłby razem z nimi. Nie ma mowy, na pewno z nim sypia, bo przecież inaczej nie wzięłaby go tak szybko pod pantofel.

Mason spojrzał na żonę, która znowu w skupieniu oglądała program. Podeszedł do okna wielkiego salonu i cicho otworzył wysokie drzwi, wychodzące na otoczony murem, piękny ogród w angielskim stylu. Łagodne

powietrze pachniało hiacyntami, różami i jaśminem. Sam wybierał krzaki jaśminu, które posadzono pod oknami domu. Wokół panowała zupełna cisza. Bardzo niewiele osób wiedziało, że jego posiadłości strzeże sześciu ochroniarzy. Zaraz po przybyciu Molly, Emmy i Ramseya zarządził wzmocnienie ochrony. Odwrócił się od okna. Z holu szedł ku niemu Miles.

- Emmie bardzo smakowało spaghetti, które dla niej ugotowałem - oświadczył. - Makaron był w kształcie dinozaurów z *Parku Jurajskiego*.

Mason Lord bez słowa patrzył na człowieka, który od dwudziestu dwóch lat prowadził jego dom, zawsze gotów spełnić każde jego życzenie. Miles zaczął u niego pracować, kiedy Molly była małą dziewczynką, i nigdy nie zwracał na nią szczególnej uwagi. Dlaczego Emma zawojowała go bez reszty? Oczywiście, że była ładna, po prostu skóra zdarta z Alicii, ale co z tego? Do Alicii też nie był szczególnie przywiązany...

Ramsey Hunt schodził do niego po szerokich schodach z prawej strony holu. Był dobrze ubrany, w czarne spodnie i białą koszulę. Bez krawata, ale okazja nie wymagała formalnego stroju.

- Wy tłumaczył pan wszystko Molly? - zapytał Mason.

- Tak.

- I wyjaśnił jej pan, jak ma się zachowywać w moim domu?

Ramsey z trudem powstrzymał uśmiech. Taktyka Masona bardzo go bawiła.

- Molly dokładnie wie, jak ma postępować. Miles powiedział mi, że chce pan ze mną pomówić.

- Tak, ale tylko z panem, bez Molly. Ona nie ma zielonego pojęcia ani o interesach, ani o strategii.

- Zostawiłem Molly w jej sypialni. Uczy Emmę czytać. Mała jest naprawdę bardzo inteligentna.

- Ja przeczytałem *Moby Dicka*, kiedy miałem pięć lat.

- Podobno Molly także zaczęła bardzo wcześnie czytać. To dość niezwykle.

Mason Lord zupełnie o tym zapomniał.

- Chodźmy do gabinetu - zaproponował. - Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Zamknął podwójne dębowe drzwi, odcinając się od odrażających odgłosów wulgarnej uciechy, dobiegających z telewizora.

- Dowiedziałem się, że kiedy odkrył pan, iż Louey Santera uderzył Molly, natychmiast przyjechał pan do Denver - zaczął Ramsey bez ogródek. - Szczerze gratuluję panu tego posunięcia.

Mason Lord popatrzył na wysokiego mężczyznę, stojącego obok biurka. Hunt zachowywał się zupełnie naturalnie, jego twarz była otwarta, nawet pełna podziwu.

- Nie zamierzałem pozwalać, żeby ten pokurcz krzywdził moją córkę.

Oto motto Masona Lorda, pomyślał Ramsey z ulgą.

- Nie wątpię, że wobec Emmy czuje pan dokładnie to samo, przecież to pańska wnuczka. Jak pan myśli, kto stoi za tą sprawą?

- To porwanie. Louey jest bogaty, no, może nie tak bogaty jak przed rozwodem z moją córką, ale w każdym razie na pewno nie ubogi. Te koncerty w Europie przynoszą gówniarzowi grube miliony.

- Nie, panie Mason, to nie jest zwykłe porwanie. Mówiłem panu, że śledziło nas kilku ludzi. Sam pan na pewno wie, ile osób potrzeba do przeprowadzenia takiej operacji. Moim zdaniem co najmniej dwie. Tak czy inaczej, nie chodzi tu tylko o porwanie. To coś więcej, dam sobie rękę uciąć. - Ramsey na chwilę zawiesił głos. - Nie wie pan jeszcze, że Emmę wywieziono do jakiegoś domu w górach, gdzie została zgwałcona. Była też bita. To jeszcze jedna rzecz, nad którą musimy się zastanowić. Emmę powinien zbadać lekarz internista i psychiatra dziecięcy. Dręczą ją koszmarne sny. Ani Molly, ani ja nie

rozmawialiśmy z nią o tych przeżyciach, ponieważ zwyczajnie baliśmy się pogorszyć sytuację.

Krew odpłynęła z twarzy Masona Lorda. Ramseyowi wydawało się, że zwymiotuje albo wpadnie w furję, lecz opanował się nadludzkim wysiłkiem. Jego twarz zaczęła stopniowo przybierać normalny kolor, odetchnął głęboko.

- Ci dranie właśnie podpisali na siebie wyrok śmierci - warknął, patrząc Ramseyowi prosto w oczy.

- Nie podjąłbym się wykonania tego wyroku, ale doskonale pana rozumiem.

- Wydawało mi się, że zajmuje się pan podtrzymywaniem sprawiedliwości i cennych praw takich degeneratów.

- Tak - odparł Ramsey. - Moja praca polega właśnie na tym - strzegę sprawiedliwości i praw wszelkiego rodzaju degeneratów...

Mason Lord spojrzał na niego ostro, lecz wyraz twarzy Ramseya nie zmienił się nawet na jotę.

- Chociaż niechętnie, ale jednak muszę przyznać panu rację - oznajmił Mason. - Jest bardzo prawdopodobne, że ta sprawa ma coś wspólnego ze mną albo z Loueyem. Muszę mieć trochę czasu, żeby spokojnie się nad tym zastanowić. Rozmawiałem już z Buzzem Carmenem i mówiłem mu, że za tą akcją mogą kryć się moi wrogowie. Zobaczymy.

- Chciałbym zostawić tu Molly i Emmę. Będę przynajmniej pewny, że pod pana opieką są bezpieczne.

- Zamierza pan przeprowadzić śledztwo na własną rękę? - zapytał Mason.  
- Sądzi pan, że zrobi pan więcej niż ja?

- Pańscy ludzie nie działali zbyt wiele w Kolorado. Mam lepsze kontakty.

- Jakie? Bandę gliniarzy i prawników z San Francisco?

Ramsey pokręcił głową.

- Wolę zatrzymać te informacje dla siebie, zwłaszcza że na pewno nie spotkałyby się z pańską aprobatą.

Mason Lord poczuł, jak na jego szyję wypełza gorący rumieniec. Powoli podniósł się z krzesła i oparł dłonie na pięknym mahoniowym blacie biurka, lecz nie zdążył nic powiedzieć, ponieważ właśnie w tej chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wkroczyła jego córka. Na twarzy Molly gościł szeroki uśmiech.

- Czy bardzo się spóźniłam? - zwróciła się do ojca. - Przepraszam za spóźnienie, ale Emma nie była jeszcze gotowa do snu. To szczerą prawdą, że praca matki nigdy się nie kończy. No, teraz możemy wreszcie wymienić się przemyśleniami, tato.

Ramsey mrugnął do Masona Lorda.

- To nie najgorszy pomysł - zauważył. - Molly ma mózg jak komputer, więc byłoby głupio go nie wykorzystać. Szkoda, że nie widział pan, jak prowadziła samochód, kiedy uciekaliśmy.

Mason Lord usłyszał idiotyczną muzykę, stanowiącą wiodącą melodię teleturnieju. Wiedział, że do jego obitego specjalnymi wyciszającymi płytami gabinetu nie powinien dobiegać żaden dźwięk z salonu. Czyżby Eve puściła telewizor na cały regulator? Chłodno spojrzał na córkę.

- Idź zająć się swoim dzieckiem.

- Twoja wnuczka świetnie bawi się z Milesem. Porozmawiajmy.

- Więc pooglądaj z Eve teleturniej.

- Nie znam Eve i nie cierpię teleturniejów. Tak czy inaczej, w tej chwili ani przebywanie z Eve, ani oglądanie teleturniejów nie zajmują wysokiego miejsca na liście moich priorytetów.

Mason miał ochotę powiedzieć, żeby wyniosła się do wszystkich diabłów, że to jego dom i że to on wydaje tutaj polecenia. W ostatniej chwili spojrzał córce w oczy i wyczytał w nich ból, bunt oraz determinację.

- No dobra, niech ci będzie - mruknął.



Ramsey Hunt się uśmiechnął. Jeszcze nie powiedział Molly, że zamierza na jakiś czas zostawić ją tutaj z Emmą. Unikał myśli o tej konieczności. Na pewno urządzi mu wściekłą awanturę, ale przecież musi coś zrobić.

Molly poklepała go po ramieniu.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała pogodnie. - Usłyszałam, jak mówiłeś ojcu o wyjeździe. Nie, Ramsey, nie ma mowy, żebym puściła cię samego.

Ramsey spojrzał na Masona Lorda.

- No dobra, niech ci będzie - mruknął.

- To wszystko nie trzyma się kupy - zwierzył się Dillon Savich agentce Sherlock, która była jego żoną od sześciu miesięcy, dwóch tygodni i trzech dni.  
- Próbowałem z MAXEM różnych podejść, ale on nie jest w stanie nic wycisnąć z podanych informacji.

MAX był laptopem i najbliższym współpracownikiem Dillona, i właśnie dlatego otrzymał imię. W FBI mówiono, że Dillon potrafi namówić laptopa nawet do tańca, co wcale nie było niezgodne z prawdą. Sherlock poklepała MAXA po obudowie.

- Masz mnóstwo przypuszczeń, ale niewiele faktów - rzekła. - MAX lubi konkrety, nie zgadywanki.

- Czy tak się sprawy mają, MAX? - Savich lekko uderzył w klawisz laptopa.

- Tak jest, szefie - odezwał się głęboki, łagodny głos. Sherlock się roześmiała.

- Ciągłe nie mogę się przyzwyczaić do tego głosu. Jesteś najzwyczajszym zboczeńcem, Dillon. Będziesz musiał dać mu inny, kiedy MAX znowu zechce zmienić płeć i zostać MAXINE.

- Chcesz zgłosić się na próbę?

- Czy twoim zdaniem wyglądam na MAXINE?

Dillon spojrział na nią poważnie i potrząsnął głową.

- Nie, ale nie martw się. Wymyślę coś, kiedy przyjdzie czas na nieuniknioną zmianę płci. Szkoda, że nie widziałaś miny Jimmy'ego Maitlanda, kiedy zadałem MAXOWI przygotowane wcześniej pytanie. Za pierwszym razem o mało nie zemdlął. Teraz siada wygodnie, z rękami opartymi na kolanach, i czeka, zupełnie jak dzieciak, który nie może doczekać się projekcji ulubionego filmu rysunkowego.

Sherlock była jednak świadkiem reakcji szefa Dillona, gdy MAX z nieukrywaną irytacją odpowiedział na inne pytanie. „Szczerze mówiąc, Savich, nie mam ochoty dłużej zajmować się tym całym bałaganem”, oświadczył MAX, Maitland wybiegł wtedy z pokoju Savicha, domagając się, aby wszyscy obecni w pobliżu na własne oczy zobaczyli, do czego zdolny jest ten cholerny komputer.

Lekko trąciła Dillona w bok.

- Musimy zdobyć więcej informacji - powiedziała. - Ramsey dzwonił do ciebie dziś rano z San Francisco, prawda? Czy później kontaktował się z tobą?

- Nie, ale przynajmniej teraz wiemy, gdzie jest.

- Aż trudno mi to sobie wyobrazić - Ramsey Hunt, sędzia federalny, w domu Masona Lorda w Oak Park! Nie do wiary!

- Trudno też uwierzyć, że Molly jest córką Masona Lorda. Ramsey na pewno miał ciężki dylemat, kiedy odkrył, że będzie musiał zwrócić się do niego o pomoc. Dobrze chociaż, że dziewczynka jest teraz bezpieczna. Podobno dom Lorda to prawdziwa forteca. - Dillon westchnął. - Z drugiej strony, biorąc pod uwagę powiązania Lorda ze światem przestępczym, nie dziwię się, że Ramsey miał poważne wątpliwości. Próbowałem namówić go, żeby skontaktował się z FBI, ale odmówił. Powiedział, że w tej chwili nie widzi lepszego wyjścia i prawdopodobnie ma rację. Bardzo mu zależy, aby uchronić małą przed pytaniami ze strony gliniarzy i psychologów, przynajmniej do chwili, kiedy

dowiemy się, kto się za tym wszystkim kryje. Chcesz obejrzeć zdjęcia, które właśnie otrzymaliśmy za pośrednictwem satelity wojskowego?

Sherlock się uśmiechnęła.

- A są interesujące, proszę pana?

- Dosyć. - Dillon nacisnął klawisz i po chwili na ekranie laptopa ukazały się zdjęcia wielkiego domu Masona Lorda.

Savich musnął drugi klawisz i wywołał drugie zdjęcie, przedstawiające dom od wschodniej strony.

- Te ujęcia dopiero przyszły. Doliczyłem się sześciu ludzi z ochrony, którzy stale pilnują posiadłości. A teraz przejdźmy do sedna sprawy, czyli samego wielkiego bossa. - Oboje ujrzeli przed sobą szczupłą, bardzo przystojną twarz Masona Lorda. - Nie jest najgorszy, prawda?

- Całkiem niezły. A to kto? Jego córka?

- Nie, nie, to jego druga żona. Młodsza od córki.

Sherlock wymamrotała jakąś bardzo niepochlebną uwagę pod adresem Masona Lorda. Obejrzeli jeszcze kilka zdjęć gangstera i jego żony, po czym Savich znowu nacisnął klawisz laptopa.

- To jest Molly Santera i jej córka Emma.

Sherlock milczała chwilę.

- Potrzebujemy czegoś więcej, Dillon.

Agent do zadań specjalnych Dillon Savich, szef wydziału zapobiegania przestępczości FBI, odchylił do tyłu krzesło i obrzucił żonę baczным spojrzeniem.

- Co sugerujesz, Sherlock?

- Na początek pojechałabym zobaczyć się z tym farmerem z Loveland w Kolorado. Z tym, co to sprzedał ciężarówkę, którą potem posłużyli się ludzie śledzący Ramseya.

Po plecach Dillona przebiegł nagle chłodny dreszcz. Nachylił się do przodu, nie spuszczać wzroku z twarzy Sherlock.

- Uważasz, że on wie, kim są ci ludzie, prawda?

- Tak mi się wydaje. Powinniśmy pojechać tam i naprawdę poważnie z nim porozmawiać. Poza tym w tej chwili nie mamy żadnych innych tropów.

- Zgoda. Ja także sądzę, że ten farmer sporo wie. Ktoś z naszego biura w Denver powinien tam jak najszybciej pojechać.

Sherlock zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie, agent Anchor jest teraz zajęty czym innym. Założę się zresztą, że już wcześniej doszedł do wniosku, iż farmer nie miał pojęcia, komu sprzedaje półciężarówkę. Krótko mówiąc, nie sądzę, żeby nagle, pod wpływem naszych sugestii, zmienił tok rozumowania. Fama głosi, że agent Anchor ma problemy z tak zwanymi stosunkami międzyludzkimi. Włazi w tyłek swoim zwierzchnikom i pomiata podwładnymi, a także lokalną policją. Dlatego musimy zrezygnować z pomocy Anchora i załatwić to sami, zwłaszcza że my nie stoimy po stronie FBI, ale dziecka.

- To jakaś różnica?

- Niewykluczone, że tym razem tak - odpowiedziała po chwili namysłu, lekko gładząc dwa czarne głośniki MAXA.

Pamiętała, w jaką euforię wpadł Dillon, kiedy MAX wygłosił swoją pierwszą opinię - „Niech żyją Redskini”.

- Gdyby to było zwykłe porwanie, nie miałyby żadnego znaczenia, kto z FBI się tym zajmie - ciągnęła. - Ale tu mamy do czynienia z zupełnie innym problemem, Dillon. Nikt nie ma zielonego pojęcia, kto za tym stoi i czego właściwie chce. Jediną osobą, która może mieć jakieś konkretne podejrzenia, jest chyba Mason Lord. Wydaje mi się, że to jeden z powodów, dla których Ramsey zdecydował się pojechać do Chicago.

- W porządku, zadzwonię do Denver i uprzedzę Anchora o naszym przyjeździe. - Savich otworzył notes i szybko wybrał numer. - Zajęty, cholera jasna! Szefowie już dawno powinni wydać zarządzenie, że obowiązującym

środkiem komunikacji wewnętrznej w firmie jest e-mail, nie telefon. Powinno to zresztą dotyczyć wszystkich, nie tylko pracowników FBI.

Sherlock pokręciła głową, sięgnęła po słuchawkę i wybrała ten sam numer. Po chwili poprosiła o połączenie z agentem Anchorem.

- Telefony cię nienawidzą, Dillon - powiedziała. - Najwyższy czas, żebyś przyjął to do wiadomości. Od dziś ja będę zajmować się telefonami. Och, dzień dobry, agencie Anchor. Tu agentka Sherlock z głównego biura w Waszyngtonie. Dziękuję, czuję się świetnie, a pan? Bardzo się cieszę. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie porwania Emmy Santera. No, właśnie. Chodzi mi o tego farmera, który twierdził, że sprzedał ciężarówkę, którą jego żona uznała za skradzioną. Rozmawiał pan z nim, prawda? - Sherlock spojrzała nagle na telefon z takim wyrazem twarzy, jakby aparat przed sekundą ją ukąsił. - Chyba pan żartuje... - Długą chwilę słuchała uważnie, potem skinęła głową. - Kiedy to się stało? W jaki sposób? Ma pan jakieś podejrzenia?

Zadała jeszcze kilka pytań, wreszcie pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

- Co się stało? - zapytał cicho Savich.

- Nie uwierzysz. - Westchnęła. - Farmer nie żyje. Trzy dni temu jego kilkunastoletnia córka znalazła go martwego, z głową rozwaloną młotkiem. Sprawca zostawił narzędzie zbrodni obok ciała. Anchor nie ma na razie żadnych wskazówek i podejrzeń, oczywiście również żadnych odcisków palców. Na wyniki sekcji zwłok trzeba będzie jeszcze poczekać. Agent Anchor zadzwoni do nas, kiedy tylko będzie wiedział coś więcej. Powiedział, że dopiero dziś otrzymał tę wiadomość od miejscowej policji. Sąsiedzi nikogo nie widzieli, nie zauważyli w ogóle nic podejrzanego. Żona zmarłego twierdzi, że mąż zawsze wychodził przed świtem do obory, żeby wydoić krowy.

- Tym razem ktoś na niego czekał - mruknął Dillon.

Sherlock zapatrzyła się w okno.

- Poza córką, która go znalazła, miał jeszcze troje dzieci...

- Oczywiście to musi mieć bezpośredni związek z porwaniem, czy jakkolwiek nazwiemy tę sprawę.

- Agent Anchor też tak uważa, w każdym razie teraz jest zdania, że coś w tym musi być. Co zrobimy, Dillon?

Savich nacisnął jeden z klawiszy MAXA.

- Skopiemy tyłek sprawcom, Sherlock - oświadczył, naśladowując głęboki, przekonywający głos laptopa.

## ***Rozdział 15***

- Powtarzam ostatni raz, nie pozwolę, żebyś sam pakował się w kłopoty. Wleźliśmy w nie razem i tak zostanie, od początku do końca.

Ramsey uśmiechnął się szeroko.

- Zanim przejdziemy do tego tematu, pozwól, że ci pogratuluję. Świetnie poradziłaś sobie z ojcem. Nie wściekłaś się, nie straciłaś cierpliwości i w końcu Mason ustąpił. Z niego też jest niezły bystrzak. Teraz do rzeczy - chcę pojechać do Denver, osobiście zaangażować się w tę sprawę i zaproponować współpracę policji oraz FBI. W tym czasie ty i Emma będziecie tutaj. - Natychmiast dostrzegł strach w jej oczach. - Poradzę sobie, Molly - powiedział pospiesznie. - Nie dam się zabić, obiecuję.

Oczy Molly błysnęły teraz gniewnie. Wzięła trzy głębokie oddechy.

- Doskonale, uczysz się nad sobą panować. Kiedy moja mama jest wściekła na ojca, bez wahania czymś w niego rzuca. Ojciec nadal jest najszybciej poruszającym się człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- Bardzo się staram nie kopnąć cię w kostkę. Posłuchaj mnie, Ramsey. Wiem, że kierują tobą dobre intencje, ale w żadnym razie nie pozwolę, żebyś pojechał tam sam i naraził się na niebezpieczeństwo. - Uśmiechnęła się lekko. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jesteśmy jak trzej muszkietierowie. Mów do mnie D'Artagnan.

- D'Artagnan był czwartym muszkietierem.  
- Trudno, nie pamiętam, jak nazywali się pierwsi trzej.  
- Aramis i... Ja też nie pamiętam. Czy Emma też zostanie muszkietierem, Molly? Damy jej szpadę, czy raczej pistolet, i pozwolimy walczyć u naszego boku?

Molly podeszła do okna i stanęła tyłem do niego, rozcierając przedramiona.

- Razem zdołaliśmy przywrócić Emmie odrobinę poczucia bezpieczeństwa - odezwała się. - Nie wyobrażam sobie, jak zareaguje na wiadomość o twoim wyjeździe. Ona potrzebuje nas obojga, nie rozumiesz?

Ramsey zaklął pod nosem i przeczesał ciemne włosy palcami.

- Masz rację, Molly. Zgadza się. Wobec tego musimy rozwiązać to jakoś inaczej. Zadzwonisz do Loueya do Niemiec i nakłonisz go do powrotu. Bardzo możliwe, że jest zamieszany w tę sprawę. W jaki sposób? Nie wiem, ale nie możemy tego wykluczyć. Musimy porozmawiać absolutnie ze wszystkimi, bez wyjątku.

- Spróbuję - powiedziała Molly.

Trzy minuty później czekali na połączenie z apartamentem Loueya Santery w berlińskim hotelu Bristol Kempinsky.

- W Berlinie jest teraz chyba szósta rano - powiedział Ramsey.

- Coś koło tego - zgodziła się Molly.

- Apartament pana Santery - odezwał się nieco zaspany głos. - Mówi Rudy. W czym mogę pani pomóc? Jest dopiero parę minut po szóstej...

- Dzień dobry, Rudy, mówi pani Santera. Nie wiem, czy Louey o tym wspominał, ale jego córka została niedawno porwana. Poproś go do telefonu, dobrze?

W słuchawce zapadła pełna napięcia cisza.

- Poproś go. Rudy.

- Dobrze, proszę pani... Minęły następne trzy minuty.

- To ty, Molly? - warknął Louey Santera. - Co się dzieje, do diabła? Z Emmą wszystko w porządku? Słyszałem, że jest już bezpieczna.

- Tak, Emma czuje się dobrze, ale sytuacja znacznie się skomplikowała, Louey. Musisz wrócić do Stanów, i to jeszcze dziś.

- Nie mogę. Dziś wieczorem mam koncert. Zgodnie z kontraktem muszę zagrać jeszcze trzy.

- Posłuchaj, to naprawdę ważne. Chodzi o życie twojej córki. Czy to nie dla ciebie nie znaczy?

- Może mógłbym wrócić pod koniec tygodnia, ale nie wcześniej. Cholera jasna, Molly...

- Dzisiaj, Louey - powiedział Mason Lord miękim, łagodnym głosem.

- Kto mówi?!

- Witaj, Louey. Mówi twój były teść. Jak się czujesz w ten piękny poranek? Bo w Berlinie jest teraz chyba bardzo wczesny ranek, prawda?

- Tak, kurwa mać. Więc Molly wróciła do domku, do tatusia, tak?

- Proponowałbym, żebyś spakował rzeczy i wrócił do Stanów, Louey. Na pewno zdążysz na samolot Lufthansy z Frankfurtu do Chicago.

- Nie mogę! Ja...

- Dzisiaj, Louey. Chcemy z tobą porozmawiać. Niewykluczone, że będziesz musiał wyjaśnić nam kilka spraw.

W słuchawce, gdzieś w tle, odezwał się nagle jakiś kobiecy głos.

- Kto to, Louey? Dlaczego tak dyszysz?

Molly roześmiała się głośno.

- Przywieź ją ze sobą, Louey. Nie chcemy, żebyś czuł się samotny.

Odłożyła słuchawkę. Ramsey z trudem powstrzymywał śmiech.

- Gdybym miał określić, kto ma większe szanse zmusić go do powrotu, sąd czy Mason, bez wahania postawiłbym na twojego ojca.

- Oczywiście. - Ziewnęła. - Ojciec potrafi przestraszyć każdego, i to na śmierć.



- Podobają mi się twoje włosy - powiedział nagle Ramsey, zaskakując Molly i samego siebie.

Zamrugwała niepewnie.

- Moje włosy? Co powiedziałaś? Podobają ci się moje włosy?

- Tak. Są gęste i pełne życia. Całe w lokach... Masz piękne włosy, Molly.

- Mnie również podobają się twoje włosy.

Zaczął się śmiać, a po chwili Molly przyłączyła się do niego. Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzał Mason Lord.

- Co się tu dzieje? Z czego się śmiejecie?

Molly tylko potrząsnęła głową.

- Pojedziemy po Loueya na lotnisko? - zapytała.

Mason powiódł po nich obojgu czujnym spojrzeniem.

- Najlepiej będzie, jeżeli Loueya odbierze z O'Hare sędzia Hunt. To powinno zbić tego gnojka z tropu.

Ramsey skinął głową.

- Z przyjemnością to zrobię. Mam sporo do powiedzenia panu Santerze. Posłużę się swoim dawnym prokuratorskim stylem.

- Moja córka nie ma ładnych włosów - oznajmił dobitnie Mason Lord. - Wygląda jak dorosła wersja sierotki Annie z musicalu. Odziedziczyła włosy po babce.

Ramsey poczuł nagle, że ma dość Masona.

- Dlaczego nie powie pan Molly, że jest pan szczęśliwy, widząc ją po trzech latach? - zapytał chłodno. - Może warto byłoby poinformować ją, że jest mądra i twarda, a pan jest największym szczęściarzem świata, bo ma pan taką wspaniałą córkę?

Mason Lord odwrócił się na pięcie i opuścił sypialnię. Ramsey zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Mason był wściekły, bliski wybuchu, ale kiedy przystanął w progu, okazało się, że jego furia wcale nie koncentruje się na Ramseyu.

- Niech pan nie traci czasu na romans z moją córką - rzucił cicho, ze złością. - Louey mówił, że w łóżku jest zimna jak ryba. Zero przyjemności. Oczywiście, przywołałem go do porządku, kiedy dowiedziałem się, że powiedział coś takiego, ale prawdopodobnie coś w tym jest.

Molly nie wyglądała na głęboko zranioną słowami ojca.

- Cóż, Louey to ekspert, prawda? - odezwała się rozbawionym tonem. - Tak czy inaczej, bardzo się cieszę, że nie złapałam od niego jakiegoś choróbka, tato.

Mason zawahał się w progu i bez słowa zniknął.

- Tworzycie niezły duet - zauważył Ramsey. - Jesteś już dorosła, Molly. Wiem, że to musi boleć, kiedy ojciec cię atakuje, ale powinnaś go ignorować. Nieważne, co mówi. Masz teraz na głowie o wiele ważniejsze sprawy, a najważniejsza z nich stoi właśnie przed tobą.

- Mamo, dlaczego dziadek się złości?

Emma podeszła do nich, odrzucając do tyłu długie, splątane włosy. Miała na sobie koszulkę nocną z różowymi kokardkami, która sięgała jej do kostek. Do piersi przyciskała pianino, niewiele mniejsze od niej samej.

- Trzeba jej kupić lalkę - rzekł Ramsey.

- Twój dziadek wcale się tak naprawdę nie złości, Em - powiedziała Molly. - Jest już późno, a on jest starszym człowiekiem, wiesz? Starsi ludzie łatwo się denerwują, bo szybko się męczą.

- Boże, co za błaga!

- Cicho, Em. Ramsey chciał zażartować, ale trochę mu nie wyszło. Będę musiała udzielić mu paru lekcji. Chodź do łóżka, kochanie. Otulę cię kołderką, dobrze?

- Pójdę z wami. - Ramsey wziął Emmę na ręce. - To pianino waży co najmniej tonę, Em. Trzeba będzie odjąć jedną oktawę.

Emma odsunęła się na odległość ramienia i spojrzała na niego uważnie.

- To było zabawne, Ramsey. Nie tak śmieszne, jak dowcipy mamy, ale zabawne. Czy już dała ci jedną lekcję?

- Nie, jeszcze nie, skarbie. Dziękuję ci za uznanie. Prawdę mówiąc, ten dowcip wymyśliłem zupełnie samodzielnie.

Ramsey wziął pianino i podał Molly. Emma przytuliła się do niego i oparła głowę na jego ramieniu. Zaczęła ssać kciuk. W sypialni stało ogromne łóżko. Ramsey uświadomił sobie, że kiedyś musiał to być pokój Molly. Nie było tu dziewczęcej narzuty z falbankami, natomiast ściany od podłogi do sufitu pokrywały półki z książkami w twardych i miękkich okładkach. Na jedynej wolnej od książek ścianie ktoś rozwiesił zdjęcia, dziesiątki zdjęć. Niektóre były oprawione w ramki, inne z wyraźną dbałością poprzypinane na korkowych tablicach.

- Mama robi zdjęcia - wyjaśniła Emma, kiedy Ramsey ułożył ją wygodnie. - Te zrobiła, kiedy była młoda.

- Rozumiem - powiedział Ramsey i pochylił się, aby pocałować dziewczynkę w czoło. Delikatnie odgarnął jej włosy z czoła. - Śpij już, Emmo. I nie martw się niczym, dobrze?

- Nie wyjedziesz, prawda?

Z pomocą Molly podjął już decyzję, ale nadal nie był pewien, czy nie wydarzy się coś, co zmusi go do wyjazdu.

- Nie wiesz, czy powinieneś powiedzieć mi prawdę - szepnęła Emma. - Nie przejmuj się tym. Wszyscy kłamią, wszyscy poza mamą. Mama nigdy nie kłamie.

- Nie jest ci przykro?

- Nie bardzo - powiedziała. - Mamo, przyjdiesz do mnie niedługo?

- Tak, kochanie, za jakieś pół godziny. Ramsey i ja mamy jeszcze sporo rzeczy do omówienia.

Zgasiła lampę, ale drzwi zostawiła uchylone. Do pokoju wpadał promień światła z korytarza, gdzie paliły się trzy lampy Tiffany'ego.

- Nie zostawię cię, Emmo, chyba że będę musiał - odezwał się Ramsey już. od progu. - Ale nawet gdyby tak się zdarzyło, na pewno powiem ci o tym wcześniej.

Emma nie odpowiedziała.

- Usłyszemy ją, jeżeli przyśni jej się coś złego - rzekła Molly cicho, wchodząc za Ramseyem do jego pokoju.

- Dobrze. Powiedz mi, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić.

- Sprać Loueya Santerę.

- A potem?

Molly westchnęła.

- Nie wiem, Ramsey. Tyle się wydarzyło...

- Trzeba koniecznie zabrać Emmę do lekarza i do dziecięcego psychiatry.

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała. - Chciałabym, żeby z Emmą porozmawiała kobieta, nie mężczyzna.

- Bardzo słusznie.

- Jutro zadzwonię w parę miejsc i popytam o dobrych psychiatrów. Jak myślisz, gdzie są teraz ci ludzie, którzy nas ścigali, Ramsey?

- Jeżeli nawet dotarli za nami tutaj, to na pewno przeklinają swojego pecha. Nie mają szans się tu wdrzeć. Miles powiedział mi, że posiadłości twojego ojca przez całą dobę strzeże sześciu ludzi. Myślę, że można się tu czuć bezpieczniej niż w Białym Domu.

- Słyszałam, jak ojciec mówił Guntherowi, żeby sprowadził jeszcze trzech ochroniarzy. Najwyraźniej nie chce ryzykować.

- Mason kocha ciebie i Emmę.

- A jakże. On po prostu nie chce, żeby ktoś dostał w łapy coś, co uważa za swoją własność.

- Na początek dobre i to, Molly. Zobaczmy, co będzie dalej. A jutro... - Ramsey z uśmiechem zatarł ręce. - Jutro wreszcie spotkam drogiego Loueya twarzą w twarz...

- Nie będzie to najprzyjemniejsza chwila dnia, możesz mi wierzyć.
- To dowcip, prawda? Tak powiedziałaaby Emma.
- Czasami rzeczywistość jest zabawniejsza od fikcji.

Louey Santera był wściekły i wcale tego nie ukrywał. Jego wargi były ściągnięte tak mocno, że tworzyły cienką, bezbarwną linię. Nagle dostrzegł jakiegoś dziennikarza i natychmiast zamaskował złość czarującym uśmiechem i lekkim wzruszeniem ramion.

- Cześć! - rzucił pogodnie w stronę czającego się z drugiej strony fotoreportera.

W tej samej chwili zauważył Molly i pomachał jej z daleka.

- Podobno zrezygnował pan z części koncertów w Europie na wiadomość o porwaniu córki - powiedział dziennikarz, dawny przyjaciel Ramseya.

Louey obrzucił go czujnym spojrzeniem.

- Nie mogłem przyjechać od razu - rzekł. - Musiałem najpierw omówić wszystkie problemy z organizatorami koncertów.

- Czy to prawda, że pańska córeczka jest już bezpieczna i w tej chwili przebywa w domu dziadka? Jej dziadkiem jest Mason Lord, prawda?

- Tak. Rzeczywiście mała przebywa teraz u niego. Ten koszmar już się skończył, dzięki Bogu. Słyszał pan, jakim powodzeniem cieszyły się moje koncerty?

- Słyszałem o pańskich nieporozumieniach z panem Lordem. Czy to prawda, panie Santera?

Zza pleców Loueya Santery wysunął się młody, chudy facet z bliznami po trądziku na twarzy, i odgrodził go od dziennikarza.

- Pan Santera dopiero przed chwilą wrócił z Niemiec i teraz przede wszystkim pragnie spotkać się z córeczką. Jest zmęczony i nie ma nic więcej do powiedzenia. Do widzenia.

- O co właściwie chodzi, panie Santera? - zawołał dziennikarz. - Pańska córka została porwana ponad dwa tygodnie temu! Nie sądzi pan, że jest trochę za późno na powrót zrozpaczonego tatusia?

- Bez komentarza.

Krostowaty facet odepchnął dziennikarza. Fotoreporter błysnął fleszem. Ramsey z uśmiechem podszedł do białego jak ściana Loueya Santery.

- Pan Santera? Miło mi powitać pana w kraju. Nazywam się Ramsey Hunt i chwilowo mieszkam w domu pana Masona Lorda. Proszę tędy, łatwiej będzie panu ominąć ten tłum. Ach, oto i Molly!

- Odsuń się - warknął krostowaty i popchnął Ramseya. Ramsey z rozbawieniem skonstatował, że chudy facecik uważa się za ochroniarza Santery. Było to doprawdy zabawne.

- Jesteś nieuprzejmy, kolego - powiedział i jednym gładkim ruchem chwycił tamtego za rękę, wykręcając mu kciuk.

Krostowaty jęknął z bólu, ale się nie ruszył.

- Z drogi - rzekł Ramsey bardzo cicho. - Nie jestem dziennikarzem. - Ścisnął jego kciuk jeszcze mocniej. - W porządku?

- Daj spokój, Alenon - mruknął Louey Santera.

Młody facet kiwnął głową. W jego ciemnych oczach płonęła gorąca nienawiść. Jakże łatwo narobić sobie dziś wrogów, pomyślał Ramsey, puszczając rękę ochroniarza.

- A teraz zabieraj się stąd - rzucił. - Molly, przywitaj się z byłym mężem.

- Cześć, Louey, jak ci leci? Zaraz, zaraz, nie widzę twojej dziewczyny? Co, nie ma jeszcze paszportu?

- Jak znalazłaś Emmę?

Molly załopotana rzesami i oparła rękę na biodrze.

- Oczywiście wykorzystałam swój niebagatelny seksapil.

Ramsey nie mógł oderwać od niej zdumionego spojrzenia. Louey Santera parsknął złośliwym śmiechem.

- To mi dopiero dowcip! - powiedział. - Zawsze tylko żartujesz, nigdy nie wiadomo, kiedy mówisz poważnie. Wcale nie znalazłaś Emmy, tak? To wszystko bujda na resorach!

- Dlaczego tak uważasz? Bo nie jestem wystarczająco inteligentna? A może jestem za mało twarda?

- Daj sobie siana, Molly. Od początku wiedziałem, że nie miałaś nic wspólnego z odnalezieniem Molly. Nie znalazłabyś jej nawet wtedy, gdyby stała w odległości dwóch metrów od ciebie. Co się naprawdę stało?

Molly zbliżyła twarz do jego twarzy.

- W porządku, Louey, koniec zabawy - syknęła. - Sama znalazłam moją córkę, ty dumy egoisto! Chcesz wiedzieć, co się naprawdę stało? Facet, który ją porwał, zgwałcił ją i torturował. Co ty na to, Louey?

- To niemożliwe. Kłamiesz. Nikt mi o tym wcześniej nie mówił. Robisz to specjalnie, żeby przedstawić mnie w niekorzystnym świetle!

- Nikt nie mógłby zrobić z ciebie gorszego drania niż jesteś, Louey. Zadzwoniłeś z Niemiec tylko po to, żeby pochwalić się swoimi sukcesami i powiedzieć mi, ile dziewczyn przeleciałeś. Jesteś oślizgłą ropuchą, Louey, i wcale nie dbasz o Emmę.

- Nie? W takim razie dlaczego tu jestem?

- Ponieważ mój ojciec tak cię przestraszył, że o mało nie pogubiłeś skarpetek. Gdyby kazał ci żyć w celibacie przez cały tydzień, też nie wahałbyś się ani chwili,

- Twój ojciec jest zwykłym mordercą, Molly. Publicznie twierdzi, że jest wielkim biznesmenem, który zawsze działa zgodnie z prawem, ale to gangster całą gębą i ty świetnie o tym wiesz. Sama nie jesteś od niego lepsza. W czasie sprawy rozwodowej wydoiłaś mnie do ostatniego centa, ty...

- Wystarczy tych czułości - przerwał mu Ramsey. - Czas się zbierać, bo lada chwila pojawią się dziennikarze. - Odwrócił się do krostowatego ochroniarza Loueya Santery. - Zabierz bagaż pana Santery, chłopcze, i zawieź

go do willi pana Masona Lorda w Oak Park. Sam możesz zatrzymać się w jakimś motelu. Pan Mason nie uwzględnił cię w zaproszeniu.

Louey zerknął na dziennikarza, który okazał się taki nieuprzejmy. Znał go. Facet nazywał się Marzilac, czy jakoś podobnie i pracował dla „Chicago Sun-Times”. Cholera ciężka. Ten Marzilac stał teraz z boku i przyciszonym głosem rozmawiał z fotoreporterem. Ciekawe, o czym mówią... Może zastanawiają się, czy opublikować te zdjęcia i krótki wywiad? Nikt nie ma chyba takiego pecha jak on, Louey Santera. Na domiar złego teraz czekało go jeszcze spotkanie z Masonem Lordem. Ledwo o tym pomyślał, a już rozboleła go nerka.

- Idziemy - powiedział Ramsey.

- Rób, co to ten facet mówi, Alenon - wymamrotał Louey. - Zadzwoń tylko do domu Masona Lorda i zostaw wiadomość, gdzie się zatrzymałeś.

## ***Rozdział 16***

Pół godziny później Louey Santera stał przed dużym mahoniowym biurkiem w gabinecie Masona Lorda i ze złością opowiadał byłemu teściowi o wszystkich nieszczęściach, które spotkały go na lotnisku.

- Ten kretyn. - Wskazał stojącego przy drzwiach Ramsey. - Ten kretyn zatrzymał mnie i o mało nie złamał kciuka mojemu ochroniarzowi. Założę się też, że to on nasłał na mnie dziennikarza, który zadawał mi same idiotyczne pytania. Sporo mnie kosztowało, żeby wcześniej wyjechać z Niemiec. Trasa dobrze się układała, bilety na koncerty rozchodziły się jak świeże bułeczki. Ale przede wszystkim chodzi mi o to, że w żaden sposób nie mogę wam pomóc. Długo o tym myślałem i nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby to zrobić.

Mason Lord siedział spokojnie w fotelu, wysoki i wyprostowany, bawiąc się czarnym, bogato złożonym piórem firmy Mont Blanc. Pozwolił Loueyowi mówić, lecz wkrótce najwyraźniej miał go już dosyć.



- Marnie wyglądasz, Louey - przerwał piosenkarzowi. - Oczy ci gorączkowo błyszczą, źrenice masz rozszerzone... Mam nadzieję, że nie jesteś chory.

- Koncertowanie to ciężka praca, wiele godzin na dobę. Czasami muszę brać leki nasenne, żeby się trochę rozluźnić. Słuchaj, nie miałem najmniejszej ochoty tu przyjeżdżać. Czego ode mnie chcesz?

- Mam nadzieję, że nie bierzesz znowu kokainy. Nienawidzę narkotyków, uprzedzałem o tym, zanim ożeniłeś się z Molly. Jeżeli koka cię nie zabije, na pewno wykończy cię coś innego, może faceci, którzy sprzedają ci prochy. Nigdy nie widziałem, żeby po zwykłych tabletkach nasennych ktoś miał takie rozszerzone źrenice...

- Nie używam narkotyków.

- Poznałeś już Ramseya Hunta? - Mason Lord wskazał dłonią Ramseya, który nadal stał przy drzwiach z założonymi na piersi rękoma.

- Mówiłem ci przecież, że to ten drań, który...

- To jest sędzia Ramsey Hunt - powiedział Mason. - Może o nim słyszałeś?

- Nie. Kto to taki? Jakiś żigolak twojej młodej żony?

- Ach, Louey, musisz się nauczyć bardziej ważyć słowa. Zawsze zastanów się chwilę, zanim otworzysz usta, dobrze? Jeżeli jeszcze raz wspomnisz choć słowem o mojej żonie, każę Guntherowi obciąć ci czubek języka. Sądzę, że nie wyszłoby ci to na dobre. A teraz, ponieważ najwyraźniej jesteś nie tylko nierozważny, ale i nieświadomy, powiem ci, że Ramsey Hunt jest sędzią okręgowym w San Francisco, Parę tygodni temu jego zdjęcie zamieszczono na okładce „Newsweeka” i „Time’a”. Dziennikarze uznali sędziego Hunta za prawdziwego bohatera. Nie pamiętasz tego bardzo nagłośnionego procesu o morderstwo i handel narkotykami w San Francisco, Louey? Bardzo ci się dziwię. Co zrobił sędzia Hunt, kiedy grupa uzbrojonych po zęby mężczyzn usiłowała wyprowadzić oskarżonych z sali i wywieźć ich w nieznane?

Louey milczał. Mason Lord westchnął ciężko.

- Codziennie się modłę, aby Emma nie odziedziczyła twojego kompletnego braku inteligencji i przekonania, że to, co bezpośrednio ciebie nie dotyczy, w ogóle nie jest ważne, Louey. Byłaby to prawdziwa katastrofa.

- Ignorancja nie musi mieć nic wspólnego z głupotą - odezwał się Ramsey Hunt.

- Wygląda na to, że w przypadku Loueya jest to jedno i to samo.

- Emma odziedziczyła jego zdolności muzyczne, tato - rzekła Molly, wchodząc do pokoju i stając obok Ramseya. - Cały jego talent. Bo Louey rzeczywiście ma talent, chociaż nie ma mózgu.

- To niemożliwe - oświadczył Louey, spoglądając przez ramię na Molly. Ten cholerny Hunt był za młody na sędziego! Jak długo Molly stała za jego, Loueya, plecami? - Emma ma przecież dopiero... Zaraz... Pięć lat, tak?

- Sześć, Louey. Twoja córka ma sześć lat.

- Więc chyba jest za wcześnie, żeby mówić o wielkim talencie!

- Jeżeli chcesz, Emma zagra dla ciebie na pianinie. Jest niewiarygodnie dobra.

- Wystarczy!

Wszyscy spojrzeli na Masona Lorda. Pan domu milczał spokojnie, w pełni świadomy, że uwaga wszystkich obecnych znowu skupiona jest wyłącznie na nim.

- Dlaczego chcieliście, żebym wrócił? - zapytał Louey. - Macie Emmę, więc o co jeszcze chodzi?

- Wszystko wskazuje na to, że to był spisek - powiedział Mason Lord. - Niejeden porywacz, Louey. Sędzia Hunt jest zdania, że w całą operację zaangażowanych było znacznie więcej ludzi i wszyscy chcieli dopaść Emmę. Ludzie ci trafili za Molly i Ramseyem do Kalifornii, jadąc za nimi przez Kolorado. Wiesz może coś na ten temat?

- To śmieszne! Skąd miałbym coś o tym wiedzieć? Emma jest moją córką, na miłość boską! Nie mam pojęcia o żadnym spisku!

- Wobec tego mamy pewien problem - ciągnął Mason miękko, pozornie szczerym głosem, bardzo podobnym do głosu Billa Matthiasa, prawnika z San Francisco, którego, jak Ramsey wiedział, koledzy w mało oryginalny sposób nazywali Śliskim Willie. - Ja z pewnością nie stoję za żadnym spiskiem, więc w grę wchodzi tylko ty, Louey. Sprawa jest prosta. Nie mówiliśmy dotąd o jeszcze jednym jej aspekcie, doprawdy bardzo niemiłym, Louey. Człowiek, który porwał Emmę, zgwałcił ją i bił.

Poblady Louey cofnął się krok do tyłu.

- Nie! To niemożliwe! Molly mówiła coś o tym, ale nie uwierzyłem! To na pewno jakaś pomyłka! Nikt nie ośmieliłby się skrzywdzić Emmy!

Mason Lord oparł brodę na splecionych dłoniach.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby sprawdzić, czy człowiek, którego wynajęłeś, nie jest przypadkiem pedofilem?

Louey spojrzał na niego z przerażeniem w oczach.

- Nikogo nie wynajęłem! Nic o tym wszystkim nie wiem! Ludzie, przecież to moja córka! Nie kazałbym porwać własnej córki!

- Naprawdę? - spytała zimno Molly. - Dla pieniędzy zrobiłbyś wszystko, Louey. Wszystko. Dam głowę, że jesteś winien sporą sumę jakiemuś ważniakowi i wyjechałeś do Europy dlatego, że nie możesz jej oddać. Mam rację?

Louey odwrócił się do niej z wściekłością. Na jego chudej szyi gwałtownie pulsowała nabrzmiała żyła.

- Ty masz czelność mówić o pieniądzach?! - wybuchnął. - Wycykałaś mnie ze wszystkiego, a nic ci się nie należało, nic! Potrafiłaś tylko zająć w ciążę! Nie kazałem porwać Emmy, do diabła!

Mason Lord podniósł się powoli i położył dłonie na blacie biurka.

- Wydaje mi się, że Molly ma rację - powiedział wciąż tym samym spokojnym i łagodnym głosem. - Jesteś komuś winien dużą forszę i wymyśliłeś sobie, że w ten sposób spłacisz dług. Podaj mi nazwiska ludzi, którzy brali w tym udział, Louey. I powiedz, dlaczego dalej nie dają Emmie spokoju.

- Nic nie wiem! Jacy ludzie, do diabła?! Molly się myli!

- Gunther, podejdź tu, proszę.

Potężny, złowrogi Gunther zbliżył się do biurka.

- Tak, panie Lord?

- Zaprowadź pana Santerę do jednego z gościnnych pokoi. Na pewno jest zmęczony po długiej podróży, bo przecież dopiero dwie godziny temu przyleciał z Niemiec. Tak, jest zmęczony i potrzebuje odpoczynku. Zabierz go na górę i pomóż mu się położyć. I posiedź przy nim, dobrze? Przypomnij mu, że życie bywa czasami bardzo trudne. Wybaczyłem mu raz, ale cierpliwość to rzadka cecha. Uświadom panu Santerze, że nie zawsze jestem taki cierpliwy. Pan Santera nie musi rozmawiać z tym stworem, który jest jakoby jego ochroniarzem. Potrzebna mu przede wszystkim cisza, spokój i odpoczynek. Dopilnuj tego, Guntherze.

- Nie kazałem porwać Emmy!

- Porozmawiamy, kiedy porządnie odpoczniesz, Louey - oświadczył Mason Lord, patrząc, jak Gunther otacza potężnym ramieniem plecy Loueya Santery i ciągnie go w kierunku drzwi.

W progu Louey na chwilę zaparł się nogami w podłogę.

- Jeżeli Molly twierdzi, że kazałem porwać Emmę, to znaczy, że jest zupełnie szalona! Nienawidzi mnie! Może ten cały sędzia jest jej kochankiem i we dwoje zrobili to dla pieniędzy! Właśnie, może to sprawka Molly!

Gunther zdecydowanym ruchem zamknął drzwi gabinetu i w pokoju zapanowała cisza. Ramsey gwizdnął, wypuszczając powietrze z płuc.

- Czasami zapominam, że tacy ludzie jak pan mają naprawdę ogromną władzę - powiedział. - Nieustannie mam do czynienia z ludźmi, którzy

utrzymują, że są tak niewinni jak ich własne babcie, ale bez trudu można poznać, iż kłamią, aż się kurzy. Większość to bandyci, złodzieje albo jeszcze gorzej. Sęk w tym, że nasz system sprawiedliwości nie pozwala na to, aby rozprawić się z nimi jak należy, chociaż nikt nie ma najmniejszych wątpliwości co do ich winy. Gramy więc zgodnie z zasadami, które wydają się absurdalnie łagodne, i nie dysponujemy odpowiednią siłą nacisku. Idziemy na kompromis i negocjujemy, nie ośmielając się, przykręcać tym draniom śruby. - Ramsey wzruszył ramionami. - Z drugiej strony, pańskie metody też nie przyniosły jeszcze żadnych efektów. Zdołał pan tylko śmiertelnie wystraszyć tego gnojka. Tacy jak on zwykle coś ukrywają, chociaż nieczęsto udaje się nam wydobyć z nich prawdę. Molly powiedziałaaby pewnie, że prawie nigdy. Nie musi pan się uciekać do środków nacisku fizycznego, pańskie groźby robią równie silne wrażenie. Chciałbym sam jeszcze z nim porozmawiać. Widzę, że Molly powinna raczej trzymać się od niego na dystans, bo ona bardzo szybko sięga po broń...

- Doskonale znam siłę przekonywania swoich gróźb - odparł Mason Lord.  
- Nie byłyby one jednak takie przekonujące, gdybym od czasu do czasu nie podparł ich konkretem. Niech pan porozmawia z Loueyem, może uda się panu wydobyć coś z tego skurwysyna.

Ramsey skinął głową.

- Chce mi się pić - powiedział do Molly. - Napijesz się lemoniady razem ze mną i Emmą?

- Tak. Później mam do załatwienia parę telefonów.

Doktor Eleanor Loo, wysoka kobieta pochodzenia chińsko-indiańskiego, około trzydziestki, miała nogę w gipsie i kiedy weszli do jej gabinetu, niezgrabnie uniosła się z krzesła. Molly dostała jej nazwisko i telefon od nowego pediatry Emmy i teraz z całej siły trzymała kciuki, żeby wszystko

poszło tak, jak powinno. Gdy Już przedstawili się sobie, doktor Loo z uśmiechem zwróciła się do Emmy.

- Pozwól, że usiądę, Emmo - powiedziała. - Ten gips jest strasznie ciężki i trudno mi z nim stać. Dobrze, że noga mnie już nie boli. Złamałam ją na nartach, wiesz? Zaliczyłam piękny upadek z wysokiego urwiska. Wszyscy mówili, że bardzo wdzięcznie wyglądałam, kiedy tak leciałam z jego krawędzi w dół. Ty chyba jeszcze nie jeździsz, co?

- Moja mama jeździ bardzo dobrze, ale ja się dopiero uczę. - Emma nie podeszła do lekarki, nadal stała między Ramseyem i Molly.

- Wzięłaś tylko trzy lekcje - rzekła Molly. - Na pewno będziesz świetnie jeździć. I przy odrobinie szczęścia może nie spadniesz z urwiska, ale to się czasami zdarza. Pamiętasz, jak kiedyś naciągnęłam sobie ścięgno pod prawym kolanem?

- Tak, mam. Musiałaś chodzić na fizjo... Fizjoterapię.

- Ja też chodzę na fizjoterapię - pochwaliła się doktor Loo. - Będę mogła jeździć, ale już nie w tym roku. Szkoda. Nie chciałabyś podejść trochę bliżej i usiąść obok mnie, Emmo?

Emma nawet nie drgnęła, zacisnęła tylko palce na dłoni Ramseya.

- Zrobimy inaczej - spokojnie odezwał się Ramsey. - Usiądę i wezmę Emmę na kolana. Co pani na to, doktor Loo?

- Doskonały pomysł. Słyszałam, że jesteś bardzo bystrą dziewczynką, Emmo. Mama powiedziała mi, że całkiem sama uciekłaś od tego złego człowieka. I że najpierw dokładnie wszystko przemyślałaś i zaplanowałaś.

Emma zamarła. Ramsey nie słyszał nawet jej oddechu. Powiedział sobie, że musi cierpliwie poczekać. Nie spodziewał się, że lekarka tak od razu przejdzie do sedna sprawy. Wydawało mu się, że najpierw spróbuje ją lepiej poznać i dopiero później skoczy na głęboką wodę.

- Jak zaplanowałaś ucieczkę? - zapytała doktor Loo.

Emma oblizwała wargi. Był to pierwszy ruch, jaki wykonała. Ramsey z całego serca pragnął przygarnąć ją do siebie i otoczyć ramionami, obronić przed wszystkim, co czaiło się w mrokach jej pamięci, wiedział jednak, że tak głęboka rana nie zagoi się sama. Spojrzał na Molly.

Twarcz miała bladą i pełną napięcia. Starła się robić wrażenie spokojnej, ale nie była w stanie ukryć niepokoju i zdenerwowania. Mocno zacisnęła ręce na poręczach fotela.

- Myślałam i myślałam - powiedziała Emma cichym głosem po chwili namysłu.

Ramsey czuł się tak, jakby ktoś nagle uderzył go w brzuch. Głos i Emmy był cieniem szeptu. Dziwne, że w ogóle usłyszał jej słowa. i Doktor Loo czekała na więcej, ale Emma milczała.

- I świetnie to wymyśliłaś - odezwała się w końcu. - Długo myślałaś?

- Cały dzień. Nie wiedziałam tylko, czy uda mi się ściągnąć sznurek z rąk, ale on zapomniał mnie wtedy związać. Zapomniał i wyszedł zapalić papierosa.

- Co wtedy zrobiłaś?

Emma tak mocno wcisnęła się w pierś Ramseya, że zastanawiał się, czy nie powinien interweniować. Już otworzył usta, kiedy Emma znowu przemówiła.

- Zeskoczyłam z łóżka - szepnęła. - Było strasznie brudne. Nie miał okularów, więc kiedy wrócił, pomyślał, że poduszka to ja. Wyczołgałam się przez drzwi.

- Boso?

Emma się zastanowiła.

- Nie. Wiedziałam, że będę musiała biec, więc włożyłam tenisówki. Już na dworze.

- Ten człowiek dużo pił?

- Naliczyłam cztery puste butelki. Nie miałam co robić, więc liczyłam je i liczyłam. Były duże.

- Jak długo trwał, zanim je opróżnił?
- Pięć dni.
- Dokładnie tyle, ile cię tam trzymał, prawda?
- Tak - odparła Emma nieco mniej zdławionym głosem.
- Czy pił w pewnych porach dnia? Często?

Zawodzenie było tym razem głośnie i zupełnie wytrąciło Ramseya z równowagi. Emma drżała na całym ciele, z trudem łapała oddech i jęczała przeraźliwie.

- Nie, nie trzeba, kochanie. - Przytulił policzek do jej twarzy, zakołysał ją w ramionach, objął jeszcze mocniej niż poprzednio. - Nic złego się nie dzieje. Jesteś bezpieczna, twoja mama jest obok ciebie i ja też. Gdyby doktor Loo była tam wtedy razem z tobą, kopnęłaby tego drania w tyłek. Założę się, że tak by zrobiła.

- Tak jest, Em - wtrąciła Molly. - Zbiłaby go gipsem, tak, żeby go bardzo bolało.

Zawodzenie ucichło.

- Emmo? - odezwała się doktor Loo.

Emma milczała, przytulona do piersi Ramseya.

- Naprawdę bym mu przyłożyła, i to mocno. Możesz być tego pewna.

Emma drgnęła i powoli podniosła głowę. Spojrzała na matkę, na Ramseya i wreszcie na doktor Loo.

- Mama chciała go zastrzelić - powiedziała. - Zastrzełiłaby Ramseya, gdybym nie krzyknęła, że to nie on.

- Dzielnie się spisałaś, mała - rzekła Molly. - Bardzo dzielnie.

- Odpowiedz na jeszcze jedno pytanie, Emmo?

Dziewczynka spojrzała lekarce prosto w oczy.

- Nie chcę odpowiadać na żadne pytania, ale wiem, że mamie na tym zależy i Ramseyowi także.



- To dobrze, lecz ja za nic nie chciałabym znowu cię przestraszyć. W porządku?

- W porządku.

- Czy człowiek, który trzymał cię przez pięć dni w domku w górach, to ten sam, który cię porwał?

- Tak.

- W jaki sposób cię złapał?

- Mama robiła zdjęcia w parku przed naszym domem. Ja bawiłam się ze Scooterem, psem sąsiadów. Mama powiedziała, że kupi mi takiego samego. Rzuciłam mu patyk. Bardzo długo uczyłam go aportować. Mama mówi, że dalmatyńczyki są raczej głupie, ale strasznie miłe. Rzuciłam Scooterowi patyk, a kiedy długo nie wracał, pobiegłam za nim. Jakiś człowiek trzymał go za obrozę i głaskał. Mama mnie zawołała, więc odkrzyknęłam, że już wracam, tylko wezmę Scootera. Wtedy ten człowiek uśmiechnął się do mnie i uderzył mnie w głowę. Próbowałam wołać mamę, ale nie mogłam.

Więc to było aż tak łatwe, pomyślał Ramsey. Wszystko trwało zaledwie chwilę, w czasie której dorosła osoba myślała, że wszystko jest w porządku. A potem było już za późno na ratunek...

Zerknął na Molly. Była wstrząśnięta. Czuł, jakie straszne robi sobie wyrzuty. Miał ochotę potrząsnąć nią mocno. Nie było w tym ani odrobiny jej winy, ale on wiedział, jak głębokie ślady pozostawiają wyrzuty sumienia.

Potem Emma ukryła twarz na jego piersi i znieruchomiała. Trzymał ją mocno, przyciskając usta do jej włosów. Doktor Loo skinęła głową i Molly podniosła się powoli.

- Dziękujemy, doktor Loo.

- Miło mi było was poznać. Polubiłam cię, Emmo, wiesz? Jesteś twarda i potrafisz korzystać ze swojego rozumu. Poradzisz sobie ze wszystkim, zobaczysz. Chciałabym, żebyśmy porozmawiały sobie za jakiś czas, kiedy już trochę zapomnisz o tych przykrych rzeczach, co ty na to?

Emma odwróciła się twarzą do lekarki.

- Sama nie wiem, doktor Loo - powiedziała. - Może w przyszłym tygodniu?

Ramsey zauważył, że Molly odetchnęła z ulgą. Emma zeskokczyła z jego kolan i podeszła do matki. Chwyciła ją za rękę i szybko wyciągnęła z gabinetu.

- Panie Hunt, proszę poświęcić mi jeszcze chwilę.

Z uśmiechem spojrzał na lekarkę.

- Doskonale wybrnęła pani z tej sytuacji. Na początku zastanawiałem się, czy to dobre podejście, ale udało się.

- Emma jest inteligentnym dzieckiem, ale pierwsza rozmowa zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem. Nie wiem, jaką rolę odegrał pan w tej sprawie, widzę jednak, że Emma darzy pana całkowitym zaufaniem. Wynika z tego, że to, co pan i jej matka zrobiliście, okazało się dla niej dobre. Z czasem wydobędę z niej wszystko, co skrywa i wtedy będzie mogła przyjrzeć się temu straszemu przeżyciu, rozebrać je na części i pogodzić się z tym, co ją spotkało. Czy rozmawiała już z policją?

Ramsey potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Ani Molly, ani ja nie chcieliśmy narażać ją na pytania ze strony obcych. Do pani przyszliśmy z nią tylko dlatego, że dręczą ją koszmarne sny.

- Nic dziwnego. Rozumiem, że została zbadana przez internistę?

- Tak. Na naszą prośbę lekarz pediatra przeprowadził wszystkie badania. Jest tak, jak myśleliśmy - Emma została zgwałcona, była bita, ale rany goją się prawidłowo, przynajmniej te zewnętrzne. Jeszcze coś - kilka razy, budząc się ze złego snu, Emma mówiła coś o tym mężczyźnie. Że wiązał ją tylko sznurkiem, bo powiedział jej, że jest tylko małą dziewczynką... Powiedział jej też, że potrzebuje jej bardziej, niż Bóg potrzebuje jego.

- To z pewnością jest jakiś trop. Niech pan przekaże tę informację FBI, panie Hunt, jeżeli jeszcze pan tego nie zrobił.

- Dobrze.

- I niech dalej postępują państwo tak, jak do tej pory. Zobaczymy się we wtorek, prawda?

- Tak, oczywiście. Chciałem zwrócić pani uwagę na jeszcze jedną rzecz...

Lekarka sięgnęła po oparty o biurko kijek i ostrożnie wsunęła go pod gips.

- Ach, co za ulga - powiedziała z uśmiechem. - Tylko ten, kto przynajmniej raz w życiu nie był w stanie podrapać swędzącego miejsca, potrafi to zrozumieć. A jeśli chodzi o tę sprawę - uważa pan, że posuwam się za szybko, tak? Być może, ale widzi pan, tę potworną truciznę trzeba wydobyć z niej jak najszybciej, dopóki nie zdąży wyrządzić poważniejszych szkód. Rozmowa o tych wszystkich okropnych przeżyciach jest psychologicznym odpowiednikiem płukania żołądka. Proszę się nie martwić, jeżeli zauważę, że dzieje się coś złego, zwolnię. - Wyciągnęła do niego rękę. - I proszę powtórzyć mamie Emmy, że też doskonale sobie radzi. Niech się nie obwinia, bo nie będzie mogła pomóc Emmie. Do widzenia, sędzio Hunt. Nie wiem, dlaczego ma pan taką zdziwioną minę. Jest pan sławnym człowiekiem.

- Powtórzę Molly wszystkie pani rady. - Ramsey uściśnął rękę doktor Loo i odwrócił się. - W tej chwili może nawet jestem i sławnym, ale przede wszystkim bardzo przestraszonym człowiekiem.

## ***Rozdział 17***

Molly wyszła z kuchni i zobaczyła Emmę, stojącą obok stołu w holu, z czekoladowym ciasteczkiem wypieku Milesa w ręku, wpatrującą się w ojca. Louey robił wrażenie bardzo zmieszanego.

- Pamiętam cię - powiedziała Emma powoli i ugryzła kawałek ciastka. - Jesteś moim tatą. Mama mówiła, że do mnie przyjedziesz.

- No właśnie - burknął Louey. - Więc przyjechałem... Strasznie urosłaś, dzieciaku.

- Dawno mnie nie widziałeś - rzekła Emma, nie spuszczać wzroku z twarzy człowieka, którego z trudem poznała. Louey wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego. - Mama mówi, że rosnę jak na drożdżach, zupełnie jak doktor Pepper. Doktor Pepper to mój ulubiony napój.

- Moim zdaniem jesteś bardzo wysoka. Słuchaj, Emmo... Hm... Na mnie już czas. Muszę zobaczyć się z pewnymi ludźmi i załatwić kilka spraw, wiesz?

- Wiem, tato - odparła, nie odrywając od niego oczu. - Wiem.

Molly złapała Loueya w holu na górze, kiedy godzinę później ułożyła Emmę do snu. Właśnie wychodził ze swojej sypialni. Gunther stał w odległości sześciu metrów od niego, z rękoma założonymi na piersi, i ze stoickim spokojem żuł wykałaczkę.

- Poświęciłeś Emmie niecałe dwie minuty, Louey. Trzeba dodać, że było to wasze pierwsze spotkanie po dwóch latach. Może zaproponowałbyś jej, żeby zagrała dla ciebie na pianinie? Ręczę, że będziesz pod dużym wrażeniem.

Louey Santera był w tej chwili bardziej zmęczony niż przestraszony, chociaż świetnie wiedział, że ma poważne powody, aby się bać.

- Porozmawiałem z nią, Molly. Co jeszcze miałem zrobić, na miłość boską? Mała wygląda dobrze, nic jej nie jest. No dobrze, następnym razem poproszę ją, żeby zagrała na tym durnym pianinie.

- I może później powiedziałbyś jej, że ją kochasz, co? Jesteś przecież jej ojcem. Nie wątpię, że ta myśl nigdy nie zaświtała ci w głowie, ale Emma po prostu cię potrzebuje.

- To ty chciałaś ją mieć, nie ja. Przed urodzeniem dziecka byłaś o wiele bardziej interesująca, Molly. Pamiętasz te zdjęcia, które mi zrobiłaś i zaniosałaś do redakcji „Rolling Stone”? Kupili je i opublikowali, ale ty powiedziałaś tylko, że są nie najgorsze, nic więcej. Szef działu fotograficznego „Rolling Stone” wychwalał je pod niebiosa. Nie mam pojęcia, dlaczego nie chciałaś więcej dla nich pracować.

- Masz bardzo wybiórczą pamięć, Louey. Byłam wtedy w ciąży i od rana do wieczora rzygałam jak struty kot. Nie miałam siły robić zdjęć. Odkąd Emma podrosła, powoli do tego wracam.

- Nikt nie zrobił mi nigdy tak dobrych zdjęć jak tamte.

Nietrudno było zgadnąć, że myślał wyłącznie o sobie. Louey zawsze myślał tylko o sobie. Molly miała ochotę przewrócić oczami i zdzielić go prawym sierpowym, lecz zamiast tego uśmiechnęła się spokojnie. Prawdę mówiąc, nie czuła do Loueya nienawiści - najczęściej w ogóle o nim nie myślała.

Wiedziała, że jego beczelna pewność siebie skrywa najróżniejsze lęki i niepewności, które czasami wypływały na powierzchnię. Rozumiała to, chociaż zdawała sobie także sprawę, że Louey potrafi niszczyć ludzi, którzy usiłują nawiązać z nim bliższy kontakt. Teraz bez trudu dostrzegła, że jest głęboko przerażony.

- Jesteś świetnym modelem, Louey - powiedziała, starając się go uspokoić. - Wiesz, że obiektyw cię kocha. Na świecie jest mnóstwo dobrych fotografów, którzy jeszcze nie raz zrobią ci świetne zdjęcia, ale to nie ma teraz nic do rzeczy. - Przerwała i potrząsnęła głową. - Nieważne. Jeżeli chcesz, żebym ci pomogła, zanim mój ojciec naprawdę się wkurzy, lepiej powiedz mi, co wiesz o porwaniu Emmy. Sam wiesz, co Mason potrafi, gdy straci nad sobą panowanie, a tym razem sprawa jest dużo poważniejsza niż wtedy w Denver.

- Nie było cię w Denver, kiedy twój tatuś zjawił się tam trzy lata temu, więc skąd możesz wiedzieć, do czego jest zdolny?

- Pamiętam za to, jak wiele lat temu przyjechałam tu na wakacje. Miałam wtedy dwanaście lat. Pewnego dnia obudziłam się tuż przed północą i zeszłam do kuchni, żeby napić się mleka. Zauważyłam, że w gabinecie ojca pali się światło i usłyszałam jakieś głosy. Uchyliłam drzwi i zajrzałam tam... - Molly zadrżała na wspomnienie sceny, którą teraz podsunęła jej pamięć. - Powiedz wszystko, co wiesz, Louey, nie wymądrzaj się. Kiedy ojciec określi cel

działania, zmierza do niego po trupach. Ma dużo cierpliwości, ale kiedy ją traci, nie zna litości. W jaki sposób zaangażowałaś się w to wszystko? Podaj mi nazwiska ludzi, którym jesteś winien pieniądze.

W tej chwili zza rogu holu wyłonił się Ramsey. Właśnie przyszedł na górę i miał zamiar położyć się spać. Było już późno. Zobaczył Molly i Loueya, stojących naprzeciwko siebie jak para rewolwerowców, i usłyszał ostatnie słowa Molly.

Wiedział, że w gruncie rzeczy Molly nie wierzy, aby Louey był bezpośrednio zamieszany w porwanie Emmy, jest jednak niemal pewna, że były mąż ukrywa jakieś istotne informacje. Usiłowała teraz go postraszyć, co mogło okazać się sprytnym posunięciem. Ramsey był ciekaw, czy Louey to kupi.

Louey rzucił ostrożne spojrzenie w stronę Gunthera, który nadal z niewzruszonym spokojem opierał się o drzwi.

- Popełniłem poważny błąd, żeniąc się z tobą - syknął Louey. - Udawałaś pierwszą niewinną, a okazało się, że twoim tatusiem jest wielki gangster. Żałuję, że tak późno odkryłem prawdę.

- O co ci chodzi?

- Chcesz usłyszeć parę słów prawdy? - Wargi Loueya wykrzywił paskudny uśmiech. - Dobrze. Chciałem się z tobą pieprzyć, Molly, nie żenić. Niestety, twój tatuś dowiedział się o nas i nie pozostawił mi wyboru...

- To nieprawda, dlaczego kłamiesz? Mój ojciec nie miał pojęcia, że się z tobą spotykałam do dnia, kiedy powiedziałam mu o naszym ślubie. Nie patrz na mnie jak na idiotkę! Mówię ci, że wcześniej nic nie wiedział! Doskonale pamiętam, był kompletnie zaskoczony! Nie wymyśliłam sobie tego.

Louey zaśmiał się kpiąco, z politowaniem. Jego śmiech zmroził Molly do szpiku kości.

- To kłamstwo! - powtórzyła. Nie miała już siły. Czy w jej życiu nic nie było takie, jak sądziła? - Teraz, po tych wszystkich latach kłamiesz, żeby mnie zranić.

- Jasne, słodka Molly, oczywiście! Twój stary kazał nas śledzić, prawie od samego początku. Nie wiedziałaś o tym, co? Naturalnie że nie. Tak, jego ludzie nie spuszcza mi z oka, a wszystko po to, aby chronić Molly przed zaćpanym gwiazdorem. Najprawdopodobniej wiedział nawet, kiedy straciłaś ze mną dziewictwo, i to co do minuty. Następnego dnia złożył mi wizytę. Dopiero wtedy trafiło do mnie, kim on w rzeczywistości jest.

- Nie kłamiesz? Mój ojciec zmusił cię, żebyś mi się oświadczył?!

- Nie sądzisz chyba, że zależało mi na żonie, co? Daj spokój, Molly, chyba nawet ty nie jesteś na tyle głupia! Zawsze lubiłem świeże, chętne dziewczynki, a ty patrzyłaś we mnie jak w obraz. Nie miałem zamiaru odmawiać sobie takiej przyjemności. Odrobina cierpliwości, kilka gierek i sama wlaźłaś do łóżka. Chciałem być twoim pierwszym, jasne. Od zawsze mam słabość do dziewic, więc zrobiłem to, ale następnego ranka, zaraz po twoim wyjściu, w drzwiach stanął szanowny tatuś. - Louey wzruszył ramionami. - Pamiętam jednego z jego goryli, tego, któremu jakiś czas później ktoś odstrzelił łeb. Miał wielkie ręce. Złapał mnie nimi za szyję i podniósł wysoko. Potem twój tatuś poinstruował mnie, jak ma wyglądać nasza przyszłość. Miałem ci się oświadczyć, szczerze i z przekonaniem. Ostrzegł też, że jeżeli nie dochowam wierności jego córce, oszpeci mnie i nikt więcej nawet na mnie nie spojrzy. Uwierzyłem mu.

- Byłeś bardzo szczery - powiedziała Molly, zastanawiając się, jak to możliwe, że zdołała wydobyć z gardła jakieś słowa. - Doskonale pamiętam tamten wieczór... Ale przecież po naszym ślubie również sypiałeś z wieloma kobietami...

Louey niedbale wzruszył ramionami.

- A co miałem zrobić? Nie byłaś już pełną entuzjazmu panienką. W końcu zadzwoniłem do twojego ojca i przyznałem mu się, że robię skoki na bok. Powiedziałem, że ty nie jesteś tym specjalnie zainteresowana.

Roześmiał się. Molly nie mogła w to uwierzyć, ale on naprawdę się śmiał.

- Tatuś udzielił mi pozwolenia - dodał. - Przykazał mi tylko, żebym był dyskretny.

Upokorzenie i wściekłość wezbrały w Molly wielką falą. Wzięła zamach i wymierzyła mu mocny cios w brzuch. Louey ze świstem wypuścił powietrze z płuc, jęknął i zgiął się wpół.

- Ty draniu - powiedziała cicho. - Ty skończony draniu! Jesteś zdolny do wszystkiego, co? Jesteś jedynym mężczyzną, z którym spałam, więc nie mam skali porównawczej, ale posłuchaj mnie teraz uważnie - nigdy nie było mi z tobą dobrze, nigdy! Z tego, co słyszałam od innych kobiet, wynika, że w seksie jesteś równie prymitywny i ograniczony jak w życiu, a ja kupowałam to, ponieważ nie przyszło mi do głowy, że mogłabym spodziewać się czegoś więcej. Masz w sobie tylko chciwość i egoizm. I trochę sprytu, dzięki któremu szybko pojąłeś, że mój ojciec zmiotłby cię z powierzchni ziemi, gdybyś nie był mu posłuszny. Kazałeś porwać Emmę, prawda? Zrobiłeś to, bo przecież zawsze potrzebujesz pieniędzy! Wiedziałeś, że to Mason zapłaci za jej uwolnienie, ale w gruncie rzeczy wcale cię nie interesowało, od kogo dostaniesz forszę! - Przerwała na chwilę, ciężko dysząc. Nagle uderzyła się otwartą dłonią w czoło. - Jak mogłam być taka głupia?! Wcale nie chciałeś, żeby angażował się w to mój ojciec. To ja miałam zapłacić okup! Uznałeś, że w ten sposób po prostu odzyskasz swoje pieniądze! Nie sądziłam, że to zrobiłeś, ale teraz zmieniałam zdanie. Nie masz żadnych wielkich długów, o nie. Kazałeś ją porwać, żeby położyć łapę na forsie. - Znowu walnęła go w brzuch. - I zleciłeś to zadanie zboczeńcowi, pedofilowi! Zrobiłeś to własnej córce! Co z ciebie za człowiek, na miłość boską?!

Wymierzyła mu kolejny cios, po którym Louey z trudem się wyprostował.

- Nie - wykrztusił. - Nie zrobiłem tego... Nie bij mnie więcej, Molly... Pamiętasz, jak sprąłem cię trzy lata temu? Jeżeli nie przestaniesz, teraz też się nie zawaham...

- Tylko spróbuj, glizdo - warknęła. - Tylko spróbuj!

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale jedynie potrząsnęła głową i odeszła.



Ramsey przez długą chwilę stał bez ruchu. Ludzie potrafili ranić się nawzajem na tyle sposobów... Teraz on, sędzia Ramsey Hunt, szybko podszedł do Loueya Santery, który usiłował odzyskać oddech, zerkając to na Gunthera, to na własne stopy.

- Cześć, Louey, jak ci leci?

Louey z wysiłkiem podniósł głowę.

- Czego chcesz, kutasie?

Ramsey obdarzył go pogodnym uśmiechem.

- Molly zdrowo ci przyląła. Wiedziałem, że jest silna, ale to była po prostu jatka. Musiałeś ją mocno wkurzyć.

- Molly jest odważna, kiedy za drzwiami czeka tatuś albo jeden z jego goryli. Wiesz, co zrobiłby ze mną Gunther, gdybym na nią dmuchnął? Nie mogłem nic zrobić...

Wciąż z tym samym uśmiechem na ustach Ramsey chwycił Loueya za przód koszuli, wyprostował go i posłał prawy sierpowy prosto w szczękę. Louey zawył boleśnie i szarpnął się do tyłu. Ramsey rozluźnił uścisk i Louey z rozpędu wyrzwał plecami o ścianę.

- Kawał drania z ciebie, wiesz? - powiedział spokojnie Ramsey. - Teraz będziesz miał się nad czym zastanawiać. Nie mogę się już doczekać, kiedy znikniesz mi z oczu. Molly ma rację - Mason rzeczywiście lada chwila straci cierpliwość. A kiedy to się stanie, będziesz martwy, chłopcze.

- Jesteś pieprzonym sędzią, skurwysynu, zapomniałeś o tym?! Zobacz, jaki z ciebie przedstawiciel systemu sprawiedliwości! Oskarżę cię o pobicie, słowo daję! Postaram się, żeby zabronili ci wykonywania zawodu! Ja cię jeszcze dorwę!

- Może zechcesz dorwać mnie od razu, co? Czekam, Louey. Jeżeli przyjdzie ci ochota jeszcze się trochę poszturczyć, jestem na twoje usługi. - Ramsey pokręcił głową. - Wszystko wskazuje na to, że wynająłeś zboczeńca, by porwał twoją córkę. Jestem skłonny przypuszczać, że nie wiedziałeś, komu

płacisz, ale z tego widać, jaki z ciebie mądrała. Jeśli okaże się, że rzeczywiście to zrobiłeś, pójdziesz za kratki. Kto wie, może spotkamy się w sali sądowej.

- Pracujesz w San Francisco, idioto!

- To prawda, ale mam wielu przyjaciół wśród sędziów. - Ramsey ruszył do swego pokoju, pogwizdując cicho. - Spokojnej nocy, Louey. Ranek nadejdzie szybciej, niż się spodziewasz.

Ramsey wszedł do sypialni. Nie zapalając światła, wyciągnął się na łóżku i wbił wzrok w pograżony w mroku sufit. Czy Louey rzeczywiście zorganizował porwanie Emmy? Jeszcze w tej chwili wydawało mu się to zupełnie nieprawdopodobne. Z drugiej strony było oczywiste, że Louey nie kieruje się w życiu żadnymi zasadami moralnymi...

- Słyszałeś wszystko, prawda?

Ramsey usiadł gwałtownie.

- Molly? Co tu robisz? I w dodatku po ciemku?

- Czekałam na ciebie. Widziałam, jak podniosłeś go i uderzyłeś.

- Mocno oberwał od nas obojga, więc może ocknie się w nim jakaś resztką sumienia, chociaż nie stawiałbym na to. Jakim cudem mogłaś kiedykolwiek uważać, że go kochasz?

- Miałam wtedy dziewiętnaście lat i byłam potwornie głupia.

- A on był wielką gwiazdą rocka...

- Tak. Patrzyłam w niego jak w obraz. Przedstawił nas sobie mój przyjaciel, który dość dobrze go znał. Słyszałeś, dlaczego zaczął ze mną chodzić. Byłam słodką, naiwną idiotką i nie poszłam z nim do łóżka zaraz po pierwszej randce. Tylko z tego powodu zaprosił mnie na następną. Ale i wtedy się z nim nie przespałam. Zrobiłam to dopiero wtedy, gdy pewnego wieczoru wypaliłam skręta i za dużo wypiałam... Boże, jak żałośnie to brzmi... Tak czy inaczej, wreszcie mnie zaliczył. - Molly zadrżała na samo wspomnienie. - Nie chcę o tym więcej myśleć, Ramsey. Dał mi Emmę i tylko to się liczy. Żeby mieć Emmę, zatańczyłabym z samym diabłem.

- Nie wątpię - powiedział.

Podniósł się z łóżka. Teraz widział ją wyraźnie. Stała przy oknie, oświetlona srebrzystym promieniem księżycowego światła, który przedostawał się do pokoju między zasłonami. Odwróciła się twarzą do niego.

- Słyszałeś wszystko, co powiedział?

- Tak, i z przyjemnością go uderzyłem. To tylko mama namiastka człowieka, Molly.

- Myślisz, że rzeczywiście miał coś wspólnego z porwaniem Emmy?

- Może. Niewykluczone, że trafiłaś w dziesiątkę. Chciał odzyskać pieniądze. Ciągle zadaję sobie jednak te same pytania i nie rozumiem, skąd wzięli się ci wszyscy zawodowcy... Kto za nami jechał? Pamiętasz chyba, że żądanie okupu przyszło już po ucieczce Emmy. Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że gdyby ci ludzie nas znaleźli, byłibyśmy martwi. Ale dlaczego? Gdzie tu sens? Przecież wtedy nie dostaliby żadnego okupu.

- Wiem.

Panującą w domu ciszę przerwał nagle ostry, rozdzierający krzyk. Oboje w jednej chwili wybiegli z pokoju Ramseya i wpadli do sypialni Emmy i Molly.

Molly chwyciła Emmę w objęcia i przytuliła ją mocno.

- Wszystko w porządku, kochanie, wszystko w porządku... Oddychaj głęboko. Mama jest przy tobie, skarbie. Nic złego się nie dzieje. Jestem tutaj i Ramsey też tu jest...

Ramsey usiadł z drugiej strony i w milczeniu głaskał Emmę po plecach.

- Znowu śnił ci się ten straszny człowiek, Em?

Kiwnęła głową, kryjąc twarz na ramieniu matki.

- Obudził mnie jakiś hałas... - wyszeptała. - Spojrzałam w okno i zobaczyłam go. Przyglądał mi się z uśmiechem. Miał popsute zęby, tak samo jak wtedy...

Ramsey natychmiast podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nic, tylko ciemność. Otworzył okno. Byli na pierwszym piętrze. Pod oknem znajdował się

okap, wystarczająco szeroki, aby utrzymał się na nim dorosły człowiek. Ramsey długo wypatrywał wśród zarośli i drzew jakiegoś śladu ruchu. Bezskutecznie. Idealnej ciszy nie zakłócał żaden odgłos, w pobliżu nie było też widać żadnego z ochroniarzy. Odwrócił się i spojrzał na Emmę.

- On nigdy nie zostawi mnie w spokoju - powiedziała łamiącym się głosem. - Ciagle na mnie czeka. Czuję, że po mnie przyjdzie i przyszedł... Przyjechał tu za nami aż z Kalifornii...

Molly patrzyła bezradnie na Ramseya. Potrząsnął głową.

- Jesteś pewna, że widziałas go za oknem, Em?

- Tak. Uśmiechał się do mnie. Tak strasznie się bałam... Matka objęła ją mocniej.

- Wiem, skarbie, ale teraz naprawdę nic ci nie grozi. Jesteśmy tu z tobą obydwój.

- On już nie wróci, Emmo - rzekł Ramsey. - I dam ci słowo, że wkrótce przestanie ci się śnić. A teraz zejdz na dół i rozejrzdz się w ogrodzie.

Był już przy drzwiach, kiedy Emma go zawołała. Odwrócił się.

- Tak, Emmo?

- Dziękuję, że mi uwierzyłeś.

Ramsey się uśmiechnął.

- Jeżeli jeszcze nie uciekł, na pewno go złapiemy. Chyba nie do końca była o tym przekonana. Szczerze mówiąc, on także nie, ponieważ uważał, że był to tylko kolejny zły sen. Mimo to zamierzał dokładnie przeszukać cały teren z pomocą ochroniarzy. Przy okazji upewni się, czy rzeczywiście mają się na baczności. Emma sennie ssała kciuk.

- Położę się teraz i przytulimy się do siebie, Em - odezwała się Molly. - Mocno się przytulimy.

- Czy Ramsey też mógłby się do nas przytulić?

Nawet się nie zawahał.

- Jasne, Emmo. Poleż na razie z mamą, a ja zaraz przyjdę. Poszukam tylko tego złego człowieka i wracam. Potem przytulę was obie i wszyscy spokojnie zaśniemy.

Emma rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie i wyciągnęła kciuk z buzi.

- Uważaj na siebie, Ramsey, bardzo cię proszę - szepnęła. - To okropnie zły człowiek. On nawet pali.

- Niedługo wrócę, Emmo. I będę tak ostrożny jak sędzia.

Parsknęła cichutko i przełknęła ślinę.

- To było dosyć zabawne, Ramsey.

Miles zapukał lekko do drzwi sypialni, potem uchylił je cicho. Emma leżała przytulona do Molly, Ramsey spał w fotelu obok łóżka, przykryty wełnianą narzutą. Było późno, po ósmej rano. Miles zawahał się w progu, nie wiedząc, co robić.

- To ty, Miles?

- Tak, Ramsey. Może zajrzeć do was za jakiś czas?

- Nie, powinniśmy już wstawać. - Ramsey usiadł wyprostowany i przeciągnął się. - Skręciłem się w obwarzanek - powiedział, rozcierając kark.

Podniósł się, lecz w tej samej chwili rączka Emmy błyskawicznie wysunęła się spod kołdry i chwyciła go za rękaw. Molly obudziła się i próbowała usiąść w taki sposób, aby nie trącić Emmy.

- Nie śpię, mamó. Złapałam Ramseya.

- Właśnie widzę. To ty, Miles?

- Tak, Molly... - Miles nagle przerwał i odwrócił głowę. - Dzień dobry panu. Jak pan widzi, Ramsey i Molly czuwają nad Emmą.

- To śmieszne - oznajmił Mason Lord. - Co ty tu robisz, Ramsey, do diabła?

- Jeżeli obaj na chwilę wyjdziecie, Molly i ja trochę się oporzędzimy - odparł spokojnie Ramsey, nie wypuszczając z dłoni ręki Emmy. - Jestem tu dlatego, że Emma miała zły sen i obudziła się w środku nocy. Staram się

trzymać wtedy w pobliżu, żeby szybciej się uspokoiła. Puść mnie teraz, Em, dobrze? Wszystko w porządku.

Nachylił się nad dziewczynką, pocałował ją i delikatnie poklepał po policzku. Mason Lord odwrócił się bez słowa. Usłyszeli go po chwili, z głębi korytarza.

- Dzień dobry, Louey - rzekł zimnym, twardym głosem. - Mam nadzieję, że dziś rano będziesz miał mi wiele do powiedzenia.

- Więc ona jednak z nim sypia, co?

- Masz bardzo brudne myśli, Louey. Sugeruję, żebyś zszedł na dół, zjadł porządne śniadanie, na przykład grzanek z bekonem, a potem opowiedział mi o wszystkim, co ostatnio wydarzyło się w twoim byle jakim życiu.

- Powtarzam, że nie porwałem Emmy! To także moje dziecko! Dlaczego wszyscy mówicie o niej ciągle córka Molly? Musicie mi uwierzyć! Ja...

Całe szczęście, że Miles zamknął wreszcie drzwi.

Ramsey zadzwonił do doktor Loo i poinformował ją o koszmarnym śnie, który wydał się Emmie tak rzeczywisty. Lekarka natychmiast umówiła się z nimi na wizytę. Po drodze do jadalni Mason Lord zatrzymał Ramseya i wziął go na stronę.

- Kazałem Guntherowi podstawić mercedesa pod dom - powiedział. - Możecie nim pojechać do tej lekarki. Słyszałem też o wieczornych poszukiwaniach...

- Nie natknęliśmy się na żaden ślad wizyty nieproszonego gościa, ale szczerze mówiąc, nie spodziewałem się czego innego. Ten człowiek przyśnił się Emmie, więc kiedy się ocknęła, jeszcze nie do końca przytomna, spojrzała w okno i pomyślała, że go tam widzi. Zdarza się to nawet dorosłym, dlatego nie ma się co dziwić sześciolatniej dziewczynce, i to po takich przeżyciach. Umówiliśmy się z doktor Loo od razu, dopóki wszystko jest jeszcze świeże w pamięci Emmy. - Zmarszczył brwi i zamilkł ze wzrokiem utkwionym w oknie.

- O co chodzi?

- Jest bardzo prawdopodobne, że Emma umiałaby opisać porywacza. Myślałem o tym już wcześniej, ale doszedłem do wniosku, że nie można narażać jej na dodatkowy stres. Może teraz jest właściwy moment. Moglibyśmy zaprosić tu współpracującego z policją rysownika ...

- Żadnej policji. Gliniarze zawsze wtykają nos w nie swoje sprawy. Umówię jakiegoś grafika i skontaktuję go z doktor Loo.

Ramsey skinął głową i wszedł do jadalni, gdzie czekały już na niego Emma i Molly. Jadalnia była uroczym pokojem w kolonialnym stylu, z łukowatymi oknami wychodzącymi na znajdującą się na tyłach domu część ogrodu oraz lśniący błękitem basen. Usiadł przy stole nakrytym ręcznie haftowanym obrusem i sięgnął po jedno z przygotowanych dań.

- Lubię doktor Loo - oświadczyła Emma, zanurzając łyżkę w owsiance, którą specjalnie dla niej zrobił Miles. - Naprawdę wierzycie, że widziałam tego człowieka?

- Mogło ci się tak tylko wydawać, bo przed sekundą obudziłaś się ze złego snu, ale na pewno wkrótce wyjaśni się, jak to było. Niepokoi cię, że to mógł być tylko sen?

- Nie. - Emma westchnęła głęboko.

Ramsey nigdy by nie przypuszczał, że z piersi dziecka może wyrwać się tak ciężkie westchnienie. Molly wstała szybko i stanęła za krzesłem Emmy.

- Zaplotę ci włosy we francuski warkocz, Em. Teraz sterczą na wszystkie strony.

Podczas gdy Emma jadła owsiankę, Ramsey popijał kawę i obserwował, jak Molly splata warkocz. Jej dłonie poruszały się pewnie i płynnie. Doszedł do wniosku, że musi się tego nauczyć. Przypomniał sobie żałosne warkoczyki, które wychodziły spod jego dłoni zaraz po znalezieniu Emmy.

- Pokażesz mi, jak to się robi? - zwrócił się do Molly, która okręcała gumką koniec warkocza i wiązała na niej ładną żółtą kokardę.

- Oczywiście. Emmo, pozwolisz Ramseyowi poćwiczyć na twoich włosach?

- Jasne, mamó, Ramsey szybko nauczy się wszystkiego.

- Tyle ufności! - Molly się zaśmiała i pocałowała córkę w ucho. - Jeżeli już skończyłaś, kochanie, to powinniśmy się zbierać. Poproszę Milesa, żeby podjechał samochodem.

- Twój ojciec powiedział, że Gunther podstawia go odpowiednio wcześniej - rzekł Ramsey.

Kiedy pięć minut później wyszli przed dom, samochód stał nieco dalej, na szerokim podjeździe. Nagle spośród otaczających trawnik krzewów wypadł Louey Santera. Podbiegł do samochodu i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwiczki.

- Próbuje uciec - rzekł Ramsey i pokręcił głową. - Biedny idiota... Wracaj, Louey! - zawołał. - Przecież wiesz, że nie zdołasz się stąd wydostać! Brama jest zamknięta i pilnuje jej dwóch ochroniarzy z bronią! Daj sobie spokój, głupku! Na miłość boską. Mason nie zamierza wyrywać ci paznokci! Jeżeli powiesz mu prawdę, na pewno nie zrobi ci krzywdy!

Louey wymownym gestem pokazał mu środkowy palec. Potem przekręcił kluczyk w stacyjce mercedesa. Była to ostatnia rzecz, jaką zrobił w życiu.

## ***Rozdział 18***

Samochód eksplodował w kuli ognia. Wielkie jęzory płomieni i kawałki metalu prysnęły wysoko w powietrze, w górę i na boki, prosto w stronę Molly, Ramseya i Emmy. Molly chwyciła Emmę i rzuciła ją na ziemię, osłaniając dziewczynkę własnym ciałem. Ramsey padł na kolana i otoczył obie ramionami, przygniatając je do ziemi. Poczłł gorące tchnienie ognia, słyszał trzask płomieni i uderzenia spadających na chodnik i żwir fragmentów samochodu. Nagle poczuł, że na plecy runęło mu coś ciężkiego i gorącego. Ból był intensywny i



nieustępliwy, a to, co opadło na plecy, przepalało jego sportową kurtkę i koszulę.

- Nie ruszaj się, Molly! - krzyknął.

Szybko przetoczył się na plecy i wtedy zobaczył tuż obok siebie płonący fragment tapicerki. Ból natychmiast zelżał. Spojrzał na Molly i zobaczył ostry kawałek metalu, sterczący niczym sztylet z jej przedramienia kilka centymetrów nad łokciem.

- Boże! - jęknął. - Spokojnie, Molly, staraj się nie ruszać ręką. Nic ci nie jest, Emmo?

- Nie, Ramsey.

- Dobrze. Nie podnoście się jeszcze, to zbyt niebezpieczne. - Mocnym szarpnięciem oddał pas materiału z rękawa koszuli, wziął głęboki oddech i błyskawicznym ruchem wyrwał metalowe ostrze z ramienia Molly. - Udało się. Zaraz ci to zabandażuję.

Molly nie wydała najmniejszego dźwięku. Nie wiedział, jak to zrobiła, ale nawet nie drgnęła. Następne minuty wlokły się bez końca. Emma wierciła się, usiłowała podnieść głowę, więc Ramsey mówił jakieś pozbawione wszelkiego znaczenia rzeczy, starając się ją uspokoić.

W końcu płomienie opadły i z wraku zaczął wydobywać się czarny dym, który wkrótce spowił wszystko gęstą chmurą. Zapach palącej się gumy doprowadzał do mdłości. Mercedes był już tylko płonąca skorupa, a to, co pozostało z Loueya, znajdowało się w jego wnętrzu.

Kiedy Ramsey wreszcie się poruszył, Emma przekręciła się na plecy i spojrzała na matkę, która nadal trzymała ją za ramię.

- Co się stało? Dlaczego nasz samochód wybuchnął?

- Wszystko w porządku, Em, jesteśmy cali i zdrowi - uspokoił ją Ramsey. Nie mógł odpowiedzieć na pytanie dziewczynki, w każdym razie jeszcze nie teraz. Ostrożnie pomógł Molly dźwignąć się na nogi. - Trzymasz się jakoś?

- Tak, nie przejmuj się mną. Całe szczęście, że włożyłam sukienkę z długim rękawem. Niewielka to ochrona, ale jednak...

Rękaw jej sukienki był rozdarty, krew z rany przesiąkała przez zaimprovizowany bandaż i dużymi kroplami spływała ku dłoni.

- Musimy wezwać lekarza.

Molly rzuciła mu pełne niepokoju spojrzenie.

- Dobrze się czujesz, Ramsey? Wiem, że jesteś ranny.

- To nic poważnego. Chodźmy stąd, Molly.

Obejrzała się i jej twarz w jednej chwili stała się kredowo biała.

- O Boże, Louey! - krzyknęła rozpaczliwie i rzuciła się w kierunku płonącego samochodu. - Louey!

Ramsey otoczył ją ramieniem w pasie i zatrzymał,

- Nie, Molly, nie można mu już pomóc. On nie żyje.

W tej samej chwili dotarło do niego, że ojciec Emmy zginął na jej oczach. Ani on, ani Molly, zszokowani, nie byli w stanie myśleć jasno i szybko, więc dopiero teraz spostrzegł, że dziewczynka stoi zupełnie nieruchomo, wpatrując się w buchający dymem wrak. Ukląkł obok Emmy i przytulił ją do siebie.

- Wszystko będzie dobrze, Emmo, wierz mi. Wiem, jak się czujesz, kochanie, i jest mi strasznie przykro... Ktoś podłożył bombę w samochodzie, rozumiesz? Ekspłodowała, kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce...

Usłyszał dobiegające z tyłu głosy, nie odwrócił się jednak, aby sprawdzić, kto biegnie w ich stronę. Z samochodu nie zostało dosłownie nic i podobnie rzecz się miała z Loueyem Santerą. Rozpoznawalny był tylko firmowy znaczek na masce mercedesa.

Ramsey zerknął przez ramię i ujrzał wszystkich mieszkańców domu, stojących na schodach i z otwartymi ustami gapiących się na szerniały metalowy szkielet. Małe języki płomieni nadal lizały tu i ówdzie poskręcany wrak.

Elektryczne pianino Emmy było rozbite, lecz dziewczynka dalej przyciskała je do piersi. Mała powoli przeniosła spojrzenie z matki na Ramseya.

- Nie rozumiem... - szepnęła.

- On nie żyje, Emmo - odezwała się Molly.

- Och... - Z piersi Emmy wyrwało się ciężkie westchnienie. - Nie widzę go, Ramsey...

- Ja też nie - odparł cicho.

Nie mógł przecież powiedzieć Emmie, że prochy jej ojca trzeba będzie zebrać na śmietniczkę i przesypać do jakiegoś naczynia. Zaraz potem wszyscy znaleźli się przy nich, mówiąc jednocześnie i przekrzykując się nawzajem, poklepując ich i pocieszając.

Mason Lord na krótką chwilę objął nawet Molly i przytulił do siebie. Gunther nie wypuszczał pistoletu z ręki, Miles zaś próbował znaleźć się jak najbliżej Emmy. Ochroniarze podbiegli do wraku z bronią gotową do strzału.

Wszyscy byli młodymi, sprawnymi i silnymi ludźmi; uzbrojonymi w automatyczne pistolety, lecz widok kompletnie zniszczonego wozu nawet na nich najwyraźniej zrobił duże wrażenie.

- To wy troje mieliście być w tym samochodzie, nie Louey Santera - powiedziała powoli Eve Lord, nie spuszczać wzroku z Emmy.

- Wiem, że zrobił to ten zły człowiek - przemówiła Emma. - Wrócił, ale zamiast mnie zabił tatę...

Spojrzała na rozbite pianino i delikatnie położyła je na trawie.

- Tylko spójrzcie, prawie wszystkie klawisze popękały - rzekła.

Uklękła obok zniszczonego instrumentu i ostrożnie nacisnęła środkowe C. Ciszę rozdarł ostry, nieco metaliczny dźwięk. Twarz Emmy znieruchomiała. Podniosła pianino i przytrzymując je ramieniem, weszła do domu. Molly pobiegła za córeczką i wzięła ją na ręce.

- Zadzwoń na policję - powiedział Ramsey do Masona Lorda.

- Nie wpuszczę policji na teren mojej posiadłości.

- Wpuści pan, i to bez słowa protestu.

Molly nie wydała nawet jednego jęku, gdy osobisty lekarz Masona Lorda, doktor Theodore Otterly, zszywał jej ramię. Ramsey widział, jak raz po raz napina mięśnie, usiłując powstrzymać drżenie, lecz nie skarżyła się na ból.

Zestawił dwa krzesła i podtrzymywał Molly, obejmując ją ramieniem, ponieważ doktor Otterly poprosił go o pomoc. Molly oparła podbródek na jego obojczyku. Emma trzymała ją za rękę. Doktor Otterly rozłożył cały swój sprzęt na kuchennym stole i tam opatrywał zranione ramię. Molly drgnęła gwałtownie i szybko wciągnęła powietrze. Z ust Emmy wyrwało się ciche, rozpaczliwe zawodzenie.

- Wiem, że to trudne, Em - odezwał się spokojnie Ramsey. - Twoja mama cierpi, ale jakoś się trzyma, widzisz? Jeżeli chcesz coś powiedzieć, zrób to, kochanie.

- Wszystko w porządku, mamo?

Jej głos był cichy i cienki, przerażenie prawie namacalne. Molly nie miała pojęcia, jakim cudem zdobyła się na uśmiech, ale to zrobiła.

- Hej, to nic takiego, Em. Jestem twarda i silna, podobnie jak Ramsey. Bez trudu radzę sobie z takimi drobnymi nieprzyjemnościami. Jestem macho, tyle że w spódnicy, wiesz? Nie martw się, mała. Nic mi nie jest.

Ramsey poczuł, że całe ciało Molly znowu przeszył dreszcz i objął ją mocniej. Oparła się o niego, pozwalając, by wziął na siebie część cierpienia. Wcześniej doktor Otterly pomógł mu zdjąć kurtkę, obejrzał jego plecy i powiedział, że w pierwszej kolejności zajmie się Molly.

Ramsey odetchnął z ulgą. Miał nadzieję, że rana nie pozbawi go możliwości działania i normalnego funkcjonowania, nawet na krótki czas. Wydarzenia zaczęły wymykać się spod kontroli i nie mógł teraz pozwolić sobie na chorobę. Ale plecy piekły go tak, jakby ktoś stale je przypalał, do cholery...

Mason Lord stał w progu kuchni z założonymi rękami. Nie odzywał się ani słowem, po prostu stał w drzwiach i czekał, aż lekarz skończy zabieg. Miles siedział obok Emmy, trzymając jej drugą łapkę. Ramsey wiedział, że policja już przyjechała, słyszał bowiem wycie syren i tupot wielu biegnących stóp.

- Ramsey, twoje plecy są czarne, to znaczy chodzi mi o koszulę... Mam nadzieję, że skóra jest w lepszym stanie...

- Doktor Otterly już je obejrzał, chrząknął i zabronił mi narzekać. Powiedział, że najpierw opatrzy twoją mamusię, bo mnie nic nie jest. Nie martw się, Emmo.

Ramsey cieszył się, że nie widzi, co zrobił z jego plecami kawał płonącej tapicerki. Doktor Otterly założył ostami szew na ramieniu Molly. Zmoczył tampon alkoholem i starannie przemył ranę. Potem się wyprostował.

- Już po wszystkim - rzekł pogodnie. - Teraz jeszcze tylko dwa zastrzyki, pani Santera. Zabandażuję pani ramię i zajmę się sędzią Huntem.

Po chwili ramię Molly spoczywało już na temblaku.

- Dzięki temu szwy będą mniej bolały - powiedział lekarz. Kiedy przyszła kolej Ramseya, Emma wzięła go za rękę.

- Jestem przy tobie, Ramsey. Wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję, skarbie. Dobrze, że tu jesteś.

Bolało bardzo, ale Ramsey zacisnął zęby i jakoś wytrzymał. Zdawało mu się, że zanim doktor Otterly zdjął z jego pleców kawałki materiału i oczyścił skórę, minął co najmniej rok.

- Nie jest tak źle - mruknął Otterly. - Uratowała pana kurtka, nie ma dwóch zdań. Widzę tu kilka drobnych oparzeń i jedno drugiego stopnia, na szczęście niewielkie. Będzie z tego duży bąbel i sporo bólu. Ma pan też kilka siniaków. Posmaruję wszystko maścią z antybiotykiem i założę opatrunek. Proszę nie zdejmować go przez dwa dni. Oparzenia powinny szybko się zagoić, panie sędzio. Jeżeli któreś z was dwojga zauważy jakieś niepokojące objawy, proszę do mnie natychmiast zadzwonić. Zostawiam tabletki przeciwbólowe dla

państwa. Będziecie zażywać je przez trzy dni, dobrze? - Doktor Otterly uśmiechnął się do Emmy. - A teraz ty, młoda damo... Mam dla ciebie coś przepysznego.

Emma nie dała się na to nabrać. Cofnęła się o krok, nie spuszczając wzroku z twarzy lekarza. Otterly się roześmiał.

- Nie, nie, nie mam wobec ciebie żadnych niecnych zamiarów. Chcę tylko, żebyś wypła trochę soku pomarańczowego. - Skinął głową i Miles podał mu wypełnioną do połowy szklankę. - Zrób to dla mnie, Emmo, bardzo cię proszę.

Dziewczynka wyraźnie nie miała ochoty spełnić jego prośby.

- Jeżeli sama nie będziesz w świetnej formie, nie zdołasz dopilnować, byśmy oboje z mamą szybko wrócili do zdrowia - odezwał się Ramsey.

To wystarczyło. Emma bez słowa wypła sok. Doktor Otterly pogłaskał ją po głowie i znacząco spojrzał na Molly.

- Zaprowadzisz mnie na górę, Em? - zapytała Molly. - Czuję się trochę niepewnie. Nie, nic mi nie jest, ale ramię jednak mnie boli. Chyba powinnam się położyć. Pójdiesz ze mną?

- Czy mojej córce na pewno nic nie będzie? - przemówił Mason Lord, kiedy Molly i Emma opuściły kuchnię.

- Powiedziałem jej prawdę. Metal nie wbił się zbyt głęboko, więc mięsień nie jest uszkodzony. Zrobiłem jej zastrzyk przeciwtężcowy i podałem antybiotyk. Obrażenia sędziego Hunta nie są tak dotkliwe, jak się obawiałem, ale rana pańskiej córki jest mimo wszystko dość poważna. Szczerze mówiąc, oboje mieli sporo szczęścia. Kiedy pomyślę o tych latających w powietrzu kawałkach płonącego metalu...

- A córka Molly? Co dodał pan do tego soku pomarańczowego?

Doktor Otterly powoli skinął głową.

- Och, pyta pan o wnuczkę... Z Emmą wszystko w porządku. Dostała odrobinę syropu uspokajającego i za jakieś pół godziny zrobi się senna.

Lekarz odwrócił się do Ramseya.

- I pan, i pani Santera musicie teraz odpocząć, na pewno dobrze wam to zrobi. W najbliższych dniach powinniście się oszczędzać. - Zerknął na plecy Ramseya i umocował opatrunek jeszcze jednym kawałkiem plastra. - Teraz będzie się trzymał. Mam nadzieję, że znacie dobrego psychologa, który pomoże dziecku?

- Tak. Wybieraliśmy się właśnie z Emmą na wizytę, kiedy to wszystko się wydarzyło. Chciałbym prosić pana o poradę w jeszcze jednej sprawie, doktorze. Dwa tygodnie temu dostałem postrzał w lewe udo. Mógłby pan obejrzeć tę ranę?

- A ja myślałem, że życie sędziego jest spokojne... Proszę zdjąć spodnie i pokazać mi postrzał, sędzio Hunt.

Doktor Otterly przez parę minut uważnie badał ranę w udzie Ramseya.

- Wszystko w porządku - oznajmił wreszcie. - Nie wiem, jak pan to opatrzył, ale z pewnością zrobił pan to prawidłowo. Świetnie się goi, nie będzie nawet dużej blizny. Czy noga jest już w pełni sprawna?

- Niezupełnie.

- Jeszcze z tydzień i będzie pan biegał jak jeleń. Życzę powodzenia, sędzio Hunt. Proszę dzwonić, gdyby wynikły jakieś komplikacje.

Lekarz uśmiechnął się i skinął głową Masonowi. Ramsey jeszcze raz mu podziękował i poczekał, aż Miles pomoże mu włożyć czystą koszulę. Na szczęście plecy przestały go boleć. Dzięki Bogu, że Emmie nic się nie stało, pomyślał. Chociaż nie, przecież to oczywista nieprawda. To dla dziecka kolejny szok, zniosła kolejny cios...

Ramsey powoli przeszedł z Masonem Lordem do salonu, gdzie Eve odpowiadała na pytania policji. Czuł ulgę, że Mason nie stawiał zbyt wielkiego oporu i w końcu nawet zgodził się porozmawiać z detektywami. Cóż, Mason doskonale zdawał sobie sprawę, że tej sprawy nie załatwi przez swoich prawników. Chodziło przecież o zabójstwo.

Ani Ramsey, ani Molly nie rozmawiali jeszcze z policją. Ramsey nie był zaskoczony, że Molly tak szybko poszła na górę. Było oczywiste, że chciała oszczędzić dziecku dodatkowego stresu. Żałował, że i on nie może schronić się w swoim pokoju.

W salonie czekało na niego trzech oficerów w cywilu. Siedzieli na samym brzegu krzeseł i najwyraźniej czuli się bardzo nieswojo. Zupełnie jakby mieli hemoroidy, pomyślał Ramsey. Towarzystwa dotrzymywała policjantom piękna młoda żona Masona Lorda. Kiedy Ramsey i Mason weszli do salonu, wszyscy trzej zerwali się z miejsc.

Mason przedstawił się, chłodno skinął głową i usiadł obok żony. Wbił wzrok w swoje paznokcie i zaczął rytmicznie kołysać nogą. Jeden z detektywów zwrócił się w stronę Ramseya.

- Sędzia Hunt? Nazywam się Riley O'Connor. Jestem zaszczycony, że mogę z panem rozmawiać. - Detektyw O'Connor był co najmniej piętnaście lat starszy od Ramseya, chudy jak wieszak i całkowicie łysy. Ciemne oczy lśniły inteligencją i poczuciem humoru. - Wszyscy bardzo się cieszymy, że wyszedł pan z tego cało - dodał, ściskając dłoń Ramseya.

Potem O'Connor przedstawił Ramseyowi pozostałych dwóch policjantów, sierżanta Burnside'a i detektywa Martineza. Mason Lord odchrząknął dyskretnie.

- Macie już wszystkie potrzebne informacje, panowie?

Detektyw O'Connor uniósł bardzo ciemne brwi.

- Nie, proszę pana, właściwie dopiero zaczęliśmy je gromadzić. Mamy do czynienia z zabójstwem, i to szczególnie brutalnym. Pani Lord nie miała zbyt wiele czasu, aby zapoznać nas z okolicznościami wydarzeń, a panowie zjawili się zaledwie przed chwilą. Chciałbym najpierw porozmawiać z sędzią Hunttem, a potem z panem, jeżeli zgodzi się pan poświęcić nam parę chwil.

Mason Lord krótko i wyniośle skinął głową, i ruszył w stronę baru, aby nalać sobie drinka.



- No dobrze - rzucił Ramsey. - Chodźmy do gabinetu pana Lorda, naturalnie jeśli on nie ma nic przeciwko temu...

Mason nie wyglądał na zadowolonego, ale nie miał wyboru. Jeszcze raz kiwnął przyzwalająco głową i odwrócił się bez słowa. Pozostali dwaj oficerowie wyszli na zewnątrz, aby dokładnie obejrzeć wypalony wrak samochodu, przy którym już pracował zespół pobierających odciski palców.

- Podobno z Santery została tylko garstka popiołu - usłyszał Ramsey uwagę jednego z policjantów.

- Sędzia Hunt, pani Santera i jej córeczka mieli ogromne szczęście - powiedział Martinez do sierżanta Burnside'a. - Ta sprawa wygląda mi dziwnie, Tommy, naprawdę dziwnie. Ten facet, jak mu tam, Gunther, jest wyjątkowo mało rozmowny. Mam wrażenie, że nie dowiemy się zbyt wiele od ludzi, którzy tutaj pracują.

- Ja też tak myślę. Zastanawiam się też, co sędzia Hunt robi w domu kogoś takiego jak Mason Lord. Może wcale nie jest taki bezkompromisowy...

Ramsey nie zdołał usłyszeć nic więcej. A więc zyskał sobie opinię bezkompromisowego sędziego, tak? Bardzo mu się to podobało.

Riley O'Connor roześmiał się cicho.

- Ta sprawa to dla nas naprawdę twardy orzech do zgryzienia, sędzio Hunt. Przykro mi, ale teraz wszystko wyjdzie na jaw - porwanie dziecka, wasza ucieczka i jeszcze ten finał. Tak, wszystkie fakty i przypuszczenia ujrzą światło dzienne. Ale dla pana to nie nowina, prawda? Któż może lepiej wiedzieć, co potrafią zrobić dziennikarze... Można zostać szatanem lub świętym, a zależy to wyłącznie od sympatii albo antypatii reporterów. Jeśli zaś chodzi o fotoreporterów, to niewątpliwie nie raz miał pan ochotę udusić co najmniej kilku z nich.

- O tak - przytaknął Ramsey, który natychmiast przypomniał sobie przyczajonego za krzakami w jego ogrodzie paparazzo. Nachalność tamtego fotoreportera była ostatnią kroplą. Właśnie wtedy Ramsey podjął decyzję o

wyjeździe z San Francisco w Góry Skaliste, gdzie znalazł Emmę i zrozumiał, jak błahe są jego osobiste problemy.

- Od początku wiedziałem, że cała ta sprawa wcześniej czy później wypłynie na wierzch. Szczerze mówiąc, zależy mi, żeby dziennikarze się nią zajęli. Zrobię wszystko, żeby ich do tego zachęcić.

- Dlaczego? - Detektyw O'Connor przekrzywił głowę, nie spuszczać wzroku z twarzy Ramsey a.

- Żeby chronić Emmę, to zasadniczy powód. Niewykluczone, że ludzie, którzy na nią polują, wycofają się, kiedy dotrze do nich, iż wszyscy wiedzą o tym spisku, a środki masowego przekazu mają zamiar jeszcze bardziej rozdmuchać historię Emmy.

- O spisku?

Ramsey uśmiechnął się lekko.

- Cierpliwości, detektywie.

Weszli do gabinetu Masona i Ramsey zamknął drzwi. Plecy znowu zaczęły go boleć i musiał się chyba skrzywić, bo detektyw Riley O'Connor spojrział na niego ze współczuciem.

- Słyszałem, że nieźle pan oberwał - powiedział.

- Tak, kawałkiem płonącej tapicerki. Na szczęście to nic poważnego, tylko kilka powierzchownych oparzeń. Znacznie gorzej czuje się pani Santera. Lekarz dopiero przed chwilą założył jej kilka sporych szwów na ramieniu, dlatego poszła z córką do swojego pokoju...

Przerwało mu pukanie do drzwi. W progu stanęła Molly, blada, z ręką na temblaku i rudymi lokami, otaczającymi niczym ognista aureola szczupłą twarz. Jej oczy były duże, spokojne i bardzo zielone, bez śladu szarego odcienia.

Ramsey po raz pierwszy zauważył ledwo widoczne cętki piegów na grzbiecie nosa. Uznał, że zdecydowanie dodają jej urody i uśmiechnął się do niej, ale natychmiast poznał, iż Molly jest na skraju załamania.

- Co ty tutaj robisz, Molly? - zapytał, robiąc krok w jej stronę. - Czy z Emmą wszystko w porządku?

Podniosła rękę i delikatnie musnęła jego wargi czubkami palców.

- Tak, Emma zasnęła. Miles siedzi przy niej, inaczej bym jej nie zostawiła. Chciałam porozmawiać z detektywami, powiedzieć im wszystko, co wiem. Nie ma powodu, aby rozmawiali z każdym osobno, poza tym sądzę, że będziemy jedynymi skłonnyimi do współpracy świadkami w tym domu. Kiedy zaczniemy odtwarzać całą historię, może ja albo ty przypomnimy sobie coś, o czym zapomnieliśmy. - Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę do policjanta. - Molly Santera.

Detektyw O'Connor spojrzał na nią ze zmieszaniem.

- Czy zmarły... To jest, czy Louey Santera, gwiazdor rocka, był pani mężem?

- Moim byłym mężem. Rozwiedliśmy się dwa lata temu.

- Napijesz się koniaku, Molly? - zapytał Ramsey. Potrząsnęła głową, ale po chwili wahania powiedziała: - Dobrze. Może koniak rzeczywiście dobrze mi zrobi...

Ramsey nalał koniaku do trzech kieliszków. Detektyw O'Connor uśmiechnął się i z nieukrywanym żalem odstawił swój kieliszek na brzeg stołu.

- Dziękuję. Może później...

- Nasza rozmowa na pewno trochę potrwa, detektywie.

Riley O'Connor wyjął z kieszeni płaszcz mały magnetofon kasetowy.

- Czy mogę nagrywać? Tak byłoby najlepiej. Molly i Ramsey w milczeniu słuchali, jak detektyw zgodnie z procedurą przedstawia się oraz podaje datę i miejsce nagrania.

- Jak już mówiłem, sędzio Hunt, teraz, po tragicznej śmierci pana Santery, pojawi się tu nie mniej dziennikarzy niż na procesie O. J. Simpsona. Bóg jeden wie, co się stanie, kiedy prasa i telewizja dowiedzą się o porwaniu pani córki, pani Santera.

- Nic na to nie poradzimy - powiedział Ramsey. - Myślę, że ty powinnaś zacząć, Molly. Detektyw O'Connor musi poznać wszystkie szczegóły tej historii. Ten, kto wysadził w powietrze Loueya, w rzeczywistości planował zabić nas troje...

- Tak - potwierdziła bardzo cicho. Wypiła kolejny łyk koniaku i postawiła prawie pusty kieliszek na stole. Odchrząknęła. - Zaczęło się od porwania Emmy. Boże, to było zaledwie trzy i pół tygodnia temu, Ramsey...

- Czy Emma została uprowadzona z domu, pani Santera?

- Nie, z małego parku, który znajduje się tuż za naszym domem. Robiłam tam zdjęcia...

Przerwała i zamilkła. Zacisnęła dłonie tak mocno, że knykcie zupełnie zbiały.

- To nie była twoja wina, Molly - rzekł Ramsey ostro. - Opowiedz detektywowi O'Connorowi, co się wydarzyło i nie staraj się obwiniać, dobrze?

Właśnie wtedy drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wkroczyli agenci specjalni FBI Dillon Savich oraz Lacey Sherlock Savich.

- Cześć, Ramsey - powiedział Dillon Savich. - Cieszę się, że cię widzę w jednym kawałku. Sprawa przybrała paskudny obrót, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Słyszeliśmy już o wybuchu bomby. Chyba pamiętasz Sherlock, prawda? Dziwne, ale jakoś nikt nie zapomina jej twarzy...

Savich spojrzał na O'Connora i z uśmiechem wyciągnął do niego rękę.

- Pracujemy dla FBI - wyjaśnił. - Proszę się nie przejmować, nie mamy zamiaru odbierać wam sprawy. Jesteśmy przyjaciółmi sędziego Hunta i postanowiliśmy trochę mu pomóc.

Doktor Loo lekko dotknęła nowego pianina Emmy i nacisnęła kilka klawiszy. Uśmiechnęła się.

- Umiesz grać *Twinkle Twinkle Little Star*? - zapytała.

Ramsey się roześmiał.

- Zagraj podstawowy motyw i kilka swoich własnych interpretacji, dobrze, Emmo?

Emma siedziała ze wzrokiem wbitym w nowe pianino. Obudowa instrumentu była tak błyszcząca, że dziewczynka widziała w niej odbicie swojej twarzy. Z trudem przełknęła ślinę i delikatnie położyła palec na górnym F. Nie nacisnęła go. Potem powoli odwróciła się do doktor Loo.

- Przepraszam, ale nie mogę teraz grać - powiedziała. - To byłoby niewłaściwe. Moje stare pianino dopiero co umarło.

Ramsey zagryzł wargi, starając się zapanować nad wzruszeniem. Wziął Emmę na kolana, zostawiając pianino na małym stole, i przygarnął ją do piersi.

- Masz rację, skarbie, należy mu się odrobina szacunku. Musisz mieć trochę czasu, żeby je spokojnie opłakać. Możesz przecież zagrać dla doktor Loo następnym razem...

Doktor Loo, która dowiedziała się już od Molly, co się stało, ani słowem nie wspomniała o tragicznej śmierci ojca Emmy.

- Mason Lord, twój dziadek, przysłał tu rysownika, Emmo - odezwała się.  
- Chcielibyśmy, żebyś opisała człowieka, który cię porwał, tego samego, którego twarz zobaczyłaś w oknie sypialni. Myślisz, że mogłabyś to zrobić?

Na twarzy dziewczynki odmalował się niepokój, lecz po chwili skinęła głową.

- Spróbuję, pani doktor.

Recepcjonistka wprowadziła do gabinetu starszego, łysiejącego mężczyznę. Nazywał się Raymond Block i od dwudziestu siedmiu lat pracował w policji. Utrzymywał, że potrafi rozmawiać z dziećmi. Teraz usiadł obok Emmy i otworzył szkicownik.

- Jesteś gotowa, Emmo? - zapytała doktor Loo. - Chwileczkę, panie Block. Muszę podrapać się pod gipsem.

Doktor Loo nie zostawiła ich samych w swoim gabinecie. Raymond Block przez następne czterdzieści pięć minut rysował, poprawiał, poszerzał, wydłużał, wycierał niektóre fragmenty szkicu gumką i znowu rysował.

- To on - rzekła w końcu Emma.

Raymond Block odwrócił rysunek tak, aby doktor Loo, Molly i Ramsey dokładnie go widzieli.

- Ojej... - odezwała się niepewnie Molly, uważnie wpatrując się w doskonały szkic. - Jesteś pewna, że to tego człowieka zobaczyłaś za oknem, Emmo? To on cię porwał?

- Tak, to on mnie ukradł, a potem wrócił i uśmiechał się do mnie przez szybę.

Ramsey pokręcił głową, usiłując opanować gwałtowne pragnienie śmiechu i płaczu równocześnie.

- Cóż, ten facet na pewno nie zajmuje się czyszczeniem basenów w Denver, Molly - powiedział. - Co to, to nie. Wydaje mi się, że bardzo przypomina kogoś, kto mieszka w znacznie bardziej prestiżowej miejscowości...

Z doskonałego szkicu patrzył na nich prezydent Clinton. Jedyńm szczegółem, który zdecydowanie różnił twarz urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych od narysowanej przez Raymonda Blocka, były bardzo zaniedbane, zepsute i nierówne zęby.

## ***Rozdział 19***

Dwie godziny później Ramsey i Molly siedzieli naprzeciwko Dillona Savicha oraz Sherlock w małym pokoju śniadaniowym obok kuchni. Miles podał im kawę i specjalny chleb orzechowy, który upiekł z samego rana. Przyznał się, że Emma powiedziała mu, jak bardzo lubi tego rodzaju chleb, zastrzegając, iż lubi wyłącznie włoskie orzechy. Miles i Gunther stali w cieniu, tuż przy drzwiach wyjściowych.

- Tak jest - powiedział Ramsey. - Była to doskonała podobizna prezydenta Clintona.

Sherlock, która właśnie popijała świetną jamajską kawę Milesa, zakrztusiła się aromatycznym płynem. Savich poklepał ją po plecach.

- Spokojnie, Sherlock. Możliwe, że nie był to zaskakujący zbieg okoliczności, ale po prostu maska. Pytanie tylko, czy ten facet przez cały czas nosił ją na twarzy? Normalny człowiek raczej by tego nie wytrzymał.

- Masz rację - przytaknęła Molly, podając Sherlock szklanekę wody. - Znaczy to jednak także, że tym ludziom - kimkolwiek są - zależało na żywej Emmie. Kazali porywaczowi nosić maskę, by potem nie mogła go zidentyfikować.

- Mimo to wszystko wydaje mi się kompletnie bezsensowne - rzekł Ramsey i położył na brzegu talerzyka kawałek wydłubanego z chleba włoskiego orzecha. - Bo czemu właściwie miały służyć te późniejsze próby odnalezienia Emmy i zlikwidowania najpierw jej i mnie, a później nas trojga? Jedno jest pewne, Savich - ktoś bardzo chciał dostać Emmę w swoje ręce, ale czy żywą? Wcale nie jestem o tym do końca przekonany.

Sherlock pociągnęła mały łyk kawy i zadygotała nerwowo.

- Ta kawa jest pyszna, ale mam takie wrażenie, jakby próbowała mnie zabić... - mruknęła.

- Nie powinnaś jej pić - rzucił Savich. - Jesteś w ciąży, a mocna kawa to trucizna.

- Dzięki, że mi o tym przypomniałeś - warknęła Sherlock.

Złapała się za brzuch i wybiegła przez drzwi, które Miles domyślnie otworzył i przytrzymał.

- Prosto korytarzem i w lewo! - zawołał za nią.

Savich pokręcił głową.

- Zupełnie o tym zapomniałem - powiedział, wyraźnie zażenowany. - Nie uwierzycie, ale Sherlock, która właściwie nie odczuwa żadnych negatywnych

objawów ciąży, dostaje ostrych mdłości, kiedy tylko wspomnę przy niej, że jest w poważnym stanie...

Ramsey chciał chyba coś powiedzieć, ale tylko uśmiechnął się serdecznie.

- Gratuluje, Savich - rzekł, ściskając rękę przyjaciela.

- Ja także - dodała Molly.

- Sherlock zaraz wróci - wyjaśnił Savich. - Zachowujcie się tak, jakby nic się nie stało, dobrze? Biedna Sherlock... Nienawidzi tracić kontroli nad życiem.

- Wyszła za ciebie - powiedział Ramsey. - Najwyraźniej jednak nie ma nic przeciwko temu, aby czasem stracić kontrolę...

Savich się roześmiał.

- Powtórz jej to - poradził. - Zobaczymy, co ci odpowie...

- Oboje pracujecie dla FBI, jesteście małżeństwem i Sherlock jest w ciąży - rzekła Molly. - Macie laptopa, który uwielbia zmieniać płęć, i wzięliście tydzień urlopu, żeby nam pomóc. Dlaczego?

Savich nagle spowaźniał i oparł podbródek na splecionych dłoniach.

- Znam Ramseya od dawna - powiedział. - Obaj staramy się służyć wymiarowi sprawiedliwości. Co prawda Ramsey jest sędzią w San Francisco, a ja agentem FBI, lecz szybko się zorientowaliśmy, że wiele nas łączy. Spotykamy się dość często i dużo rozmawiamy. Szczerze podziwiam Ramseya. Jeśli zaś chodzi o Sherlock, która jest agentką specjalną dopiero od roku, to mimo ciąży nigdy nie przyszłoby jej do głowy, aby zrezygnować z udziału w tej sprawie. Sherlock jest niezwykle inteligentna i dociekliwa, więc jej spojrzenie na okoliczności towarzyszące tej sprawie może się okazać wyjątkowo inspirujące. Mam tylko prośbę, żebyście nie wspominali o jej stanie, dobrze? Oboje będziemy wam bardzo wdzięczni.

- Więc reaguje tak na każdą uwagę o swojej ciąży, niezależnie od tego, kto ją wypowie? - zainteresowała się Molly.

Savich uśmiechnął się szeroko.



- Chodzi ci o to, czy jest to reakcja ogólna, czy tylko na głos bezpośrednio winnego, tak?

- Właśnie.

- Nie mam pojęcia. Myślałem dotąd, że chodzi tylko o mnie, ale nie jestem pewien. Może jeden, jedyny raz spróbujcie rzucić mimochodem to słowo i przeprowadzimy mały naukowy eksperyment...

- Nie zrobiłabym tego żadnej kobiecie - powiedziała Molly. - Bardzo dziękuję wam obojgu, że przyjechaliście.

- Nie ma za co. Wdepnęliście po uszy w gówno i Sherlock także bardzo się to nie podoba. Wracając do sprawy, mamy do czynienia z facetem, który albo nosi maskę przedstawiającą twarz prezydenta Clintona, albo jest mistrzem makijażu i charakteryzacji. Wydaje mi się, że Emma się zorientowałaby, gdyby była to maska, dlatego stawiam na mistrza charakteryzacji.

- Tak, mnie też wydaje się, że to rozsądne założenie - zauważyła Molly. - Emma zwróciła uwagę na jego zęby i kilka innych szczegółów. Moja córka jest naprawdę bardzo bystra.

- Bardzo - przytaknął Ramsey. - Intelkt Emmy jest znacznie ostrzejszy niż brzytwa Molly...

- Mówiłam ci, żebyś jej nie używał.

- Mam szczęście, że nie poderznąłem sobie gardła. - Ramsey odwrócił się do Savicha. - Naprawdę nie zamierzacie przejąć tej sprawy od miejscowej policji? - zapytał.

- Nie. Sherlock i ja przyjechaliśmy tu tylko na tydzień, ale MAXINE...

- Trzy dni temu MAX znowu zmienił płęć - odezwała się z progu Sherlock, ocierając czoło wilgotnym ręcznikiem. - Odkąd poznałam Dillona, zdarza się to już drugi raz.

- Mogłem się domyślić, że MAX nie będzie wiedział, jak odnieść się do nowej sytuacji, jaką okazało się dla niego nasze małżeństwo - rzekł Savich. - Próbował się do niej przystosować, ale jak na razie nie bardzo mu to wychodzi.

Nie może się zdecydować, jak powinien zachowywać się w stosunku do Sherlock.

- Molly i ja jesteśmy wam głęboko wdzięczni za pomoc - powiedział Ramsey.

- Wiemy o tym, Ramsey. - Savich uśmiechnął się do żony. - Dobrze się czujesz, Sherlock?

Kiwnęła głową.

- To był tylko przelotny kontakt z diabłem - rzekła, zwracając się do Molly. - Dillon mówi tak zawsze, gdy robi mi się niedobrze. No, świetnie. Wprowadzimy teraz do MAXINE wszystkie informacje, jakie uda nam się zdobyć, i zobaczymy, co ona z tym zrobi. - Zorientowała się, że Molly nie rozumie i natychmiast pospieszyła z wyjaśnieniem. - Dillon jest szefem wydziału zapobiegania wzrostowi przestępczości, działającego w kwaterze głównej FBI w Waszyngtonie. Nie pracujemy nad kompleksowymi portretami przestępców, ale wspomagamy zajmujące się tym jednostki i lokalną policję w sprawach dotyczących seryjnych morderców. Posługujemy się kilkoma opracowanymi przez Dillona programami. Gromadzimy wszystkie dane, jakie wpadną nam w ręce - zeznania świadków, raporty policyjne, wyniki autopsji, po prostu wszystko. MAXINE nie myśli lepiej czy logiczniej niż ludzie, ale jest znacznie szybsza i ocenia podane jej informacje z wielu różnych punktów widzenia. W ciągu pierwszego roku przy współpracy lokalnej policji udało nam się rozwiązać sześć spraw. Uważamy, że te doświadczenia mogą nam się przydać i teraz, żeby złapać tego potwora.

- Porozmawiam z agentem Anchorem i zdobędę wszystkie raporty dotyczące domu, w którym przetrzymywana była Emma - powiedział Savich. - Na pewno są tam jakieś wskazówki. Potem zapręgniemy MAXINE do roboty i zlecimy jej przegląd wszystkich karanych pedofilów, którzy potrafią zmieniać swój wygląd.

- Emma mówi, że facet palił, miał zepsute zęby i pił - rzeki Ramsey z namysłem. - Kiedyś, gdy obudziła się ze złego snu, powiedziała, że stale powtarzał jej, iż jest mu bardziej potrzebna niż on Bogu...

- Związał ją cienkim sznurkiem - dodała Molly. Przełknęła ślinę i utkwiała wzrok w swoich złożonych na kolanach dłoniach. - Cienkim sznurkiem, bo, jak jej powiedział, jest tylko małą dziewczynką...

- To już jest jakiś początek - rzekł Savich. Sherlock poklepała Molly po ramieniu. - Dillon i ja wzięliśmy tydzień urlopu - powiedziała. - Jesteśmy do waszej dyspozycji.

- Już im mówiłem - rzekł Savich, sadzając sobie żonę na kolanach. - Jeszcze nas nie oklaskiwali, ale kiedy zobaczą, co umiemy, po prostu oszaleją. Pomówię też z policją w Denver, moi drodzy. Możemy także dodać do tego wstępne wyniki badań specjalistycznych przeprowadzonych po eksplozji samochodu, a Sherlock pomoże nam, przekładając wszystko, co wiecie, na język danych, które wprowadzimy do pamięci MAXINE.

- Potem naciśniemy tylko klawisz i MAXINE przeistoczy się w najbystrzejszego śledczego na świecie - oświadczyła Sherlock. - Podczas gdy Dillon będzie rozmawiał z glinami, my przygotujemy wspólnie listę wszystkich rzeczy, które zapamiętaliście. Jak myślisz, Molly, dokąd pojechałby Louey Santera, gdyby udało mu się uciec z posiadłości twojego ojca?

- Nie wiem - odparła Molly. - Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby Louey w ogóle miał jakieś plany. Był przerażony i stracił głowę. Czasami mu się to zdarzało.

- Ale tym razem okazało się to fatalne w skutkach - mruknął Ramsey. - Biedny drań.

- Wcale nie biedny, jeżeli to on zorganizował porwanie Emmy - rzuciła twardo Molly. - W jaki sposób sprawdzimy, czy to rzeczywiście on stał za porwaniem?

- Pójdziemy śladem pieniędzy - oznajmił Savich. - Wystaram się o nakaz pozwalający na przejrzenie wszystkich dokumentów finansowych Santery. W nich zawsze można coś znaleźć, zawsze.

- Nie musi pan występować o nakaz - odezwał się Mason Lord z progu pokoju. Za jego plecami, nieco z prawej, stał Gunther. - Zdobędę dokumentację Santery.

- Wolalbym, żeby pan tego nie robił - powiedział Savich. - To nasza praca, więc proszę nas nie wyręczać. Na pewno potrwa to dłużej, ale zgodnie z prawem. W takich sytuacjach zawsze lepiej trzymać się prawa, o czym niewątpliwie dobrze pan wie.

- Znam księgowego Loueya - rzekł Mason Lord. - Sam z nim porozmawiam. Warren bardzo chętnie powie mi wszystko, co wie, i pokaże wszystkie zapisy księgowe, jakimi dysponuje. Zawsze był przydatny i świetnie poinformowany.

Sherlock nie spuszczała oczu z Masona, zastanawiając się, jak to możliwe, że człowiek tak uderzająco podobny do jej ojca tak bardzo się od niego różnił. Obaj mężczyźni dzierżyli w rękach ogromną władzę, lecz stali po przeciwnej stronie barykady prawa.

- Skoro pan Lord i księgowy Santery są dobrymi znajomymi, może jednak należałoby to wykorzystać, Dillon - powiedziała powoli. - Co pan o tym myśli, sędzio Hunt? Czy pana zdaniem można to zrobić? Czy dowody uzyskane w taki sposób mogłyby zostać podważone przez obronę?

- Nie sądzę. Dobrze, dlaczego mielibyśmy odrzucić taki podarunek od losu? Jesteśmy na polu Masona Lorda, więc pozwólmy mu wykonać to zagranie. - Ramsey uśmiechnął się do ojca Molly. - Zdecydowanie odradzałbym natomiast włamanie do biura tego księgowego...

Molly uświadomiła sobie, że przez cały ten czas jej ojciec stał sztywno wyprostowany i napięty jak struna. Dopiero teraz wyraźnie się uspokoił. Ujrzała, jak jego arystokratyczne, piękne dłonie o długich palcach rozluźniły się.

Gliniarze dopuścili go do swego grona. Chcieli, aby zaangażował się po ich stronie. Mason się nie uśmiechnął, o nie, nigdy nie posunąłby się aż tak daleko, ale wyraźnego twarzy stał się przynajmniej odrobinę cieplejszy.

Warren O'Dell był kompletnie łysy, niewykluczone, że dzięki starannemu goleniu, i wyglądał jak sportowiec, stanowił więc dokładne przeciwieństwo standardowego wizerunku księgowego. Nosił wprawdzie okulary w metalowych oprawkach, ale poza tym był dość podobny do Michaela Jordana.

Dopiero kiedy się odezwał, można było dostrzec pożółkłe zęby, rezultat zbyt wielu wypalonych papierosów. Na dłoniach i palcach miał odciski. Obrzucił Ramseya pobieżnym spojrzeniem i natychmiast skupił całą uwagę na Masonie Lordzie, lecz po chwili ponownie zerknął na Ramseya.

- Znam pana - powiedział, marszcząc brwi.

- Nazywam się Ramsey Hunt - odparł Ramsey z uśmiechem.

- To pan jest tym sędzią z Kalifornii, który przeskoczył przez barierkę i złożył bandę terrorystów na sali sądowej, tak?

- Tak. Ale nie było ich wielu.

Mason Lord odchrząknął i nagle Warren O'Dell zbladł.

- Proszę, niech pan siada... - wykrztusił, kiwając głową i wskazując kanapę obitą niezaprzeczalnie drogą białą skórą. - Byłem wstrząśnięty, kiedy dowiedziałem się o śmierci Loueya. Zamierzałem do pana zadzwonić...

- Doprawdy, Warren? - rzucił Mason. - Kiedy?

Nie ulegało wątpliwości, że Warren O'Dell był ledwo żywy ze strachu. Stał na środku swego pięknie umeblowanego biura na dziewiętnastym piętrze wieżowca McCord, stojącego przy Michigan Avenue, i wyglądał tak, jakby miał zamiar wyskoczyć przez okno.

- Tak, proszę pana - powiedział w końcu. - Zadzwoniłbym zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, ale byłem w szoku, naprawdę. Pozbierałem się dopiero dziś rano. Louey nie żyje, został zabity w wyniku eksplozji bomby,

którą ktoś podłożył w samochodzie... Nie do wiary... Miałem wrażenie, że to zły sen. Słyszałem, że pozwolił pan gliniarzom przeprowadzić śledztwo...

Ramsey z trudem opanował zaskoczenie. Czyżby O'Dell sądził, że Mason Lord jest jakimś bożkiem, który stoi ponad zwykłymi ludźmi?

- To było zabójstwo, Warren, a ja jestem praworządnym obywatelem - oświadczył Mason Lord poważnym tonem, zupełnie jakby to on nalegał; aby wezwać policję, i odwrócił się do Ramseya. - Sędzia Hunt uratował córeczkę Molly.

- Ach tak, teraz już rozumiem! Nie mogłem się zorientować, dlaczego sędzia Hunt panu towarzyszy. Wszystko przez ten szok po śmierci Loueya. Byłem tak zdenerwowany i poruszony, że dałem sekretarce dzień wolny...

- Widzę, że masz tam jakieś pudła za biurkiem, Warren. Chyba nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś zniszczyć jakieś dokumenty, prawda? Może wybierasz się na długi, bardzo długi urlop?

- Skąd, proszę pana. Porządkuję tylko papiery, nic więcej...

- Postaram się przysłać ci kogoś do pomocy.

- Nie, proszę pana, naprawdę nie trzeba! Doskonale poradzę sobie sam, słowo daję!

- Gunther - rzucił Mason Lord, prawie nie podnosząc głosu. Potężny ochroniarz stanął w progu, patrząc na księgowego martwym, całkowicie obojętnym wzrokiem. Zupełnie jakby Warren O'Dell był robakiem, pomyślał Ramsey.

- Tak, panie Lord?

- Musimy pomóc panu O'Dell. Widzisz te pudła, wepchnięte za jego imponujące mahoniowe biurko? Weźmiemy je ze sobą i dokładnie przejrzymy zawartość. Ramsey, może byłby pan tak uprzejmy i zerknął, co znajduje się w szafach O'Della, dobrze?

- Najpierw chciałbym zadać mu kilka pytań - powiedział Ramsey.

- Proszę, panie Lord, ja naprawdę nie mam nic... Mason Lord uniósł rękę i O'Dell natychmiast umilkł.

- Sędzia Hunt chce zadać ci kilka pytań, Warren. Odpowiesz na nie wyczerpująco i szczerze.

Łysa czaszka O'Della lśniła od potu. Z rozpaczą obserwował, jak Gunther wynosi pudła z dokumentami. Oblizwał wyschnięte wargi.

- Tak jest, proszę pana.

Ramsey czuł się co najmniej dziwnie. Oto stał tu u boku potężnego gangstera, który postawił do jego dyspozycji ważnego świadka i przestraszył go tak, że ten prawie zsiąkł się w spodnie. On, sędzia federalny, stał się współnikiem czegoś, co nosiło wszelkie cechy wymuszenia, a w najlepszym razie składania zeznań pod presją. Ale co z tego? Gra toczyła się o życie Emmy.

- Panie O'Dell, proszę powiedzieć mi, jaka była sytuacja finansowa Loueya Santery.

Warren O'Dell przełknął ślinę. Jeszcze raz spojrzął na Gunthera, u którego pod marynarką wyraźnie rysował się pistolet.

- Louey był bankrutem - zaczął. - Był kompletnie bez forsy. Wyjechał na tournée, żeby spłacić długi. Zerwał umowę, więc nie zostało mu nic, nie miał złamanego centa.

- Był bez forsy? - powtórzył Ramsey. - Czy miał duże długi?

- Louey nigdy nie lubił sobie niczego odmawiać i w końcu zadłużył się po uszy. W Las Vegas działa takie niewielkie konsorcjum, którego szefowie postarali się, żeby Louey przegrał sporo pieniędzy w ich kasynie. Louey nie umiał grać, ale nie potrafił się do tego przyznać, nawet sam przed sobą. Uważał, że jest świetny, i to we wszystkim. Był im winien blisko milion dolarów. Namawiali go, aby grał dalej, a on stale przegrywał i nie był w stanie ich spłacić. Suma rosła, a wraz z nią procenty. Faceci zaczęli mu grozić. Straszili, że zrobią coś złego jemu, pańskiej córce, panie Lord, i pańskiej wnuczce...

- Nazwiska, O'Dell - powiedział Ramsey. - Niech mi pan poda nazwiska i przekaże dokumentację.

Mason Lord wstał i podszedł do małego baru ze szkła i chromowanej stali, z trzema połączanymi półeczkami. Sięgnął po karafkę z koniakiem i nalał odrobinę do kieliszka. Odwrócony plecami do O'Della i Ramseya, stał bez ruchu, wpatrzony w okno, powoli sącząc koniak.

- Wiem, o kogo chodzi - odezwał się cicho.

- O kogo? - zapytał Ramsey.

- O Rule'a Shakera. Mam rację, Warren?

- Pan Rule Shaker rzeczywiście odegrał główną rolę w tej sprawie. Louey odrzucił propozycję długoterminowego kontraktu na występy w Las Vegas, którą złożył mu pan Shaker. Shaker nalegał, ale Louey uparcie odmawiał, mimo że był mu winien taką kupę forsy. W końcu zdecydował się wyjechać na koncerty do Europy. Myślał, że się odkuje, bo w Europie cieszy się o wiele większą popularnością niż tutaj, w Stanach. Gdyby dotrzymał kontraktu, mógłby spłacić Shakera.

- Na pewno pan słyszał, że celem tego zamachu bombowego były Emma i Molly, nie Louey - rzekł Ramsey.

- Tak, słyszałem. Dlatego chciałem wymknąć się z miasta i zaczekać, aż sytuacja się uspokoi. Pan Shaker powiedział Loueyowi, że nie przepuści nikomu, kto jest z nim w jakikolwiek sposób związany. Nie mam cienia wątpliwości, że tę bombę podłożyli ludzie Shakera, ale Shaker nie chciał zabić Loueya, tylko jego córeczkę. Chciał, żeby Louey zrozumiał, że to nie żarty.

- Myśli pan, że to Shaker kazał porwać Emmę?

- Louey był o tym przekonany - odparł O'Dell. - Ja także. Louey dzwonił do mnie z Niemiec, nie miał pojęcia, co robić. Nie byłem w stanie nic mu poradzić.

- Tak - powiedział Mason. - Porwanie Emmy to sprawka Rule'a Shakera. Louey zginął przypadkiem. Ciekawe, dlaczego?



Mason mówił bardzo cicho, ale Ramsey usłyszał jego słowa.

- Ile Louey zarobił przed śmiercią? - zapytał.

- Około trzystu tysięcy - rzekł O'Dell. - Oczywiście musiałby zapłacić podatek od zarobionej w Europie sumy, lecz gdyby zakończył trasę, na którą podpisał kontrakt, spłaciłby wszystko, do ostatniego centa.

- Gdzie są te pieniądze?

- Nie wiem.

- Byłeś jego księgowym - przemówił Mason Lord miękim, łagodnym tonem, odwracając się od wielkiego okna. - Jego księgowym, Warren. Pod względem znajomości finansów Louey był kompletnym idiotą, nie miał zielonego pojęcia, jak funkcjonuje dolar. Po jego rozwodzie z moją córką byłeś jego doradcą finansowym, prawda? Wiem, że w czasie trwania ich małżeństwa to Molly zajmowała się pieniędzmi, później ty przejąłeś tę rolę. Jestem pewien, że tak właśnie było, więc powiedz sędziemu Huntowi, co stało się z tymi trzystoma tysiącami.

- Przysięgam, że nie kłamię, proszę pana. Louey nie chciał mi nic powiedzieć. Mam tu wyciągi z banku, poświadczenia wypłat, wszystko. Louey wypłacił całą sumę z konta i nic mi o tym nie powiedział.

- Kiedy wyczyścił konto? - zapytał Ramsey.

- Tuż przed wyjazdem do Niemiec. Nie miał ani centa, ale zdołał naciągnąć sponsorów na dużą zaliczkę, prawie dwieście tysięcy, jeśli pamiętam. Następne sto tysięcy wpłynęło na jego konto już w czasie występów w Niemczech. Tę setkę także zaraz wypłacił. Przysięgam, że nie powiedział mi ani słowa, co zamierza z tym zrobić.

Gunther nadal stał przy drzwiach, nieruchomy jak skała.

- Masz wszystkie pudła z dokumentami, Gunther?

- Tak, proszę pana.

- Wobec tego idziemy. Ma pan jeszcze jakieś pytania do Warrena, sędzio Hunt?

- Tak. Gdzie pan był dziś rano?

Warren O'Dell był tak blady, jakby miał za chwilę zemdleć. Odchrząknął z wyraźnym wysiłkiem, przełknął ślinę i zakasłał.

- Byłem w domu, w łóżku - wykrztusił w końcu.

- Czy ktoś był z panem?

- Tak. Moja dziewczyna, Glennis.

- Proszę podać mi jej numer telefonu.

Cztery minuty później Ramsey rozmawiał z Glennis Clark, kelnerką z restauracji. Rozmowa trwała dość długo. Wreszcie Ramsey odłożył słuchawkę.

- Zakładając, że nie posiada pan niezwykłych zdolności paranormalnych, a panna Clark nie jest pańskim medium, wszystko wskazuje na to, że mówi pan prawdę - oświadczył.

Kiedy obaj z Masonem Lordem byli już przy drzwiach, Ramsey odwrócił się i obrzucił księgowego uważnym spojrzeniem.

- Przed kim chciał pan uciec, panie O'Dell?

- Przed Shakerem. Już do mnie dzwonił. Jest wściekły, uważa, że to ja jestem odpowiedzialny za to, iż Louey znalazł się w tym samochodzie. Teraz, gdy Louey zginął, Shaker nie ma szans na odzyskanie pieniędzy.

- Milion dolców to kropla w morzu dla kogoś takiego jak Rule Shaker. Co jest prawdziwym powodem jego gniewu?

- To, że nie dostanie Loueya - powiedział Warren O'Dell po długim milczeniu. - Zależało mu na nim. Kiedy się zorientował, że Louey zarobi kupę szmalu i spłaci go, a on nie będzie mógł szantażować go długiem, porwał dzieciaka. Jezu słodki, Shaker zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że puściłem farbę...

- Chciał, żeby Louey śpiewał w jego kasynie?

- Tak. O to także mu chodziło.

## ***Rozdział 20***

Było po dziewiątej wieczorem. Wszyscy przeszli w końcu z jadalni do dużego salonu na kawę i niskokaloryczne morelowe ciasto wypieku Milesa. Emma uprosiła Molly, aby pozwoliła jej pójść spać później niż zwykle, ponieważ bardzo chciała pomóc Milesowi powkladać naczynia do zmywarki. Kiedy wyszła razem z nim do kuchni, Ramsey opowiedział wszystkim o spotkaniu z Warrenem O'Dell.

- O'Dell twierdzi, że Rule Shaker zrobiłby wszystko, byle dostać Loueya - zakończył.

Molly spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Shaker jest pedałem? - zdziwiła się. - Chciał, żeby Louey został jego kochankiem? O to właśnie mu chodziło?

Ramsey uśmiechnął się lekko. Sherlock i Molly zrozumiały to dokładnie tak jak on, w każdym razie w pierwszej chwili. Ich niedowierzanie było równie wielkie jak jego.

Savich rozprostował ramiona.

- Założę się, że czeka nas niespodziewana puenta. No, Ramsey, nie trzymaj nas dłużej w napięciu.

Ramsey uśmiechnął się szerzej i rzucił Masonowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Okazuje się, że tak naprawdę Loueya pragnęła córka Shakera, ma na imię Melissa i jest oczkiem w głowie tatusia, który niczego nie potrafi jej odmówić. Melissa chciała Loueya, więc Rule Shaker postanowił go dla niej zdobyć.

- I starał się tak bardzo, że w końcu go zabił. - Molly była potwornie zmęczona, miała już wszystkiego dosyć. Zamartwiała się o Emmę, a teraz jeszcze okazało się, że jakiś gangster był gotów na wszystko, żeby dostać Loueya dla swojej córki. - Więc tatuś Melissy tak ustawił gierki w kasynie, żeby

Louey przegrał, tak? - zapytała. - A kiedy to nie zadziałało, kazał porwać Emmę, by zmusić go do posłuszeństwa? Potem nasłał na nas troje swoich zbirów i próbował wysadzić Emmę i mnie w powietrze, ale przez pomyłkę zabił Loueya? - Molly zerwała się z miejsca, o mało nie przewracając krzesła. Zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju, nie odrywając oczu od czubków czarnych adidasów. - Nie, przecież to równie zwariowany pomysł jak przypuszczenie, że ten Shaker jest gejem! Co to za potwór, na Boga?! Zupełne szaleństwo!

Mason posłał jej ostre spojrzenie spod zmrużonych powiek.

- Weź się w garść, Molly. Niewykluczone, że to jednak Louey kazał porwać swoją córkę, żeby położyć łapę na moich pieniądzach i spłacić Rule'a Shakera. Wygląda też na to, że w końcu Rule Shaker próbował zabić Emmę, aby przestraszyć Loueya i zmusić go do posłuszeństwa. To wszystko biznes, Molly.

- Mason ma rację - odezwała się Eve, z wdziękiem stawiając na stole filiżankę. - Jeżeli na czymś naprawdę ci zależy, musisz być gotowa na wszystko, aby to zdobyć.

- Za wszelką cenę? - zapytała Molly.

- Cena to tylko jeden z aspektów biznesu - rzekł Mason.

- Nie - powiedział Ramsey. - Louey nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Nie rozumiecie? Nie było dość czasu, aby wprowadzić do gry kolejną grupę ludzi. Emma została porwana, uciekła, ja ją znalazłem i zaraz potem dwóch mężczyzn zjawiono się przed domem w górach i próbowało nas zastrzelić. Później do akcji wkroczyło dwóch innych, którzy prawdopodobnie dotarli za nami aż tutaj. Nikt nie wiedział, gdzie jest Emma, oczywiście poza tymi, którzy ją porwali. Wszystkie te działania wydają się powiązane, wszystkie stanowią poszczególne części tego samego planu.

Mason niewzruszenie żuł koniec niezapalonego cygara.

- Założenie, że Louey nie był zaangażowany w porwanie, znacznie upraszcza całą sprawę - powiedział powoli.

- Głowa mnie boli. - Molly ruszyła w kierunku drzwi. - Jest już późno i nie sądzę, abym mogła wam pomóc. Idę spać.

- Odprowadzę cię na górę - rzekł Ramsey. - Sherlock? Savich?

- Chcę jeszcze trochę pogadać z MAXINE - odezwał się Dillon, który siedział obok kominka w masywnym skórzanym fotelu, wpatrując się w ekran stojącego na małym stoliku laptopa. - Kiedy my rozmawialiśmy, MAXINE przeżuwała podane jej informacje.

- Gdy MAXINE skończy przeżuwać, będzie chciała pogadać ze mną - oświadczyła Sherlock. - Kiedy czuje się istotą płci żeńskiej, o wiele chętniej porozumiewa się z drugą kobietą. Tak czy inaczej, niedługo pójdziemy do swojego pokoju, Ramsey.

Mason wyciągnął rękę do Eve.

- Idziemy, moja droga?

- Oczywiście, Mason - odparła, wygładzając jedwab sukni na biodrze. Oczy wszystkich obecnych w salonie mężczyzn z zafascynowaniem śledziły każdy jej ruch.

Mason Lord odwrócił się w progu i omiótł pokój nieco zdumionym spojrzeniem.

- Goszczę w swoim domu sędziego i dwoje agentów FBI. Nie mogę powiedzieć, aby była to dla mnie naturalna sytuacja...

Kiedy Mason wyszedł, Ramsey miał ochotę się roześmiać, lecz był zbyt zmęczony. Z roztargnieniem masował sobie kark. Emma powiedziałaaby, że jej dziadek zażartował... Mason Lord znał tego Rule'a Shakera, przynajmniej ze słyszenia... Co naprawdę myślał Mason o całej tej sytuacji? Wobec policji okazał się równie mało chętny do współpracy jak wszyscy jego ludzie. Co zamierzał?

- Chcesz trochę poćwiczyć? - zapytał Savich, podnosząc się z fotela. - Oczywiście, jeżeli plecy ci zbyt nie dokuczają...

- Trochę wysiłku fizycznego pomaga Dillonowi rozładować stres - powiedziała Sherlock. - Zwykle ja z nim ćwiczę. Pozwalam mu rzucać sobą jak workiem kartofli, a wszystko to pod pretekstem nauki karate. Dillon znęcał się nade mną bez litości, ale odkąd dowiedział się, że jestem w tym niezwykle interesującym stanie, nie pozwala mi nawet obserwować, jak ćwiczę. Idź z nim, Ramsey, dobrze ci to zrobi. Ja lecę z nóg. Idę z tobą na górę, Molly.

Molly rzuciła Ramseyowi zaniepokojone spojrzenie, lecz on uśmiechnął się tylko i skinął głową.

- Niedługo przyjdę - obiecał. - Powiedz Emmie, że na pewno zdążę pocałować ją na dobranoc.

Czuł, że Molly myśli o ojcu Emmy, który na jej oczach wyleciał w powietrze. Będą musieli jakoś sobie z tym poradzić...

- No dobra, chodźmy - rzucił.

Okazało się, że nie muszą nawet wychodzić z domu. Gunther zaprowadził ich do zachodniego skrzydła, gdzie w piwnicy znajdowała się doskonale wyposażona sala gimnastyczna i siłownia.

- Rozejrzyj się, Savich - rzekł Ramsey, kiedy wychodzili z szatni. - Nie przychodzi ci do głowy, że mogłeś lepiej zaplanować swoje życie?

Savich zawiązał czarny pas.

- Nie, to są rzeczy bez znaczenia - rzekł. - Sprzęt może być najwyższej jakości, materace najgrubsze, woda mineralna najdroższa, prosto z Francji, ale ostateczny rezultat jest zawsze ten sam - pot, całe mnóstwo potu. Poczekaj, umocuję ci opatrunek, zanim zaczniemy. Mogę nawet założyć na niego folię.

Najpierw obaj przez pięć minut wykonywali ćwiczenia rozciągające, potem zaczęli krążyć wokół siebie, gotowi do walki i skoncentrowani. Ramsey pierwszy wykonał ruch, wysoki czysty wyrzut prawą stopą. Savich zrobił mały krok w lewo, chwycił go za kostkę i popchnął. Ramsey runął na podłogę, przetoczył się na bok i natychmiast znowu się poderwał, przyjmując pozycję do ataku. Poczul ostre ukłucie bólu i Savich od razu to zauważył.

- Jesteś trochę szybszy niż Sherlock, ale tylko trochę, Ramsey. Plecy chyba mocno ci jeszcze dokuczają. Lepiej będzie, jeśli dzisiaj poćwiczymy na siłowni.

Po pół godzinie zakończyli ćwiczenia na macie, spoceni i zrelaksowani. Jeszcze lepiej poczuli się po pokonaniu dwudziestu długości basenu.

- Nieźle - wydyszał Ramsey, podciągając się na wyłożony bladoniebieskimi kafelkami brzeg basenu. - Zdążyłem już zapomnieć, że tylko wysiłek przynosi takie rozluźnienie. Nawet plecy tak bardzo nie boją.

- Dla mnie to też jedyna droga do prawdziwego relaksu. Ramsey wyciągnął rękę i pomógł Savichowi wyjść z basenu.

Obaj długo siedzieli w milczeniu, z rozkoszą wdychając świeże, łagodne powietrze.

- Ten dom to naprawdę coś - zauważył Savich. - Tyle tu zieleni, niczym w dżungli...

- Byle tylko się nie okazało, że pod tymi pióropuszcami palm czyhają boa dusiciele.

- Spójrz - rzekł Savich cicho, ruchem głowy wskazując koronę najbliższej rosnącej palmy. - Kamera. No, ale można się było tego spodziewać. Wcale nie przypuszczałem, że nasz gospodarz ucałuje nas na powitanie i pozwoli nam bezkarnie kręcić się po swojej posiadłości. Założę się, że cały ten teren jest naszpikowany mikrofonami.

- I co z tego? - rzucił Ramsey. - Będę musiał poprosić Milesa, by pokazał mi sprzęt, który tu mają. Ta kamera wygląda na drobiazg naprawdę najwyższej jakości.

- Myślisz, że Mason Lord zatrudnia do ochrony kobiety?

- Nie - odparł Ramsey. - Każdy, ale nie Mason Lord. On z pewnością nie należy do tych, którzy chętnie i bez uprzedzeń przyjmują do pracy kobiety. Widziałem, jak patrzy na żonę. Miał w oczach żądzę i coś w rodzaju absolutnej satysfakcji, że należy wyłącznie do niego. Jestem trochę zdziwiony, że uznał za

stosowne się z nią ożenić, ale może chce mieć syna. - Ramsey pokręcił głową. - A może musiał się z nią ożenić, żeby pójść z nią do łóżka. Eve robi wrażenie bardzo bystrej osoby...

- Chyba masz rację - mruknął Savich.

- Jeśli zaś chodzi o Molly, to całkiem dobrze radzi sobie z ojcem. Kiedy przyjechaliśmy tutaj, bardzo się go bała. Umierała ze strachu, że będzie musiała wrócić do roli bezradnej małej dziewczynki, która nie może nic zrobić bez pomocy tatusia, ale wystarczyła jedna obraźliwa uwaga z jego strony, aby Molly pokazała rogi.

- Rozumiem, że poparłeś ją, prawda?

- Tak, chociaż na początku nie znałem graczy. Nie zdawałem sobie sprawy, że Mason wolałby umrzeć, niż ustąpić. A jednak się wycofał, Savich.

- Tylko ślepy mógłby nie zauważyć, co Mason myśli o swojej córce. Jezu, dziewczyna musiała mieć naprawdę trudne dzieciństwo. Mam nadzieję, że facet nie zacznie manifestować swojego męskiego szowinizmu w obecności Sherlock, bo ona rozerwie go na strzępy.

- Z pewnością by to zrobiła. Dobrze wybrałeś, Savich. Sherlock bardzo mi się podoba. Jest twarda, inteligentna i najwyraźniej szaleje za tobą.

- Ramsey, co tu się tak naprawdę dzieje?

Ramsey podniósł się powoli. Był już prawie suchy, a plecy właśnie zaczynały go boleć. Wiedział, że godzina ćwiczeń zostanie okupiona ostrym bólem, ale na razie wcale tego nie żałował. Chwytał ręczników kolorze starego złota i zarzucił na ramiona. Tkanina była bardzo miękka i na pewno bardzo droga. Potrząsnął głową i rogiem ręcznika starannie wytarł twarz.

- Co się tu dzieje? - powtórzył, osuszając lewe ucho. - Wiem nie więcej niż ty, Savich. Znalazłem się za blisko wydarzeń i za bardzo interesuje mnie los ich uczestników. Wiem jedno - podłożyć bombę w tym mercedesie mógł tylko ktoś, kto tu mieszka lub pracuje. Nikt z zewnątrz nie zdołałby tego zrobić, nie



mam co do tego najmniejszych wątpliwości. I naturalnie nikt nie ma zamiaru się do tego przyznać. Ciekawe, co zamierza Mason Lord.

- Ile wiesz o Molly?

Ramsey podniósł ciemne brwi, zaskoczony nie tyle pytaniem, ile powagą brzmiącą w głosie Savicha.

- Wiem, że stara się za wszelką cenę chronić Emmę - powiedział powoli. - Wiem, że jest odważna i twarda jak Sherlock. Że potrafi skupić się na jednej sprawie i nie zwracać uwagi na resztę. Że ma piękne włosy, rude, podobnie jak Sherlock, lecz o zupełnie innym odcieniu. Przypominają barwę niebo o zachodzie słońca, które kiedyś widziałem na zachodnim wybrzeżu Irlandii.

Savich milczał. Odwrócił wzrok, żałując, że sprawy nie ułożyły się inaczej. Cóż mógł na to wszystko poradzić...

- Wiesz, że pewnego lata, kiedy miała dwanaście lat, podobno pozwoliła, aby jej młodszy brat utonął? - odezwał się w końcu.

Ramsey upuścił ręcznik. Spojrzał na Savicha i zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie - powiedział. - O nie. Nigdy w to nie uwierzę, Savich. Molly na pewno nie zrobiła czegoś takiego.

- Sherlock znalazła to w wycinkach prasowych sprzed piętnastu lat. Przykro mi, jeśli uważasz, że Sherlock wsadza nos w nie swoje sprawy, ale Sherlock jest profesjonalistką i sprawdza wszystkie poszlaki.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby Sherlock policzyła wszystkie moje znamiona, jeżeli dojdzie do wniosku, że ma to jakieś znaczenie dla śledztwa, ale mówię ci, że to musiał być wypadek. Wypadek, nic innego. Molly nie byłaby w stanie spokojnie patrzeć na śmierć kogoś, kto jest jej bliski. Dotyczy to nawet ojca, który, jak sam zauważyłeś, jest niezłym draniem.

Savich wzruszył ramionami.

- Oczywiście przeprowadzono dochodzenie, ale wyniki nie były jednoznaczne. Jeśli wierzyć ogólnie przyjętej opinii, Molly nienawidziła brata,

ponieważ ojciec otwarcie go faworyzował. Nie ukrywał, że uważa chłopaka za swego spadkobiercę i jedynie na nim mu zależy. Sam powiedziałaś, że Mason źle traktuje córkę i zupełnie się z nią nie liczy. Może masz rację, może rzeczywiście ożenił się z Eve dlatego, że chce mieć drugiego syna... Mason i jego pierwsza żona, Alicia, rozwiedli się, gdy Molly miała osiem lat, a jej brat sześć - ciągnął Savich. - Molly wyjechała z matką do Włoch, gdzie zamieszkała w domu swojej babki, chłopiec został z ojcem. Zginął w czasie wakacji, które Molly spędzała u ojca. Kiedy miała osiemnaście lat, rozpoczęła naukę w Vassar. Po pierwszym roku wyprowadziła się z akademika do ojca. Nie możesz po prostu odrzucić takiej możliwości, Ramsey. Molly Santera ma za sobą smutną przeszłość. Być może jest niewinna, ale po śmierci brata wiele osób poważnie powątpiewało w jej niewinność. Nie wolno nam tego lekceważyć.

- Sugerujesz, że Molly miała coś wspólnego z porwaniem Emmy? - zapytał Ramsey.

- Nie, w to nie wierzę, ale śmierć Loueya... Może jednak to on miał paść ofiarą zamachu...

- Słuchaj, Savich, Molly rozwiodła się z tym durniem. Nie miała żadnego motywu, rozumiesz? Poza tym, skąd mogła wiedzieć, że Louey spróbuje ucieczki? To było spontaniczne - facetowi puściły nerwy i rzucił się do samochodu.

Savich wstał. Spojrzał Ramseyowi prosto w oczy.

- A jeśli Molly przekonała go, że jej ojciec go zabije? Może powiedziała mu, że najlepiej będzie, jeżeli się zmyje i pozwoliła zabrać podstawiony przez Gunthera wóz... Nie możesz wykluczyć takiej możliwości, Ramsey. Zastanów się. Nikt z nas nie zna dobrze tych ludzi. Nie wmiataj śmieci pod dywanik tylko dlatego, że podziwiasz tę damę i jej piękne włosy...

Ramsey czuł, jak serce dziko tłucze się o żebra, zupełnie jakby próbowało wyrwać się z klatki. Plecy bolały go coraz bardziej. Nie wierzył w przypuszczenia Savicha. Znał się na ludziach i potrafił dobrze ocenić charakter

nawet słabo znanej osoby. Widział Molly w kryzysowych sytuacjach. Nie wahała się, nie cofała, nie załamywała rąk.

- Molly nie miałyby zielonego pojęcia, jak skonstruować bombę - powiedział głośno. - Musiałaby więc wynająć kogoś, kto by to zrobił, i to w bardzo krótkim czasie. To wyjątkowo mało prawdopodobna wersja wydarzeń, Savich.

- Molly jest córką Masona Lorda, ale może masz rację, może to ty ją właściwie oceniasz. Spotkaliście się niedawno, ale chyba rzeczywiście zdążyłeś ją dobrze poznać. - Savich westchnął i potarł kark. - Z drugiej strony, właśnie ona mogłaby bez wielkiego trudu wprowadzić niepostrzeżenie kogoś na teren posiadłości ojca. I skąd właściwie wiesz, że nie umie skonstruować bomby?

Ramsey tylko popatrzył na niego w milczeniu i pokręcił głową. Potem odwrócił się i odszedł. Plecy bolały go tak, że mało nie oszalał.

## ***Rozdział 21***

Noc była ciemna, gęste chmury wisiały nisko, a powietrze wydawało się ciężkie od zapachu nadchodzącego deszczu i wiosennych kwiatów. Ramsey przewrócił się na bok, pociągając ze sobą koc. Poduszkę zrzucił na podłogę już parę godzin wcześniej.

Znowu ułożył się na plecach, przykrywając czoło lewym ramieniem. I nagle znalazł się w mrocznym pomieszczeniu, pełnym zamazanych, niewyraźnych kształtów i nakładających się na siebie głosów, wciąż się nasilających. Zupełnie niespodziewanie wnętrze pojaśniało, a obrazy nabrały ostrości.

Był na sali sądowej. Przeskakiwał właśnie przez barierkę, unosząc wysoko czarną sędziowską togę. Wyprostował nogi i prawą stopą wytrącił półautomatyczny karabinek z ręki napastnika, odrzucając broń daleko na podłogę. Usłyszał głośny trzask kości barkowej tamtego i wrzask wściekłości,

który wyrwał mu się z gardła, zobaczył dziki ból w jego oczach, potem zaś przerażenie i panikę.

Mężczyzna skoczył w kierunku leżącego na podłodze pistoletu, przytrzymując złamaną rękę. Ramsey dopadł go i wymierzył mu mocny cios w żebra, rozciągając go na posadzce. Sala rozbrzmiewała przeraźliwym krzykiem. Drugi napastnik odwrócił się ku niemu z gotową do strzału bronią, więc Ramsey wykonał unik, chwycił mężczyznę za przegub dłoni i pociągnął go za sobą. Palce wolnej ręki zacisnął na gardle tamtego, miażdżąc mu tchawicę.

Widział, jak mężczyźni oczy wychodzą na wierzch, słyszał, że kolba pistoletu uderza o barierkę. Krzyk wypełniał salę i przenikał do mózgu Ramsey'a. Kątem oka dojrzał trzeciego mężczyznę, który odwrócił się powolnym, starannie zaplanowanym ruchem. Zobaczył, jak tamten podnosi broń i strzela na oślep, raniąc w ramię jednego z adwokatów, młodego prawnika w śnieżnobiałej koszuli, która w jednej chwili nasiąkła krwią.

Pęd kuli rzucił rannego na trzy kobiety, które skuliły się w pierwszym rzędzie widowni. Ranny adwokat zwrócił głowę w kierunku Ramsey'a, a w jego oczach malował się nieopisany strach i śmierć. Ramsey poczuł tchnienie gorąca, kiedy kula przeleciała w odległości mniej więcej dwóch centymetrów od jego skroni, i przetoczył się po podłodze, w ciągu ułamka sekundy podnosząc półautomatyczny karabin i biorąc na muszkę ostatniego napastnika.

Pociągnął za spust, tamten runął na ścianę, plamiąc krwią boazerię. Krzyki stawały się coraz głośniejsze...

Ramsey usiadł na łóżku, napięty jak struna i zlany potem. Ukrył twarz w dłoniach. Tyle krwi, ulewny deszcz krwi...

- Wszystko w porządku, Ramsey.

Emma. Siedziała obok niego, małą ręką lekko gładząc go po ramieniu.

- Wszystko w porządku. To tylko zły sen, wiesz, że mnie też się to czasami zdarza. Nie bój się, nie zostawię cię, dopóki się nie uspokoisz.

- Emmo... - powiedział, zaskoczony, że w ogóle udało mu się wydobyć głos z gardła.

Usiadł na krawędzi łóżka, posadził dziewczynkę na kolanach i mocno ją przytulił.

- Usłyszałam cię - szepnęła, nie odrywając głowy od jego piersi. - Przestraszyłam się, że coś ci się stało...

- Dziękuję, że przyszedłeś. To był bardzo zły sen. Śniło mi się coś, co wydarzyło się trzy miesiące temu, po raz pierwszy od kilku tygodni. Już myślałem, że ten koszmar przestał mnie dręczyć.

- Przykro mi, że wrócił. Co to było, Ramsey?

- Musiałem kogoś zabić, Emmo.

Odsunęła się od niego i zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Jego oczy przywykły już do mroku, więc widział ją zupełnie wyraźnie. Patrzyła na niego spokojnie, bez cienia zmieszania czy niepewności.

- Na pewno musiałeś to zrobić - oświadczyła. - Czy ci ludzie zasłużyli sobie na to?

Spojrzał w twarz tego dziecka, którego oczy widziały zbyt wiele zła i tak często wyrażały cierpienie. Nie mógł jej okłamywać.

- Tak - powiedział powoli, nie odwracając wzroku. - Zasłużyli sobie na to. Wdarli się do sali sądowej z bronią w rękę. Chcieli uwolnić handlarzy narkotyków, których ława przysięgłych chwilę wcześniej uznała za winnych. Zaczęli strzelać do przysięgłych, więc przerwałem tę rzeź...

- Co to jest „rzeź”?

- Emmo? Co tutaj robisz, kochanie?

Emma odwróciła głowę w kierunku drzwi.

- Mamo, Ramsey miał koszmar. Usłyszałam go i pomyślałam, że na pewno mnie potrzebuje. Śniła mu się rzeź.

Molly zamrugnęła niepewnie.

- Cześć, Molly - odezwał się Ramsey. - Już wszystko w porządku. Dzięki Emmie spojrzałem na swoje przeżycia z innej perspektywy.

- Chcesz, żebyśmy pomogły ci zasnąć, Ramsey?

- Śmierdę potem, Emmo. Na pewno nie chciałabyś przytulać się do spoconego faceta.

- Ale ty już wysychasz. I wcale nie śmierdzisz...

Emma ziewnęła i jej głowa sennie opadła na pierś Ramseya. Spojrzał na Molly, która stała w progu, ubrana w białą koszulkę z niebieskim napisem: „Przerwy na seks to moja specjalność”. Molly wzruszyła ramionami.

- Właściwie dlaczego nie? - mruknęła. - Emma i ja możemy się położyć na kocu, bo widzę, że tu leży drugi. Dziwię się, że ja cię nie usłyszałam. Dopiero minutę temu uświadomiłam sobie, że Emmy nie ma w pokoju.

Wdrapała się na łóżko i położyła obok siebie Emmę.

- Następnym razem to ja będę miała zły sen - powiedziała. - Teraz moja kolej.

- Dobrze się czujesz, Ramsey?

- O wiele lepiej, Em, a wszystko dzięki temu, że ty tutaj jesteś.

- Opowiedz mi ten sen - poprosiła Emma, przechylając się nad Molly. - Mama mówi, że to pomaga. Podobno zawsze jest dobrze opowiedzieć na głos o tym, czego się boisz.

Ramsey usłuchał tej rady. Tym razem przyszło mu to znacznie łatwiej.

- W jaki sposób dostali się z bronią do gmachu sądu? - zapytała Molly.

- Przekupili strażnika. Siedzi teraz w więzieniu.

Poczuł, że z każdą chwilą coraz bardziej się odpręża. Powiedział już wszystko, co było do powiedzenia. Śmierć i krew znowu odeszły w głęboki cień.

- Tak, teraz sobie przypominam. Pisali o tym wielokrotnie. To już minęło, Ramsey, staraj się zapomnieć. Czy plecy bardzo cię bołą?

- Nie, Molly. Nie są zbyt poparzone.

- To dobrze. - Westchnęła z ulgą.

Emma zdążyła już zasnąć i teraz oddychała głęboko. Molly delikatnie położyła rękę na ramieniu Ramseya.

- Cieszę się, że cię nie boli...

Jego mięśnie napięły się jak pod wpływem kontaktu z rozgrzanym do czerwoności narzędziem. Odchrząknął.

- Przepraszam, że jestem taki spocony - powiedział.

- Między tobą a nami znajdują się trzy warstwy koca. Nie udało ci się ich przepocić.

Przez chwilę wsłuchiwał się w rytmiczny oddech Emmy. Spała głębokim snem. Nienawidził siebie, ale wiedział, że musi zadać to pytanie.

- Opowiesz mi o swoim młodszym bracie, Molly?

Zesztywniała, a potem z jej piersi wyrwało się jeszcze jedno ciche westchnienie.

- Był kochanym, dobrym chłopcem. Tamtego lata skończył dziesięć lat... Świetnie pływał, więc siedziałam spokojnie w doku, nie zwracając uwagi, co robi. Prawdopodobnie rozmyślałam o jakimś fascynującym trzynastolatku. Właśnie wchodziłam w ten głupi wiek, mój Boże... Nagle zaczął krzyczeć i na moich oczach poszedł pod wodę. Płynęłam do niego tak szybko, że serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Wyciągnęłam go, ale nie odzyskał już przytomności... Potem jakiś dziennikarz napisał, że może to wcale nie był wypadek. Mój ojciec był bezwzględnym przestępcą, więc niby dlaczego jego córka ma być inna? Byłam zrozpaczona. Teddy zginął, a mnie wszyscy zaczęli uważać za złe nasienie...

- Jedyna rzecz, której jestem absolutnie pewien, to jakość twojego nasienia, Molly.

Kiedy się roześmiała, w jej głosie usłyszał smutek i ulgę. Potem nachyliła się i pocałowała go w ramię. Zasnął szczęśliwy, że ma je obie obok siebie.

- Mason Lord.

- Mam człowieka, który zajmuje się moimi sześcioma samochodami i mieszka na terenie posiadłości. Może Gunther faktycznie powiedział coś w jego obecności. Przyślę go do pana.

- Byłbym rad, gdyby pańscy ludzie okazali nieco większą chęć współpracy - mruknął O'Connor.

Mason Lord zmierzył go chłodnym spojrzeniem, unosząc brwi. Potem wstał i bez słowa wyszedł z salonu.

- Przychodzi panu do głowy ktoś jeszcze, sędzio Hunt?

- Dokładnie pamiętam moment wybuchu samochodu - powiedział Ramsey powoli. - W takiej chwili umysł działa inaczej, nie przyjmując do wiadomości, że coś takiego dzieje się naprawdę. Rejestruje obrazy niczym efekty specjalne filmu sensacyjnego. Dopiero potem prawda dociera do nas w całej okazałości. Widziałem, jak Louey wybiegł zza krzaków i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwiczki. Miał na sobie niebieską koszulę z krótkim rękawem, był bez marynarki. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

- Przeszukaliśmy już dokładnie teren wokół tych krzewów - oświadczył O'Connor. - Ale rozejrzemy się tam ponownie. Coś jeszcze?

Ramsey potrząsnął głową.

- Pytałem Masona o Rule'a Shakera, ale nie miał mi o nim wiele do powiedzenia.

- Nie spodziewałabym się niczego innego - odezwała się Molly. Ramsey nagle przypomniał sobie pocałunek, którym w nocy musnęła jego ramię. Szkoda, że nie pocałowała mnie w usta, pomyślał. Powtórzył Savichowi, co Molly powiedziała mu o swoim młodszym bracie, Teddym. Savich zapatrzył się w dal, pogrążony we własnych myślach, i w końcu skinął głową.

- Chodzi o to, że Shaker nigdy by nie pozwolił, aby cokolwiek naprowadziło nas na jego trop, szczególnie w sprawie o morderstwo - oświadczył detektyw O'Connor. - Nawet jeżeli to on odpowiada za śmierć



Loueya Santery, nie mamy żadnych szans, aby ustalić związek między nim i tym zabójstwem. Mamy nakazy sądowe, dzięki którym dokładnie przyjrzymy się jego działalności finansowej, sprawdzimy więc, czy coś wskazuje na jego kontakty z Santerą i na rodzaj tych powiązań. Policjanci z Las Vegas informują, że Shaker staje teraz na głowie, by niczym nie narazić się wymiarowi sprawiedliwości. Nawet urząd podatkowy nie ma do niego żadnych zastrzeżeń. - O'Connor podniósł się z krzesła i spojrzał na Molly. - Bardzo mi przykro, ale nadal nie jesteśmy w stanie stwierdzić, kto porwał pani córeczkę. Nie daje mi to spokoju, ale... Molly krótko skinęła głową.

- Jeżeli nasze przypuszczenia są słuszne, to Emmie nic już nie grozi z tego prostego powodu, że Louey nie żyje. Trudno mi będzie żyć z tą świadomością, ale chyba nie mam innego wyjścia. Dzięki Bogu, że Emma jest bezpieczna. Chciałabym tylko dostać w ręce tego potwora, który ją porwał, wykorzystał i bił. Och, dużo bym za to dała... Oby przez całą wieczność smażył się w piekle za to, co jej zrobił...

- Dopiero zaczynamy dochodzenie, pani Santera - powiedział O'Connor, ujmując dłoń Molly. - To naprawdę dopiero początek.

Ton jego głosu nie wydał się Molly pełen nadziei. Po wyjściu O'Connora z roztargnieniem rozejrzała się dookoła.

- Muszę zająć się organizacją nabożeństwa żałobnego w intencji Loueya - rzuciła. - Jestem to winna Emmie, w końcu Louey był jej ojcem.

Obie z Sherlock wyszły z salonu, rozmawiając przyciszonym głosem.

- Zostaliśmy tylko my dwaj - rzekł Ramsey. - Czuję się przygnębiony.

- Miles jeszcze nie przyniósł kawy - zauważył Savich. - Jak twoje plecy?

- Co? A, w porządku. Wczoraj przed snem wziąłem dwie aspiryny.

- Nie chciałem mówić tego przy Molly, ale naprawdę nie dysponujemy bogatą bazą danych - rzekł Savich. - MAXINE zgadza się z detektywem O'Connorem. Także uważa, że najprawdopodobniej za całą sprawą stoi Rule Shaker z Las Vegas. Niestety, MAXINE potrzebuje faktów, a tych nam brakuje.

- Ale jesteście tutaj i nie macz nawet pojęcia, jak mnie to cieszy. Chodźmy wystarać się o kawę.

- Pomyślałem sobie, że w tej sytuacji Sherlock i ja możemy właściwie polecieć do Paryża - powiedział Savich. - Mamy jeszcze pięć dni urlopu. - Roześmiał się. - Założę się, że Mason Lord z radością się nas pozbędzie.

- Mam nadzieję, że uda się wytropić faceta, który porwał Emmę.

- Jestem pewien, że O'Connor nie próbował jedynie pocieszyć Molly. Nikomu nie podoba się, że taki zboczeniec pozostaje na wolności. Nie odpuścimy sobie tej sprawy. Liczę, że najgorsze jest już za nami.

## ***Rozdział 22***

Ramsey i Molly byli w jego pokoju, on przy oknie, ona przy drzwiach. Był wczesny ranek i w domu panowała jeszcze cisza. Na łóżku leżała otwarta walizka, do połowy wypełniona spakowanymi rzeczami.

- Więc jednak wyjeżdżasz?

Wzruszył ramionami i przeniósł wzrok na walizkę.

- Tak, chyba tak. Nie mogłem spać i doszedłem do wniosku, że czas zacząć się pakować. - Przerwał, przez chwilę obydwój milczeli. - Wiesz, że próbowałem napisać powieść? Mam wrażenie, że było to jakiś milion lat temu...

- Nie, nie miałam pojęcia.

- Właśnie dlatego pojechałem do tego domu w Górach Skalistych. Wziąłem bezpłatny urlop na pięć miesięcy. Musiałem uciec przed całym tym szaleństwem, znaleźć schronienie przed dziennikarzami. Któregoś dnia rano jakiś facet wetknął przez okno łeb do mojej łazienki, kiedy się goliłem. O mały włos nie poderżnąłem sobie gardła. Wtedy zdecydowałem, że wyjadę z miasta. Postanowiłem napisać powieść, o której myślałem przez cały ubiegły rok.

- O czym chciałeś pisać?

- Główny wątek dotyczy procesu sądowego, bohaterem książki ma być sędzia federalny. Dość dobrze znam tę dziedzinę i miałbym parę rzeczy do powiedzenia na ten temat.

- Rozumiem. Więc chcesz wrócić do Kolorado i pisać?

- Chyba tak. - Próbował urwać nitkę wystającą z jego jasnoniebieskiego swetra. Ani na chwilę nie opuszczała go myśl o jej pocałunku. - Zastanawiałem się, kiedy wy obie wrócić do Kolorado.

- Na razie w ogóle o tym nie myślałam. Dopiero zaczynam ogarniać to wszystko, co nam się przydarzyło. Jestem gotowa przyjąć do wiadomości, że odpowiedzialność za to ponosi ten straszny Rule Shaker z Las Vegas, ale nie mogę zapomnieć o istnieniu potwora, który skrzywdził Emmę. Sądzę, że do końca życia nie uwolnię się od strachu przed nim. Mam sporo pieniędzy i chyba część z nich poświęcę na odszukanie tego drania...

Rzuciła Ramseyowi niepewne spojrzenie, zupełnie jakby się obawiała, że zacznie ją do tego zniechęcać.

- Na twoim miejscu zrobiłbym to samo - powiedział. - Kiedy wrócę do domu, spróbuję ci pomóc. Pedofile działają w specyficznych siatkach i zwykle znają się nawzajem, przynajmniej ze słyszenia. Mam kilkoro przyjaciół, którzy spędzają dużo czasu przy komputerze. Zobaczymy, może uda im się coś znaleźć. - Ramsey westchnął. - Savich dopilnuje, aby terenowe biura FBI również nie zapomniały o porywaczu Emmy. On także nie jest zadowolony z tego stanu sprawy.

Molly spuściła głowę, wbijając wzrok w miękki dywan pod stopami.

- Chyba powinnam ci jeszcze raz podziękować, Ramsey. Emma będzie za tobą tęskniła.

Spojrzał na nią, na ciemne cienie pod jej oczami i pasemko piegów na grzbiecie nosa.

- Mówiłem Savichowi, że twoje włosy mają zupełnie inny odcień niż włosy Sherlock - odezwał się. - Większość ludzi uważa, że rude włosy są po

prostu rude i koniec, ale ja wiem, że w twoich jest kolor zachodu słońca, który kiedyś widziałem w Irlandii.

Szybko podniosła na niego oczy i zamrugwała nerwowo.

- Zachód słońca w Irlandii? Kiedy tam byłeś, Ramsey?

- Dwa lata temu. Mieszkałem w Ballyvaughan i prawie codziennie jeździłem na wybrzeże w Moher. Nie potrafię opisać tamtejszych klifów. Można powiedzieć, że są to poszarpane urwiska, o które rozbijają się fale, wychodzące na spotkanie morzu, ale to tylko banalne zwroty. - Znowu wzruszył ramionami.

- Rozumiesz, o co mi chodzi? Trzeba tam po prostu pojechać i spojrzeć na morze, zobaczyć linię horyzontu i zrozumieć, że poza falami nic tam nie ma...

- Zaczynam rozumieć - powiedziała cicho.

Ramsey przeczesał palcami włosy, które w rezultacie tego zabiegu stały się dęba.

- Do diabła, miła jesteś, Molly.

- Opowiedz mi o tym zachodzie słońca.

Sprawił wrażenie zażenowanego. Uśmiechnęła się do niego, a on szybko przyglądał sterczące we wszystkie strony włosy. Jeszcze nie zdążył się ogolić. Wyglądał na twardego, zdecydowanego na wszystko mężczyznę, lecz Molly ujrzała go nagle z Emmą na kolanach, głaszczącego jej córkę po głowie. Miał na sobie spodnie i koszulkę, był boso. Pomyślała, że niepotrzebnie mu przeszkadza. Ramsey chce przecież wyjechać...

Miał własne życie. Ona i Emma zetknęły się z nim na krótko, w wyniku dramatycznych wydarzeń, a teraz nadszedł czas rozstania.

Postanowił wyjechać. Nie była tym zachwycona, ale nie mogła tego zmienić.

- Nigdy nie zapomnę, jak pewnego dnia przyjechałem na wybrzeże wieczorem - rzekł. - Powietrze było rześkie i suche, niebo czyste jak łąka. Dzień bez deszczu, wielka rzadkość w Irlandii. Siedziałem i patrzyłem, jak czerwona kula słońca powoli tonie w Atlantyku. Wydawało mi się, że kiedy słońce

dotknie fal, woda zasyczy i zagotuje się. Ludzie dookoła mnie żartowali i głośno rozmawiali, lecz w chwili, gdy słońce zanurzyło się w oceanie, wszyscy nagle umilkli i bez słowa podziwiali ten wielki spektakl. - Pokręcił głową, mimo woli poruszony wspomnieniami. - Nigdy nie zapomnę tego widoku. - Przerwał na chwilę i spojrzał na Molly. - Następnego dnia tak lało, jakby przyroda zażądała zapłaty za ten niewiarygodnie wspaniały zachód słońca. Wiesz, Molly, przyszło mi do głowy, że może wam także by się to spodobało. Nie mówię o deszczu, chociaż deszcz w Irlandii także jest piękny, ale o zachodach słońca.

- Nam? Emmie i mnie? Miałybyśmy pojechać do Irlandii?

- Tak, ze mną. Wcale nie mam ochoty was zostawiać.

Światło poranka było mgliste i szare. Nie widział wyrazu jej twarzy, bo znowu spuściła głowę. Po bardzo długiej chwili podniosła ją i spojrzała mu w oczy.

- Chętnie z tobą pojedę - powiedziała z uśmiechem. - Założę się, że Emma także.

Ogarnęła go radość i siła tego uczucia bardzo go zaskoczyła. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Savich i Sherlock wybierają się do Paryża. Dziś rano odlatują z lotniska O'Hare.

- Savich i Sherlock to bardzo dobrzy ludzie.

- Kiedy moglibyśmy wyjechać do Irlandii? Sądzę, że Emmie dobrze by to zrobiło.

- Nie mam naszych paszportów. Zostały w domu, w Denver.

- Mój jest w San Francisco. Moglibyśmy pojechać po nie i spotkać się w Nowym Jorku albo tutaj, w Chicago. Zaraz, mam jeszcze lepszy pomysł - pojedę z wami do Denver, a później wszyscy razem wyruszymy do San Francisco. Co ty na to?

Zaczęła się śmiać, szeroko rozkładając ręce.

- Miesiąc temu nawet ciebie znałam!

- To prawda. Z drugiej strony, przez ten miesiąc przeżyliśmy razem więcej niż inni ludzie w ciągu dziesięciu lat lub całego życia.

- Naprawdę uważasz, że moje włosy są koloru zachodzącego słońca?

Uśmiechnął się powoli.

- Tak, naprawdę tak uważam.

- I plecy cię nie boją?

- Nie. A twoje ramię?

- Czasami trochę mnie rwie, ale nie bardzo. Tych szwów nie trzeba zdejmować, same się rozpuszczają, tak powiedział doktor Otterly. Nie mogłam uwierzyć, że poszedłeś na siłownię. Mogłeś sobie przecież zaszkodzić...

- Nie mam już nawet bąbli, a poza tym naprawdę uważałem. Savich porządnie owinął mnie bandażem, więc spokojnie mogłem popływać. - Zerknął na nią z rozbawieniem. - Masz rację, nieźle się wyglupiłem.

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Ja tego nie powiedziałam.

- Emma śpi?

- Mam nadzieję. Często się budzi, wczoraj w nocy aż trzy razy i nadal ma złe sny. Śnił się jej wybuchający samochód...

- Chyba powinniśmy zapytać doktor Loo, czy wyjazd do Irlandii nie zaszkodzi Emmie.

- Możemy zapytać ją dziś rano. Jestem pewna, że będzie nas zachęcać do wyjazdu.

Ramsey był zdumiony, że myśl o wspólnej podróży do Irlandii budzi w nim tyle radości. Czuł się tak, jakby wszystkie napięte mięśnie w jego ciele nagle się rozluźniły. Nie wiedział, jak to się stało, że zadał Molly takie pytanie. Chyba samo wyfrunęło mu z ust... Chociaż nie, na pewno podświadomie pragnął za wszelką cenę uniknąć rozstania z Molly i Emmą...

- Na którą godzinę umówiłaś się z doktor Loo?

- Na dziesiątą.

- Zobaczymy, co powie, i wtedy się zastanowimy nad dalszymi planami.

Molly poprawiła pasek szlafroka, cudownej kreacji z brzoskwińskiego jedwabiu, którą musiała pożyczyć od Eve Lord, swojej macochy. Ramsey pomyślał, jak wyglądałaby bez szlafroka. Molly posłała mu szeroki uśmiech.

- Irlandia, co? - mruknęła. - Czy poprzednim razem byłeś tam sam?

- Nie.

- Jasne. - Kiwnęła głową. - Nie sądzę, byś cokolwiek musiał robić sam, chyba że z wyboru...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że wiele kobiet uznałoby cię za bardzo atrakcyjnego mężczyznę, nawet z poparzonymi plecami.

- Dziękuję. Wracaj do łóżka, Molly. Jest jeszcze bardzo wcześnie.

- A ty?

- Teraz, kiedy mamy takie plany, ja także spróbuję się zdrzemnąć. Nie jestem już zdenerwowany i spięty. To cud.

Długą chwilę obserwowała go w milczeniu.

- Dziś po południu odbędzie się nabożeństwo żałobne w intencji Loueya - powiedziała w końcu. - Tutaj, w ogrodzie. Znalazłam nawet prezbiteriańskiego duchownego, który je odprawi.

- To dobrze - odparł. - Zwłaszcza ze względu na Emmę.

- Mam nadzieję.

- Emmo, zagrasz dla mnie *Świeć, gwiazdeczko*?

- Tak, doktor Loo, spróbuję, ale od dawna nie grałam na pianinie, tak na poważnie.

- Nie szkodzi. Chętnie cię posłucham.

Emma ustawiła swoje nowe pianino na stoliku do kawy. Doktor Loo siedziała w fotelu, Ramsey i Molly na dwuosobowej kanapie naprzeciwko niej.

- Nie zapomnij o wariacjach, Emmo - odezwał się Ramsey.

Tym razem Emma już się nie wahała. Wzięła głęboki oddech, co zabrzmiało przeraźliwie dorośle, i palcami jednej ręki zagrała wiodące nuty melodii, zaczynając od F. Potem dołączyła drugą rękę i wydobyła z płaskiej pioseneczki zupełnie klasyczne brzmienie. Za drugim razem zagrała ją jak jazzowy standard, za trzecim w stylu utworu Johna Lennona.

Doktor Loo zamrugwała. Wyglądała na mocno poruszoną i zaskoczoną. Kiedy Emma skończyła, ujęła jej drobną dłoń i spojrzała dziewczynce w oczy.

- Dziękuję ci, Emmo. Sprawiałaś mi wielką przyjemność. Mam nadzieję, że pewnego dnia pójdę na twój koncert w Carnegie Hall.

- Co to jest Carnegie Hall?

- To takie miejsce, gdzie występują wybitni artyści z całego świata. Byłam w Carnegie Hall, kiedy Liam McCallum grał tam na skrzypcach. Nigdy tego nie zapomnę. Ty też mogłabyś tam zagrać, Emmo.

- Tak - powiedziała Molly. - Chyba ma pani rację.

- Mój tata nigdy nie zagrał w Carnegie Hall - szepnęła Emma, nie podnosząc oczu znad klawiatury. - Ale był wielkim artystą. Mama tak mówi.

Molly wyglądała tak, jakby miała się rozplakać. Ramsey nachylił się ku Emmie.

- Mam płytę twojego taty, Emmo. Nie zagrał w Carnegie Hall, ale wszyscy na świecie mogą go słuchać. Jego muzyka nadal żyje.

- Mama też tak mówi.

- A czy twoja mama kiedykolwiek się omyliła? - zapytał Ramsey. - Pamiętasz taki przypadek?

Delikatnie pogłaskał jej włosy, które tego ranka sam zaplótł we francuski warkocz. Fryzura była zupełnie udana, a splot gładki i prosty.

Emma podniosła głowę. Chwilę zastanawiała się intensywnie.

- Kiedyś się pomyliła, ale to było dawno - rzekła w końcu. - Dwa miesiące temu.

Ramsey się roześmiał.



- No dobrze - odezwała się doktor Loo. - Powinniśmy chyba porozmawiać o twoim wyjeździe do Irlandii z mamą i Ramseyem.

- Nie wiem, co to jest ta Irlandia.

- Irlandia to piękny, zielony kraj po drugiej stronie oceanu. Cudowne miejsce, Emmo, gdzie można popatrzeć na różne sprawy z innej perspektywy. Myślę, że tam przestaniesz się bać, będziesz dużo grać na pianinie, biegać rano z Ramseyem, grać w piłkę z mamą i jeździć z nimi na pikniki. Irlandia jest wspaniała. Możesz siedzieć tam na skałach i moczyć nogi w wodzie, tak zimnej, że w pierwszej chwili robi ci się gęsia skórka. Będziesz z dwojgiem ludzi, których kochasz, którzy chcą, żebyś była bezpieczna i szczęśliwa. Co o tym myślisz?

Emma oparła się o kolana Ramseya.

- Czy ten zły człowiek też tam będzie?

Ramsey lekko potarł dłońmi jej szczuplutkie ramionka.

- Nie, Emmo. Nigdy więcej nie pozwolimy, żeby się do ciebie zbliżył, obiecuję ci to.

Emma odwróciła się twarzą do niego.

- Ale on jest blisko, Ramsey. Teraz jest naprawdę blisko. Zabił moją tatę i chce złapać mnie...

- Nie, kochanie. Jest bardzo przestraszony i ukrywa się, bo wie, że policja go ściga. Chciałbym, żeby go złapali, bo wtedy zamkną go w więzieniu, do końca życia. Wszyscy stają na głowie, żeby go schwytąć. Wierzysz mi, Emmo?

Długo wpatrywała się w niego bez słowa. Molly wstrzymała oddech. Wreszcie Emma westchnęła cicho. Dopiero wtedy Molly zerknęła na doktor Loo, która uśmiechnęła się lekko i powoli pokręciła głową. Po chwili lekarka wstała i wzięła Molly na stronę.

- To musi potrwać - szepnęła. - Nie ponagłajcie jej. Widzę, że obydwójce doskonale sobie ze wszystkim radzicie, a wyjazd do Irlandii to naprawdę

światny pomysł. Wydaje mi się jednak, że powinnam zobaczyć się z Emmą jeszcze jutro. Na kiedy zaplanowaliście wyjazd?

- To nie ma znaczenia - odparła Molly, nie spuszczać wzroku z Emmy. - Liczy się tylko dobro Emmy. Wyjedziemy, kiedy pani uzna, że Emma jest gotowa, ani godziny wcześniej...

- Stan Emmy jest bardzo dobry, pani Santera. Nie da się jednak zaprzeczyć, że te przeżycia pozostaną z nią na zawsze. Musicie przyjąć to do wiadomości i nauczyć się z tym żyć. W miarę dorastania emocje Emmy, związane z tą tragedią, będą ulegać zmianie. Wspomnienia się zatrą, co jest pozytywne, ale nigdy nie znikną całkowicie. Na razie Emma jest jednak małą dziewczynką i nie ma pojęcia, co to takiego gwałt. Wie tylko, że zły człowiek zrobił jej krzywdę i że było to okropne, lecz nie ma żadnych dorosłych skojarzeń na ten temat. W tej chwili mamy do czynienia z lękiem i zapamiętanym poczuciem bezradności. Za jakiś czas Emma zrozumie, że nic i nikt nie zmieni tego, co się stało, że zdarzyło się to naprawdę, a ona musi się postarać, by nie zniszczyło to całego jej życia. Nie będzie wam łatwo. Proszę przywyknąć do myśli, że ledwo ugasi pani jeden pożar, a już wybuchnie następny. Emma ma szczęście, że ma taką matkę. Wiem, że sędzia Hunt zna ją od niedawna, ale ufają sobie nawzajem i uczucie, które ich łączy, jest naprawdę głębokie.

- Będzie nam ciężko, kiedy sędzia Hunt wróci do domu. - Molly westchnęła.

Doktor Loo milczała chwilę.

- Cóż, takie sprawy same się zwykle rozwiązują - powiedziała spokojnym, naturalnym tonem. - Jutro porozmawiam z Emmą w cztery oczy. Postaram się uświadomić jej, że ten człowiek nie był normalny, że nie było w tym ani cienia jej winy, że nie spotkało ją to dlatego, iż była niedobra.

- Naprawdę mogłaby tak pomyśleć?

- O tak. Dzieci najczęściej obarczają siebie winą za całe zło tego świata, proszę pani. Poza tym nie mamy pojęcia, co powiedział jej porywacz, w jaki sposób nią manipulował, jak i czym ją terroryzował i jak ją zranił. Tylko dorośli potrafią wyrządzić innym tyle złego. Teraz muszę popracować nad tym, co dzieje się w głowie Emmy. Nie powinniście się martwić, ani pani, ani sędzia Hunt, ale oczywiście nie zdołam was o tym przekonać.

- I chce pani porozmawiać tylko z Emmą, tak?

- Myślę, że tak będzie najlepiej. Tylko Emma i ja.

- Skoro tak pani uważa... Zadzwoni pani do mnie, prawda?

- Oczywiście. - Doktor Loo z uśmiechem odwróciła się do Emmy i poklepała ją po ramieniu. - Zobaczymy się jutro, Emmo. A dzisiaj postaraj się dużo odpoczywać i uśmiechaj się do mamy co najmniej trzy razy dziennie.

- A do mnie? - zaniepokoił się Ramsey.

- Do Ramseya co najmniej sześć razy dziennie. Odkryłam, że chłopcy potrzebują więcej uśmiechów niż dziewczynki. Pamiętaj o tym, Emmo.

Ramsey uśmiechnął się do Emmy. Było wczesne popołudnie, dwie godziny temu zakończyło się nabożeństwo za Loueya Santerę. Ramsey zabrał dziewczynkę na górę, żeby trochę się zdrzemnęła i właśnie otulił ją kocem.

- Bardzo podobały mi się te jazzowe wariacje - powiedział. - Wiesz, że pan Savich gra na gitarze i śpiewa? Tak, głównie piosenki country i westernowe. Czasami występuje w klubie. Nie jest to Carnegie Hall, ale całkiem przyjemne miejsce. I ma przyjaciela, który gra na saksofonie. Savich i Sherlock bardzo chcą, żebyśmy ich odwiedzili.

- Szkoda, że wyjechali - mruknęła Emma. - Sherlock powiedziała mi, że ma nadzieję, iż będzie miała małą dziewczynkę, taką jak ja. Pan Savich też chciałby mieć dziewczynkę. Sherlock uważa, że jestem naprawdę miłą, ale powiedziałam jej, że lepiej by było, by ich dziewczynka była zupełnie inna. Ja nie jestem już miłą i fajną...

Ramsey nie mógł oderwać oczu od twarzy dziecka, za które chętnie oddałby życie. Przed sekundą pocałował ją w czoło, pochwalił grę na pianinie, a teraz nagle coś takiego... Łagodnie odgarnął włosy z jej policzka.

- Kiedy to powiedziałam, Sherlock zrobiła się bardzo czerwona - ciągnęła Emma, nie czekając na jego odpowiedź. - Wytłumaczyła mi, że to ze złości, ale wcale nie na mnie.

- Ty miałabyś nie być miła i dobra? - przemówił w końcu Ramsey. - Ty, moja cudowna Emma? Skąd przyszedł ci do głowy taki dziwaczny pomysł?

Emma odwróciła wzrok. Zapatrzyła się w przeszłość, która nadal miała nad nią władzę, w przeszłość, która wciąż tak boleśnie uwierała.

- Tamten człowiek powiedział, że mogłabym go uratować. Nie wiedziałam, o co mu chodzi.

Ramsey poczuł nagle niepokonowaną żądzę mordy. Wziął głęboki oddech, policzył do dziesięciu i spróbował się opanować. Oto problem dla doktor Loo, pomyślał, ale doktor Loo nie było pod ręką, Emma rozmawiała z nim i jego wściekłość na pewno nie mogła jej pomóc.

- Posłuchaj mnie, Em. Ten człowiek, który cię porwał, był chory na głowę, naprawdę chory. To, co myślał i co zrobił, nie ma nic wspólnego z tobą, Emmo. On skrzywdziłby każdą małą dziewczynkę, jaka wpadłaby mu w ręce, każdą. Dla niego nie byłaś Emmą. Rozumiesz mnie?

- Nie - odpowiedziała po chwili. - Chyba nie. To okropne, Ramsey...

Nachylił się nad nią, dotykając czołem jej czoła, i pocałował ją w czubek nosa.

- Słuchaj dalej. Jesteśmy silną drużyną, wiesz? We trójkę poradzimy sobie ze wszystkim, z najokropniejszymi rzeczami, jakie przychodzą ci do głowy. Jesteś bardzo dobrą, kochaną dziewczynką, Emmo. Taką dobrą, że na myśl o tym, iż mógłbym cię nie widzieć, choćby przez jeden dzień, robi mi się duża dziura w sercu. Taka jesteś cudowna.

Uśmiechnęła się szeroko i małą ręką lekko pogłaskała go po policzku.

- Nie wyjedziesz, prawda, Ramsey? Nie wrócisz do swojego domu?

Ujął obie jej dłonie i ucałował każdy palec z osobna. Pachniały piernikiem, który Miles upiekł na deser. Ramsey nie mógł przewidzieć, co przyniesie przyszłość, czuł jednak, że nie może jej tego powiedzieć. Życie Emmy legło w gruzach, jej ojciec został zamordowany...

- Nigdy cię nie zostawię - rzekł bez wahania.

- To dobrze. - Emma ziewnęła od ucha do ucha.

- Emmo?

- Tak, Ramsey?

- Czy mogłabyś raz zachować się jak wstrętny bachor? Tylko raz, dobrze? Może kiedy się obudzisz albo wieczorem? Już wiem, mogłabyś ponarzekać, że musisz wypić mleko, skończyć kolację albo iść spać, co ty na to? Może zrobiłabyś awanturę z tupaniem i rykiem, co?

- Jasne - odrzekła z uśmiechem.

- Chcesz się teraz zdrzemnąć?

- Dobrze. - Zamknęła oczy, lecz zaraz otworzyła jedno i spojrzała na niego spod zmrużonej powieki. - Ale może wieczorem nie zechcę pójść do łóżka...

- Pyszny pomysł - oświadczył Ramsey.

Zależało mu przede wszystkim na tym, aby nie myślała o ojcu. Miał nadzieję, że uda im się w dalszym ciągu chronić ją przed dziennikarzami lokalnej prasy i telewizji oraz fotoreporterami pracującymi dla brukowców. Dziś przed południem ochroniarze Masona Lorda sprawnie pozbyli się jakiegoś reportera, przerzucając go przez mur posiadłości na drogę.

Ramsey modlił się, aby Emma nie zwracała uwagi na impertynenckie pytania, jakie zadawano jemu i Molly, kiedy tylko wychodzili za bramę.

## ***Rozdział 23***

Melissa Shaker płakała tak rozpaczliwie, że o mały włos nie potknęła się na schodach do garażu. Minęły już dwa dni, ale ona nadal nie mogła w to uwierzyć, nie chciała uwierzyć. Ta jego cholerna była żona zorganizowała jakieś pieprzone nabożeństwo żałobne. Prawdziwego pogrzebu nie było, bo z Loueya nie zostało nic, co dałoby się pogrzebać czy poddać kremacji.

Louey zginął, odszedł, po prostu odszedł na zawsze i nikt się tym nie przejmował. Nikt poza Melissą. Znowu się potknęła i chwyciła za poręcz, aby odzyskać równowagę. Kiedy weszła do podziemnego garażu, jakiś samochód zatrąbił przeraźliwie. Poczowała, jak gorący strumień spalin z rury wydechowej omiótł ją całą. Kierowca samochodu wychylił się przez okno i wrzasnął, żeby uważała.

Otarła oczy. Nic nie mogła na to poradzić. Po prostu nic. Jej ojciec przysiągł, że nie zabił Loueya, ale ona spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich poczucie winy. Nigdy mu tego nie wybaczy, nigdy.

- Panno Shaker...

Nie chciała, żeby Greg plątał się teraz gdzieś w pobliżu, chciała być sama, zupełnie sama. Miała ochotę pojechać na pustynię i pozwolić, żeby słońce spaliło ją na popiół. Nie oglądając się, dalej szła w kierunku samochodu.

- Panno Shaker, proszę poczekać! Wie pani, jak bardzo pani ojciec troszczy się o pani bezpieczeństwo, szczególnie teraz!

Zaczekała na niego, lecz zrobiła to tylko dlatego, że nie chciała, aby Greg stracił pracę. W końcu ten biedak starał się dobrze wykonywać polecenia ojca, nic więcej. Zatrzymała się przy kabrioletcie BMW, pokrytym intensywnie niebieskim lakierem. Był to dokładnie taki sam wóz, jakim w ostatnim filmie jeździł James Bond, tyle że samochód Melissy miał potężniejszy silnik. Melissa uwielbiała swoje małe BMW.

- Dziękuję - powiedział Greg, zbliżając się truchtem. - Jest mi naprawdę bardzo przykro, panno Shaker...

- Dziękuję - rzekła, wsiadając do samochodu. Greg otworzył drzwiczki z drugiej strony.

- Niech pani nie próbuje mnie zgubić, panno Shaker. Przez następny tydzień powinienem trzymać się blisko pani, to bardzo ważne.

- Odprawili za niego tylko jakieś marne nabożeństwo - powiedziała Melissa i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

Samochód eksplodował, wzbijając w górę falę płomieni.

Wiadomość podano w dzienniku lokalnego kanału telewizyjnego Las Vegas, przekazywanym za pośrednictwem satelity. Była dwunasta dwadzieścia. „Melissa Shaker, lat dwadzieścia trzy, córka Rule’a Shakera, właściciela kasyna w Las Vegas, zginęła dziś rano w wyniku wybuchu bomby, podłożonej w jej samochodzie. Tragedia wydarzyła się o dziesiątej. Wraz z panną Shaker w jej samochodzie, stojącym na podziemnym parkingu pod kasynem Sirocco, znajdował się także jej przyjaciel. Rzecznik policji nie podał na razie, czy zatrzymano jakichś podejrzanych. Dalsze szczegóły w wiadomościach o godzinie siedemnastej”.

Ramsey upuścił widelec, zrzucając na podłogę cienki plasterek szynki. Wiedział, że ktoś włączył telewizor w kuchni i zastanawiał się, dlaczego odbiornik nastawiono tak głośno, i to w dodatku na kanał nadający wiadomości z rejonu Las Vegas. Teraz już wiedział, dlaczego. Najwyraźniej ktoś czekał właśnie na tę informację.

W pokoju na chwilę zapadła całkowita cisza, potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Ramsey usłyszał, jak Eve szybko wciągnęła powietrze i coś powiedziała, nie udało mu się jednak zrozumieć, co to było. W kuchni rozległ się głośny trzask. To Miles musiał upuścić rondel.

Siedzący u szczytu stołu Mason Lord spokojnie jadł melona. Jego policzki były lekko zaróżowione, ale zachowywał się zupełnie naturalnie, jakby nic

nadzwyczajnego się nie stało. Molly przerwała w pół słowa rozmowę z Emmą i przeniosła spojrzenie na ojca.

- Oko za oko, tato? - zapytała cicho.

Mason Lord przełknął kawałek melona, odłożył widelczyk i omiół twarz córki chłodnym wzrokiem.

- Proponowałbym, żebyś powstrzymała się od takich uwag, Molly, zwłaszcza przy Emmie.

Emma, szczególnie wrażliwa na wszelkie zmiany nastroju osoby, która odgrywała najważniejszą rolę w jej życiu, pociągnęła matkę za rękaw.

- Mamo? Co się stało, mamusiu?

Ramsey zobaczył, jak Molly nadludzkim wysiłkiem woli tłumi gniew i opanowuje się dla dobra córeczki. Jej oczy zmieniły wyraz, na twarzy pojawił się lekki uśmiech, przeznaczony wyłącznie dla Emmy. Odwróciła się do córki i przytuliła ją do swego boku.

- Ta tarta Milesa ma jakiś dziwny smak, nie wydaje ci się?

Emma obrzuciła ją uważnym, bardzo dorosłym spojrzeniem.

- Nadzienie tarty to tylko bekon i świeży szpinak, mamo. Przyglądałam się, jak pan Miles ją przygotowywał. Jest świetna, wcale nie ma dziwnego smaku.

Molly wyglądała tak, jakby ktoś zdzielił ją w głowę wielkim młotem. Tym razem z trudem się pozbierała.

- Przepraszam, Em, masz całkowitą rację. Nie wiem, co mi jest, kochanie. Chyba nie czuję się zupełnie dobrze.

Molly zerknęła na Eve Lord, która siedziała po jej prawej ręce, naprzeciwko Masona. Twarz Eve była boleśnie napięta i biała jak obrus. Młoda kobieta wpatrywała się w męża jak zahipnotyzowana. Kiedy po paru sekundach nagle odwróciła się do Emmy, jej twarz była jak zwykle anielsko spokojna i gładka.



- To ja dałam Milesowi przepis na tę tartę - powiedziała. - Dostałam go od mojej matki, która świetnie gotowała. Przykro mi, że twojej mamie nie bardzo smakuje.

- Chyba już czas na kawę - odezwał się Mason. - Miles?

- Chciałbym zamienić z panem kilka słów, Mason - rzekł Ramsey, starając się panować nad głosem. - Możemy wypić kawę w salonie?

Rozległ się dzwonek telefonu. Do jadalni zajrzał Miles.

- Sędzio Hunt, dzwoni agent Savich - powiedział. - Chce z panem rozmawiać.

Ramsey rzucił serwetkę na talerz i szybko przeszedł do kuchni. Miles podał mu słuchawkę.

- Sherlock i ja jesteśmy na lotnisku O'Hare. Właśnie dowiedzieliśmy się o zamachu w Las Vegas. Po prostu nie mogę w to uwierzyć, Ramsey. Nie da się zaprzeczyć, że facet ma jaja. Chcesz, żebyśmy wrócili?

Ramsey dałby wiele, aby wrócili, zdawał sobie jednak sprawę, że nic nie mogą zrobić. Byłby potwornym egoistą, domagając się ich powrotu.

- Nie, Savich. Weź Sherlock na krótkie wakacje i postaraj się, żeby była szczęśliwa. Zadzwońcie z Paryża i powiedzcie, gdzie się zatrzymaliście, żebym w razie czego mógł wezwać kawalerię na pomoc.

- Mamy zarezerwowany pokój w jakimś małym pensjonacie na Lewym Brzegu. Sherlock chce mi go pokazać. Kiedy będziemy na miejscu, podamy ci telefon. Czy Mason coś powiedział? Widziałeś go?

- Tak. Siedzieliśmy przy stole w jadalni, kiedy podano wiadomość. Nawet nie drgnął. Wcale mu nie przeszkadzało, że w chwili, gdy wydawał polecenie zabicia tej dziewczyny, w jego domu znajdował się sędzia federalny i dwoje agentów FBI.

- Posłuchaj mnie, Ramsey, i wynoś się stamtąd jak najszybciej. Zabierz Molly i Emmę i natychmiast wymeldujcie się z tej Czerwonej Oberży. Nie

powinieneś mieszać się w porachunki gangsterów. Zresztą i tak nic nie możesz już zrobić.

- Trudno mi uwierzyć, że właśnie ty to mówisz.

- Mówię jako przyjaciel Molly i Emmy. Nie chcesz chyba pakować ich obu w coś, co powoli przeradza się w wojnę na małą skalę. Ci faceci dali już sobie po razie, więc nie czekajcie na następną rundę. Zabierajcie się stamtąd, i to już.

- Oczywiście masz rację - powiedział powoli Ramsey, z zastanowieniem pocierając czoło. - Mam wrażenie, że powinienem zadać parę pytań Masonowi i założyć kajdanki Guntherowi. Ale masz rację, najważniejsze jest bezpieczeństwo Molly i Emmy. Zadzwoń do ciebie za jakieś dwa dni, żebyś wiedział, co się z nami dzieje.

Rozmawiali jeszcze parę chwil, potem Ramsey odłożył słuchawkę na widelki starego aparatu z ebonitu, który Miles specjalnie wybrał do swojej kuchni. Potem powoli odwrócił się do Milesa, który stał przy blacie, drobnutko siekając seler naciowy. Miseczka po prawej stronie pełna była pokrojonego w kostkę jabłka w czerwonej skórce, w drugiej znajdowały się połówki zielonych winogron.

- Robię sałatkę Waldorf - oświadczył Miles.

- Wiedziałeś, że to się stanie, Miles?

- Dobrze wiesz, że nie mogę nic powiedzieć, Ramsey. Powinniście stąd wyjechać, to najlepsza rada, jaką mogę ci dać. Zabierz Molly i Emmę. Skoro za całą sprawą od początku stał ten Shaker, teraz, po śmierci Loueya, jesteście bezpieczni. Po prostu wyjedźcie, i tyle.

- Nic nam nie grozi, jeżeli Shaker nie planuje teraz zemsty i nie dojdzie do eskalacji zbrodni. Jeśli się zdecyduje na to, będziemy bezradni.

Miles potrząsnął głową, nie przestając siekać selera sprawnymi szybkimi ruchami.

- To nie tak - powiedział. - Tamta sprawa jest naprawdę zakończona. Padło po jednym graczu z każdej drużyny, i to już koniec. Porachunki zostały wyrównane, takie są zasady. Nikt nie ośmieliłby się ich złamać.

Ramsey z całej siły uderzył zaciśniętą pięścią o blat, nie mogąc zapanować nad gniewem.

- To wszystko jest chore i ty doskonale o tym wiesz! - wybuchnął. Miles wzruszył ramionami.

- Nikt nie będzie opłakiwał Loueya Santery ani córki tego Rule'a Shakera. Daj sobie spokój, Ramsey. Zabierz tylko Molly i Emmę.

Ramsey wyszedł z kuchni, mocno zaciskając zęby. Kiedy znalazł się w jadalni, spojrzał tylko na Molly.

- Mogłabyś pójść ze mną na górę? - zapytał.

- Oczywiście.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że Emma siedzi bez ruchu, z kawałkiem tarty na uniesionym widelcu, i wpatruje się w nich oboje z przestraszonym wyrazem twarzy. Natychmiast się uspokoił.

- Zrobisz coś dla mnie, Em?

Widział, że ma ochotę zadać mu parę pytań i znacząco pokręcił głową.

- Pójdiesz na chwilę na górę z mamą i ze mną?

Pięć minut później, kiedy usadzili Emmę w jej pokoju z książeczką o zwierzętach w rękę, przy czym naturalnie wszyscy troje, włącznie z Emmą, doskonale wiedzieli, że jest to najzwyczajniejszy w świecie wybieg, Molly i Ramsey stanęli naprzeciwko siebie w drugiej sypialni.

- Nie widzę żadnego powodu, aby przedłużać swój pobyt w tym domu - powiedział krótko i bez wstępów. - A ty?

- Ja także nie - odparła, zdejmując srebrny pierścionek z różowego palca i wkładając go z powrotem. - Mój ojciec jest potworem, Ramsey. Właśnie wysadził w powietrze dwudziestotrzyletnią kobietę.

- Gra w takiej lidze, Molly, nic na to nie poradzimy. Lada chwila przed bramą zaroi się od dziennikarzy, a może już tam są. Lećmy dzisiaj do Denver, do twojego domu. Spakujesz trochę rzeczy dla siebie i dla Emmy na wyjazd do Irlandii, a potem polecimy do San Francisco, w porządku?

- Bardzo chciałabym pojechać do Irlandii - powiedziała raczej do siebie niż do niego. - Jest tam naprawdę pięknie, widziałam zdjęcia... - Nagle jej oczy zaślniły. - Mogłabym znowu zacząć pracować... Wystarczy, że zabiorę aparat fotograficzny...

Ramsey uświadomił sobie, że dla Molly ten krok oznacza początek nowego życia, podobnie jak dla niego.

- Zabierzesz wszystko, co będzie ci potrzebne. Zrobisz Emmie zdjęcie? Specjalnie dla mnie?

- Tak, bardzo chętnie. Nie boisz się, że dziennikarze pojedą za nami?

- Wątpię, czy jesteśmy wystarczająco interesujący - odparł z uśmiechem.

- Wiesz, że to nieprawda.

- W porządku, masz rację, ale spróbujemy ich przechytryć.

- Wyjeżdżacie? - zapytał Mason bez szczególnego żalu czy zaskoczenia w głosie. - Miles powiedział mi, że zamówiliście taksówkę. - Uśmiechnął się lekko. - Potrafię zrozumieć, dlaczego nie chcecie skorzystać z jednego z moich samochodów...

Był to żart, lecz Ramsey miał nadzieję, że Emma go nie zrozumie. W swojej karierze miał już do czynienia z ludźmi takimi jak Mason Lord, dla których skazanie kogoś na śmierć było po prostu następnym przesunięciem pionka na szachownicy.

- Tak - powiedział. - Wyjeżdżamy. Molly jest gotowa wrócić do Denver.

Nie zamierzał zwierzać się Masonowi, dokąd naprawdę się wybierają.

- Eve chciała popływać na jeziorze Michigan, ale odwiodłem ją od tego pomysłu. Wiedziałem, że jeśli opuszczę dom, natychmiast wyjedziecie.

- Więc został pan, ale my i tak wyjeżdżamy. To wszystko nie ma znaczenia, Mason. Dziękuję za pańską gościnność.

Eve Lord wyszła z salonu i stanęła za plecami męża. Powiedziała, że zjawił się detektyw O'Connor. Ramsey zaklął pod nosem. Powinien był to przewidzieć, ale po prostu nie pomyślał. Skoncentrował się na planowaniu wyjazdu. Odwrócił się do Molly.

- Bądź z Emmą w pobliżu - powiedział. - Chcę porozmawiać z O'Connorem.

Spotkał detektywa na progu salonu.

- Właśnie wyjeżdżam. Pani Santera i Emma jadą ze mną.

Detektyw O'Connor wyglądał, jakby w nocy ktoś podmienił skórę jego twarzy na inną. Pod oczami miał ciemne worki, szczęki wydawały się dziwnie obwisłe.

- Nie dziwię się panu, Ramsey. Nie będę wam przeszkadzał, chciałbym tylko zapytać, czy wie pan coś o tej nowej sprawie?

- Dowiedziałem się o tym z telewizji. Wszyscy jedliśmy lunch i przypominam sobie, że zacząłem się zastanawiać, po jakiego grzyba ktoś nastawił telewizor w kuchni na lokalną stację telewizyjną w Las Vegas, i to na cały regulator. Zaraz potem wszystko stało się jasne. Oczywiście obaj zdajemy sobie sprawę, że to Mason Lord zaaranżował zabójstwo. Powiedziano mi, że teraz rachunki zostały wyrównane i nie będzie więcej aktów przemocy.

Detektyw O'Connor gwizdnął przez zęby.

- Czuję się jak mucha, która lata w kółko i nie ma na czym wylądować. Nie podejrzewam, aby Mason Lord otwarcie przyznał się panu do tego czynu, prawda?

- Nie, nie powiedział ani słowa, miał jednak w oczach błysk satysfakcji, którego nie potrafił ukryć. Nie mam cienia wątpliwości, że to jego sprawka. W ogóle to miejsce wydaje się istnieć w innym wymiarze rzeczywistości.

- Gliniarze z Las Vegas twierdzą, że na miejscu przestępstwa nie ma żadnych śladów. Wszystko zostało precyzyjnie zaplanowane, zostały tylko dwa trupy.

- Będzie pan sprawdzał, czy któryś z ludzi Lorda nie zrobił sobie krótkiej wycieczki do Vegas? - zapytał Ramsey.

- Tak, chociaż szczerze mówiąc, nie ma to najmniejszego znaczenia. Mason Lord jest zresztą zbyt sprytny, aby naprowadzać nas na swój trop w tak oczywisty sposób. Ci faceci działają na innych zasadach. Tak czy inaczej, muszę przeprowadzić rozmowy ze wszystkimi, także z samym Lordem. Kto wie, może przyjadą tu również ludzie z wydziału zabójstw z Las Vegas?

- Nadal nie jestem w stanie przyjąć do wiadomości tego, co Miles powiedział mi o zasadach, obowiązujących w świecie Masona Lorda i Rule'a Shakera. - Ramsey westchnął. - Nie wyobrażam sobie, jak Rule Shaker, który właśnie stracił córkę, może teraz uznać, że on i Lord są kwita...

- Kiedy Rule Shaker kazał podłożyć ładunek wybuchowy w samochodzie, do którego na szczęście nie wsiedliście, na pewno zdawał sobie sprawę, że ryzykuje życie własnego dziecka - zauważył policjant. - Nie jest to portret idealnego ojca, prawda? Ale ci faceci nie są tacy jak pan czy ja, Ramsey. Czegóż im brak, może jest to jakaś wada genetyczna, sam nie wiem. Zawsze należy jednak pamiętać, że z pewnością nie są głupi i mało bystrzy, co to, to, nie. Może Shaker sądził, że Lord spróbuje zabić jego, lecz stało się inaczej.

- Załóżmy, że nie spodziewał się, iż Mason Lord posunie się tak daleko. Załóżmy, że teraz wcale nie dojdzie do wniosku, iż są kwita. Co będzie dalej?

- Nie powinien pan się nad tym zastanawiać. Dla was trojga ta sprawa już się zakończyła. Rule Shaker nie popełni kolejnego błędu, bo zwyczajnie nie może sobie na to pozwolić. Ma za dużo do stracenia. Niech pan odeśle dziewczynkę i jej matkę do domu. Policja w Denver zajmie się nimi. Proszę zostawić nam ostateczne załatwienie tego wszystkiego. Zawiadomimy pana, jeżeli wpadniemy na jakiś trop.

## ***Rozdział 24***

O szóstej trzydzięci wieczorem przed domem Molly na Shrayder Drive zatrzymała się taksówka. Dom był mały i śliczny, z białymi framugami okien i pomalowanymi na pastelowy błękit skrzynkami na kwiaty oraz parapetami. Za płotem rosły kwitnące krzewy, na ganku stało kilka kwiatów w doniczkach.

Dom znajdował się naprzeciwko parku, z którego porwano Emmę w chwili, gdy Molly robiła zdjęcia. Przed każdym domem na tej uliczce rosły drzewa i krzewy, lecz nigdzie nie było tak pięknych kwiatów.

Emma zachowywała się jak milczący duszek. Mocno przyciskała elektryczne pianino do piersi i patrzyła prosto przed siebie. Ramseyowi przyszło do głowy, że być może mała nie chce w żaden sposób zwracać na siebie uwagi, uważając, iż takie wtopienie się w tło uchroni ją przed niebezpieczeństwem.

Mógł raz jeszcze powiedzieć, że nic jej nie grozi, lecz nie byłaby to zupełna prawda, i Emma także o tym wiedziała. Człowiek, który ją porwał, nadal przebywał na wolności. Możliwe, że ukrywał się gdzieś daleko, ale Emma uważała, że czai się w pobliżu, gotów znowu ją porwać, kiedy tylko nadarzy się okazja. I niewykluczone, że miała rację.

Ramsey spojrział w stronę parku. Były tam dolinki i wzgórki, kwietniki i krzewy, kępy jesionów oraz sosen. Zastanawiał się, gdzie tamtego dnia ukrył się porywacz, zanim udało mu się zbliżyć do Emmy. Zauważył, że Molly patrzy w kierunku małego zagajnika w zachodnim rogu parku. A więc tam.

Jej twarz była napięta, blada i mizerna, nawet wspaniałe rude włosy sprawiały wrażenie matowych i martwych, ściągnięte do tyłu i spięte bladozieloną spinką, pasującą kolorem do jedwabnej bluzki. Ramsey pomyślał, że gdyby Molly miała swoje własne elektryczne pianino, przyciskałaby je teraz do piersi dokładnie takim samym gestem jak Emma.

- Jesteśmy w domu, Emmo - odezwała się bardzo cicho, nie chcąc przestraszyć córeczki. - Pamiętaj, że mamy tylko spakować rzeczy i zaraz jedziemy z Ramseyem do San Francisco, dobrze?

- A potem Ramsey pojedzie z nami do Irlandii, tak? - zapytała Emma, trzymając się bardzo blisko matki i Ramseya.

Molly zastanawiała się, jak przebiegła ostatnia rozmowa Emmy z doktor Loo. Postanowiła, że następnego dnia rano zadzwoni do lekarki.

- Tak - odparła. - Ramsey chce wrócić do Irlandii i naprawdę bardzo mu zależy, żebyśmy pojechały tam razem z nim. Błagał, żebyśmy się zgodziły, Em. Jestem miłą osobą, więc w końcu ustąpiłam.

- Naprawdę błagałeś, Ramsey? - zaciekawiła się Emma.

- Potrafię błagać najlepiej na świecie - rzekł i przykucnął przed dziewczynką. - Doszedłem do wniosku, że nie chcę stracić was z oczu, że jeśli nie będę cię codziennie widywał, to chyba serce mi pęknie. Nie masz nic przeciwko temu, żebym do jutra został tu z wami?

- Możesz z nami zostać - powiedziała. - Myślę, że to dobry pomysł. - Przeszła przez otwartą furtkę i pomaszerowała w kierunku domu, tuląc pianino. - Doktor Loo pokazała mi Irlandię na mapie w atlasie - rzuciła przez ramię. - Podobno jest tam tak zielono, że trzeba myć zęby co najmniej dwa razy dziennie, żeby także nie zzieleniały.

- Czy to był żart, Emmo?

Ku jego wielkiej uldze i radości uśmiechnęła się szeroko, z wyraźną satysfakcją.

- To tamten park, prawda? - zwrócił się cicho do Molly.

- Tak. Kiedyś bardzo kochałam ten dom. Mieszkaliśmy z Loueyem w zachodniej części Denver, w eleganckiej i modnej dzielnicy. Po rozwodzie sprzedałam tamten dom i kupiłam ten. Sęk w tym, że już go nie lubię. Widzę, że na widok tego miejsca Emma zeszywniała ze strachu. Ja też się boję...



- Spokojnie - powiedział, świadomy, że żadne słowa nie uspokoją Molly.  
- Możemy po prostu wejść do środka i spakować rzeczy twoje i Emmy, wcale nie musimy zostawać tu na noc.

- Nie musimy - zgodziła się.

- Możesz go sprzedać, Molly. Nie ma żadnego powodu, dlaczego nie miałabyś tego zrobić i przeprowadzić się do innego miasta, na przykład do San Francisco.

Ostatnie zdanie samo wyfrunęło mu z ust. Utkwił wzrok w pięknym krzaku róży za plecami Molly.

- Nie miałem na myśli, że... - zaczął.

- Nie, oczywiście że nie - powiedziała, znowu chłodna i opanowana. -  
Mężczyźni rzadko mają to na myśli.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. Przepraszam, mam za sobą długi dzień. Spędziłam w Denver kilka lat z Loueyem. Już idziemy, Emmo!

Emma stała cierpliwie na schodach, czekając, aż matka znajdzie klucz. W końcu Molly przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi.

- Wszystko wygląda tak porządnie, bo wynajęłam ogrodnika - wyjaśniła. -  
Jedna z moich sąsiadek miała zaglądać do domu i podlewać kwiatki, ale na pewno meble są mocno zakurzone i...

Molly przerwała. Poczuli ohydny odór, ledwo weszli do niewielkiego holu.

- Mamo, niedobrze mi - powiedziała Emma, cofając się do wyjścia. -  
Cuchnie tu tak samo jak w domu Ramseya, pamiętasz?

Ramsey chwycił Emmę, nim zdążyła wybiec na zewnątrz.

- Trzymaj się za mną, Em. Twoja mama i ja sprawdzimy tylko, co się dzieje. Idź za mną, kochanie.

- Och, nie! - jęknęła Molly.

Jej kolorowy i przytulny salon, połączony kształtnym, zwieńczonym łukiem przejściem z jadalnią, pełen jedwabnych poduszek, pięknie oprawionych akwarel i fotografii oraz pociągniętych jasnymi, wesołymi farbami starych mebli był zupełnie zdewastowany. Nawet pnące rośliny wyrwano z doniczek i rzucono na drewnianą podłogę.

- Spakujemy te rzeczy, które nadają się do noszenia, zabierzemy wasze paszporty, jeśli są całe, i wynosimy się stąd - powiedział Ramsey energicznym tonem. - Na policję zadzwonimy już z hotelu.

- Muszę też zadzwonić do sąsiadów i do firmy, która zajmuje się sprzątaniami. Kto to zrobił i dlaczego? Czy to wszystko kiedykolwiek się skończy?

- Skończy się. Już się skończyło. Wasz dom został zniszczony wiele dni temu.

Półtorej godziny później policjanci weszli do składającego się z dwóch sypialni apartamentu na dziewiątym piętrze hotelu Brown Palace. Pokoje były duże i wygodne, ale zdecydowanie przegrzane. Ramsey otworzył wszystkie okna i kazał obsłudze włączyć klimatyzację. Emma siedziała na kanapie, oglądając film rysunkowy w telewizji.

Ramsey, Molly oraz detektyw Mecklin z wydziału kryminalnego w Denver zajęli miejsca przy okrągłym stole w drugim końcu salonu. Parę minut temu kelner przyniósł dzbanek świeżej kawy, filiżanki i talerz z ciasteczkami.

Detektyw Mecklin powoli przeżuwał herbatnik z płatkami owsianymi, stanowiący specjalność kuchni Brown Palace.

- Mówiłam już, że moja sąsiadka regularnie zaglądała do domu, aby podlać kwiatki - powiedziała Molly. - Trzy dni temu wszystko było w porządku. Jeden z waszych ludzi teraz z nią rozmawia, prawda?

- Tak - odparł Mecklin. - Wątpię jednak, czy coś widziała, bo już by do mnie zadzwonili. Temu, kto to zrobił, na pewno nie brakowało bezczelności. Przestaliśmy pilnować pani domu pięć dni temu.

Rozległ się dzwonek hotelowego domofonu i po chwili do salonu wszedł towarzyszący Mecklinowi młody policjant, prowadząc specjalnego agenta FBI Anchora, ubranego w ciemny garnitur i białą koszulę z wąskim, ciemnym krawatem.

Molly z trudem stłumiła jęk. Mecklin był do zniesienia, ale agent Anchor?!

- Witam, pani Santera. Nadal się zastanawiam, czy nie powinienem pani aresztować.

- To miło z pana strony - rzuciła Molly, czując, jak jej napięcie ustępuje miejsca złości.

Była wściekła i wcale nie czuła się z tym źle. Wyprostowała się i obdarzyła Anchora chłodnym uśmiechem. Nagle przypomniała sobie, że tak samo zachowuje się jej ojciec. Od pierwszej chwili miała ochotę zgasić tego aroganckiego, zarozumiałego faceta, który zjawił się w jej domu wkrótce po porwaniu Emmy. - Czy już zdecydował się pan, pod jakim zarzutem? Może za to, że sama znalazłam moją córeczkę? Albo że udało mi się uciec przed płatnymi zabójcami? A może oskarży mnie pan, że nie oddałam dziecka w pańskie niekompetentne ręce? Nie, skądże znowu! Już wiem - aresztuje mnie pan za to, że wykonałam pańską robotę!

Trafiła w czuły punkt. Anchor zaczerwienił się, zacisnął pięści. Wyglądał tak, jakby lada chwila miał wybuchnąć. Molly uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Mam jeszcze lepszy pomysł! - dorzuciła. - Może zastanowi się pan, czy nie aresztować mnie za to, że zdewastowałam własny dom?

Agent Anchor zdołał się opanować, zdobył się nawet na nieco sztywny uśmiech. Zaskoczony Ramsey pomyślał, że może z czasem Anchor przestanie być takim potwornym bucem.

- Pani żartobliwy stosunek do sprawy nie jest chyba najwłaściwszy - oświadczył. Spojrzał na Ramseya i podniósł ciemne brwi. - Pana twarz jest mi znana - rzekł, nie doczekawszy się odpowiedzi na nieme pytanie.

- Nic dziwnego - włączył się detektyw Mecklin, przelitykając kęs następnego herbatnika z płatkami owsianymi. = To sędzia Ramsey Hunt, ten, o którym bez przerwy gadają ludzie z San Francisco i Chicago.

Agent Anchor zeszywniał. Był przyzwyczajony do całkowitej uległości ze strony świadków i osób przesłuchiowanych, tymczasem Molly Santera i ten Hunt traktowali go jak tępego gliniarza z dowcipów.

- Co pan tutaj robi? - zapytał. Ramsey się uśmiechnął.

- Widzi pan, agencie Anchor, mój dom w San Francisco został potraktowany w identyczny sposób jak dom pani Santera, przyszło nam więc do głowy, że może te dwie sprawy coś łączy. Jak pan myśli? Rule Shaker jest chyba bardzo drobiazgowym człowiekiem, prawda?

- Nie podoba mi się pańskie poczucie humoru - burknął Anchor. - Znam wszystkie okoliczności sprawy. Niezależnie od wszystkiego, pani Santera nie powinna była sama wyruszać na poszukiwanie córki i odmawiać powrotu do Denver po jej odnalezieniu. Dołożyła wszelkich starań, żeby utrudnić mi prowadzenie dochodzenia. - Obrzucił Molly spojrzeniem pełnym nieskrywanej antypatii. - Nie powinna była też obrażać mnie, kiedy się tu zjawilem. Niczym sobie na to nie zasłużyłem. Gdyby posłuchała mojej rady, być może jej mąż nadal by żył. Ale cóż, dzięki tym wszystkim zabiegom zdobyła względy żywego sędziego, prawda?

Molly zerknęła na Emmę, która nie spuszczała wzroku z ekranu telewizora. Potem podniosła się i kopnęła agenta Anchora w kostkę. Anchor jęknął z bólu, chwycił się za nogę, a następnie wyprostował się bardzo powoli i z godnością.

- Aresztuję panią za obrazę agenta federalnego - powiedział, kiedy był już w stanie wydobyć głos z gardła.

- Nic z tego nie będzie - oświadczył Ramsey. - Szczerze mówiąc, Molly zrobiła to, na co sam miałem wielką ochotę. Niech pan przestanie robić z siebie durnia, agencie. - Wziął Anchora pod rękę i zbliżył usta do jego ucha. - Wydaje

mi się, że popełnia pan spory błąd - rzekł cicho. - Proszę posłuchać, Molly Santera nie jest swoim ojcem. Niech pan spróbuje to zapamiętać. A teraz, jeżeli zacznie pan zachowywać się jak normalny człowiek, usiądziemy i postaramy się pomóc sobie nawzajem. Jeżeli ta uczciwa propozycja się panu nie podoba, zadzwonię do pańskiego szefa oraz agentów Savicha i Sherlock, i porozmawiamy wszyscy razem, ale już w trochę innym tonie. Decyzja należy do pana, agencie Anchor.

Agent Anchor nie był zadowolony. Na domiar złego wszystko wskazywało na to, że sprawa zabójstwa tego farmera z Loveland nigdy nie zostanie oficjalnie rozwiązana. Dotąd nie udało się też znaleźć zbrodźcy, który porwał i molestował dziewczynkę, a wszystkie te niepowodzenia zaczęły się z chwilą, kiedy Molly Santera opuściła Denver i zaczęła szukać córki na własną rękę.

Ramsey Hunt bardzo się co do niej mylił - była dokładnie taka sama jak jej ojciec, Anchor zrozumiał to w chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. To przez nią zaważył sprawę, a teraz ten cholerny sędzia bierze jej stronę. I w dodatku zna Savicha...

Detektyw Mecklin podniósł się zza stołu, strzepując okruszki ciasteczek z szerokiego czerwonego krawata i niedopinającej się na brzuchu białej koszuli.

- Słuchajcie, ta sprzeczka nie prowadzi do niczego dobrego - zauważył. - Agencie Anchor, proszę usiąść, oczywiście jeżeli sędzia Hunt nie ma nic przeciwko temu...

- Jest tutaj moja córka - odezwała się Molly. - Dzieci słyszą. i zapamiętują większość rzeczy, które mówią dorośli. Myślę, że powiedzieliśmy sobie wystarczająco dużo.

Agent Anchor spojrzał na Emmę, która żuła gumę, zdecydowanie za szybko. Miał dwoje dzieci i dobrze wiedział, kiedy uważnie słuchają tego, czego nie powinny nigdy usłyszeć. I jeszcze ten przeklęty sędzia...

- Słusznie - rzekł agent Anchor i usiadł. W pokoju zapadła martwa cisza. Przerwał ją detektyw Mecklin, sięgając po kolejne ciasteczko i wbijając w nie zęby.

- Jeżeli wszystkie te wydarzenia są ze sobą powiązane, wydaje się oczywiste, że stoi za nimi osoba posiadająca władzę i pieniądze - powiedział. - Czyli to, czego nie brakuje Rule'owi Shakerowi.

- Ale dlaczego zniszczyli mój dom? - zapytała Molly. - Dla zabawy?

- Załóżmy, że miało to miejsce dwa lub trzy dni temu - rzekł detektyw Mecklin. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zginął pani były mąż. Może jest to fragment tej samej układanki. Podobno Shaker szykował zamach na panią i pani córeczkę, aby zmusić Loueya Santerę do posłuszeństwa.

- I wszystko to dla pieniędzy? Czy po to, żeby wziąć Loueya na smycz? To przecież kompletne szaleństwo!

Agent Anchor nalał sobie kawy, przełknął łyk i uzupełnił zawartość filiżanki śmietanką.

- Ludzie tacy jak Shaker nigdy nie pozwolą, żeby ktoś wydmuchał ich na milion dolców. Muszą pilnować swojej reputacji, której podstawą jest, jak wiadomo, paniczny strach przed nimi. Poza tym nie ulega wątpliwości, że Shaker ma dość pieniędzy, aby wynająć najlepszych zawodowców.

- Jasne, że Shaker to zrobił - przytaknął Mecklin. - Możecie mi wierzyć, jest już po wszystkim.

- Najprawdopodobniej ma pan rację - powiedział Ramsey. - Nie ma innego wyjaśnienia tej sprawy, chyba że panu przychodzi coś do głowy, agencie Anchor?

Agent Anchor potrząsnął głową.

- Nie. Intuicja podpowiada mi właściwe rozwiązanie. Czy Savich odkrył coś interesującego na tym swoim cholernym laptopie?

- Na razie nic konkretnego - odparł Ramsey. Anchor pokręcił głową. Resztkę włosów miał obcięte na bardzo króciutkiego jeża, poza tym był prawie zupełnie łysy.

- Pamiętam, jak kiedyś byłem w Waszyngtonie, na jakimś zebraniu, na które przyszedł również Savich. Osoba protokołująca porządek spotkania zapytała go, jakiej płci jest teraz jego laptop. Nikt się nie roześmiał.

Ramseyowi nie podobało się, że ktoś taki jak Anchor na jego oczach zaczyna demonstrować cechy ludzkie, gdy tymczasem on, Ramsey, zdążył już zdecydować, że Anchor raczej nigdy nie będzie normalnym człowiekiem. Cóż, może facetowi znowu się pogorszy.

Zobaczył, że Emma śpi, zwinięta w kłębuszek na kanapie, z pianinem przyciśniętym do boku. Jedna nogawka jej dżinsów podwinęła się i Ramsey widział brzeg różowej skarpetki, wystającej znad tenisówki Nike. Pomyślał, że zdążył już przywyknąć do silnego wzruszenia, jakim zawsze reagował na widok dziewczynki. Przełknął ślinę. Zauważył, że druga skarpetka jest biała, nie różowa. Nie da się ukryć, że dla nich wszystkich był to ciężki dzień. Wstał, nie spuszczając wzroku z Emmy.

- Widzę, że ta rozmowa donikąd nie prowadzi - powiedział. - Chyba nie powinniśmy byli do was dzwonić. To tylko strata czasu, dla was i dla nas.

- Nie - odparł detektyw Mecklin, również podnosząc się z fotela. - To po prostu część dochodzenia. Może uda nam się znaleźć jakiś ślad w domu. Wcześniej czy później na pewno dopadniemy tego drania, który skrzywdził Emmę. FBI bardzo zależy, żeby go znaleźć. Hej, agencie Anchor, może moglibyście przyskrzynić go za oszustwa podatkowe, co?

## ***Rozdział 25***

W San Francisco był pogodny, piękny dzień. Gałęziami drzew poruszał lekki wiatr, temperatura nie przekraczała dwudziestu paru stopni. Ramsey

głęboko odetchnął świeżym powietrzem i uśmiechnął się. Stał przy uchylonym oknie w swoim gabinecie i patrzył na widoczny w oddali most Golden Gate. Uwielbiał Sea Cliff, dzielnicę, którą wiele osób uważało za najpiękniejszą część miasta.

Jego dom znajdował się w pierwszym szeregu budynków, stojących na krawędzi klifu w północno-zachodnim zakątku dzielnicy. Z lewej strony widać było bezustannie przelewającą się wielką masę oceanu, z prawej wejścia do zatoki strzegł most Golden Gate, łączący miasto ze wznoszącymi się po przeciwnej stronie wzgórzami. O tej porze roku skaliste pagórki były jeszcze miejscami pokryte zielenią, lecz Ramsey wiedział, że wkrótce staną się zupełnie brązowe i pozbawione życia. Podnosząca się popołudniami mgła zawsze kłębiła się wokół Manne Headlands, tworząc idealną scenerię dla klasycznego horroru.

Jego dom został dokładnie sfotografowany, sprzątnięty i uporządkowany, a policja zebrała wszystkie odciski palców. Ramsey rozmawiał ze swoją sekretarką i dwójką asystentów, którzy dla niego pracowali, i cała trójka na ochotnika zgłosiła chęć dopilnowania prac remontowych w zniszczonym domu.

Uzgodnił z nimi kolorystykę wnętrza, rodzaj i styl mebli oraz budżet. Przekroczyli limit wydatków, lecz ponieważ z wielkim staraniem wybrali naprawdę piękne tkaniny i meble, nie miał zamiaru się tym przejmować. Zastanawiał się teraz, co jeszcze zamówili. Ciekawie było zobaczyć samego siebie oczyma innych ludzi. Gabinet był teraz surowy, poważny i bardziej męski, pełen skóry i bogatych kolorów ziemi. Jego współpracownicy wydali majątek na skórzaną kanapę i krzesła oraz olbrzymie mahoniowe biurko, lecz Ramsey w pełni aprobował ich wybór. Ściany były nadal nagie. Najwyraźniej obawiali się, że nie utrafią w jego gust i dobrze się stało, bo Ramsey uwielbiał wybierać dobre obrazy.

Biorąc pod uwagę, że dom zniszczono niecały miesiąc temu, musiał przyznać, iż dokonali cudów.

- Ramsey?



- Tak, Emmo?

- Podoba mi się twój dom. Przyjemnie jest mieszkać w pobliżu wody.

Uśmiechnął się, schylił i wziął Emmę na ręce. Usiadł z nią w wielkim skórzanym fotelu i oparł stopy na grzesznie miękkim skórzanym pufie, czymś, czego nigdy dotąd nie miał.

- Powyglądajmy trochę razem, dobrze? - zaproponował. - Pozwólmy, aby nasze dusze nawiązały bliski kontakt z przyrodą. Zaraz, a gdzie twoje pianino?

- Na górze, bo nie jest teraz dla mnie ważne - powiedziała z bardzo dorosłym westchnieniem. - Martwię się o mamę.

Upiera się, że nic jej nie jest, ale chyba nie czuje się zbyt dobrze.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Po prostu wiem, że jest chora. Posłała mnie na dół, żebyś się mną zajął i nie przychodził na górę. Poradzisz coś na to, Ramsey?

- O cholera... Przykro mi, Emmo. Więc jak, zostaniesz tutaj i nawiązesz kontakt z przyrodą w moim zastępstwie?

- Dobrze, ale tylko na chwilę. Mama miała zupełnie zieloną buzię, wiesz?

- Zajmę się nią. Nie ruszaj się stąd, dobrze?

- Przecież wiesz, że sama nigdzie nie wyjdę.

- Grzeczna dziewczynka. - Pocałował ją w czoło i pobiegł na górę.

Już z podestu na półpiętrze usłyszał, że Molly wymiotuje. Na piętrze były trzy pokoje - jego sypialnia, gabinet oraz pokój gościnny, w którym spały Molly i Emma. Molly tkwiła w łazience obok swojego pokoju. Ramsey lekko popchnął uchylone drzwi.

Kłęczała na podłodze, z głową nad miską klozetową, i rzygała jak chory kot. Nie powiedział ani słowa, położył tylko ręce na jej ramionach i zaczął je łagodnie masować, potem zaś przykucnął i odgarnął włosy z jej czoła. Oparła się o niego całym ciężarem ciała.

- Lepiej?

Jęknęła żałośnie.

- Nie chcę rozmawiać. Chcę umrzeć.

Ramsey spuścił wodę.

- Zaczekaj, przyniosę ci wody do wypłukania ust.

Znowu jęknęła.

- Nie chciałam, żebyś tu przychodził. Idiotka ze mnie, powinnam była domyślić się, że Emma natychmiast cię tu przyśle. To takie upokarzające...

Podał jej szklankę z wodą. Spojrzała na nią niechętnie i powoli wstała z podłogi.

- Umyję zęby.

- Dam ci tabletki przeciwwrzodowe, dobrze? Tak, Emma bardzo się o ciebie martwiła. I cieszę się, że miała dość zdrowego rozsądku, aby mi o tym powiedzieć. Na pewno więcej niż jej matka...

- Idź sobie! - mruknęła Molly, wypychając go za drzwi.

Słyszał, jak płucze usta i szoruje zęby. Pięć minut później zaprowadził ją do łóżka. Z okien pokoju gościnnego nie roztaczał się szczególnie imponujący widok, ale z jednego można było dostrzec Golden Gate.

- Dobrze, że umierając, będę mogła patrzeć na coś pięknego...

- O nie, ostatnią rzeczą, jaką zobaczysz, będzie moja paskudna gęba. To powinno wystarczyć, żeby odechciało ci się umierać.

- Musiałam zjeść coś nieświeżego w samolocie.

Jadła makaron z sosem z małży. Ramsey i Emma wybrali kurczaka.

- Możliwe. Ale niewykluczone też, że to stres. - Delikatnie pogładził jej policzek. Skórę miała wilgotną od potu i zimną.

Ramsey zmarszczył brwi.

- Zadzwoń do mojego lekarza. Zobaczymy, co powie.

- Nie wybieram się do żadnego lekarza, nawet o tym nie myśl. Mój żołądek jest teraz zupełnie pusty, więc powinnam poczuć się lepiej.

- Zobaczymy - powiedział tym samym dorosłym tonem, którego Molly używała w rozmowie z Emmą, kiedy chciała uniknąć dyskusji.

Przyniósł jej dwie tabletki i szklanę wody.

- Połknij.

Nawet nie zapytała, co to za lekarstwo. Przełknęła tabletki i z westchnieniem oparła się o poduszki.

- Jak twoje ramię? - zapytał.

- W porządku. A twoje plecy?

Uśmiechnął się.

- Doskonale. Widzisz jeszcze szwy, które założył ci lekarz?

- Tylko kilka, bo już się rozpuszczają. Jak noga?

- Już dawno się zagoiła. Pozwolisz, że obejrzę ramię?

Cierpliwie czekała, aż podwinie rękaw jej kremowej bluzki i odchyli bandaż. Skóra wokół rany miała zdrowy, różowy odcień, na którego tle ciemne szwy wyglądały wyjątkowo paskudnie. Rana goiła się zupełnie normalnie. Poprawił opatrunek i spiął bandaż.

- Na pewno nie wymiotujesz z powodu rany.

- Gdzie Emma?

- Siedzi w wielkim skórzanym fotelu i wygląda przez francuskie okno na zatokę i Golden Gate. Zejdę i sprawdzę, czy wszystko u niej w porządku, dobrze?

Po paru minutach wrócił na górę razem z Emmą.

- Zobacz, kogo znalazłem z małym noskiem przylepionym do szyby.

- Moją śliczną małą księżniczkę?

- Nie, moją śliczną małą księżniczkę, ale może się nią z tobą podzielić. Sama widzisz, Emmo - mama czuje się już lepiej.

- Mogę z nią zostać, Ramsey? Spróbuję trochę ją rozśmieszyć. Mama mówi, że śmiech dobrze robi nawet chorym.

- Dobrze. Gdyby znowu poczuła mdłości, tylko zawołaj, a ja zaraz przyślę tu kogoś, kto powtyka w nią mnóstwo igieł.

- Blee... - powiedziała Emma.

Trzy godziny później Molly ziała kawałek grzanki i popijała gorącą herbatą Earl Grey, oczywiście bez cukru. Nadal wyglądała blado, ale od godziny nie czuła mdłości. Mimo to Ramsey był gotów w każdej chwili zadzwonić do Jima Havershama, internisty pracującego w szpitalu San Francisco General.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy jutro mogli wyjechać - rzekł o dziewiątej wieczorem.

Emma i Molly leżały na łóżku w pokoju gościnnym, od czasu do czasu zerkając na ekran nowiutkiego telewizora, który Ramsey przyciszył, aby Molly nie poczuła się zmęczona. Panującą w domu ciszę rozdarł głośny dzwonek.

- To tylko moja znajoma z wydziału kryminalnego policji - wyjaśnił Ramsey. - Dzwoniłem do niej. Ma mi opowiedzieć o wynikach dochodzenia.

- W sprawie zniszczenia twojego domu? - zapytała Molly, przesuwając wilgotny ręcznik na czole nieco w lewo.

- Między innymi. Wy sobie tutaj odpoczywajcie, dobrze? Emmo, zawołaj mnie, jeżeli mama będzie czegokolwiek potrzebowała. Czy mogę na ciebie liczyć? Chodzi mi głównie o to, byś nie słuchała, kiedy powie, że to nic ważnego i sama sobie poradzi.

Emma rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie.

- Nie wiem, Ramsey... To przecież moja mama, nie mogę jej nie słuchać. Jest przy mnie od urodzenia...

- Wiem, ale w tej chwili znajduje się w odrobinę żalonym stanie, prawda? Nie wie, co jest dla niej dobre, rozumiesz? Zawołasz mnie?

Na twarzy Emmy nadal malował się wyraz niepewności. Położyła pianino na kolanach i spuściła głowę. Molly jęknęła. Po chwili jęknęła znowu, bardzo głośno i zabawnie. Emma się uśmiechnęła.

Dobra robota, Molly, pomyślał Ramsey. Zasalutował komicznie i szybko zbiegł na dół. Pod drzwiami czekała Virginia Trolley, jak zwykle ubrana w czarne buty, czarne spodnie, czarny golf i czerwony rozpinany sweter.

- Dobrze, że jesteś w domu, Ramsey. Rozpętało się istne piekło.

Zaprosił ją do gabinetu, gdzie w kominku wesoło trzaskał ogień, a zaciągnięte nowe jasnozłociste zasłony potęgowały wrażenie przytulnego, ciepłego wnętrza.

- Bardzo podoba mi się twój dom - oświadczyła Virginia. - Nowe meble wyglądają wspaniale. Czy remont doprowadził cię do bankructwa?

- Ubezpieczenie pokryje większość kosztów.

- Świetnie. Czy teraz, kiedy wszystko jest tu takie piękne i nowe, moglibyśmy się pobrać, a potem rozwieść, i to na takich warunkach, żebym ja dostała ten dom?

- Nigdy nie dostałabyś domu, chyba że udałoby ci się przekupić sędziego - rzekł Ramsey, nalewając jej filiżankę kawy z termosu.

Westchnęła ciężko.

- Obawiam się, że mój mąż nie wykazałby zrozumienia dla sprawy. A może byś mnie zaadoptował?

- Jesteś starsza ode mnie.

- Ach, więc słyszałeś o dyskryminacji ze względu na wiek!

- Skądże znowu! Dzięki, że wpadłaś, Ginny. Co się dzieje w mieście?

- Wszyscy nadal nazywają cię Sędzią Dreddem. W dodatku teraz, po twoim flircie ze światem przestępczym, jest to szczególnie trafny przydomek. Dziennikarze szaleją. Dziwię się, że jeszcze nie zwiedzieli się o twoim powrocie, ale ta cisza przed burzą na pewno nie potrwa długo.

Ramsey krótko opowiedział Virginii o wydarzeniach w Chicago.

- Pojutrze wyjeżdżam z Molly i Emmą do Irlandii - zakończył. - Mieliśmy lecieć jutro rano, ale Molly przez całe popołudnie wymiotowała, więc musi mieć trochę czasu, żeby dojść do siebie. Chyba zatrąła się sosem z małży, który jadła w samolocie. Mam nadzieję, że to nie zapalenie żołądka albo wrzód, chociaż nie byłoby w tym nic dziwnego po tych wszystkich przeżyciach.

Virginia Trolley wstała z krzesła, podeszła do szerokiego francuskiego okna i odsunęła zasłony. Ciemne chmury wisiały nisko nad ziemią. Na niebie nie widać było ani księżyca, ani gwiazd. Westchnęła głęboko.

- Wszyscy rozmawialiśmy o tym, co wam się przydarzyło - powiedziała. - Ta sprawa z Shakerem wydaje się wyjątkowo mętna i niebezpieczna. Jeżeli to rzeczywiście jego dzieło, szanse na wyrok skazujący są mniej więcej takie jak na zwycięstwo Raidersów w meczu o puchar. - Uśmiechnęła się lekko. - Na pewno nie większe...

Ramsey usiadł w dużym skórzanym fotelu za biurkiem i odchylił się do tyłu, opierając głowę na splecionych ramionach.

- Mam nadzieję, że to Shaker, bo wtedy moglibyśmy uważać się mniej więcej za bezpiecznych. Tak czy inaczej, FBI uważa, że to jego sprawka. Policja z Denver jest tego samego zdania. Nadal szukają zbrodźcę, który porwał Emmę. Liczę, że uda nam się wymknąć, zanim zlecą się tu dziennikarze. Chyba będzie dobrze, jeżeli na jakiś czas wyjedziemy z kraju, nie sądzisz? Masz dla mnie coś nowego?

Virginia odwróciła się od okna, pozwalając, aby zasłony opadły swobodnie.

- Ja także uważam, że wasz wyjazd to świetne rozwiązanie - powiedziała. - Jeśli chodzi o dochodzenie w sprawie dewastacji domu, to policja nie wpadła na żaden trop. Sąsiedzi nic nie widzieli, nie ma żadnych odcisków palców. - Przerwała i uważnie rozejrzała się po gabinecie. - Szef firmy, którą wynajęliśmy do sprzątnięcia, powiedział, że są dumni, mogą zrobić coś dla sędziego Ramseya Hunta, wiesz? A magazyn „Chronicle” chciał zrobić serię zdjęć tego pokoju po remoncie. Wygląda świetnie, prawda? Ta ciemna boazeria, skórzane meble, wywoskowana dębowa podłoga...

- Tak. Nie muszę chyba mówić, że jestem wam bardzo wdzięczny.

- Masz dla mnie jakieś polecenia?

- Nie, na razie wszystko jest w jak największym porządku. Myślę jednak, że po powrocie powinienem załatwić sobie ochronę.

- Słusznie. Dopilnuję, żeby mniej więcej co pół godziny ulicę patrolował wóz policyjny. Ach, muszę ci coś pokazać, chociaż uważamy, że to rzecz bez większego znaczenia. Oczywiście anonim. Ktoś wetknął to świństwo w kopercie pod drzwi twojego gabinetu w gmachu sądu...

Virginia wyjęła z torby kartkę papieru i podała ją Ramseyowi. Wiadomość była krótka i zwięzła.

**JESTEŚ MORDERCĄ. ZGINIESZ.**

Słowa zostały starannie napisane drukowanymi literami, grubym czarnym flamastrem. Ramsey oddał kartkę Virginii.

- Bardzo oszczędny styl, więc to na pewno nie prawnik. Są jakieś powody, aby przypuszczać, że to coś więcej niż zwykłe bredzenie wariata?

- Raczej nie. Niczym nie różni się to od śmieci, które dostawałeś bezpośrednio po incydencie w sali sądowej. Ostatnio chyba nie pojawiło się nic nowego, prawda?

- Nie. W każdym razie nikt mi o niczym nie wspominał.

- Więc najprawdopodobniej to nic poważnego. Tak czy inaczej, uważaj na siebie. Sędzio Dredd. Słyszałam, jak jeden z tajniaków opowiadał kolegom, że wykonał manewr Hunta, czyli skopał komuś tyłek. Żałował, że nie miał na sobie czarnej togi, bo to dodałoby smaczku całemu wydarzeniu. Twoje nazwisko weszło do słownika gliniarzy, Ramsey...

Virginia Trolley podniosła wzrok i zobaczyła stojącą w progu małą dziewczynkę, która tuliła do piersi duże przenośne pianino. Instrument sięgał jej do kolan. Dziewczynka miała piękne, gęste włosy w kolorze mahoni, których pasma wymykały się z grubego francuskiego warkocza.

- Cześć - powiedziała Ginny. - Czy to ty jesteś Emma Santera?

- Tak, proszę pani. Ramsey, mama znowu wymiotuje. Nie chciała, żebym ci o tym mówiła, ale boję się, czy nie jest bardziej chora. Zrobisz coś?

- Tak, Emmo, zaraz się nią zajmę. - Ramsey odwrócił się do Ginny. - Zadzwoń do Jima Havershama. Jest mi winien drobną uprzejmość. Nigdy nie zapomnę, jak Savich powiedział, że dobrze jest pomóc lekarzowi, aby czuł się zobowiązany.

- Savich to twój kumpel z FBI?

- Tak. Słuchaj, Ginny, niedługo zadzwonię. Gdyby pojawiło się coś nowego, możesz przesłać mi to faksem do Irlandii. Na parę dni zatrzymamy się w Dromoland Castle, na północ od lotniska Shannon. Zapomniałem, jak nazywa się to hrabstwo. Dam ci znać, gdzie będziemy później.

- W porządku. Trzymaj się, Ramsey. Do widzenia, Emmo. Opiekuj się mamą i Ramseyem, dobrze?

- Dobrze, proszę pani. - Emma weszła do pokoju i stanęła obok Ramseya, czekając, aż Ginny się z nim pożegna.

Kiedy Virginia zamknęła za sobą drzwi, Ramsey sięgnął po słuchawkę. Rozmawiał krótko, a gdy skończył, wziął Emmę razem z jej pianinem na ręce.

- Chodźmy powiedzieć mamie, że ma szczęście. Nie musimy jechać z nią do szpitala. Niedługo przyjedzie do niej z wizytą prawdziwy, żywy lekarz.

Doktor James Haversham miał czterdzieści dwa lata, był dwukrotnie rozwiedziony i każdą wolną chwilę spędzał na żaglach. Wyprostował się i z namysłem skubał brodeę, uważnie przyglądając się Molly.

- Musiałbym zrobić kilka badań - rzekł w końcu.

- Nie ma mowy. Nie pójdę do szpitala. Po moim trupie. Nie dam sobie zrobić żadnych badań.

Haversham westchnął ciężko.

- No dobrze... Spróbujemy poradzić sobie inaczej. Sądzę, że zjadła pani coś nieświeżego. Ramsey mówił mi, że w samolocie zamówiła pani makaron i sos z małży. Bardzo prawdopodobne, że to właśnie ten sos. Na szczęście pozbyła się pani chyba całej trucizny, ale nadal ma pani skurcze i właśnie dlatego znowu zaczęła pani wymiotować. Dam pani zastrzyk i lek w tabletkach.



Mam nadzieję, że to uspokoi układ trawienny i zlikwiduje mdłości. Minie trochę czasu, zanim wróci pani do równowagi. Jest pani nieco odwodniona, dlatego musi pani dużo pić dziś wieczorem i jutro przez cały dzień. Po zastrzyku będzie pani senna, więc powinna pani spokojnie przespać noc. Zastrzyk robimy domięśniowo, proszę się odwrócić na brzuch.

- Ramsey, zabierz Emmę, dobrze?

Ale Emma nie zamierzała zostawić matki samej z obcym człowiekiem.

- Nie, mam, przecież ty mnie teraz potrzebujesz. Potrzymam cię za rękę.

- Mnie też potrzebujesz, Molly. Potrzymam cię za drugą rękę. To twoja godzina próby.

Emma podniosła głowę i zmierzyła Ramseyego baczynym spojrzeniem.

- Czy to był żart, Ramsey?

- W porządku - powiedział doktor Haversham. - Odwróćcie się obydwójce, żeby moja pacjentka nie czuła się zażenowana.

Odwrócili się posłusznie i wbili wzrok w ekran telewizora. Powtarzano kolejny odcinek serialu *M\*A \* S\* H\**. Usłyszeli krótki okrzyk i zaraz potem głos doktora Havershama.

- Proszę teraz połknąć te dwie tabletki. Jutro ma pani leżeć w łóżku, spać i pić tyle wody, żeby co piętnaście minut musiała pani biegać do toalety. Gdyby wymioty nie ustąpiły, Ramsey ma panią natychmiast przywieźć do szpitala, rozumiemy się? Jeżeli do jutra rana nie poczuje się pani lepiej, będzie to sygnał, że mamy do czynienia z czymś poważniejszym od zatrucia pokarmowego. - Widząc, że Molly energicznie potrząsa głową, Haversham zmarszczył brwi i nachylił się nad nią. - Ma pani śliczną małą córeczkę, której jest pani potrzebna, prawda? Więc proszę demonstrować swój upór w inny sposób i na inny temat.

Molly westchnęła.

- Oczywiście ma pan rację. Dziękuję, że zgodził się pan przyjechać, doktorze.

- Nie ma za co.

- Co zrobił dla pana Ramsey? - zapytała Molly, kiedy Haversham był już przy drzwiach. - Powiedział, że jest mu pan winien drobną uprzejmość i dlatego przyjedzie pan mnie obejrzeć.

- Uratował mi życie.

- Jak to?

- Kiedy moja pierwsza była żona wstawiła się i zamierzała wymierzyć sprawiedliwość mojej drugiej byłej żonie, która wtedy była jeszcze moją aktualną małżonką, Ramsey wkroczył do akcji. Rozbawił Melanie i tańczył z nią przez resztę wieczoru.

Molly się roześmiała.

- Rzeczywiście jest pan jego dłużnikiem.

Haversham nie miał zamiaru się przyznać, że przed chwilą zmyślił tę historyjkę. Molly była śliczną kobietą o uroczym uśmiechu i teraz śmiała się dzięki niemu, co było prawdopodobnie równie skutecznym lekarstwem jak tabletki i zastrzyk.

- Tak jest, jestem jego dłużnikiem. Proszę na siebie uważać, pani Santera.

Molly uśmiechnęła się sennie. Haversham zamknął za sobą drzwi i uścisnął rękę Ramseya.

- Słyszałem, co powiedziałaś - rzekł Ramsey. - Nie miałem pojęcia, że potrafisz tak szybko zmyślać. Teraz jesteśmy kwita.

- O nie. Nigdy nie spłacę tego długu, Ramsey. Pamiętam, że woda w jeziorze była lodowata. Gdybyś mnie wtedy nie wyciągnął, nie robiłbym już nikomu żadnych uprzejmości.

Schylił się i machinalnie położył dłoń na czole Emmy. Dziewczynka gwałtownie odskoczyła do tyłu, lecz Ramsey natychmiast uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

- Wszystko w porządku, kochanie. Doktor Haversham chciał się tylko upewnić, czy nie jesteś chora, tak jak mama. On zawsze sprawdza, czy ktoś nie ma gorączki. To jego specjalność.

Dopiero wtedy Jim Haversham przypomniał sobie, kim jest ta mała dziewczynka. To ona została porwana i zgwałcona. Uśmiechnął się do niej ostrożnie.

- Moim zdaniem jesteś w świetnej formie, Emmo - powiedział. - Masz chłodne, zdrowiutkie czoło. Pilnuj mamy, dobrze?

- Dobrze, proszę pana - odparła Emma, obserwując go czujnymi oczami.

Wsunęła rękę w dłoń Ramseya i mocniej przycisnęła do siebie pianino. Ramsey schylił się i wziął ją na ręce.

- Odprowadzimy doktora Havershama do drzwi, Emmo, a potem zaniemiemy mamie wodę.

- Nie będzie zadowolona, że ciągle musi biegać do łazienki, Ramsey.

- Ja też nie byłbym tym zachwycony, ale trudno, taki los przypadł jej teraz w udziale.

## ***Rozdział 26***

Molly spokojnie przespalała noc. Rano czuła się osłabiona, ale mdłości ustąpiły i żołądek nie bolał. Ramsey przygotował dla niej trzy grzanki, grubo posmarowane dżemem truskawkowym i obydwój z Emmą siedzieli na brzegu łóżka, gdy Molly pochłaniała śniadanie.

- Wystarczy - powiedziała w końcu, wybuchając śmiechem. - Spójrzcie, zjadłam dwie. Jestem napchana aż po migdałki.

- Przecież ty nie masz migdałków, mamo.

- Tak czy inaczej, jestem bardzo najedzona. Teraz muszę tylko wziąć prysznic i będę jak nowo narodzona. Czy moglibyśmy wyjechać dzisiaj po południu, Ramsey?

Ramsey potrząsnął głową.

- Poczekajmy do jutra, Molly. Haversham kazał ci dziś leżeć w łóżku i odpoczywać. Łykaj tabletki i pij jak najwięcej wody. Przyniosłem kilka butelek

mineralnej. Jeżeli będziesz grzeczna i jeżeli po południu poczujesz się jeszcze lepiej, może pójdziemy na kolację do mojej ulubionej meksykańskiej restauracji na Lombard Street.

Molly jęknęła głucho i złapała się za brzuch.

- Trudno, w takim razie poprzestaniemy na rosółku z kurczaka.

Kiedy wysuszyła włosy i przebrała się, była zupełnie wyczerpana. Zerknęła na świeżo posłane łóżko z zapraszająco odwiniętą kołdrą, potem na Ramseya, który obserwował ją z uśmiechem, i z westchnieniem ulgi wyciągnęła się na miękkim materacu.

- Założę się, że tę pościel wybierała kobieta - mruknęła. - Jest taka jasna i wesła... Mam rację?

- Tak, prawdopodobnie moja sekretarka. No, wypij teraz szklanek wody i zdrzemnij się. Zabieram Emmę na spacer do Cliff House. Jest tam cudowna plaża. Pokażę jej foki, zbudujemy zamek z piasku i pobawimy się z psami, których zawsze jest tam mnóstwo. Przyprawdżę ją brudną i szczęśliwą. Kiedy wrócimy, ta butelka ma być pusta, Molly.

Byli na plaży niecałe dwadzieścia minut, gdy do Ramseya podbiegł wielki, zdyszany czarny labrador i oparł potężny łeb o jego kolano.

- Jeżeli nie ma pan ochoty rzucać mu kółka, proszę mu powiedzieć, żeby zjeżdżał - zawołała z daleka jego właścicielka.

Ale Ramsey poklepał psa po głowie.

- Gotowy do biegu? - zapytał, wyciągając stare, żółte gumowe kółko z płóciennego worka, w którym znajdowały się także kanapki, ziemniaczane chipsy oraz sok w kartonikach.

Rzucił kółko na odległość dobrych kilkudziesięciu metrów, a labrador jak szalony pognął na jego poszukiwanie.

- Teraz Bop nie da wam chwili spokoju. - powiedziała młoda kobieta, podchodząc do Ramseya i Emmy, która z zachwytem wpatrywała się w rozpędzonego psa.

Bop dogonił kółko i skoczył, lecz nie udało mu się go złapać.

- Następnym razem pójdzie mu lepiej. Musi się zorientować, jak pan rzuca. To pana córeczka?

Emma bez słowa wzięła Ramseya za rękę i przylgnęła do jego boku.

- Tak - odparł Ramsey. - To moja mała Emma.

- Jestem Betty Conlin - rzekła właścicielka Bopa i wyciągnęła rękę do Ramseya. - Witaj, Emmo. Ile masz lat?

Emma zmierzyła ją baczny spojrzeniem.

- Bop już wraca - odezwała się po chwili. - Moja mama jest w domu, w łóżku. Przyszliśmy tutaj, żeby się pobawiła i spróbowała zapomnieć o smutnych rzeczach. I żeby mama mogła wypocząć i wyzdrowieć.

- Rozumiem - powiedziała Betty i wstała. - Chodź tutaj, Bop! - zawołała z uśmiechem.

Ramsey znowu rzucił psu kółko. Bop pognał za nim i dopadł je, nim dotknęło ziemi.

- Świetnie, Bop! - krzyknął Ramsey. - Dobry pies!

Był zadowolony i zrelaksowany. Na jednej dłoni miał kropelki psiej śliny, Emma bawiła się w piasku tuż obok niego, ocean lśnił w słońcu jak wielki niebieski brylant, fale szumiały przyjemnie... Do pełni szczęścia brakowało im tylko Molly, która mogłaby leżeć tu gdzieś na kocu i pić mnóstwo wody...

Spojrzał na Emmę i zauważył, że mała nie spuszcza wzroku z Betty Conlin. Nie musiał się martwić, że jakaś kobieta będzie próbowała go podrywać, bo Emma strzegła go jak oka w głowie. Niestety, w tej chwili nie mogli mieć Bopa bez Betty.

Bop przybiegł z kółkiem w pysku, przez parę sekund udawał, że nie chce go oddać Ramseyowi, wreszcie upuścił gumową zabawkę na piasek i ruszył przed siebie, raz po raz oglądając się i czekając na następny rzut. Ramsey rzucił kółko w kierunku wody i osłonił oczy dłonią, obserwując Bopa. Powiew wiatru

porwał kółko i uniósł je daleko, bardzo daleko, na odległość co najmniej stu metrów.

Betty powiedziała coś i Ramsey odwrócił się w jej stronę. Kiwnął głową, patrząc, jak Bop wyciąga kółko spomiędzy wodorostów. Pies odskoczył do tyłu, uciekając przed falą, która rozprysnęła się na tysiąc kropel, błyszczących jak kawałki kryształu.

- Widziałas, Emmo? - zapytał Ramsey, odwracając się z uśmiechem.

Emma zniknęła. W ułamku sekundy ogarnęło go obezwładniające przerażenie.

- Co się stało? - Betty spojrzała na niego niespokojnie.

- Emma - powiedział. - Nie ma Emmy...

Określił się wokół własnej osi, szukając jej wzrokiem. Usłyszał krzyk i rzucił się w kierunku Cliff House, ale to tylko jakiś mały chłopiec kłócił się z siostrą.

- Emma! - krzyknął głośno.

O Boże, tylko nie to! To niemożliwe! Emma na pewno jest gdzieś niedaleko! Nikt nie mógł tak po prostu zabrać jej z plaży, nie w ciągu tej minuty, kiedy na nią nie patrzył... Słońce świeciło mu prosto w oczy...

Nagle zobaczył jakiegoś mężczyznę, który szybko szedł brzegiem plaży na południe. Ubrany był w długi ciemnobrązowy płaszcz, pod którym coś niósł. Ramsey nie miał cienia wątpliwości, że nieznajomy trzyma pod płaszczem Emmę. Jakim cudem zdołał odejść z nią aż tak daleko?!

Ruszył biegiem. Nie krzyknął nawet, tylko w milczeniu pobiegł za mężczyzną, ze wszystkich sił, coraz szybciej i szybciej. Obcy potknął się i wtedy spod brzegu płaszcza wyjrzała głowa Emmy.

- Ramsey! - wrzasnęła rozpaczliwie. - Ramsey!

Ramsey był już prawie przy nich. Mężczyzna obejrzał się, spostrzegł, że przegrał, puścił Emmę i rzucił się do ucieczki, kierując się w górę plaży, ku

wysokiemu betonowemu murkowi. Ramsey zrobił parę kroków za nim, lecz usłyszał czyjś krzyk i zawrócił do Emmy.

Leżała na piasku, zupełnie nieruchomo. Nad nią stały dwie małe dziewczynki, jedna z niebieskim wiaderkiem w ręku. W ich stronę biegła jakaś kobieta. Ramsey łagodnie odsunął obie małe i przyklęknął obok Emmy. Kolana podciągnęła pod brodę, oczy miała zamknięte, pasma włosów przyklejone do czoła i policzków.

- Emmo... - Lekko dotknął jej ramienia. - Emmo, nic ci się nie stało, skarbie? To ja, Ramsey. Nic ci nie jest?

Z jej gardła wyrwał się cichy, stłumiony jęk. Powoli odwróciła się twarzą do niego i podniosła na niego wzrok.

- Boli cię coś, kochanie?

Pokręciła głową.

- Tylko trochę. Zasłonił mi buzię i uderzył w głowę...

Ten drań ją uderzył, wepchnął pod płaszcz i po prostu z nią odszedł! Ramsey spojrzał w kierunku murku. Kręciło się tam sporo ludzi, ale nigdzie nie było widać człowieka w ciemnobrązowym płaszczu. Oczywiście mógł go zdjąć i najprawdopodobniej tak właśnie zrobił.

Wziął Emmę w ramiona, przytulił ją mocno i pocałował. Mało brakowało, a byłby ją stracił. Jeszcze minuta, może dwie i nigdy więcej by jej nie zobaczył.

- Czy tamten człowiek próbował ją porwać? - zapytała jakaś kobieta.

- Tak. Widziała pani może, dokąd poszedł, kiedy przeskoczył przez murek?

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie, patrzyłam na pana i dziewczynkę.

- Boże, to stało się tak szybko! - zawołała Betty, która dopiero teraz nadbiegła wraz z Bopem. - Dosłownie w ciągu paru sekund! Nagle zniknęła, dosłownie w jednej chwili! Tak mi przykro...

Kobieta bez słowa przygarnęła ramieniem swoje dwie córeczki.

- Idziemy do domu - powiedziała.

Dzieci zaczęły płaczliwie protestować, lecz matka po prostu chwyciła je za rączki i poprowadziła w kierunku wyjścia z plaży.

- Chce pan, żebym wezwała policję? - zapytała Betty.

- Nie - odpowiedział Ramsey, podnosząc się powoli z Emmą w ramionach. - Tak mi przykro, Em, tak mi przykro... - powtarzał, całując ją w czubek głowy. - Bop może zatrzymać kółko i kanapki - zwrócił się do Betty.

Wiedział, że policjanci przesłuchaliby wszystkich obecnych na plaży, lecz Emma drżała, tuląc się do niego z całej siły, musiał więc jak najszybciej odwieźć ją do domu. Nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się wcisnąć razem z nią za kierownicę swojego starego porsche. Było im bardzo ciasno, ale nie zamierzał wypuszczać jej z ramion. Nie zwolnił uścisku nawet po wejściu do domu. Prosto z holu skierował się do swego gabinetu, skąd zadzwonił do Virginii Trolley.

- Tu Ramsey - powiedział. - Jakiś mężczyzna przed chwilą usiłował uprowadzić Emmę z plaży w pobliżu Cliff House.

Gdy się zorientował, że mi nie ucieknie, rzucił ją na ziemię. Nie mogłem za nim pobiec, bo musiałem się nią zająć. Ubrany był w długi brązowy płaszcz, stare czarno-białe adidas, brązową czapkę, chyba robioną na drutach, i ciemne okulary. Sądząc po sposobie poruszania się, był chyba po czterdziestce. Niezbyt wysoki, najwyżej metr osiemdziesiąt. Tak, biały. Jeżeli pošlecie tam teraz grupę ludzi, może uda wam się znaleźć kogoś, kto widział tego skurwysyna. Do zobaczenia za parę minut.

Odłożył słuchawkę, ani na chwilę nie wypuszczając Emmy z ramion.

- Pozwól mi sprawdzić, czy nic nie stało ci się w głowę, kochanie.

- Mama - powiedziała Emma w kołnierz jego kurtki. - Mama...

- Masz rację, skarbie. Chodźmy zobaczyć, co się z nią dzieje.

Ale Molly nie było w pokoju.



Ramsey tępym wzrokiem wpatrywał się w puste łóżko i pustą butelkę po wodzie mineralnej, stojącą na podłodze. Zawołał głośno Molly, potem zajrzał do łazienki i nawet kabiny prysznicowej.

- Molly!

- Gdzie jest mama, Ramsey?

- Nie wiem, Emmo. Nie wiem.

Zbiegł po schodach na dół, cały czas niosąc przyklejoną do niego Emmę. Raz po raz wołał Molly, ale w domu panowała całkowita cisza.

Co się stało, do diabła?!

Wybiegł na zewnątrz. Chodnikiem szło dwoje starszych ludzi, mieszkających w sąsiednim domu. Pomachali mu, odpowiedział tym samym gestem, prawie jednocześnie odwracając się w drugą stronę. Na ulicy nie było nikogo poza dwójką jego sąsiadów.

Emma drżała w jego ramionach, wstrząsana głębokimi, rozpaczliwymi szlochami.

- Spokojnie, Emmo, na pewno wyszła na krótki spacer, nie ma się czego bać - powtarzał, doskonale zdając sobie sprawę, że mówi bzdury.

Gdzie podziała się Molly? Nigdy w życiu nie był taki przerażony. Biały plymouth Virginii Trolley zatrzymał się przy krawężniku. Razem z Ginny z samochodu wyskoczył młody policjant.

- Molly zniknęła - powiedział Ramsey. - Po prostu zniknęła.

Virginia jednym spojrzeniem ogarnęła jego wstrząśniętą, pobladłą twarz i głośno płaczącą dziewczynkę, którą trzymał na rękach.

- Wejźmy do domu - rzuciła cicho. - Muszę zadzwonić. Wszystko będzie dobrze, Ramsey. Chodźcie.

Usiadła przy telefonie, a Ramsey w fotelu za biurkiem, uspokajająco kołysząc Emmę. Nagle usłyszeli głośny krzyk.

- Mama!

Emma wyrwała się z ramion Ramseya i pobiegła do drzwi. Kiedy otworzyły się, Molly prawie wpadła do środka, podtrzymywana przez towarzyszącego Virginii policjanta.

- Mamo!

Molly osunęła się na kolana, tuląc do siebie płaczącą Emmę.

- Przepraszam, ale ta pani nie chciała powiedzieć, kim jest - mruknął policjant do Virginii.

- Wszystko w porządku. Teraz, kiedy Molly już się znalazła, możesz podjechać do Cliff House i porozmawiać z ludźmi, Joe.

Ramsey wstał powoli. Odczekał chwilę, aż Emma trochę się uspokoiła, a Molly w końcu podniosła głowę.

- Co się stało? - zapytał ostro, pełnym napięcia i wściekłości głosem.

Molly chyba dopiero teraz zauważyła stojącą przy jego biurku Virginie. W pierwszym momencie po wejściu do domu poczuła tak ogromną ulgę, że nie miała siły się odezwać. Przytuliła mocniej córeczkę.

- Ktoś zadzwonił - powiedziała słabo. - Jakieś dziesięć minut temu. Mocno spałam i telefon mnie obudził. Dzwonił jakiś mężczyzna. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby mówił przez chusteczkę. Byłam zupełnie otumaniona i najpierw w ogóle go nie zrozumiałam, ale wszystko powtórzył. Powiedział coś o plaży i że ma Emmę, i że nigdy więcej jej nie zobaczę...

- Mamo - szepnęła Emma.

Molly podniosła się, trzymając Emmę na rękach. Zachwiała się, lecz Ramsey już był przy nich i obejmował je z całej siły.

- Dzięki Bogu, że obie jesteście całe i zdrowe - wyszeptał z wargami w jej włosach.

- Tak - wymamrotała Emma. - Co się stało? Ramsey usiadł razem z nimi na kanapie. Pocałował w czoło najpierw Emmę, potem Molly.

- Już wszystko dobrze... - powiedział. - Znowu jesteśmy razem. Było tak - jakiś mężczyzna porwał Emmę, ale dogoniłem go i odzyskałem ją. Uciekł.

Virginia wysłała kilku policjantów na plażę, aby przepytali ludzi. Może ktoś go widział. - Przerwał na chwilę. - Ale dlaczego zadzwonił do ciebie? I to dziesięć minut temu, czyli już po tym, jak odebrałem mu Emmę? Dlaczego?

- Chciał przerazić Molly - odezwała się Virginia. - Czy ktoś napije się wody?

Ramsey chciał coś powiedzieć, lecz uświadomił sobie, że dzieje się z nim coś dziwnego, zupełnie jakby umysł zaczął działać na zwolnionych obrotach.

- Byłem głupi - powiedział. - Poprosiłem cię o ochronę, Ginny, ale w gruncie rzeczy głęboko wierzyłem, że mamy już to wszystko za sobą. Nie sądziłem, że grozi nam jeszcze niebezpieczeństwo. Byłem przekonany, że ten człowiek już nie wróci...

- Wszyscy byliśmy głupi - rzekła Molly. - Ja również nie myślałam tak jak ty. To szalenie.

- Najprawdopodobniej macie rację - rzekła Virginia. - Cóż, teraz musimy wziąć się do roboty.

Virginia zaczęła zadawać Ramseyowi pytania, spokojnie i z ogromną cierpliwością. Ramsey zdawał sobie oczywiście sprawę, że wielokrotnie uczestniczyła w podobnych wydarzeniach, lecz wiedział także, że większość takich wypadków nie kończy się równie szczęśliwie.

Siedzieli na kanapie blisko siebie, Emma na kolanach Ramseya, z głową opartą o ramię matki. Ramsey wciąż obejmował je obie.

- Pani Santera, proszę spróbować sobie przypomnieć... Och, przepraszam, nie przedstawiłam się. Jestem Virginia Trolley, z wydziału kryminalnego policji w San Francisco. Znam Ramseya od dość dawna.

Molly skinęła głową, przyglądając się ubranej w czerń kobiecie.

- Mam na imię Molly.

- Dobrze. Więc ten człowiek zadzwonił o... - Zerknęła na zegarek, szybko obliczając czas. - Mniej więcej dziesięć po trzeciej, prawda? Co dokładnie powiedział?

- Że ma Emmę. Że ten głupi sędzia zwyczajnie zostawił ją na plaży, w ogóle się nie interesował, co się z nią dzieje, tylko flirtował z jakąś dziewczyną i rzucał kółko jej psu. Powiedział, że to było bardzo łatwe, a tym razem nie pozwoli Emmie uciec i nigdy więcej jej nie zobaczę. Potem wybuchnął śmiechem i dodał, że przejedzie obok domu, abym mogła zobaczyć jego i Emmę, i że pozwoli jej pomachać mi na pożegnanie. I odłożył słuchawkę. Gapiłam się na telefon i miałam zupełną pustkę w głowie. Dopiero po chwili moje myśli jakby się włączyły i wpadłam na pomysł, że jeżeli wyjdę na zewnątrz, to może go złapię. Wybiegłam na ulicę, pędziłam przez całą Sea Cliff. Dziwię się, że nikt z sąsiadów nie zadzwonił na policję z wiadomością o kręcącej się w pobliżu wariatce...

- Zadzwonił, kiedy odzyskałem Emmę tylko po to, żeby śmiertelnie przestraszyć Molly? - zapytał powoli Ramsey.

- Tak. - Virginia westchnęła. - Chciał mieć poczucie władzy. Nie udało mu się porwać Emmy, ale dzwoniąc do Molly, nadal wierzył, że jednak wygrał, przynajmniej na chwilę, do waszego powrotu do domu.

Ramsey zaczynał powoli odzyskiwać równowagę. Widział, że Molly także bierze się w garść. Jeśli chodzi o Emmę, to dopiero czas miał pokazać, jakie szkody wyrządziła w jej psychice kolejna próba porwania.

- Emma mówi, że uderzył ją w głowę.

Molly pogładziła córkę po ramieniu.

- Boli cię głowa, Em?

Emma wyprostowała się, powoli podniosła rękę i dotknęła miejsca nad lewym uchem.

- Mam tu guza, ale małego.

- Widziałem, jak wystawiłaś głowę spod jego płaszcza.

Dziewczynka kiwnęła głową.

- I ugryzłam go przez koszulę, naprawdę mocno. Mówiliście mi, że nigdy nie wolno się poddawać, więc się nie poddałam.

- Ugryzłaś go w bok, Emmo? - zapytała Virginia.

- Tak.

- Który?

- Prawy. Jestem pewna, że go zabolalo.

- Brawo. - Ramsey ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w czubek nosa. - Brawo, Em. - Spojrzał na drobną buzię, która była mu teraz tak bardzo, niewyobrażalnie bardzo droga. Serce ścisnęło mu się z miłości i żalu. - Och, Emmo, tak mi przykro...

Przytulił czoło do jej czoła i znowu poczuł, jak ogarnia go przerażające uczucie całkowitej bezradności. Emma podniosła małą dłoń i delikatnie dotknęła jego policzka.

- Nic mi się nie stało, Ramsey. To nie twoja wina, on był bardzo szybki. Uklepywałam mur dookoła zamku z piasku i wtedy mnie uderzył.

Virginia Trolley odwróciła się i odchrząknęła cicho.

- Boli cię głowa, Emmo? - zapytała przez ramię.

- Nie bardzo, proszę pani. Tylko trochę.

- Może powinniśmy zadzwonić do doktora Havershama, Ramsey.

- Dobry pomysł. Poczuję się znacznie pewniej.

- Jestem taka jak mama - nienawidzę szpitali.

Ramsey i Molly wymienili spojrzenia.

- Tym razem nie miał na twarzy maski, ale poznałam go po zepsutych zębach.

Głos Emmy brzmiał prawie zupełnie normalnie. Siedziała na kolanach u Ramseya, patrząc na Virginie.

- Zauważyłaś może coś jeszcze, Emmo?

- Dziwnie pachniał, tak samo jak przedtem.

- Dziwnie, to znaczy jak? - Virginia wyjęła z torebki bloczek z kartkami i pośpiesznie coś zapisała.

Emma wzruszyła ramionami.

- To był taki jakiś mocny zapach. Nieprzyjemny.

- Whiskey - rzucił Ramsey. - Pachniał whiskey, Em?

Emma nie była pewna, więc Ramsey wziął ją na ręce i podszedł do barku. Odkorkował jedną z butelek i podsunął pod nos dziewczynki.

- Czy to był ten zapach?

Skrzywiła buzię i szybko cofnęła głowę.

- Tak, Ramsey. To naprawdę niemiły zapach.

- Masz rację.

- I miał zepsute zęby? - wtrąciła Virginia.

- Tak, proszę pani, czarne i paskudne. Pamiętam, że jednego mu brakowało. - Emma otworzyła usta i pokazała siekacz po lewej stronie.

- Świetnie. - Virginia zapisała informację. - Czy próbował z tobą rozmawiać, Emmo?

Dziewczynka potrząsnęła głową. Ramsey zaniósł ją na kanapę i usiadł obok Molly.

- Zastanów się chwilę, Em. Co robiłaś bezpośrednio przed tym, kiedy ten mężczyzna uderzył cię w głowę?

- Uklepywałam piasek.

- I co się wtedy stało?

- Usłyszałam coś. Spojrzałam w górę, ale coś mnie uderzyło i dalej już nie pamiętam.

- Bardzo dobrze, Emmo - powiedziała Molly. - Dużo zapamiętałaś, kochanie.

Emma bez słowa wzięła matkę za rękę. Virginia Trolley zamknęła notes i pokiwała głową.

- Porywacz popełnił błąd - rzekła. - Jest bardzo blisko, więc może teraz uda nam się go złapać. Emmo, jesteś wspaniała. Ramsey opowiadał mi, jak uciekłaś temu potworowi poprzednim razem, a teraz znowu to zrobiłaś. Opiekuj się Ramseyem i mamą, dobrze? Obydwoje nie są w imponującej formie...

- Dobrze, proszę pani. Będę się nimi opiekować.

- Emmo, czy mogłabyś opisać tego człowieka, żeby rysownik sporządził jego portret? - zapytał Ramsey. - Teraz nie nosił maski.

- Spróbuję, Ramsey.

- Zaraz kogoś tu przyślę - oświadczyła Virginia. - Wspaniała dziewczynka z ciebie, Emmo. Do zobaczenia później.

- Mamo, wydaje mi się, że nie powinnaś więcej chodzić beze mnie do łazienki - odezwała się Emma. - Ramsey także nie.

Idąc w kierunku drzwi, Virginia Trolley usłyszała cichy, nieco drżący śmiech. Molly Santera śmiała się, wprowadzie przez łzy, ale jednak się śmiała.

## ***Rozdział 27***

Emma i Molly z otwartymi ustami obejrzały hol zamku Dromoland, okrągłe, wielkie pomieszczenie z szarego kamienia, z jakiego zbudowano cały zamek, z jego olbrzymimi oknami i starymi tkaninami. Zamek Dromoland był kiedyś twierdzą rodu O'Brian, a w połowie dwudziestego wieku tę potężną kamienną budowlę w gotyckim stylu zamieniono na hotel.

Zamek stał w samym środku najpiękniejszego parku, jaki kiedykolwiek widzieli. Dostali apartament Speath, wielki, kwadratowy pokój z wysokimi oknami wychodzącymi na pięknie przystrzyżone trawniki, ogród w stylu francuskim oraz jezioro.

W apartamencie znajdowały się dwa ogromne łóża. Dla Emmy zamówili tapczan na kółkach, lecz kiedy pogodnie uśmiechnięty portier Tommy wtoczył mebel do pokoju i Ramsey odwrócił się do dziewczynki, aby zapytać, gdzie postawić łóżko, wyraz zagubienia i przerażenia na jej twarzy skłonił go do natychmiastowego odesłania Tommy'ego wraz z tapczanem. Od przyjazdu Emma spała więc z matką i ani razu nie śniło jej się nic złego.

Trzeciego dnia ich pobytu w Irlandii deszcz przestał padać i zza chmur wyrzało tak oślepiająco jasne słońce, że nie można było patrzeć na nie bez ciemnych okularów.

Był późny ranek. Emma ubrała się w dżinsy, białą koszulkę, swoje ukochane tenisówki Nike oraz skarpetki w kratę, które Ramsey kupił jej w malowniczej wiosce Adare, gdzie większość starych, krytych słomą domków przerobiono na sklepiki z pamiątkami.

Karmiła kaczki. Molly klęczała na jednym kolanie w odległości dwóch metrów od córki, czekając, aż słońce zmieni kąt padania, umożliwiając jej zrobienie serii zdjęć. Do swojej minolty załadowała trzydziestosześcioletni film o czułości 400 ASA. Nie miała przy sobie światłomierza i bardzo żałowała, że nie kupiła nowego, wyposażonego w to urządzenie aparatu. Na szczęście miała spore doświadczenie w robieniu zdjęć w różnych warunkach i przy różnym oświetleniu, więc nie ryzykowała zbyt wiele, zależało jej jednak, aby jedno ze zdjęć było absolutnie doskonałe.

Chciała podarować je Ramseyowi, człowiekowi, który uratował życie jej córki, człowiekowi, którego znała teraz prawie tak dobrze jak samą siebie. Dzisiaj w Emmie i dookoła niej było więcej światła niż mroku. Białe pióra kaczek lśniły w słońcu, a Emma śmiała się i rzucała ptakom kawałki chleba, oglądając każdy z nich i szybko podejmując decyzję, która kaczka ma go dostać.

Jedna kaczka była wyjątkowo szybka i przebiegła. Przedarła się przed tłum kuzynek i podskakiwała wysoko, machając skrzydłami i wrywając chleb wprost z palców dziewczynki. Molly szybko ustawiła migawkę na 1/125, pragnąc, aby zdjęcie było bardzo ostre. Naturalne światło było wspaniałe i Molly wiedziała, że tło - jezioro i kaczki - wyjdzie równie ostro i wyraźnie jak twarz Emmy. Słońce za plecami gwarantowało dobrą jakość fotografii.

Molly co jakiś czas zerkała przez obiektyw na twarz Emmy, aby uchwycić i wydobyć naturalną barwę jej skóry. Jezioro i kaczki widoczne będą w centrum, tuż za Emmą, co doda zdjęciu dramatyzmu. Zależało jej, aby



uchwycić ruch i sfotografować go jak najwyraźniej, bez rozmazanych konturów. Chciała, żeby każde załamanie koszulki Emmy wyszło na fotografii dokładnie tak jak w rzeczywistości i trochę się bała, czy nie daje zbyt dużo światła.

Pragnęła, aby ten jasny, niewiarygodnie pogodny uśmiech na twarzy córki pozostał wyraźny, prawdziwy i ciepły, żeby jeszcze po wielu latach można było poczuć jego niezwykłą moc i urok.

Trzy razy szybko nacisnęła migawkę i przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, szykując się do zrobienia następnej serii zdjęć. Potem usiadła na trawie, oparła się na odchylonych do tyłu rękach i spojrzała na Emmę.

Agresywna kaczka podskoczyła wysoko, aby chwycić kawałek chleba, który Emma przeznaczyła dla niewielkiego ptaka, przestępującego z nogi na nogę nieco dalej. Dziewczynka klasnęła w dłonie z radości i podetknęła duży okruch wojowniczej kaczce, która skoczyła ku niej, wyciągając daleko szyję. Molly zrobiła jeszcze kilka zdjęć i położyła się na trawie, patrząc prosto w niebo.

Po chwili usiadła i położyła sobie minoltę na kolanie. Skończył się film. Aparat wydzielał jakieś przyjazne ciepło, dobrze „leżał” w jej dłoni. Ona i minolta były starymi przyjaciółkami. Przywykła już do ciężaru i dotyku aparatu. Nowe aparaty były oczywiście bardzo wygodne, przede wszystkim dlatego, że automatycznie wykonywały te czynności, które Molly musiała robić sama, niewykluczone nawet, że niektóre z nich parzyły kawę, ale ona nie potrzebowała takich wspaniałych wynalazków. Jej minolta była stara, ale żwawa i doskonale się spisywała.

Była zadowolona ze zrobionych zdjęć. Jedno z nich na pewno okaże się tym idealnym, może będą to nawet dwa idealne zdjęcia. Nagle pożałowała, że nie ma statywu, ale zaraz przypomniała sobie, ile wysiłku wymaga taszczenie ze sobą dodatkowego sprzętu.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch z lewej strony, w kępie sosen, i zamarła, sparaliżowana lękiem. Zza pnia drzewa wychylał się jakiś mężczyzna w długim

brązowym płaszczu i brązowej, robionej na drutach czapce. Chyba je obserwował... W jednej chwili zerwała się na równe nogi, gotowa chwycić Emmę i rzucić się z nią do ucieczki.

Mężczyzna wyłonił się zza drzew. Niósł torbę z kijami golfowymi. Molly wypuściła powietrze z płuc. Ach, ci Irlandczycy ze swoim golfem, który sprawiał wrażenie nie tyle sportu, ile ogólnonarodowego nawyku... Pola golfowe były wszędzie, nawet tu, na terenie Dromoland. Molly była pewna, że nawet Szkoci nie są tak zapalonymi entuzjastami golfa jak Irlandczycy.

Mężczyzna zauważył, że Molly mu się przygląda, zdjął czapeczkę i pozdrawiał ją uprzejmie. W odpowiedzi skinęła głową i pomachała mu, zawstydzona, że tak łatwo wpadła w panikę. Niemniej wiedziała, że następnym razem zareaguje tak samo. Będzie tak do chwili, kiedy porywacz zostanie aresztowany. Na razie przebywał na wolności i prawdopodobnie nadal polował na Emmę.

Ramsey był w pokoju i dzwonił do San Francisco, między innymi do Virginii Trolley, aby dowiedzieć się, czy nie zaszło nic nowego. Po rozmowie z Emmą pracujący dla policji rysownik sporządził portret mężczyzny po czterdziestce, z mocno przerzedzonymi włosami, ostrym podbródkiem i bokobrodami. Miał jasnoszare i dość szeroko rozstawione oczy oraz dziwne uszy, duże i odstające. Emma powiedziała, że to dlatego nosił robioną na drutach czapkę. Zepsute zęby były bardzo charakterystyczną cechą. Molly miała nadzieję, że porywacz nie zdąży wybrać się do dentysty.

Nie wiedziała - nikt zresztą nie mógł być tego pewien - jak dokładny był opis, który przedstawiła Emma. Tak czy inaczej, portret pamięciowy porywacza został przekazany policji w San Francisco oraz FBI. Nie ulegało wątpliwości, że szanse porywacza są teraz znacznie mniejsze, lecz Molly czuła, że niebezpieczeństwo nadal istnieje. Kiedy wróca do domu, ten człowiek będzie na nie czekał.

Zdecydowała, że po powrocie do Stanów nie pojedzie z Emmą do Denver. Nie, przeprowadzą się do zupełnie innego miasta i zmienią nazwisko. Znikną, rozpląną się w powietrzu, żeby porywacz nie był w stanie ich znaleźć. Miała wystarczająco dużo pieniędzy, które dostała od Loueya po sprawie rozwodowej, i była niezłym fotografem. Postanowiła, że odnowi swoje zawodowe kontakty. Co prawda nie miała ich zbyt wiele, ale od czegoś trzeba zacząć. Jej największym osiągnięciem były zdjęcia Loueya, które sześć lat temu ukazały się w magazynie „Rolling Stone”. Ludzie z branży wiedzieli, kim jest Molly, ale to było właściwie wszystko.

Emma zlepiła ostatnie kawałki chleba w większą kulkę i rzuciła nieustępliwej kaczce.

- Hej, Em, może kiedy dorośniesz, otworzysz własną firmę cateringową! - zawołała Molly.

Kaczki przestały kwakać. Wiedziały, że chleb już się skończył i teraz wracały do jeziora, kołysząc się z nogi na nogę i niezgrabnie zarzucając kuperkami.

- Co to takiego, mamó?

- W takiej firmie przygotowuje się jedzenie dla ludzi na specjalne okazje. W tym zawodzie trzeba być twórczym, mieć wyobraźnię i robić zjedzeniem różne rzeczy, tak jak ty teraz ulepiłaś jabłuszko z okruchów chleba. Czasami trzeba być artystą.

- I musiałabym karmić ludzi jak kaczki?

- Czy to był żart, Emmo?

Emma zastanawiała się przez chwilę, potem uśmiechnęła się lekko.

- Chyba nie.

- Nie, nie chodziło mi o to, że jedliby ci z ręki. No, w każdym razie nie dosłownie...

Rozejrzała się po pięknym parku, objęła Emmę i przyciągnęła ją do siebie. Bardzo chciała zapytać córkę, o czym teraz myśli i co czuje, ale bała się,

że mogłaby niewłaściwie zareagować, gdyby Emma powiedziała jej o czymś strasznym, o czymś, co niedawno przeżyła.

- Mamy dziś słońce - zauważyła zamiast tego głosem pełnym czułości i ogromnej miłości, jaką czuła do córki. - Może wybralibyśmy się na wycieczkę do zamku Bunratty? I urządzilibyśmy piknik? Co ty na to? Gdy byliśmy tam poprzednio, padał deszcz, więc szybko uciekliśmy do samochodu, ale Ramsey mówi, że w słoneczne dni zamek Bunratty jest naprawdę bardzo pięknym miejscem.

Emma zawsze się uśmiechała, kiedy ktoś wspominał przy niej o zamku Bunratty. Zamek znajdował się nieco na zachód od Limerick. W 1644 roku urodził się tam William Penn. To właśnie tego zamku bronił w czasie wojny domowej ojciec Williama, admirał Penn, który po zakończeniu walk popłynął do Ameryki. To z kolei dawało początek historiom o kwakrach i Pensylwanii, które Ramsey potrafił niezwykle zajmująco opowiadać.

Emma wytarła ręce o dzinsy i spojrzała na matkę.

- Chciałabym sama wspiąć się na te wszystkie schody - powiedziała. - Ramsey nie musiałby mnie wnosić. Tak, jedźmy, mamo. Tommy mówi, że na razie nie ma tam jeszcze dużo turystów, ale lada chwila zaczną przyjeżdżać.

Molly zamrugnęła. Był koniec maja. Całe jej życie zmieniło się w sposób tak dramatyczny i nieodwołalny, że ostatnio nie pamiętała ani jaki jest miesiąc, ani dzień tygodnia.

- To prawda, sezon właściwie się jeszcze nie rozpoczął - zauważyła. - To miło...

Zaledwie miesiąc temu robiła zdjęcia, usiłowała szlifować swoje umiejętności, a jej życie pełne było rozmaitych zajęć i rozrywek. Czasami czegoś jej brakowało, ale zdarzało się to raczej rzadko. Na jesieni Emma miała pójść do pierwszej klasy i obie nie mogły się tego doczekać. Potem Emma została porwana i już nic nie było takie jak przedtem.

Emma wyciągnęła do niej lewą rękę.

- Dostałam to od Tommy'ego - pochwaliła się, pokazując matce mały, przepięknie wykonany pierścionek z ciemnego srebra z fioletowym oczkiem. - Powiedział, że to celtycka robota.

Molly przytrzymała jej drobną białą dłoń i uważnie obejrzała pierścionek.

- Jest śliczny - rzekła. - Dał ci go dziś rano?

- Wczoraj. Obiecał, że da mi coś w prezencie, jeżeli zjem owsiankę.

Molly poczuła nagłe ukłucie lęku. Widziała, że Tommy rozmawiał z Emmą, ale kiedy dał jej pierścionek? Czy sympatyczny Tommy był jednym z czyhających na córeczkę potworów? Czy usiłował zaskarbić sobie jej zaufanie? Przez chwilę była tak przerażona, że prawie nie mogła oddychać.

Nie, nie może przecież wpadać w panikę zupełnie bez powodu. Tommy jest miłym, najwyżej siedemnastoletnim chłopcem o intensywnie rudych włosach, z usianą piegami jasną cerą. Miłym, pogodnym chłopcem, nie żadnym potworem. Mimo to mocniej ujęła dłoń Emmy.

- Mamo, za mocno mnie ściskasz!

- Słucham? Och, Em, bardzo cię przepraszam! Popatrz, jest Ramsey. Zapytamy go, czy też ma ochotę pojechać do zamku Bunratty.

Godzinę później opuścili Dromoland, zabierając ze sobą koszyk, a w nim kanapki z szynką i żółtym serem, który postawili na tylnym siedzeniu obok Emmy. Kanapki były bez żadnych dodatków w rodzaju majonezu, musztardy, pomidorów czy sałaty, ponieważ Irlandczycy, jak Molly zdążyła się zorientować, po prostu ich nie uznawali. Na szczęście mieli chipsy ziemniaczane i mnóstwo pędzonego w okolicy jabłeczniaka.

Drogi były tu tak wąskie, że gdyby z naprzeciwka nadjechał jakiś samochód, musieliby zjechać w niszę na pobocze i poczekać, aż ich minie.

- Już prawie przyzwyczailem się do lewostronnej jazdy - powiedział Ramsey. - We wschodniej części Irlandii mieszka dużo więcej ludzi i drogi są znacznie lepsze. Zanim dotrzemy do Dublina, zobaczymy jeszcze wiele dziwnych rzeczy.

Na parkingu pod zamkiem Bunratty stał tylko jeden autokar wycieczkowy, mieli więc cały piękny park dla siebie. Emma zupełnie sama weszła na prowadzące do zamku schody.

- Chyba go znaleźliśmy, a w każdym razie wiemy, kim jest.

Ramsey mocno zacisnął palce na słuchawce. W Irlandii była północ, w Waszyngtonie siódma wieczorem.

- Ramsey, jesteś tam? - zniecierpliwiał się Savich. - Przeklęte telefony! Nie słyszysz mnie?

- Słyszę cię, Savich. Naprawdę go znaleźliście?

- Tak. Jeszcze go nie zapuszkowaliśmy, ale mamy jego dane. Nazywa się John Dickerson alias Sonny Dickerson alias Ojciec Sonny. Ma czterdzieści osiem lat i jest byłym księdzem. Kościół musiał się go pozbyć, ponieważ jego grzeszki były tak oczywiste, że biskupi i kardynał nie mogli ich dłużej ignorować. Pamiętasz, że kiedyś księży-pedofilów przenoszono z jednej Bogu ducha winnej parafii do drugiej, poddając ich tylko krótkiemu leczeniu psychiatrycznemu?

- Tak. Dzięki Bogu teraz Kościół przekazuje ich prosto w ręce prokuratora.

- Bo wszyscy zdali sobie sprawę, że tej przypadłości nie da się wyleczyć. Otóż ten facet był tak mocno pokręcony, że w jego ostatniej parafii ludzie w ciągu tygodnia zorientowali się, co z niego za ziółko. Niestety, w tym czasie o mało nie zgwałcił małej dziewczynki, której matka poszła na chwilę do toalety. W kościele odbywała się akurat generalna próba przed ślubem, więc kiedy matka zobaczyła, co się dzieje i zaczęła krzyczeć na całe gardło, zbiegło się mnóstwo ludzi. Przyszli państwo młodzi mieli niemiłą niespodziankę. Dickerson dopiero rok temu wyszedł z więzienia. Miał co tydzień meldować się na posterunku policji, ale oczywiście ani razu tego nie zrobił. W gruncie rzeczy jest zbiegiem, ale nikt nawet nie próbował go szukać. Wiesz, jak to jest - za mało policjantów, ważniejsze dochodzenia i tak dalej.

- Czy jego wygląd zgadza się z opisem Emmy?

- Słuchaj uważnie, bo to, co teraz powiem, to prawdziwa ciekawostka. Wprowadziłem szkic do Algorytmicznego Programu Badania Portretów Pamięciowych. Opinia publiczna jeszcze nie wie o istnieniu tego programu, dostałem go od przyjaciela, który pomógł opracować go dla Scotland Yardu. Podałem program pewnym modyfikacjom i teraz FBI może z niego stale korzystać. Ostatnio załadowaliśmy do niego fotografie wszystkich pedofilów, karanych na terenie Stanów, oraz przestępców z kilku innych grup. Z pomocą MAXINE obrobiliśmy szkic tak, żeby jak najbardziej przypominał zdjęcie i wprowadziliśmy go do bazy danych. Program między innymi porównuje rozstawienie oczu, długość nosa, wielkość górnej wargi, odległość między różnymi kośćmi czaszki, rozumiesz, w czym rzecz. Ponieważ MAXINE i ja jesteśmy bardzo elastyczni, po dokonaniu porównań uzyskaliśmy listę kilkuset kryminalistów z grubsza odpowiadających opisowi Emmy. W ciągu niecałej godziny odnaleźliśmy w tej grupie Ojca Sonny'ego. Posiada wszystkie pozostałe cechy charakterystyczne - jest nałogowym palaczem, ma zepsute zęby, za dużo pije. Z raportów więziennych wynika, że systematycznie odrzucał propozycje leczenia dentystycznego. „Nie pozwolę, aby jakiś dupek wiercił mi w gębie maszyną”, powiedział. Dickerson to ciężki przypadek, Ramsey, naprawdę ciężki. Wypuścili go z Folsom tylko dlatego, że nie mieli wyboru.

- Czy napastował i chłopców, i dziewczynki?

- Najwyraźniej przed wyrokiem nie miał specjalnych preferencji - odparł Savich. - Może Shaker wynajął go, aby porwał Emmę, ale teraz Dickerson niewątpliwie działa na własną rękę, ponieważ Louey nie żyje. Zresztą Emma zdołała mu przecież uciec...

- Nie wyobrażam sobie, aby Shaker chciał jeszcze kiedykolwiek mieć do czynienia z tym facetem - powiedział Ramsey.

- Kiedy go wynajmował, na pewno nie miał pojęcia, że to pedofil.

- Też mi się tak wydaje - mruknął Savich. - Wygląda więc na to, że Dickerson sam podjął decyzję o przyjeździe do San Francisco. Cholernie ryzykował, próbując porwać Emmę dosłownie na twoich oczach. Prawdopodobnie zupełnie nad sobą nie panuje.

- Tak, to wygląda na obsesję. Oględnie mówiąc, Dickerson już dawno pożegnał się ze zdrowym rozsądkiem.

Savich zaklął, co prawie nigdy mu się nie zdarzało.

- Fiksacja, obsesja, jak zwał, tak zwał. Najważniejsze, że Ojciec Sonny jest nadal na wolności. Nasi psychiatrzy, zajmujący się pedofilami, twierdzą, że niektórzy z ich pacjentów wierzą, iż dziecko, które sobie upatrzą, może ich uratować. Dickerson jest byłym księdzem, więc niewykluczone, że wbił sobie do głowy, iż Emma uratuje jego duszę przed potępieniem i oczyści go z grzechów, sprawi, że Bóg wszystko mu wybaczy. Podobno zboczeńcy, którym nie udało się z jednym dzieckiem, po pewnym czasie starannie wybierają inne i zaczynają od początku. Pojawia się pytanie, dlaczego w takim razie Dickerson chce odzyskać Emmę. Czy dlatego, że mu uciekła, a więc to nie on podjął decyzję? Czy pragnie władzy, czy zależy mu, aby posiadać kontrolę nad życiem innych?

- Może po prostu nadal wierzy, że tylko Emma może go zbawić - rzekł Ramsey. - Że proces oczyszczenia jeszcze się nie zakończył i dlatego musi ją odzyskać. Mówił jej, że jest mu bardziej potrzebna niż on Bogu, coś w tym rodzaju. Wiesz co, Savich? Z przyjemnością ukatrupiłbym tego skurwysyna.

- Ty i jeszcze miliard innych ludzi. Wszyscy nasi agenci dostali już portret Ojca Sonny'ego, jak nazywali go więzienni towarzysze. Wcześniej czy później ktoś go zauważy i rozpozna. Dostaniemy go, Ramsey. Twoja znajoma z policji w San Francisco, Virginia Trolley, zgodziła się zająć wszystkim na miejscu. Jak tam Emma? Podoba jej się w Irlandii?

- O tak. Uwielbia karmić kaczki w Dromoland i zwiedzać zamki. Odkąd tu przyjechaliśmy, nie miała złych snów. Nie mówiłem ci o tym, ale trochę mnie



martwiło, że jest zawsze taka spokojna i grzeczna. Dziś po raz pierwszy zachowywała się jak prawdziwe dziecko, Savich. Po południu zaczęła jęczeć, grymasić i marudzić, nie chciała słuchać matki. Zrobiło mi się ciepło koło serca. Molly mówi, że musimy się bardzo starać, by jej nie rozpuścić, ale kiedy pomyśli się o wszystkim, co przeżyła, trudno ją karcić. Robimy, co możemy. - Ramsey przerwał na chwilę. - Dziś rano obserwowałem, jak Molly ją fotografowała. Emma karmiła kaczki i śmiała się głośno, słońce świeciło, kaczki kwakały jak szalone...

- I?

- Nie wiem - mruknął Ramsey. - Naprawdę nie wiem, dlaczego ci o tym opowiadam. - Oczami wyobraźni ujrzał śliczną buzię Emmy i zaraz zobaczył dziewczynkę leżącą na boku w lesie, kiedy ją znalazł, ujrzał siniaki na jej drobnym ciele, krew na nogach. Nagle ogarnęła go przerażająca wściekłość. Zacisnął palce na słuchawce tak mocno, że knykcie mu pobielwały. - To niesprawiedliwe, Savich. Coś takiego nigdy nie powinno się zdarzyć, ani Emmie, ani żadnemu innemu dziecku.

- Ale dobrze wiesz, jak często się zdarza, Ramsey. Jako prokurator i sędzia widziałeś mnóstwo takich spraw, prawda?

- W San Francisco nie brak takich, którzy uważają, że jestem zbyt surowy dla tego rodzaju przestępców, ale ja się z tym nie zgadzam. Czy można być dla nich zbyt surowym? Nie ma kuracji odwykowych dla pedofilów, Kościół także odkrył tę prawdę, więc musimy walczyć o to, aby trzymać tych ludzi z dala od dzieci.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali o Paryżu i o reakcji Sherlock na zwrot „w ciąży”.

- Przypadkiem użyłem go w trzygwiazdkowej restauracji na Wyspie św. Ludwika - powiedział Savich ze śmiechem. - Sherlock o mało nie zwymiotowała prosto na pyszne francuskie grzybki nadziane czymś, czego nazwy nawet nie potrafię wymówić. Założę się, że znaczy to: „tłuste flaki

turysty”, albo coś takiego, ale może się myłę. Tak czy inaczej, nasz kelner z szaleństwem w oczach najpierw machał ściereczką, a potem szybko zaprowadził Sherlock do damskiej toalety, dosłownie w ostatniej chwili.

- Łazienka była bardzo ładna, szkoda tylko, że nie zdążyłam do ubikacji - odezwała się Sherlock.

- Chyba nie potrwa to już zbyt długo, prawda? - zapytał Ramsey.

- Lekarz mówi, że jeszcze miesiąc. Zastanawiam się, czy nie powinnam zakneblować Dillona na ten okres, ale wtedy nie mógłby mnie całować jak należy. Trudna sprawa. Jak czuje się Molly?

- Jakoś się trzyma. Robi mnóstwo zdjęć, nawet mnie. Podnoszę głowę i co widzę? Oczywiście Molly, przekręcającą rozmaite tarcze na aparacie, przyjmującą najdziwniejsze pozycje i mamroczącą pod nosem o oświetleniu i tym podobnych sprawach. Wydaje majątek na filmy. Chcecie z nią porozmawiać?

Molly wymknęła się z łóżka i podeszła do telefonu. Emma na szczęście spała mocnym i spokojnym snem. Molly zamieniła parę słów z Sherlock i wybuchnęła cichym, ciepłym i zaraźliwym śmiechem. Ramsey uśmiechnął się szeroko. Wracając do łóżka, podśpiewywała jakąś przyjemną melodię.

## ***Rozdział 28***

Ramsey umył zęby, zakręcił tubkę pasty, wypłukał szczoteczkę i postawił ją w szklance na półeczce nad umywalką. Sięgnął ręką w głąb kabiny prysznicowej, żeby puścić wodę, gdy nagle coś usłyszał. Wyprostował się i odwrócił twarzą do drzwi łazienki. W progu stała Molly. Ubrana była w bawełnianą koszulkę nocną, włosy miała potargane, a oczy zastanawiające bystre i czujne. Wpatrywała się w jego członek.

- Molly?

- Co? Och, przepraszam cię, Ramsey... Nie zdawałam sobie sprawy, że tu jesteś i...

Umilkła, lecz ani na chwilę nie przestała mu się przyglądać. Nawet kiedy się odezwała, nie podniosła oczu na jego twarz, co tam twarz, nawet na jego piersi.

- Lepiej już pójde - powiedziała, nadal nie patrząc mu w oczy.

- Wezmę tylko prysznic, to potrwa najwyżej parę minut.

- Wytrzymam - odparła i już jej nie było.

Ramsey zerknął w dół. Jego penis nabrzmiwał, i to szybko. Co tam, do diabła, jest przecież mężczyzną, a mężczyźni nie mają władzy nad swoimi członkami. Penis jest jedynym całkowicie niezależnym organem męskiego ciała... Cóż, biorąc pod uwagę, ile czasu spędzili razem, można się tylko dziwić, że coś takiego nie wydarzyło się znacznie wcześniej.

Dokładnie namydlając pierś i brzuch, pomyślał, że chciałby zaskoczyć Molly w podobnej sytuacji. Ciekawe, jak by się zachowała, gdyby stał tak, pochłaniając wzrokiem jej ciało i nie podnosząc oczu powyżej piersi. Ciekawe, co myślała o jego ciele... Widywała już go z erekcją, zwłaszcza rankami, kiedy obydwoje spędzali noc w tym samym pokoju, nigdy jednak nie widziała go nagiego.

W ciągu ostatniego miesiąca nie ćwiczył ani razu, nie licząc sesji z Savichem w imponującej siłowni Masona Lorda. Oczywiście że dużo spacerował i napędzał swój układ krążenia różnymi stresami, ale to nie to samo. Musiał poćwiczyć, organizm domagał się porządnej porcji wysiłku. Napiął mięśnie i przeciągnął się. Ciekawe, czy w Irlandii są jakieś dobrze wyposażone siłownie... Powinien chodzić jeszcze więcej niż dotąd, może, zamiast sztangi, nosząc Emmę na barana.

Zaczął pogwizdywać pod nosem. I co o mnie myślisz, Molly? Spodobało ci się to, co zobaczyłaś? Po paru minutach wyszedł z łazienki, umyty i kompletnie ubrany.

- Łazienka do twojej dyspozycji - powiedział z uśmiechem.

Zmusiła się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Dziękuję - odparła.

Tego samego dnia późnym popołudniem siedzieli na brzegu urwiska w Moher, czekając, aż wielka, błyszcząca słoneczna kula zanurzy się w falach Atlantyku. Ramsey wziął Molly za rękę, podniósł ją do warg i ucałował każdy jej palec z osobna. Natychmiast znieruchomiała z przerażenia, niczym jeleni w świetle samochodowych reflektorów.

- Emma nie patrzy na nas w tej chwili - odezwał się cicho, nie wypuszczając jej dłoni. - Chyba chce, żebyśmy kupili jej jeszcze jeden celtycki pierścionek u tamtego sprzedawcy. Obejrzała całą biżuterię, jaką ma w gablocie. Nie spuszczam z niej lewego oka, nie martw się. Wiesz, Molly, sądzę, że powinniśmy się pobrać. Co ty na to?

Molly zerwała się na równe nogi i zrobiła trzy kroki do tyłu. Ramsey nie ruszył się z miejsca, odwrócił tylko głowę i spojrzał na nią. Potem przeniósł spojrzenie na Emmę, która teraz znajdowała się w odległości trzech metrów od nich, trzymając się w pobliżu młodego małżeństwa z dwiema małymi dziewczynkami.

Molly zaplotła ramiona za plecami i energicznie potrząsnęła głową. Jej rude włosy natychmiast ułożyły się w dziką aureolę, loki rozsypały się we wszystkich kierunkach. Wyglądała naprawdę pięknie. Słońce chyliło się ku zachodowi za jej plecami, przeobrażając czerwonawe sprężynki włosów w płynny metal.

- Myślisz, że musisz się ze mną ożenić? - zapytała niskim głosem, starannie unikając jego wzroku. - Tylko dlatego, że zobaczyłam cię dziś rano nagiego i że zagapiłam się na ciebie, a moje małe serduszko zapłonęło pożądaniem? Przecież to bez sensu, Ramsey. Przyznaję, że wyglądasz najbardziej atrakcyjnie ze wszystkich mężczyzn, których widziałam w podobnej sytuacji...

- To znaczy ilu?

- Dwóch.

- Umieram z radości.

- Dwóch razem z tobą.

- Cofam to, co przed chwilą powiedziałem.

- Nie wygłupiaj się. Widziałam wiele zdjęć i filmów z nagimi lub prawie nagimi mężczyznami. Wyglądasz lepiej od tych najprzystojniejszych i na pewno dobrze o tym wiesz, przecież nie jesteś ślepy i głupi. - Przerwała nagle, jakby dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, co mówi, i wydeła wargi jak zirytowana nauczycielka. - Nadal pamiętam, jak wyglądałeś dziś rano, ale nie chcę o tym więcej mówić. Tak, mam dosyć rozmowy o twoim ciele.

Dobrze się składa, pomyślał Ramsey, który poczuł, że znowu ma erekcję. Dobrze się składa, bo jesteśmy w miejscu publicznym i na dokładkę bardzo chce mi się śmiać.

- W porządku, wystarczy, przynajmniej na razie. A skoro już o tym mówimy - nie poprosiłem cię o rękę dlatego, że zaskoczyłaś mnie w łazience na golasa. Jeśli mam być szczery, to zastanawiałem się, jak to możliwe, że nie przydarzyło nam się to wcześniej. Czy myślisz, że czułabyś się moralnie zobowiązana do oświadczeń, gdybym to ja ciebie zastał w takim stanie?

- O Boże, zapadłabym się chyba pod ziemię... Nie jestem taka piękna jak ty, Ramsey. Jestem... Jestem strasznie koścista.

Przez chwilę w milczeniu obserwował jej twarz i cudowne włosy.

- Nigdy więcej tak o sobie nie mów - warknął w końcu. - Nie masz pojęcia, jak mnie to wkurza.

Z trudem przełknęła ślinę i spuściła głowę.

- Przecież to prawda...

- Bzdury, nieprawda. - Zerknął na opadające coraz niżej słońce. - Siadaj - powiedział, nie patrząc na nią. - Nie chcę, żebyś to przegapiła.

- Więc nie trzeba było tego mówić właśnie w takiej chwili. To przez ciebie zachód słońca stracił dla mnie cały urok.

- Pomyślałem, że połączenie takich dwóch rzeczy właśnie w tej chwili to doskonały pomysł...

Molly spojrzała na Emmę, która teraz bawiła się z dwiema dziewczynkami pod okiem ich rodziców. Pomachała im. Matka dziewczynek odpowiedziała tym samym gestem. Molly usiadła powoli i ostrożnie, jakby miała na sobie sukienkę z tak przejrzystej tkaniny, że Ramsey mógłby bez trudu zobaczyć przez nią całe ciało. Skrzyżowała nogi i oparła dłonie na kolanach.

Paznokcie miała obcięte krótko, porządnie. Ubrana była w czarne dżinsy i czarne buty do połowy łydki, a jej jaskrawożółtą kurtkę wydymał na plecach wieczorny wiatr. Nie patrzyła na Ramseya, lecz na intensywnie czerwone słońce, które stało już tak nisko nad wodą, że barwiło ją na kolor krwi.

- Byłeś żonaty?

Przechodzimy do konkretów, pomyślał.

- Tak. Ożeniłem się, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata i dopiero zaczynałem studia na wydziale prawa.

- Zrobiłeś jej dziecko? - zapytała z wystudiowanym cynizmem.

- Nie. Była żołnierzem oddziału komandosów, właśnie przeszła podstawowe szkolenie i dowództwo wysyłało ją do jakiegoś zapomnianego przez Boga miejsca w Afryce. Zależało nam, żeby pobrać się przed jej wyjazdem.

- Co było dalej?

- Byliśmy szczęśliwi. Moja żona żyła w wiecznych rozjazdach, zawsze w drodze, ale nie narzekaliśmy. Powiedziała, że dzieci wolałyby mieć trochę później. Zgodziłem się. A później... Później było już za późno.

Wszystkie jego mięśnie napięły się nagle, skóra pokryła się cienką warstewką wilgoci, zupełnie jak tamtego dnia, kiedy wyszedł z sali sądowej, szczęśliwy, bo właśnie wygrał ważny proces, i zobaczył czekających na niego

mężczyznę i kobietę, oboje w mundurach. O tak, w tamtej chwili zrozumiał wszystko, wiedział, że Susan nie żyje...

- Zginęła. Jej helikopter rozbił się na pustyni w Kuwejcie, pod koniec wojny w Zatoce, w 1991 roku. W następnym tygodniu miała wracać, do domu.

- Przykro mi - szepnęła Molly. - Tak mi przykro...

- Życie bywa cholernie paskudne.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie, wcale nie musisz zachowywać się jak twardy mężczyzna...

- Dlaczego nie? - zapytał gniewnie, odwracając się do niej. - Teraz mogę przynajmniej mówić o tym spokojnie i po męsku, ale przez bardzo długi czas nie potrafiłem nawet wymówić jej imienia, bo natychmiast łzy napływały mi do oczu i zaczynałem płakać jak bóbr. Poza tym przecież właśnie ty wiesz najlepiej, że życie naprawdę bywa cholernie paskudne...

Nie rozumiała, co czuje, ponieważ jej własne doświadczenia w małżeństwie były zupełnie inne.

- Musiałeś ją bardzo kochać - odezwała się po chwili.

- Tak, ale Susan zginęła wiele lat temu, Molly. Jest też faktem, że nie znaliśmy się zbyt dobrze, bo prawie nigdy nie było jej w domu. Kiedy wracała, każdą chwilę spędzaliśmy w łóżku, aż do jej następnego wyjazdu. Oczywiście także rozmawialiśmy, ale nie pamiętam, o czym, chociaż nie raz usiłowałem to sobie przypomnieć. Trudno uwierzyć, ale więcej wiem o tobie niż o niej. Nie pamiętam na przykład, w jaki sposób wyciskała pastę z tubki, natomiast wiem, że ty robisz to od środka. Nie mam pojęcia, w czym lubiła sypiać, a wiem, że ty uwielbiasz powłóczyste nocne koszule. Widziałem, jak głaskałaś jedną, miałeś ogromną ochotę ją spakować. Oczywiście, w mojej obecności nosisz tylko te bawełniane pokrowce od szyi po palce u nóg. Nie wiedziałem, co Susan lubiła jadać na śniadanie. Ty lubisz płatki Grape’Nuts, chyba że akurat bardzo ci się spieszy, bo wtedy w ogóle nie jesz śniadania. Lubiała moje ciało i mówiła mi o tym wiele razy, ale nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek spojrzała na mnie

tak jak ty dziś rano. Miałaś ochotę oblizać się jak kot na widok śmietanki, Molly. Byłaś zbyt zaabsorbowana, żeby chociaż raz spojrzeć mi w oczy. Poczulem się jak bożek seksu, to było wspaniałe... Czy to nie dziwne? Byliśmy małżeństwem przez prawie trzy lata, ale wcale się dobrze nie znaliśmy...

Spojrzał na słońce, potem poszukał wzrokiem Emmy. Śmiała się z czegoś, co powiedziała jedna z dziewczynek. Po tym, jak porywacz usiłował zabrać ją z plaży nieomal na jego oczach, co kilkanaście sekund sprawdzał, czy mała nadal jest w pobliżu.

- Może rzeczywiście dziwne... - mruknęła Molly. - Ale ja także nie znałam dobrze Loueya. Zwykle nie było go w domu, podobnie jak Susan, tylko że on, w przeciwieństwie do niej, po powrocie zawsze zachowywał się jak ostatni idiota. - Westchnęła. - Od śmierci Loueya minął dopiero tydzień, ale mnie się wydaje, że upłynęło znacznie więcej czasu. Boże, mam wrażenie, że znam cię od zawsze.

- To dlatego, że wydarzenia, w których uczestniczyliśmy, były wyjątkowo dramatyczne. Takie przeżycia bardzo zbliżają ludzi.

- Chyba tak... - Przez chwilę w skupieniu wpatrywała się w jego twarz w charakterystyczny dla siebie sposób, jakby zamierzała zrobić mu zdjęcie. - Ty natomiast wyciskasz pastę od samego dna, starannie zwijając tubkę. Czy śpisz nago, kiedy jesteś sam?

- Najczęściej.

- Słuchaj, Ramsey, mój ojciec jest gangsterem, a ty sędzią federalnym...

- Poradzę sobie z twoim ojcem. Wolałbym, co prawda, mieć do czynienia z twoją macochą, ale cóż, obejdę się smakiem.

Molly uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Eve to naprawdę osoba jedyna w swoim rodzaju, co?

- Tak. Przez większość czasu, jaki spędziliśmy w domu twojego ojca, dałbym sobie rękę uciąć, że wyszła za niego dla forsy, ale zdarzały się chwile, kiedy byłbym gotowy przysiąc, że kierowała się zupełnie czym innym. -



Wzruszył ramionami. - Może pewnego dnia dowiemy się, na czym jej rzeczywiście zależy.

- Mój ojciec traktuje ją jak kompletne zero.

- Rzeczywiście, ma drobny problem z podejściem do kobiet, nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że to się zmieni.

Zerknął na Emmę. Razem z pozostałą dwójką dzieci pod okiem ich ojca rozkładała latawiec. Uśmiechnął się. Emma doskonale wiedziała, jak poradzić sobie z tym zadaniem. Molly okazała się doskonałą nauczycielką. Pamięć natychmiast podsunęła mu obraz Emmy, biegnącej z latawcem przez łąkę przed domkiem w górach. Zaraz potem pojawili się ci mężczyźni z bronią... Wydawało mu się, że to wszystko wydarzyło się w innym życiu, innemu Ramseyowi Huntowi. Otrząsnął się z niemiłych wspomnień.

- Wróćmy do zasadniczego tematu, Molly. Żadne z nas nic nie poradzi na to, że ma takich, a nie innych rodziców. To nie jest największy problem, wierz mi.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach.

- Ojciec jest dentystą. Kiedy spotyka kogoś po raz pierwszy, z zaciekawieniem przygląda się jego zębom, zupełnie jakby miał do czynienia z koniem. Masz wspaniałe uzębienie, więc najprawdopodobniej zakocha się w tobie od pierwszego wejrzenia. Mój staruszek nie jest zbyt skomplikowanym człowiekiem. Wystarczy pokazać mu piękne zęby i już jest w siódmym niebie. Mama jest emerytowaną nauczycielką historii, uczyła w liceum. Kiedy powiedziałem, że idę na prawo, rozplakała się. Uważa, że wszyscy prawnicy to ostatni dranie. Wybaczyła mi dopiero wtedy, kiedy na kolanach przysiągłem, że będę zawsze bronił porządnych ludzi. Była dosyć zadowolona z mojej pracy prokuratora, ale nadal opowiada mi wszystkie kawały o prawnikach.

- A kiedy pracowałeś jako obrońca z urzędu?

Ramsey pochylił głowę.

- Na szczęście to trwało tylko półtora roku. Nienawidziłem tej roboty.

- Więc?

- Nic jej nie powiedziałem. Odkąd jestem sędzią, traktuje mnie tak, jakbym wchodził w skład Sądu Najwyższego i zadaje mi najróżniejsze pytania na temat Sandry Day O'Connor oraz Ruth Bader Ginsburg, które miałem okazję widzieć tylko raz w życiu. Moja mama jest wspaniałą kobietą i w niczym nie przypomina Eve. Mam też dwóch starszych braci. Jeden jest zawodowym wojskowym, w randze generała z dwoma gwiazdkami. Ma troje dzieci. Drugi, Tony, zajmuje się przygotowaniem przemówień dla polityków, mieszka w Waszyngtonie, ma bardzo miłą żonę i dwoje dzieci. Żadne z nich nie bierze prochów ani nie siedzi w więzieniu.

Spojrzał na Emmę dokładnie w tej samej chwili, kiedy zrobiła to Molly. Ich oczy się spotkały. Uśmiechnęli się do siebie.

- Chyba już do końca życia będę co parę sekund sprawdzać, co dzieje się z Emmą. - Westchnęła. - Na pewno nie schowam antenki nawet wtedy, kiedy będzie dorosła.

- Chciałabyś mieć więcej dzieci?

- Kto wie... Dwoje, może nawet troje... Lubię dzieci.

Ramsey uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Teraz wypuścił powietrze z płuc i roześmiał się.

- Ja również myślałem o trójce. Mam trzydzieści cztery lata, Molly. Jak na sędziego jestem bardzo młody, ale mój zegar biologiczny tyka. Słyszałem, że mężczyźni powinni mieć dzieci przed czterdziestką, bo w tym wieku ryzyko powikłań genetycznych jest znacznie mniejsze.

Lekko trąciła go w nogę.

- Chodzi ci o to, że po czterdziestce będziesz zbyt brzuchaty i zmęczony życiem, żeby dotrzymać dzieciom kroku?

Nachylił się, ujął jej podbródek i pocałował ją w usta. Potem cofnął głowę i popatrzył na nią uważnie.

- Masz też bardzo piękne oczy. W tej chwili są odrobinę nieprzytomne, ale to także mi się podoba...

Obejrżeli się, słysząc głośnie oklaski. Emma biegła w dół zbocza, ciągnąc unoszący się wysoko w powietrzu latawiec. Z wyczuciem rozwijała sznurek, dokładnie tak, jak nauczyła ją Molly. Śmiała się, a wiatr targał jej włosy. Purpurowy cień słońca spłynął na wodę i zniknął.

Ramsey spojrzał na Molly i znowu na Emmę. Na jego twarzy malowała się czułość i spokojna radość.

- Obydwoje jesteśmy dosyć inteligentni - powiedział cicho. - Poradzimy sobie ze wszystkimi trudnościami. Dajmy sobie szansę, Molly.

- Mógłbyś pocałować mnie jeszcze raz, Ramsey?

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Drugi pocałunek trwał nieco dłużej, lecz Ramsey nie pozwolił, aby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Posmakował jej ślinę, leciutko uszczypnął zębami dolną wargę i zapragnął, aby rozchyliła usta, tylko odrobinę... Z drugiej strony może jednak lepiej, że tego nie zrobiła, bo sam nie był pewien, czy powinien wsuwać język w jej usta właśnie tutaj, na urwisku w Moher, z Emmą oddaloną od nich najwyżej o dziesięć metrów.

Cofnął się. Bardzo jej pragnął, chyba bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. Jeśli miał być szczery, to nie bardzo potrafił sobie przypomnieć, jak się czuł, kiedy był z Susan. Susan należała do przeszłości, przeszłości, która kryła drogie mu wspomnienia i z każdym dniem spędzonym z Molly i Emmą stawała się coraz mniej wyraźna.

Znalazł nowy cel w życiu, nowe uczucia, których siła czasami zupełnie go zaskakiwała. Pocałował ją znowu, lekko, tylko na próbę i nagle uświadomił sobie, że oni dwoje naprawdę doskonale się znają. Uśmiechnął się, usiłując zgadnąć, o czym teraz myśli. Molly wiedziała, dlaczego on chce się z nią ożenić, wiedziała i akceptowała to. Ramsey kochał Emmę i pragnął zawsze się

nią opiekować. Aby spełnić to pragnienie, musiał zostać mężem jej matki. Molly powoli polizała dolną wargę w miejscu, gdzie uszczypnął ją zębami.

- Zależy ci tylko na tym, żeby dalej czuć się jak bożek seksu - zamruczała.

Uwielbiał jej poczucie humoru, chociaż tak rzadko dawała mu wyraz. Jej życie było ostatnio bardzo ponure, ale właśnie dlatego żartobliwe uwagi, które czasem od niechcienia rzucała, wydawały mu się tak cenne. Cieszył się, że będzie mógł śmiać się wraz z nią przez resztę życia, jeżeli, oczywiście, zdecyduje się za niego wyjść.

- Jak na to wpadłaś? - zapytał.

Obserwowała go bez słowa, badawczym wzrokiem, z przechyloną na bok głową, znowu tak, jakby chciała go sfotografować.

- Seks to część umowy - powiedziała w końcu. - Wiem, że podobają ci się moje włosy, a nawet moje oczy. Ale jestem chuda i koścista, o czym także wiesz. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby się ze mną kochać?

Ani na moment nie przestał patrzeć jej prosto w oczy.

- Zdaję sobie sprawę, że tego właśnie oczekuje się od mężczyzny, więc spróbuję.

Roześmiała się. Miała ochotę położyć dłoń na jego udzie i powoli przesunąć ją wyżej, ale nie zrobiła tego.

- Co z Emmą? - zapytała trzeźwo.

- Myślę, że na początku będziemy musieli się ukrywać albo trzymać się z daleka od siebie. Mówiłem doktor Loo, że Emma chce spać w tym samym pokoju, a najlepiej w łóżku, co my obydwój, przynajmniej jedno z nas. Powiedziała, że nie ma się czym martwić, i choć właściwie dzieci nie powinny stale sypiać z rodzicami, ale ta sytuacja jest zupełnie inna. Doktor Loo uważa, że Emma sama zechce to zrozumieć, kiedy będzie na to gotowa. Więc jak, Molly, wyjdiesz za mnie?

Molly wstała i starannie otrzepała siedzenie z piasku.

- Wygląda na to, że tamci ludzie już się zbierają - zauważyła. - Chodźmy powiedzieć Emmie, że będzie miała nowego tatusia. - Ruszyła w stronę córki, lecz rzuciła Ramseyowi szeroki uśmiech przez ramię. - Tak, uwolnię pana od tego straszliwego cierpienia, sędzio Hunt.

- Powiedz to! - zawołał wystarczająco głośno, aby kilka osób odwróciło się i spojrzało na Molly. - Chcę usłyszeć, jak to mówisz!

Wiedziała, że ludzie patrzą na nią i słuchają, więc zaśmiała się głośno, kręcąc głową.

- Wyjdę za ciebie! - odkrzyknęła. - Z radością zostanę twoją żoną!

Rozległy się oklaski. Kilku mężczyzn jęknęło głośno, lecz zaraz umilkli, skarceni przez żony.

- Wspaniale - powiedział, podchodząc do niej. - Więcej niż wspaniale. Teraz będziemy prawdziwą rodziną. Tak, bardzo mi się to podoba. - Spojrzał na Emmę i jej nowe koleżanki. - Wydaje mi się, że ojciec dziewczynek chce dać Emmie latawiec. Podziękujmy im za opiekę. - Nagle zatrzymał się i przyciągnął Molly do siebie. - Mówiłem ci już, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam? I że z każdym dniem stajesz się coraz piękniejsza?

- Nie. Mówiłeś mi tylko, że mam piękne włosy.

- Bo to prawda. Przyznaję, że to twój największy urok. - Podniósł rękę i okręcił grube pasmo rudych włosów dookoła palca. Uśmiechnął się. - Są jak sprężysty jedwab. Tak, jesteś piękna, Molly. Każda chuda kosteczka w twoim ciele jest piękna... - Zerknął na Emmę, która biegła ku nim, zdyszana i zadowolona, ciągnąc za sobą latawiec. - Jesteś pewna, że wystarczająco ci się podobam?

- Jestem pewna. - Molly spuściła głowę i dokładnie otrzepała z piasku czubek buta. Potem spojrzała na niego spod rzęs, robiąc zeza. - W szczególny sposób podoba mi się twoje ciało.

Przez sekundę myślała, że Ramsey chwyci ją w objęcia, co bynajmniej nie sprawiłoby jej przykrości, ale nie zrobił tego.

- Doskonale - odparł z uśmiechem. - To dobry początek. Weźmy ślub zaraz po powrocie do domu. Moglibyśmy zatrzymać się w Nevadzie, a teraz zrobić sobie miesiąc miodowy przed ślubem, co ty na to?

Czym właściwie jest miłość, pomyślała Molly i powoli skinęła głową. Nie zdążyli ani nacieszyć się miesiącem miodowym w Irlandii, ani powiedzieć Emmie, że będzie miała nowego tatusia.

W recepcji zamku Dromoland czekał na nich faks od Savicha oraz dwie wiadomości telefoniczne. Polecieli prosto z lotniska Shannon do Chicago klasą business, w środkowej części samolotu, gdzie mieszczą się trzy siedzenia. Emmą, która siedziała między nimi, przespala prawie całą podróż, podparta trzema poduszkami i przykryta kocem. Nie wypuściła z ręki elektrycznego pianina, którego klawisze wystawały spod wełnianego pledu.

W apartamencie zamku Dromoland pianino leżało w kącie, pozornie zapomniane, aż do chwili, kiedy zadzwonił telefon, Molly zbladła, Ramsey zaklął pod nosem i zaczęli się pospiesznie pakować.

Molly zobaczyła, że sznurowadło jednej tenisówki Emmy rozwiązało się i zwisa aż do podłogi. Chwilę patrzyła na nie bezmyślnie, a potem zdjęła tenisówkę z małej stopy w skarpetce w kratkę. Uprała tę parę poprzedniego wieczoru.

Nie mówili zbyt wiele, bo życie znowu wymknęło się spod kontroli. Molly była zupełnie odrętwiała, nie czuła nic, jakby jakieś lodowate zimno spowiło jej umysł i ciało. Chwilami przychodziła jej do głowy myśl, że powinna być wdzięczna za to odrętwienie.

- Nie potrafię tak po prostu przyjąć tego do wiadomości - odezwała się cicho, aby nie obudzić Emmy. - Ciągłe myślę, że to jakaś pomyłka, że komuś się coś totalnie popieprzyło, albo że ktoś oszukał Eve.

- Wiem.

- Czy teraz aresztują Rule'a Shakera?

- Nie wiem. Na miejscu zorientujemy się, jak to wszystko wygląda. Słuchaj, Molly, twój ojciec jeszcze żyje. Bóg jeden wie, jakim cudem, ale żyje, oddycha. To dobry znak.

- Może już powiedział policji, kto do niego strzelał... - Przerwała, wpatrując się w ciemny ekran naprzeciwko. - A może już umarł...

Ramsey bez słowa sięgnął po leżący na oparciu telefon.

- Nie - rzekła Molly, kładąc rękę na jego ramieniu. - Nie. Nie chcę wiedzieć, jeszcze nie. Na razie chcę myśleć, że masz rację. Powiedział policji, kto strzelał, i kiedy wylądujemy na O'Hare, będzie już po wszystkim.

Lecz Ramsey wiedział, że jest to mało prawdopodobne, a właściwie niemożliwe.

- To był strzał oddany z dużej odległości, z ponad stu metrów, Molly - odezwał się cicho. - Zabójca najprawdopodobniej strzelał z dachu czteropiętrowego budynku po drugiej stronie ulicy. Zdaniem Savicha z analizy balistycznej wynika, że kulę wystrzelono z karabinu snajperskiego, SIG-Sauera SSG2000 lub podobnego. To popularny karabin wojskowy.

Nie powiedział jej, że kula rozdarła pierś Masona Lorda, rzucając go na zaparkowany przy krawężniku samochód. Siła uderzenia była tak wielka, że okno od strony kierowcy w nowym buicku rivierze rozprysło się w drobny mak.

- Gunther szedł o krok przed twoim ojcem. Nic mu się nie stało. Emma jęknęła we śnie. Ramsey wyciągnął rękę i łagodnie pogładził ją po plecach i ramionach. Przytuliła się do jego dłoni i natychmiast przestała pojękiwać.

- Musieliśmy jej powiedzieć, nie było innego wyjścia. Emma jest bystra.

- Wiem - szepnął. - I tylko dzięki swojej inteligencji jest w stanie to wszystko przetrwać. Musimy jak najszybciej skontaktować się z doktor Loo.

- Ojciec jeszcze żyje, Ramsey.

Nie odpowiedział. Nadal spokojnie gładził plecy Emmy. Wygodnie oparł głowę i zamknął oczy. Ledwo zdążyli przywyknąć do czasu europejskiego, a już dostali tę straszną wiadomość. Teraz znowu będą musieli odsypiać...

Chciał się ożenić z Molly. Chciał, by Emma wiedziała, że zawsze będzie przy niej, niezależnie od tego, co jeszcze się stanie. Kobieta, która miała zostać jego żoną, siedziała w odległości pół metra od niego. Nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć. Nie miał pojęcia, co będzie dalej.

- Ramsey?

- Tak, Molly?

- Musimy poczekać ze ślubem do czasu, kiedy to wszystko się wyjaśni.

Spojrzał na nią z udawaną beztroską.

- Co tam! Poczekamy.

## ***Rozdział 29***

Detektyw O'Connor czekał na nich w domu Masona Lorda. Poza nim i Milesem nie było nikogo. Miles poinformował ich, że Gunther i pani Lord są w szpitalu.

- Wejdźcie, proszę - powiedział. - Pan Lord jakoś się trzyma. Jego stan jest nadal ciężki, ale się nie pogarsza. Rozumiem, co czujesz, Molly...

- Dziękuję, Miles. Wiem, że wszystkim jest ciężko. Cieszę się, że tu jesteś.

- Dzień dobry państwu - odezwał się O'Connor, idąc ku nim od strony salonu. - Przykro mi, że musieliście wrócić. Nikt się tego nie spodziewał. Szczerze mówiąc, nie mamy zielonego pojęcia, co o tym myśleć. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko mojej obecności?

- Nie, nie, skądże znowu. - Molly przykucnęła obok Emmy. - Chciałabyś pójść z Milesem do kuchni i zjeść coś dobrego?

- Upiekłem dla ciebie ciasteczka z czekoladą, Emmo - oświadczył Miles. - Są jeszcze ciepłe, przed chwilą wyjąłem je z piekarnika.

Emma zmierzyła matkę długim, ciepłym spojrzeniem. W jej oczach było takie zmęczenie, że Molly o mało się nie rozplakała.



- Dziadek jest w szpitalu, Em. Jest ranny, mówiliśmy ci o tym. Detektyw O'Connor musi teraz porozmawiać z Ramseyem i ze mną. bo chce się dowiedzieć, co o tym wszystkim sądzimy. Dobrze, mam. Pójdę z panem Milesem.

- Dzięki, Em. Niedługo do was zajrzę. Sama mam ochotę na czekoladowe ciasteczko.

Emma rzuciła jej jeszcze jedno znużone spojrzenie. Molly nie podniosła się, dopóki Miles i Emma nie zniknęli w korytarzu prowadzącym do kuchni. Dopiero wtedy wstała i ciężko westchnęła.

- Wejdzmy do salonu, detektywie.

- Pierwsze informacje zostały potwierdzone - oświadczył O'Connor. - Była to kula kalibru 7.62. - Odwrócił się do Ramseya. - Prawdopodobnie wie pan, że taka kula jest cięższa od innych, przez co ma większą siłę uderzenia i bardziej płaski tor lotu. Jest to szczególnie ważne przy strzałach oddawanych z dużej odległości.

- Wpadliście na trop snajpera?

- Dokładnie zbadaliśmy dach budynku Amesa i znaleźliśmy dwa niedopałki, plastikowy kubek po kawie oraz, o dziwo, malutkie wilgotne miejsce.

Molly zamrugwała nerwowo.

- Wilgotne miejsce? Dlaczego miałyby to być istotne?

- Snajper splunął, pani Santera. Znaczy to, że przy odrobinie szczęścia możemy liczyć na próbkę DNA i niezbity dowód, jeżeli złapiemy tego faceta. Laboratorium poinformowało nas, że to palacz, który cierpi na ostry kaszel. Niewykluczone, że jego złe nawyki w końcu go zgubią. Mason Lord jest bardzo wpływowym człowiekiem, mimo jego podejrzanych powiązanie światem przestępczym, dlatego ta sprawa ma dla nas ogromne znaczenie. Dziennikarze zdążyli się zorientować, że w tej chwili nie wycisną z nas żadnych nowin, ale kiedy dowiedzą się o pańskim przyjeździe, sędzio Hunt, na pewno tu wróca.

- Co lekarze mówią o stanie Masona? Detektyw O'Connor zerknął na zegarek.

- Dochodzi północ. Powiedziałem chirurgowi, że dotrzecie tu mniej więcej o tej porze. Jest gotów w każdej chwili podać pani najświeższe informacje.

Detektyw O'Connor wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer. Po pięciu minutach oczekiwania na połączenie z właściwą osobą podał słuchawkę Molly.

Ramsey obserwował jej twarz, kiedy słuchała lekarza. Zdziwiło go, że nie dostrzegł na niej żadnej zmiany. Zakończyła rozmowę i oddała telefon O'Connorowi.

- Żyje. Chirurg, doktor Bigliotti, mówi, że ma spore szanse na wyzdrowienie, jeżeli nie umrze dziś w nocy. Niedawno odzyskał przytomność. Policjantowi, który siedzi przy jego łóżku, powiedział szeptem, że strzelał do niego Louey Santera.

- Chyba pani żartuje - zdenerwował się O'Connor. - Nie wiedział, co mówi, i nic dziwnego, po tych wszystkich lekarstwach...

- Doktor Bigliotti też tak uważa. Ojciec nie powiedział nic więcej. Doktor Bigliotti skarżył się, że dziennikarze nie dają mu spokoju i za wszelką cenę usiłują wdrzeć się do szpitala. Jedna z pielęgniarek ze zmiany nocnej przyłapała fotoreportera przebranego za sprzątacza z mopem w ręku. Próbował się dowiedzieć, gdzie jest pokój Masona Lorda.

- Czy macie jakieś pomysły? - zapytał O'Connor. - Przychodzi wam do głowy coś, co mogłoby okazać się przydatne w tej sytuacji?

Molly i Ramsey spojrzeli na niego bezradnie. O'Connor ze zrozumieniem skinął głową. Wiedział, że nie może oczekiwać żadnej konstruktywnej odpowiedzi na swoje pytania.

Syk regulatora brzmiał obrzydliwie głośno w ciszy, panującej na oddziale intensywnej terapii szpitala Memoriał w Chicago. Znajdował się on najbliżej miejsca tragedii i dlatego Masona Lorda przewieziono właśnie tutaj.

Molly spojrzała na bladą twarz ojca, na rurki w jego ustach i nosie, igły kroplówek, wbite w obie ręce, i zwisającą z boku łóżka torebkę, do której spływał mocz. Na krześle tuż obok łóżka siedział policjant z magnetofonem na kolanach i powieścią kryminalną w ręku. Skinął im głową, powtórnie spojrzał na Ramseya i uklonił się jeszcze raz, niżej, z większym szacunkiem.

Oddział intensywnej opieki był duży, wypełniony sprzętem najwyższej jakości. Poza Masonem leżało tu sześciu innych pacjentów. Wokół ich łóżek zaciągnięte były zasłony. Od czasu do czasu któremuś z nich wyrwał się jęk bólu, słychać było też przyciszone głosy krewnych chorych i szybkie kroki pielęgniarek na korytarzu.

Molly pomyślała, że jej ojciec nie wygląda na żywego. Gdyby nie maszyna, do której go podłączono, byłby martwy. Lekko dotknęła jego policzka. Skórę miał wilgotną i zimną. Nagle z całą jasnością zrozumiała, że chce, aby żył. Niezależnie od tego, co zrobił, był jej ojcem. Chciała, aby żył.

Pielęgniarka pokazała im na migi, że mają jeszcze pięć minut.

- Czy ktoś zawiadomił moją matkę? - zapytała Molly O'Connora, kiedy wyszli na korytarz. - Mieszka we Włoszech.

Detektyw spojrzał na nią mało przytomnie, podrapał się po karku i pokręcił głową.

- Raczej nie, pani Santera.

- Zadzwoń do niej z domu - rzuciła.

Była już prawie druga w nocy. Molly bardzo chciała od razu przyjechać do szpitala i na własne oczy zobaczyć, że Mason żyje. I żył, chociaż życie ledwo kołatało się gdzieś w głębi jego ciała.

W drodze do Oak Park nie napotkali żadnego samochodu. Ramsey tak intensywnie wpatrywał się w drogę, że w końcu oczy rozboleły go ze

zmęczenia. Nawet gdyby udało im się wziąć teraz ślub i tak zasnąłby kamiennym snem, nie czekając, aż Molly położy się obok niego. Sądził zresztą, że ona zachowałaby się tak samo. Oboje byli nieprzytomni ze zmęczenia.

Kiedy w końcu podjechali pod bramę prowadzącą do posiadłości, z krzaków po drugiej stronie ulicy wyskoczył jakiś mężczyzna. Oczywiście dziennikarz.

- Tylko tego nam brakowało - mruknął Ramsey i szybko przywołał ochroniarza czuwającego w budce przy bramie. - Jestem sędzia Hunt, proszę otworzyć. Niech się pan pospieszy, bo nadbiega jakiś reporter.

- Wstrętne robactwo! - warknął ochroniarz, szybko otwierając bramę.

- Chwileczkę! - wrzasnął dziennikarz, lecz Ramsey nacisnął pedał gazu i pomknął w kierunku domu.

Mężczyzna usiłował przedostać się do środka, ale widząc szyderczy uśmiech na twarzy ochroniarza, wycofał się pospiesznie. Skrzydła bramy już się zamykały.

- Co, nie słyszałeś o Pierwszej Poprawce? - ryknął reporter. - Ty idioto!

Ochroniarz nadal uśmiechał się drwiąco.

- Jasne, że słyszałem, gówniarzu! - przemówił przez głośnik. - Taki z ciebie dziennikarz jak z księcia Karola tampax, wiesz?

Ramsey i Molly dokładnie usłyszeli słowa ochroniarza. Były zupełnie bez sensu, lecz nagle wydały im się szalenie zabawne. Ramsey zaczął się śmiać, a po chwili Molly przyłączyła się do niego. Objęci w pół weszli do domu, zataczając się ze śmiechu.

- Masz tobie - powiedział Miles.

Miles i Gunther mieli alibi. Miał je także Warren O'Dell i oczywiście Eve Lord. Odwiedziły ją trzy przyjaciółki i w chwili, gdy Mason został postrzelony, wszystkie cztery siedziały nad basenem, popijając mrożoną herbatę.

Środki masowego przekazu szalały. Ponieważ Eve była młoda, piękna i nieprzyzwoicie bogata, natychmiast zyskała współczucie i poparcie opinii

publicznej, która zawsze ma słabość do pieniędzy i urody, zwłaszcza urody tragicznej.

Matka Molly serdecznie współczuła byłemu mężowi, ale nie wyraziła intencji przybycia do Stanów.

- Po cóż miałabym to robić, moja droga? - zapytała. - Nie zamierzam siedzieć przy jego łóżku i trzymać go za bezwładną dłoń, i nie mam ochoty, aby co chwila wyskakiwali na mnie z krzaków jacyś paparazzi. Zadzwoń, kiedy będziesz wiedziała coś więcej.

Molly doszła do wniosku, że w reakcji tej nie ma nic zaskakującego, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że druga pani Lord śmiało mogłaby być córką jej matki. Poza tym ojciec już wiele lat temu na dobre zniknął z życia Alicii.

Mason Lord, który nadal leżał w szpitalu nieprzytomny i którego życie w dalszym ciągu wisiało na włosku, został prawie zapomniany. Wszyscy skupili uwagę na jego pięknej i młodej żonie, która w każdej chwili mogła zostać wdową. Z drugiej strony być może nie należało dziwić się dziennikarzom, że nie chcą nadstawiać karku, interesując się niebezpieczną przeszłością Masona Lorda.

Mason przeżył noc. W pewnej chwili o mało nie umarł, lecz lekarzom udało się unormować gwałtownie spadające ciśnienie. Molly i Ramsey nie pojechali rano do szpitala. Zostali z Emmą i w telewizji obejrzeni elegancko ubraną Eve, która na czele tłumu dziennikarzy zmierzała do drzwi szpitala, aby odwiedzić męża. Ten krótki reportaż nadały wszystkie trzy liczące się lokalne stacje telewizyjne.

- Chciałabym wiedzieć, co ona myśli - odezwała się Molly.

- Detektyw O'Connor także o tym marzy - odparł Ramsey. Odwrócił się i zobaczył wchodzącą powoli do salonu Emmę.

- Cześć, Em! - powiedziała Molly. - Chodź i powiedz nam, co Miles przygotowuje na lunch.

Emma zatrzymała się na środku pokoju, przyciskając do piersi pianino. Robiła wrażenie kompletnie zagubionej.

- Mamo, kiedy pojedziemy do domu?

Do domu, pomyślała Molly. Do którego domu?

- Dokąd chciałabyś pojechać? - zapytał Ramsey i poklepał się po kolanie. Emma podeszła do niego bez wahania, ostrożnie położyła pianino na podłodze i pozwoliła wziąć się na kolana. - Dokąd? - powtórzył.

- Do domu - odparła Emma. - Do San Francisco.

- Ach, słusznie - rzekł Ramsey. - Co byś powiedziała, Em, gdybym ożenił się z twoją mamą?

Odwróciła się, spojrzała na niego poważnie i lekko pogłaskała go po policzku.

- Mój tata dopiero co umarł, Ramsey. Rzadko był z nami, ale jednak był moim tatą.

- Tak, Em. I zawsze nim będzie.

- Chyba nie. - Emma oparła policzek o jego ramię. - Nie mogę tak ryzykować, Ramsey, po prostu nie mogę.

- Jak to, ryzykować, skarbie?

- Gdybyś ożenił się z mamą, ciebie też ktoś mógłby wysadzić w powietrze.

- Och, Emmo... - Ramsey przytulił ją mocno. - Nikt nie zrobi mi nic złego, naprawdę.

- To nieprawda. Już ci coś zrobili - w domku w górach postrzelili cię w nogę, a kiedy tatuś wyleciał w powietrze, zranili cię w plecy.

- Ale to nic poważnego, kochanie. Jestem już duży i potrafię poradzić sobie z takimi problemami. Nie martw się, Em, bardzo cię proszę.

Schyliła się, żeby podnieść pianino. Ramsey nie miał pojęcia, co robić.

- Wiesz co, Emmo?

Lekko uderzyła palcem w środkowe C, nie patrząc na niego. Czuł, że boi się na niego spojrzeć.

- Kiedy będziemy już prawdziwą rodziną i wszystko znowu będzie dobrze, wrócimy do Irlandii. Chcesz, żebyśmy spędzili nasz miesiąc miodowy w zamku Bunratty?

Uśmiechnęła się słabo. Położyła pianino na jego kolanach i z całej siły objęła go za szyję.

- Nie wiem, Ramsey. Czy mama będzie szczęśliwa?

- Oszaleje ze szczęścia, zobaczysz. Zresztą sama ją zapytaj.

Emma podniosła głowę i spojrzała na matkę.

- Mamo, myślisz, że uda nam się zapewnić Ramseyowi bezpieczeństwo?

Molly nawet nie mrugnęła okiem. Uśmiechnęła się do córki, której pianinko nadal leżało na kolanach Ramseya.

- Tak myślę, Em. Widzisz, Ramsey mówi prawdę. Jest duży i silny, nie tak łatwo go pokonać. My jesteśmy trochę słabsze, więc będziemy mózgiem tej operacji. Tak, sądzę, że zdołamy o niego zadbać.

Emma powoli skinęła głową.

- Kto strzelał do dziadka?

- Jeszcze tego nie wiemy - odpowiedziała Molly. - Ale dziadek na szczęście żyje, Em. W szpitalu bardzo o niego dbają i stają na głowie, żeby go wyleczyć.

- Spójrzcie, która godzina - wtrącił Ramsey. - Musimy jechać, bo inaczej spóźnimy się na spotkanie z doktor Loo.

- Mam nadzieję, że uda nam się uniknąć spotkania z dziennikarzami - niespokojnie powiedziała Molly, nie spuszczać oczu z Emmy.

Wymknęli się paparazzim i trzydzieści minut później siedzieli już w gabinecie doktor Loo.

- Ramsey i moja mama chcą się pobrać - oznajmiła Emma. - Co pani o tym myśli?

Doktor Loo wyglądała na zafascynowaną wyznaniem Emmy.

- Myślę, że muszę wysłać moją sekretarkę po butelkę szampana - odparła.

- Napijesz się Sprite'a, Emmo?

- Wolalabym Doktora Peppera.

- Doskonale. - Doktor Loo chwilę rozmawiała przez interkom z sekretarką. - Za pół godziny wzniesiemy toast - powiedziała, gdy odłożyła słuchawkę. - Serdecznie wam gratuluję, moi drodzy. Wyjaśnij mi teraz, Emmo, co cię trapi.

- Bo Ramsey mógłby zginąć tak jak mój tata.

- To prawda. Ale widzisz, każdy może zginąć albo umrzeć, w każdej chwili i w każdym miejscu. Pamiętam, jak wstrząsnęła mną wiadomość o śmierci księżnej Diany. Nagle dotarło do mnie ze zdwojoną siłą, że nikt nie ma gwarancji na długie i szczęśliwe życie, nikt. Trzeba żyć dniem bieżącym i próbować cieszyć się z tego, co życie nam daje. To wielka sztuka, ale można się tego nauczyć. Rozumiesz mnie, Emmo?

- Ale to co innego - powiedziała Emma. - Nas gonią źli ludzie. To zupełnie co innego niż pech.

- Widzę, że doskonale mnie rozumiesz - rzekła doktor Loo. - Dobrze, spójrzmy na to z drugiej strony - Ramsey i mama chcą dać ci szczęśliwy dom. Chcą zostać rodziną. Kochają cię i pragną, byś wiedziała, że zawsze będą przy tobie.

Emma westchnęła. Długo wpatrywała się w Ramseya w całkowitym milczeniu, potem przeniosła spojrzenie na matkę. Wreszcie odwróciła się do doktor Loo i uśmiechnęła się.

- Myślę, że Ramsey będzie dla mnie dobrym tatą. Już teraz strasznie mnie kocha.

- Wiesz o tym, prawda?

- Tak. Kiedy w San Francisco złapał mnie ten okropny człowiek, Ramsey oszalał.



Molly opowiedziała doktor Loo przez telefon, co stało się na plaży.

- Bałaś się wtedy?

- Tak, ale to szybko minęło. Ramsey powiedział, że znowu sama się uratowałam.

- Co zrobiłaś?

- Ten człowiek uderzył mnie naprawdę mocno, ale nie straciłam przytomności. I ugryzłam go w bok, przez koszulę, z całej siły. Potknął się wtedy, a ja wystawiłam głowę spod płaszcza. Ramsey mnie zobaczył i ten drań musiał mnie puścić. - Odwróciła się do Ramseya. - Szkoda, że go wtedy nie złapałeś.

- Ja też bardzo tego żałuję.

Doktor Loo przez parę minut rozmawiała tylko z Emmą. Kiedy skończyły, dorośli wypili szampana, a Emma swój napój i wszyscy troje przyjęli gratulacje od personelu i dwóch czekających na wizytę pacjentów.

- Widziałem pańskie zdjęcie w jakimś brukowcu, sędzio Hunt - powiedział jeden z pacjentów, starszy mężczyzna z nerwowym tikiem. - Było bardzo niewyraźne, ale można było dostrzec, że tuli pan jakąś dziewczynkę.

- Nie jakąś dziewczynkę - odezwała się Emma głośno, mocno przyciskając do piersi pianino. - Ramsey tulił mnie. I był bardzo zdenerwowany.

- Nie, nikogo nie widziałem - powiedział Mason Lord do detektywa O'Connora.

Przerwał i gwałtownie wciągnął powietrze, usiłując opanować ból. Nacisnął tłoczek automatycznej strzykawki, wprowadzając do żyły dawkę morfiny. Detektyw O'Connor zaczekał, aż twarz chorego nieco się rozluźni.

- Żadnego cienia, nic niepokojącego?

- Nie. Gunther i ja wychodziliśmy właśnie z biura mojego znajomego. Odbyliśmy z nim krótką pogawędkę. To miły człowiek. Polityk.

- Jak się nazywa?

- Senator Quentin Kordie. Proszę nie zawracać sobie nim głowy, detektywie. Senator na pewno do mnie nie strzelał. Jesteśmy dobrymi znajomymi.

- Dobrze. Kto wiedział, dokąd pan się wybiera, panie Lord? Molly nie miała wątpliwości, że ojciec sam zadał sobie wcześniej to pytanie. Dostrzegła błysk w jego oczach i zrozumiała, że ojciec dokonuje w myśli przeglądu osób, które mogły wiedzieć, dokąd wtedy pojechał.

- Kilka osób - powiedział w końcu. - Wyłącznie z mojej firmy. - Przerwał i wstrzyknął sobie następną dawkę morfiny. - Jeżeli mam u siebie zdrajcę, detektywie, sam sobie z nim poradzę.

- Nie, panie Lord, to sprawa dla policji. Nazywa się to próbą zabójstwa, o czym pan doskonale wie.

- A pan wie, czyja to sprawka, detektywie. Rule'a Shaker. - Mason ze zdumieniem potrząsnął głową. - Nigdy dotąd nie popełnił takiego głupstwa. Idiota...

Detektyw O'Connor podniósł się z krzesła.

- Gdyby rzeczywiście Rule Shaker był idiotą i próbował pana zabić, miałby pan spory problem - oświadczył. - Na szczęście w tej chwili ma pan dobrą ochronę. Zakładam, że Rule Shaker już wie, że pan żyje. Jeżeli pańskie podejrzenia są słuszne, wyobrażam sobie, co Shaker w tej chwili mówi.

Rule Shaker milczał. Stał przed wielkim oknem w swoim gabinecie i wpatrywał się w bezkresną pustynię. Nigdy nie miał ochoty patrzeć na Las Vegas. Mieszkał w najbardziej kiczowatym mieście świata i nie chciał go oglądać, jeśli nie musiał.

Pustynia była czysta, powietrze kryształowe i tak gorące, że w ciągu dnia wszelkie życie na niej zamierało. Nawet ludzie nie ośmielali się tu wtedy zapuszczać. Rule Shaker odwrócił się powoli.

- Rudy nadal siedzi w tym motelu w Oak Park i czeka na rozkazy - odezwał się Murdock.

- Niech czeka. Podobno Lord z każdym dniem odzyskuje siły. Będzie żył.

- Tak mówią - mruknął Murdock, rozprostowując nogi. Od powrotu z Niemiec sporo przytył. Nie cierpiał włączyć się za tym Santerą, ale pan Shaker wydał mu takie polecenie, i tyle. Teraz wrócił i codziennie objadał się pysznymi kurczakami z KFC. Kosztowało go to ponad trzy kilogramy.

- Ma pan dla mnie jakieś polecenia, panie Shaker?

- Zastanawiam się, Murdock. Na razie pozwolimy mu poleżeć w łóżku, pocierpieć i pomyśleć o grzechach przeszłości.

- Mason Lord nie wierzy w grzechy przeszłości - powiedział Murdock.

Uważnie obserwował swojego szefa, człowieka, który zabrał go z ulicy sześć lat temu i z czasem uczynił jednym ze swoich najważniejszych ludzi. Tak, teraz Murdock należał do grupy decyzyjnej w firmie Shakera, grupy, o której wszyscy słyszeli, był znany i podziwiany. Więc tym bardziej powinien stracić te trzy kilogramy.

Rule Shaker nie był wysokim i rasowym mężczyzną, i pod żadnym względem nie przypominał Masona Lorda. Matka natura dała mu zaledwie metr sześćdziesiąt osiem wzrostu i twarde, chude ciało. Ubierał się bardzo elegancko, głównie w ręcznie szyte garnitury od krawców z londyńskiej Savile Row.

Niestety, miał ziemistą cerę, bardzo mocny zarost i małe, matowe czarne oczy, przez które wyglądał jak terrorysta z Bliskiego Wschodu. Szczerze mówiąc, wyglądał jak stereotyp gangstera z hollywoodzkich filmów. Mimo to na Rule'a Shakera leciało więcej kobiet niż na jakiegokolwiek innego mężczyznę.

Murdock podejrzewał, że pociągało je niebezpieczeństwo. Shaker nie był potężnym mężczyzną, ale na odległość pachniał ryzykiem. Murdock słyszał, że ubiegłej nocy Shaker obsłużył dwie kobiety. Trudno uwierzyć, że facet skończył pięćdziesiąt osiem lat. Zdumiewające.

Obsłużył... Tak, to było dobre określenie. Murdock żałował, że nie potrafił obsługiwać kobiet w takim stylu jak Rule Shaker. Może gdyby schudł o

te trzy kilogramy, przyciągnąłby uwagę kilku ślicznotek. W Niemczech powodziło mu się pod tym względem o wiele lepiej, ale oczywiście tam wszystkie dziewczyny chciały go wykorzystać, aby dostać się do łóżka Loueya Santery, tego ohydneho gówniarza.

- Mason wierzy w grzechy przeszłości, tyle że nie w swoje własne - powiedział Rule Shaker. - Poczekamy, zobaczymy. Niech Rudy będzie gotowy do akcji. Lecę teraz helikopterem nad pustynię. Czas rozrzucić prochy Melissy.

- Czy tego właśnie chciała, panie Shaker?

- Melissa miała dwadzieścia trzy lata - mruknął Rule. - Nawet nie przeczuwała, że istnieje coś takiego jak śmierć.

## ***Rozdział 30***

Przez całą dobę nad bezpieczeństwem Masona Lorda czuwało sześciu ochroniarzy, po dwóch na trzy zmiany. Jeden zawsze siedział w pokoju, a drugi pod drzwiami. Mason nie miał zaufania do policji.

- Jeżeli sam komuś nie płacę, nie mogę być pewien, że rzeczywiście dla mnie pracuje - wyjaśnił O'Connorowi.

- Jak pan chce - odparł detektyw. - Oszczędzimy w ten sposób pieniądze podatników.

Dziennikarze z prasy i telewizji w końcu znudzili się sprawą Masona Lorda i dali spokój, lecz kilku paparazzich ciągle kręciło się pod szpitalem, licząc na kolejny zamach i więcej krwi. Jeden z pracowników szpitala powiedział, że paparazzi są jak szarańcza, tylko znacznie gorsi. Kilku innych rozbiło obóz pod domem Masona.

Jednemu udało się zrobić zdjęcie Emmy, siedzącej pod rododendronem i grającej na pianinie. Było trochę zamazane, ale nie ulegało wątpliwości, że przedstawia Emmę. Fotografia ukazała się z podpisem: „Wnuczka szefa gangu”.

- To dziwne, ale to zdjęcie okazało się ostatnią kroplą - powiedział Mason do Gunthera, obejrzawszy fotografię. - Straciłem cierpliwość. Dowiedz się, jak nazywa się fotoreporter, który je zrobił.

Tuż po lunchu Eve Lord wyszła z salonu do holu, gdzie właśnie rozmawiali Molly i Ramsey.

- Nie ma powodu, żebyśmy siedzieli tu dłużej - mówił Ramsey. - Twój ojciec najgorsze ma już za sobą. Wszyscy wiemy, kto do niego strzelał, a w każdym razie podejrzewamy, ale nie możemy z tym nic zrobić. Jeśli chodzi o bezpośredniego sprawcę, to najprawdopodobniej i tak nigdy nie wpadnie w ręce policji. Znaczy to, że może dojść do eskalacji przemocy. Nie chcę, żebyśmy tu wtedy byli, to bardzo niebezpieczne dla Emmy. Pobierzmy się i jedźmy do domu.

A Molly, szara, przeciętna Molly o zwariowanych rudych włosach i zbyt szczupłym ciele patrzyła na tego wysokiego mężczyznę, z którym Eve w każdej chwili chętnie poszłaby do łóżka, patrzyła takim wzrokiem, jakby miała ochotę go zjeść. Wreszcie się roześmiała i skoczyła mu w ramiona.

Chyba nie spodziewał się tego, ale był szybki, więc zdołał ją chwycić i przygarnąć do piersi. Objęła go w pasie nogami. Wtedy on także się roześmiał i zaczął tańczyć z nią po całym holu.

- Do domu - powiedziała Molly, całując go raz za razem. - Do domu! Podoba mi się to określenie!

Powoli postawił ją na ziemi. Podniosła ku niemu twarz, a on nachylił się i pocałował ją. Molly zacisnęła palce na jego koszuli i wszystko wskazywało na to, że wprost nie może się doczekać, kiedy ją z niego zedrze.

Eve odchrząknęła.

- Widzę, że chodzi tu o coś więcej niż o zwykłą przyjaźń.

- Tak - powiedział Ramsey, podnosząc głowę i ostrożnie wypuszczając Molly z objęć. Czuł jeszcze jej świeży smak i ciepło jej ciała. - Możesz nam pogratulować, Eve.

Nie powiedzieli jej o tym wcześniej, bo wydawało im się, że nie powinni rozmawiać o ślubie z kobietą, która o mały włos nie została wdową.

- Gratuluję - rzekła Eve i obrzuciła brzuch Molly bardzo uważnym spojrzeniem. - Jesteś w ciąży?

- Nie - odparła Molly. - Zajście w ciążę byłoby nieco trudne z Emmą śpiącą w tym samym pokoju, nie sądzisz?

- Z mojego doświadczenia wynika, że mężczyzna zawsze znajdzie jakiś sposób. Mój były narzeczony dopadł mnie kiedyś w szafie na płaszcze, gdy jego rodzina siedziała dwa metry od nas.

Ramsey się roześmiał.

- Zasłużył sobie na to, żeby zostać byłym narzeczonym - rzekł, obejmując Molly. - Czy Emma je czekoladowe ciasteczka w kuchni?

Eve naciągnęła kremowe rękawiczki z miękkiej skórki, idealnie pasujące do jej jedwabnej sukni.

- Nie czekoladowe ciasteczka, tylko masło orzechowe - sprostowała. - Pani Lopez już mi o tym powiedziała. Jadę zobaczyć się z twoim ojcem, Molly. Czy on wie o waszych planach?

- Tak, powiedzieliśmy mu wczoraj wieczorem.

- Rozumiem. Dowiaduję się ostatnia. Będziecie tu jeszcze, kiedy wrócę?

- To zależy - rzekł Ramsey. - Chcesz przynieść coś, czym moglibyśmy uczcić tę okazję?

- Jasne - rzuciła Eve Lord. - Gunther, jestem gotowa!

Na dziesiątej stronie „Chicago Sun-Times”, u dołu kolumny, ukazała się krótka wzmianka o mężczyźnie, którego znaleziono w pobliżu autostrady 88, między Mooseheart i Aurora. Mężczyzna został poważnie pobity, ale lekarze spodziewali się, że wkrótce wróci do zdrowia. Jego aparaty fotograficzne rozbito, zmiążdżono i porzucono obok niego.

Autor wzmianki nazwał ofiarę pobicia działającym na własną rękę fotoreporterem, lecz nikt nie miał wątpliwości, że jest to jeden z paparazzich.

- Myślę, że powinniśmy spakować swoje szmatki, złapać Emmę i wskoczyć do samolotu do Reno. Najpierw przyszło mi do głowy Las Vegas, ale tam jest Rule Shaker, a ja jakoś nie mam ochoty na zawieranie małżeństwa w pobliżu tego zbira. Nie chcę też, aby w brukowcach ukazały się następne zdjęcia Emmy. Emma widziała swoją fotografię w „National Informer”. Zanim zdążyłem jej zabrać tę szmatę, przeczytała podpis. Mam nadzieję, że nie dotarła do tego fragmentu, gdzie jakiś idiota napisał, iż gra na pianinie, podobnie jak jej niedawno zamordowany ojciec, Louey Santera. Wyobrażasz sobie, jakie święto urządziliby sobie dziennikarze, gdybyśmy postanowili pobrać się tutaj albo w domu moich rodziców w Harrisburgu? Oni zawsze potrafią się dowiedzieć, gdzie dzieje się coś ważnego.

- O Boże! - Miles wybiegł z kuchni ze ścierką w rękę. - Dzięki Bogu, że oboje tu jesteście! Nie mogę w to uwierzyć! Przed chwilą ktoś znowu próbował zabić twojego ojca, Molly! Gdzie jest Gunther? Gdzie pani Lord?

- Nic mu się nie stało, Miles?

- Na szczęście nic. To był jeden z ochroniarzy, których wynajęliśmy do pilnowania jego pokoju w szpitalu. Strzelił z budynku po drugiej stronie ulicy, mniej więcej z dwustu metrów, prosto w okno. Zranił pielęgniarkę, która mierzyła twojemu ojcu ciśnienie.

- Dwieście metrów to bardzo duża odległość - odezwał się Ramsey.

- Co z pielęgniarką? - zapytała Molly.

- Zamachowiec odstrzelił jej kawałek ucha. Zakrwawiła całe łóżko i dlatego wszyscy sądzili, że to twój ojciec jest ranny. Na szczęście wyszedł z tego cało.

Ramsey mocno ścisnął rękę Molly.

- Jedźmy do szpitala. Miles, zajmiesz się Emmą? Nie spuszczaaj jej z oka, dobrze?

- Oczywiście, Ramsey. - Miles był bardzo zdenerwowany, ale kiedy Ramsey wspomniał o Emmie i konieczności czuwania nad nią, natychmiast się uspokoił.

Gdy Molly i Ramsey wychodzili z domu, całkowicie opanowany Miles stał w progu kuchni, trzymając Emmę za rękę. W pokoju Masona Lorda był już detektyw O'Connor i dwóch policjantów z wydziału kryminalnego. Miles miał rację - łóżko i ściana były całe zakrwawione.

- Uszy potwornie krwawią - powiedział jeden z policjantów, pociągając za własne ucho.

Molly dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna nie ma dolnej części małżowiny. Nigdy nie będzie mógł nosić kolczyka, pomyślała, z trudem powstrzymując śmiech. Przestraszyła się, że lada chwila wpadnie w histerię. Wsunęła dłoń pod ramię Ramseya. Spojrzał na nią, dostrzegł jej zbyt błyszczące oczy i objął ją mocno.

- Wszystko w porządku - powiedział cicho, muskając wargami czubek jej głowy. - Będzie dobrze, zobaczysz. Oddychaj spokojnie.

Okno w pokoju było roztrzaskane. Dwoje policyjnych techników bardzo ostrożnie wyjmowało kulę ze ściany mniej więcej pięć centymetrów nad podłogą. Kobieta używała do tego celu pincety. Detektyw O'Connor wyglądał na zmęczonego i spiętego, ale to nie zdziwiło Molly.

- Pielęgniarka Thomas stała obok pani ojca, mierząc mu ciśnienie - powiedział zwięźle. - Nagle choremu zrobiło się słabo i osunął się na poduszkę. Pielęgniarka Thomas nachyliła się, aby go podtrzymać i właśnie wtedy snajper strzelił.

Gdyby pani ojciec nie poczuł się gorzej i gdyby pielęgniarka nie zasłoniła go własnym ciałem, najprawdopodobniej już by nie żył, pani Santera. W najlepszym razie byłby ciężko ranny. Kula przeszła przez małżowinę uszną pielęgniarki i poleciała w dół. Utkwiła jakieś dziesięć centymetrów nad podłogą. Molly pochyliła się nad ojcem.



- Tato, jestem przy tobie razem z Ramseyem. Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało.

- Tak - powiedział Mason. - Nic mi nie jest, Molly. Jestem chyba największym szczęściarzem w Chicago. A jeśli chodzi o pielęgniarkę Thomas, to zamierzam wypisać dla niej czek na sporą sumę za odwagę.

Policjantce udało się w końcu wydobyć kulę z muru.

- Jest prawie nienaruszona! - zawołała. - Dobry materiał do identyfikacji.

- Świetnie - rzekł jeden z detektywów. - Porównamy ją z tą pierwszą i zobaczymy, co z tego wyniknie. Sędzia Ramsey Hunt, prawda?

- Tak - odparł Ramsey. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że to ten sam kaliber, ale nic nam to nie powie.

- Będziemy przynajmniej pewni, że mamy do czynienia z jednym sprawcą - rzucił O'Connor.

- Facet kompletnie rozwalił okno - odezwała się Molly. - Pamiętam, że wszyscy się zastanawialiśmy, czy ojcu nic z tej strony nie grozi, ale doszliśmy do wniosku, że najbliższy budynek znajduje się zbyt daleko...

- Nie mam pretensji do Gunthera - rzekł Mason Lord. W pokoju tłoczyło się siedem osób i wszystkie głośno rozmawiały, lecz w chwili, gdy się odezwał, zapadło całkowite milczenie. - Przypominam sobie, że kilka razy wyjrzałaś przez to okno, Molly, ale nikt nie spodziewał się zagrożenia właśnie z tej strony. Nie doceniliśmy go. Technologia gna naprzód, a my zostajemy w tyle. Starzejemy się i robimy się nieostrożni, Gunther. Facet bez trudu namierzył mnie przez to cholerne okno. - Mason oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy.

- Szczęście, że przynajmniej odsunęliśmy łóżko od okna - powiedział Gunther. Był blady i zdenerwowany, z trudem nad sobą panował. - Wiemy jedno - ten facet to snajper światowej klasy. Znam najwyżej sześciu ludzi, którzy podjęliby się tego zadania.

- Zależałoby nam, by podał nam pan ich nazwiska - rzekł detektyw O'Connor, masując łysą głowę. - Gdyby pan Lord nie osunął się we właściwym momencie na poduszkę...

Gunther skinął głową.

- Przygotowujemy dla pana inny pokój - zwrócił się do Masona. - Zaraz tam pana przeniosą. Nikomu nie podamy numeru, nie ma tam też okna wychodzącego na inny budynek...

Mason roześmiał się i zaczął kasłać. Przez chwilę milczał, starając się opanować ból.

- Dobrze wiesz, że żadnej informacji nie da się utrzymać w tajemnicy, jeżeli zna ją więcej niż jedna osoba, Gunther. Ale nic nie szkodzi, ponieważ i tak wracam do domu.

- Powiedz mi, co odczuwasz, Emmo.

- W związku z czym, doktor Loo?

- Na przykład z tym, że twój dziadek dziś rano wrócił ze szpitala. Jak on się czuje?

- Słyszałam, jak Miles mówił, że jest wyczerpany i słaby. Eve nie chciała, żebym kręciła się w pobliżu, bo jestem dzieckiem i hałasuję, ale ja wcale nie zachowuję się głośno. Widziałam jego twarz, kiedy wnosili go na noszach. Wyglądał jak staruszek, był zupełnie szary. Wcześniej nigdy nie przyszło mi do głowy, że jest stary. Zawsze myślałam, że przypomina tych gwiazdorów ze starych filmów, które lubi mama. - Emma przerwała, opierając pianino na kolanach. - Ale dziś wyglądał staro. Nie odezwałam się do niego, bo dookoła było mnóstwo ludzi i aż trzech lekarzy...

- Jak radzi sobie z tym wszystkim mama?

Emma popadła w zamyślenie. Dotknęła klawiszy, ale nie wydobyła z nich żadnego dźwięku. Jej ciemne włosy, zwykle porządnie splecione, dziś były

rozpuszczone. Niektóre kręciły się w taki sam sposób jak włosy Molly. Ciemne pasma prawie zupełnie zasłoniły twarz Emmy.

- Mama jest milcząca. Myślę, że się boi. Boi się od dawna. Boi się zostawić mnie samą, nawet na chwilę. Ramsey także.

Z jej piersi wyrwało się ciche westchnienie.

- Czasami chciałabym pobyć trochę sama, ale wiem, że niepokoją się, kiedy mnie nie widzą. Na szczęście nie zdarza się to często.

Dziewczynka podniosła głowę, odrzuciła włosy do tyłu i zerknęła w kierunku zamkniętych drzwi.

- Naprawdę cieszę się, że wychodzimy za mąż.

Doktor Loo nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Pomyślała, że to dziecko mimo wszystko ma ogromne szczęście. Była pewna, że Molly i Ramsey dadzą Emmie tyle miłości, iż wszystkie jej rany wcześniej czy później się zagoją.

- Kiedy wychodzicie za mąż?

- Mama mówiła, że będziemy mogli wyjechać dopiero za dwa dni. - Emma zniżyła głos. - Chyba spróbujemy uciec...

Tym razem doktor Loo nie wytrzymała i wybuchnęła głośnym śmiechem. Uspokoila się dopiero wtedy, gdy Emma znowu westchnęła w ten boleśnie dorosły sposób. Wtedy pomyślała, że bardzo by chciała, aby Emma chociaż raz urządziła awanturę, jak inne dzieci, i przypomniała sobie, że Ramsey miał podobne odczucia.

- Chciałabyś uciec, Emmo?

- Och tak, doktor Loo. Zostałabym drużbą Ramseya i druhną mamy. I dziewczynką od sypania kwiatków.

- Więc co cię niepokoi?

- Dziadek chce, żebyśmy wzięli ślub w jego domu. Miles mówi, że zależy mu, aby poprowadzić mamę do ołtarza. Ale Eve chce, żebyśmy już sobie pojechali. Myślę, że Eve wygra.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo dziadek jest chory. Musiałby wstać, żeby wygrać. - Emma spuściła głowę. - Mama powiedziała tak do Ramseya.

Rozmawiali bardzo cicho, ale podkradłam się bliźutko i wszystko usłyszałam.

- Rozumiem. Jutro opowiesz mi, jak się wszystko układa, dobrze? Miałaś ostatnio złe sny?

Emma potrząsnęła głową i wstała, obiema rękami trzymając pianino.

- Nie, ale myślę o nim, doktor Loo.

- I co myślisz?

- Że on wróci. Wiem, że kiedy pojedziemy do San Francisco, będą nas pilnowali policjanci, bo słyszałam, jak wczoraj Ramsey rozmawiał przez telefon z Virginią Trolley. Ramsey powiedział mi, że on nazywa się Sonny Dickerson. I pokazał mi jego zdjęcie. To on, naprawdę dobrze go opisałam.

Doktor Loo także widziała fotografię Dickersona.

- Tak, świetnie go opisałaś. Powiedz mi coś, Emmo. Czy w głębi serca i wyżej, w głowie, wierzysz, że mama i Ramsey nie pozwolą, aby tamten człowiek wyrządził ci krzywdę?

Emma długo zastanawiała się nad tym pytaniem. Stała z wzrokiem wbitym w swoje tenisówki i ulubione skarpetki w kratę, które Ramsey kupił jej w Irlandii. Doktor Loo poklepała ją lekko po ramieniu. Dziewczynka była za chuda, ale i tak wyglądała już lepiej.

- Moje serce wierzy, lecz umysł nie do końca - odpowiedziała w końcu Emma.

Doktor Loo kiwnęła głową.

- Doskonale. Dopóki policja nie złapie tego Sonny'ego Dickersona, musisz być bardzo ostrożna, ty także, nie tylko mama i Ramsey. Skoro policja będzie pilnować domu w San Francisco, powinnaś czuć się bezpieczna.

- Poprosiłam Ramseya, żeby nauczył mnie lepiej czytać. Może przeczytam o tym człowieku w książce.

- To dobry pomysł.

- Mama mówi, że jestem taka bystra, że jeszcze przed pójściem do szkoły będę czytała o zbrodni i karze.

Molly spojrzała na ojca, który leżał wsparty na podniesionym wezglowiu, z gazetą w ręku i w okularach do czytania na nosie. Nie wyglądał na zadowolonego, ale ona nie miała zamiaru ustąpić. Chciała zabrać stąd Emmę, i to jak najszybciej.

- Weźmiesz ślub tutaj - powiedział tym szczególnie pogardliwym tonem, jakim zwykle się do niej odzywał.

Molly potrząsnęła głową. Nie zamierzała się z nim spierać.

- Już raz widziałeś mój ślub - odparła spokojnie. - Na drugim nie musisz być obecny.

- Chcielibyśmy, żeby Emma była bezpieczna - odezwał się Ramsey.

- I właśnie w San Francisco będzie bezpieczna, tak? - zapytał Mason z gryzącym sarkazmem. - Ten drań zabrał ją tam spod twojego nosa, Ramsey.

- Musimy myśleć także o rodzicach Ramseya - wtrąciła Eve. - Byłoby to nie fair wobec nich, Mason.

Mason Lord nawet na nią nie spojrzał.

- Nie mieszaj się do tego, Eve. To nie twoja sprawa.

Eve uśmiechnęła się lekko, z całkowitym spokojem.

- Przyniosę jeszcze herbaty - powiedziała. - Samochód podjedzie po was o trzeciej, jeżeli zdecydujecie się na wyjazd, Ramsey.

Spojrzała na zegarek od Cartiera i uśmiechnęła się jeszcze raz, z wyraźnym rozbawieniem. Wyszli z pokoju Masona za pięć trzecia. Pożegnanie Molly z ojcem było krótkie i dość chłodne. Dziennikarze znali ich plany, prawdopodobnie z przecieku w firmie wynajmującej limuzyny. Ramsey i Molly obserwowali, jak paparazzi ruszają w pogoń za wielkim wozem o szybach z przydymionego szkła. Ramsey się uśmiechnął.

- Jedźmy, Gunther. Dobra robota.

Jestem mężatką, pomyślała Molly, patrząc na swoją bladą twarz w lustrze. Znowu. Ale tym razem jestem dorosłą osobą, nie głupim, niedojrzałym dzieciakiem. Tym razem wyszłam za dobrego człowieka, który jest tak bardzo atrakcyjny i seksowny, że chyba oszaleję. I kocha Emmę z całego serca.

Uśmiechnęła się do siebie, musnęła wargi szminką i bez pośpiechu włożyła cudowną koszulę nocną z brzoskwiniowego jedwabiu. Dostała ją od Ramseya dziesięć minut temu, w obecności Emmy, ponieważ nie było innego wyjścia.

- Koniec z tymi bawełnianymi namiotami - szepnął jej do ucha. - To jest prezent dla nas obojga. I chyba także dla Emmy.

Molly widziała, że był głęboko wzruszony. Wyszła z łazienki, nie gasząc światła, które kusząco oświetlało sylwetkę.

- Mamo, wyglądasz jak księżniczka z bajki! - zawołała Emma z podziwem, co sprawiło Molly prawdziwą przyjemność. - Ramsey i ja strasznie długo na ciebie czekaliśmy. Też chciałabym wyjść za mąż, bo wtedy mogłabym nosić takie koszulki.

Głos Emmy brzmiał bardzo rzeško i trzeźwo, zupełnie jakby w ogóle nie chciało jej się spać. Więc co z tego, pomyślała Molly. W gruncie rzeczy nieważne jest, kiedy będzie miała noc poślubną, kiedy wreszcie zostanie sam na sam ze świeżo poślubionym mężem. Wszystko w swoim czasie. Mocno uściskała Emmę.

- Wzięliśmy ślub i jesteśmy wszyscy razem - powiedziała, przeczesując palcami włosy Emmy. - Szczęściary z nas, Em. Nasz pan młody naprawdę mi się podoba.

Ramsey nadal miał na sobie elegancki ciemny garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Natomiast krawat był znacznie mniej konserwatywny. Psychodeliczny collage, utrzymany w fiolecie, różu i intensywnej żółci. Wyglądał wspaniale, a

jego uśmiech rzuciłby na kolana nawet najbardziej zimną i trudną do zdobycia kobietę.

- Obiecał mi, że nigdy nie utyje, wiesz, mamó? - pochwaliła się Emma.

- To prawda - przyznał Ramsey. - Sam nie wiem, jak to się stało, ale jeżeli chcecie, żebym dotrzymał tej obietnicy, musicie jak najszybciej zapewnić mi regularne korzystanie z siłowni. No, Emmo, wzięliśmy ślub. Aprobujesz nasz związek?

W jego głosie brzmiał cień napięcia. Molly przekrzywiła głowę na bok i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Przecież zdawał sobie sprawę, że Emma ma kręcka na jego punkcie, ale tym razem najwyraźniej zabrakło mu pewności. Molly świetnie go rozumiała. Musiał to usłyszeć. Czekał w milczeniu.

Emma podeszła do niego powoli i podniosła ramiona. Ramsey wziął ją na ręce i przytulił, a ona z bliska zajrzała mu w twarz.

- Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie, Ramsey - oświadczyła.

- Dziękuję, Emmo. Jesteś najwspanialszą dziewczynką na świecie. Spójrz na mamę - też nie jest zła. Dostałem księżniczkę z bajki. - Mocno uściskał Emmę i trzymając ją w ramionach, odwrócił się do Molly. - Emma i ja zamierzamy budzić cię co godzinę. Będziemy ci mówić, jaka jesteś piękna.

- Podoba mi się to, ale chyba tylko teoretycznie - rzekła Molly, kierując się w stronę wielkiego łóża. - A teraz może zagralibyśmy w wojnę, co?

- Nie, mamó, przecież wiesz, że wolę remika!

- Emmo, w remika zawsze wygrywasz. Dopiero co wyszłam za mąż - nie mogłabyś mi ustąpić?

- W porządku - poddała się Emma. - Zagramy w wojnę.

Ramsey ryknął śmiechem. Emma nie miała powodów do niezadowolenia.

- To małżeństwo niczego nie zmieniło - rzekła, kiedy wygrała po raz pierwszy. - W Irlandii też graliśmy w wojnę. Fajnie! Naprawdę nic się nie zmieniło!

- To bolesna prawda - rzekł Ramsey i potasował karty.

## ***Rozdział 31***

Tuż po północy Molly się obudziła, czując, jak Ramsey odsuwa jej włosy za ucho i delikatnie liże różowy płatek.

- Jeżeli chcesz przyłączyć się do zabawy, musisz być gotowa do gry od pierwszej piłki - szepnął.

- Zawsze uwielbiałam futbol, od pierwszej piłki. Gdzie Emma?

Oparł się na łokciu i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Nasze małe kochanie śpi jak suseł, aż dziwne, że nie chrapie. Zaniósłem ją do drugiej sypialni. Zostawiłem drzwi uchylone, żebyśmy mogli ją usłyszeć, gdyby się obudziła, więc żadnych krzyków, w porządku?

Molly podniosła rękę i czubkami palców musnęła jego policzek. Jej oczy dopiero przyzwyczajały się do ciemności. Dotknęła jego nosa, obrysowała palcem ciemne brwi i wargi.

- Jesteś pięknym mężczyzną, Ramsey. Kiedy zaskoczyłam cię w łazience w Dromoland, z trudem się powstrzymałam, żeby na ciebie nie skoczyć.

Chwycił ją i przyciągnął do siebie.

- Szkoda, że się powstrzymałaś. Sama widziałaś, że miałem wielką ochotę, żebyś na mnie skoczyła. Tak wielką, że aż cały zeszywniałem.

Oparła dłonie na jego ramionach i zsunęła je niżej. W tej chwili uświadomiła sobie, że zdjął szorty.

- Ojej - powiedziała, delikatnie gryząc go w ramię. - Jestem za grubo ubrana...

W niecałe dziesięć sekund zdjął z niej tę wspaniałą jedwabną koszulę nocną. Pocałowała go w podbródek.

- Mam ją powiesić, żeby się nie pogniotła?

Na widok jego przerażonego spojrzenia lekko uderzyła go w pierś i roześmiała się. Przetoczył się na nią, czując ją całym ciałem. Wdychał jej zapach, delektował się miękkością i jędrnością brzucha.



- Myślałem o tym tyle razy, że mózg mi się prawie usmażył. To dla mnie kompletne zaskoczenie. Nigdy nie podejrzewałem, że jestem takim napaleńcem, ale przy tobie tak właśnie jest. Chyba umieram, Molly.

- Spróbujesz dopaść mnie w szafie?

Pokręcił głową i zaczął ją całować.

- Nie, to byłoby zachowanie zupełnie bez klasy - mówił między pocałunkami. - Z drugiej strony może szafa nie byłaby taka zła, kiedy Emma będzie w pobliżu...

Wygięła się w łuk, odnalazła jego usta i zaatakowała go bez pardonu.

- Nie masz pojęcia, co to znaczy umierać - wymamrotała prosto w jego usta. - Mam ochotę zjeść cię na surowo.

Gryzła go w szyję, szczypała zębami jego wargi.

- Nie, ja to zrobię - powiedział, przyciskając usta do jej piersi. - To moja specjalność. Ty możesz zrobić całe mnóstwo innych rzeczy, ale później, Molly, znacznie później...

Kiedy rozchyliła nogi, jęknął w odpowiedzi. Całował jej szyję, uszy i usta, raz po raz odbywając wargami tę samą drogę. Na chwilę oparł się na łokciu, pieszcząc jej piersi i brzuch.

- No i co? - mruknął. - Jestem sławnym sędzią, ale i tak nie moglibyśmy nic zrobić, gdyby Emma nie zasnęła...

Molly zaczęła pocierać stopą jego nogę.

- Próbuj dalej - powiedziała. - Jest cudownie.

Podniósł się na kolanach, niechętnie odrywając się od niej, i odsunął jej rękę, kiedy usiłowała go na siebie pociągnąć. Spojrzał na nią, lekko dotknął palcami jej nóg i rozchylił je nieco szerzej. Potem pochylił głowę i zaczął całować brzuch.

- To bardzo dobre miejsce na początek - rzekł.

Schodził coraz niżej, aż w końcu jego wargi i palce wniknęły w nią głęboko, a ona już po krótkiej chwili zaczęła unosić biodra, wyginając plecy w łuk.

- Ramsey, nie zniosę tego... - wyszeptała. - Nie wytrzymam, czuję, że zaraz będę krzyczeć...

Położył rękę na jej wargach, tłumiąc krzyk, który nadszedł wbrew woli. Zastanawiała się, czy umiera, choć doskonale wiedziała, że dopiero teraz żyje. Nie chciała, aby te niezwykle, niewiarygodne doznania kiedykolwiek dobiegły końca.

Gdy osunęła się na łóżko, drżąca po wielkiej rozkoszy, którą nadal wibrowało ciało, Ramsey wszedł w nią głęboko, do samego końca. Znieruchomiał i w tej samej chwili zrozumiał, że wreszcie dotarł do swojego miejsca na ziemi, i że Molly jest jego żoną i kochanką na resztę ich dni. Nigdy nie przypuszczał, że może czuć się z kimś tak mocno związany.

Kochał Emmę i pragnął jej bezpieczeństwa, myśl o Molly przemykała, jak sądził, na peryferiach jego umysłu. Teraz wiedział, że wcale tak nie było. Wiedział tylko, że nie myśli teraz o nikim prócz Molly. Zadrzał jak człowiek ogarnięty straszliwą chorobą i dotarł na szczyt rozkoszy w ciele tej kobiety, którą znał zaledwie od dwóch miesięcy, kobiety, która była żoną gwiazdora rocka i córką gangstera. Życie naprawdę umie płatać przedziwne figle...

Molly powoli otworzyła oczy, starając się spokojnie oddychać. Zamrugła. Nic się nie wydarzyło. Mrugnęła jeszcze raz. Znowu nic. Skoncentrowała się na niespiesznym powrocie do życia, takiego, jakie znała. Nie mogła uwierzyć w istnienie tej oszłamiającej rozkoszy, której przed chwilą doznała.

- Spróbuję się odezwać - powiedziała cicho. - Nie chcę się poruszać, jedynie odezwać. O, właśnie, udało mi się sformułować pełne zdanie. Tak, powoli wracam do siebie. To było bardzo przyjemne, Ramsey.

Nadal tkwił głęboko wewnątrz niej. Było to niesamowite uczucie. Znowu zamknęła oczy, myśląc, jak to wspaniale, że się odnaleźli. Lekko uniosła biodra. Ramsey jęknął, kryjąc wargi w jej włosach.

- Jak to, przyjemne, do diabła? - wymamrotał. - Przyjemne to obrzydliwe słowo. Prawie obraźliwe.

- Więc to było przyjemniejsze niż przyjemne. Naprawdę cudowne. Może nawet prawie najcudowniejsze na świecie.

Zrobił się twardszy niż sekundę wcześniej.

- Potrzebujesz skali porównawczej. Jestem już prawie gotowy, ale mój duch musi odzyskać siły. Daj mi jeszcze pięć minut.

Leżał na niej, z głową opartą na poduszce obok jej głowy. Molly spokojnie gładziła go po plecach.

- Zapomniałam sprawdzić, czy oparzone miejsca się zagoiły - powiedziała.

- Tak, zagoiły się.

- A jak noga?

- Jak nowa. Jak twoje ramię? Czy szwy zniknęły?

- Tak jest, została tylko długa blizna. Ramsey, czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym powiedziała, że czuję do ciebie coś więcej niż dużą sympatię?

Ramsey milczał. Molly zaczęła się niespokojnie kręcić.

- Nie - powiedział, nadal nie mogąc się poruszyć. - Szczerze mówiąc, ja także czuję do ciebie coś więcej niż dużą sympatię.

Nachylił się i pocałował ją.

- Od dawna obserwowałem twoje usta i zastanawiałem się, jak smakujesz - rzekł. - Teraz już wiem...

Niecałe pięć minut później duch Ramseya odzyskał siły i kochali się znowu. Tym razem sądził, że umrze z rozkoszy. Był tego naprawdę cudownie bliski.

Koło czwartej rano poczuł dotyk małej dłoni na swoim ramieniu. Pogratulował sobie, że starczyło mu siły i przytomności umysłu, by wciągnąć szorty. Udało mu się także nakłonić Molly do włożenia koszuli nocnej, chociaż wcale nie miała na to ochoty.

Podniósł Emmę i ułożył ją obok matki. Molly przez sen wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć.

- Emma jest tutaj - szepnął.

Natychmiast cofnęła rękę i uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Poczula, jak drobne ramię Emmy obejmuje ją w pasie.

- Wiem, że jesteś piękna, mamusiu - usłyszała. - Nic nie szkodzi, że cię nie widzę...

- Dziękuję, Em. Nie musisz budzić mnie co godzinę, żeby mi to powiedzieć.

Molly ułożyła się wygodnie. Tuż przed zaśnięciem przypomniała sobie scenę ze swego ślubu. Oboje z Ramseyem stali przed sędzią pokoju, słuchając, jak ogłasza ich mężem i żoną, a radośnie uśmiechnięta Emma mówiła żonie sędziego, która sprzedała Molly bukiet za dziesięć dolarów, że teraz już wszyscy troje zawsze będą razem. Czyż to nie wspaniałe? Żona sędziego zgodziła się ochoczo i na moment odwróciła uwagę Emmy, aby Ramsey mógł pocałować Molly.

Molly zapadła w głęboki sen. Była tak szczęśliwa, że zupełnie zapomniała o byłym księdzu Sonnym Dickersonie, który osiągnął już takie stadium obsesji, iż raczej umrze, niż zrezygnuje z Emmy.

- Wiesz, co myślę? - zapytała Molly następnego dnia przy śniadaniu.

Mówiła cicho, ponieważ Emma była w pobliżu, siedziała na podłodze, ćwicząc pisanie swego imienia w notesie, który Molly kupiła dla niej w hotelowym sklepie z upominkami.

Ramsey podniósł wzrok znad płatków.

- Wiem, że to nic poważnego, bo pękasz ze śmiechu.

- Nie, mylisz się. Jestem zupełnie poważna.

- No dobrze, no więc o czym myślisz?

- Że było mi z tobą cudownie. Tak cudownie, że może należałoby to opodatkować.

Ramsey z trudem przełknął ślinę. Szybko wypił łyk kawy, parząc sobie usta. Bardzo dokładnie przypomniał sobie, jak czuł się w ramionach Molly, i o mało nie spadł z krzesła. Emma podniosła wzrok znad notesu.

- Jak się teraz nazywam, mammo?

Ramsey spojrzał na Molly. Myśli o seksie w jednej chwili wyparowały mu z głowy.

- Chciałbym, żebyś nazywała się Emma Hunt. Co ty na to?

- Mógłbyś to napisać, Ramsey?

Wziął ołówek i napisał, o co prosiła. Emma zaczęła kopiować litery. Po minucie rzuciła mu uważne spojrzenie.

- Ładnie to wygląda - oznajmiła. - Podoba mi się.

Ramsey i Molly obejrzelili rezultat jej wysiłków.

- Dobra robota, bardzo wyraźnie piszesz - powiedział Ramsey. - Emma Hunt... Naprawdę fantastycznie! A jak to brzmi!

Emma uśmiechnęła się i wróciła do pisania.

- Przepraszam cię, Molly - rzekł Ramsey przyciszonym głosem. - Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale bardzo mi na tym zależy. Chcę, żeby Emma prawnie została moją córką.

- Sama nie wiem... - Molly spojrzała na niego z wahaniem i ukroiła następny plaster grejpfruta. - Louey w ogóle nie zajmował się Emmą, ale był jej ojcem. Nie możemy udawać, że nigdy nie istniał.

- Pozwól, że zadam ci pytanie - gdyby Louey żył i gdybyś rozwiodła się z nim, a potem wyszła za mnie, jak byś zdecydowała?

Przełknęła kawałek grejpfruta i sięgnęła po żytnią grzanekę.

- Powiedziałałabym, że jest draniem i nigdy nie chciał nawet widywać się z Emmą. Może nawet powiedziałabym, że nie zasługuje na to, aby Emmą nosiła jego nazwisko... - Molly potrząsnęła głową. - Ale Louey nie żyje, Ramsey, i właśnie dlatego uważam, że powinna coś po nim mieć. A gdyby nazywała się Emmą Santera Hunt? Możemy jeszcze zapytać doktor Loo, ale wydaje mi się, że to nie najgorszy pomysł. W ten sposób Emmą będzie zawsze wiedziała, że Louey był jej ojcem.

Ramsey zapytał Emmę, co myśli o podwójnym nazwisku. Dziewczynka zastanowiła się i po chwili wyraziła zgodę.

- Zjesz bekon, Ramsey? - zapytała Molly.

- Nie, ty zjedz. Musisz podbudować siły, a ja po prostu tryskam energią. Im więcej razy na mnie skoczysz, tym będę silniejszy. Wprost nie mogę się doczekać, żeby ci tego dowieść.

- I jak to wygląda, mamó?

Molly odwróciła wzrok od męża, żałując, że nie może, rzucić się na niego i kochać się z nim do upadłego.

- Pokaż, Em... Ach, napisałaś to jeszcze sześć razy, tak? Za każdym razem lepiej. Doskonale, skarbie. Do pierwszej klasy pójdiesz jako Emma Santera Hunt.

- Panna Emma Santera Hunt - uzupełniła Emma. Molly spojrzała na Ramseya, który świetnie wiedział, jakie myśli krążą jej po głowie.

- A ja będę panią Molly Hunt.

- I wszyscy będziemy Huntami - ucieszyła się Emma. - Zanim Ramsey mnie znalazł, nie znałam nikogo, kto by się tak nazywał...

Ramsey zadzwonił do swoich rodziców. Oboje państwo Hunt porozmawiali chwilę z Molly i Emmą. Wszystko poszło znakomicie, chociaż Molly wyczuła, że żałują, iż nie byli na ślubie. Wszyscy razem ustalili, że pod koniec lata rodzice Ramseya wydadzą przyjęcie na cześć syna i synowej.

- Do tego czasu wszystkie problemy powinny już zniknąć - rzekł Ramsey, odkładając słuchawkę na widełki. - Sama zobaczysz, że moja mama traktuje synowe jak istoty absolutnie doskonale, natomiast chętnie dręczy swoich trzech synów.

- To zrozumiałe - oświadczyła Molly. - Chyba powinnam zadzwonić do mojej mamy...

Do San Francisco wrócili następnego dnia po południu. Okazało się, że wieczory bywają już dosyć chłodne. Wkrótce po ich przyjeździe od strony Golden Gate zaczęły napływać obłoki mgły. Ubrana w sweter Emma spacerowała po nowym podwórku, przyglądając się kwiatom rosnącym w zacisznym miejscu pod płotem. Jej pianino leżało na krześle w kuchni. Po drugiej stronie ulicy stał nieoznaczony samochód policyjny.

- Kupię jej huśtawkę - powiedział Ramsey, podchodząc do Molly od tyłu. Lekko pocałował ją w ucho. - Może zawieszę też oponę na tamtej sosnowej gałęzi...

Odwróciła się twarzą do niego.

- Chcę cię mieć - szepnęła.

I wzięła go, w ubraniu, w gabinecie, w atmosferze napięcia, ponieważ Emma była w pobliżu. Stali przytuleni do siebie, dysząc ciężko, kiedy Emma wpadła do kuchni.

- Mamo, Ramsey ma pokój pełen puszek! - zawołała.

Molly przewróciła oczami.

- Puszki? - powtórzyła pytającym tonem. - Założę się, że mają najróżniejsze kształty. Ty zboczeńcu...

- Mamo? - odezwała się z kuchni Emma. - Słyszę, że się śmiejesz. Powiedziałaś żart?

- O tak - odparła Molly cicho. - Tak jest, powiedziałam żart.

Po kolacji, na którą złożyła się wołowina po syczańsku, ulubione danie Ramseya, oraz kluseczki z czosnkiem i jajkiem, Molly poprosiła Emmę o chwilę uwagi.

- Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali o tym we troje, Em - powiedziała. - Dość długo to odkładaliśmy. Będę z tobą zupełnie szczerą. Ramsey martwi się o ciebie. Niepokoi się, ponieważ ten okropny człowiek nadal jest na wolności. Mieliśmy nadzieję, że do tej pory już go złapią, ale nic z tego. Oznacza to, Em, że musisz być superostrożna. Za każdym razem, kiedy będziemy wychodzić z domu, trzymaj się jak najbliżej mnie albo Ramseya. Jeżeli jedno z nas pójdzie przodem, trzymaj za rękę drugie, rozumiesz? Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

Ramsey nigdy nie podjąłby tej rozmowy sam. Czuł się tak, jakby stali na krawędzi aktywnego wulkanu. Z wysiłkiem przełknął łyk mocnej czarnej kawy, którą przed chwilą zaparzył.

- Wiem, mamó - odparła Emma. - Doktor Loo powiedziała mi, że on uważał, że mogę go uratować przed piekłem. Wyjaśniła mi, że to nieprawda, ale on wbił to sobie tak mocno do głowy, aż wreszcie w to uwierzył.

Emma mówiła spokojnie i logicznie. Ramsey był zdumiony, że stać ją na taki dystans w stosunku do tego tematu.

- Najprawdopodobniej doktor Loo ma rację - powiedziała Molly.

- Ale dlaczego zrobił mi krzywdę, skoro uważał, że mogę go uratować?

- Pan Savich powtórzył Ramseyowi, co powiedzieli mu lekarze z FBI. Otóż oni uważają, że ten człowiek krzywdził cię, bo uznał, że sprawiając ból tobie, osobie, która ma go zbawić, oczyszcza się z grzechów i przygotowuje na spotkanie z Bogiem.

- Nie rozumiem tego, mamó.

- Tak naprawdę nikt tego nie rozumie - stwierdził Ramsey. - Ten człowiek jest bardzo chory i dlatego bardzo niebezpieczny. Musimy być wyjątkowo ostrożni.



- Wiem, że on jest - rzekła Emma. - I czeka...

- Właśnie - powiedziała Molly. - Chciałabym dostać go w swoje ręce, ale nic nie mogę zrobić. Dopóki go nie złapią, będzie nam trudno. Przykro mi, ale nic na to nie poradzimy. Musisz zawsze rozglądać się dookoła i nie oddalać się od nas. A teraz podejź do frontowego okna, Em, i spójrz na ten jasnoniebieski samochód po drugiej stronie ulicy. W środku siedzą policjanci, oni też będą wypatrywać tego człowieka.

- Widzę ich, mamó.

Ramsey odchrząknął. Chciał powiedzieć coś mądrego i pocieszającego, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Emmo, mogłabyś do mnie na chwilę podejść? - zapytał w końcu. - Chciałbym, żebyś posiedziała obok mnie. Nie czuję się zbyt dobrze.

Emma podbiegła do niego tak szybko, że ledwo miał czas, aby odsunąć krzesło i wziąć ją na kolana. Przytulił ją. Emma poklepała go po ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze, Ramsey. Poradzimy sobie z tym, obiecuję ci.

Ramsey ukrył twarz w jej warkoczu.

- Kocham cię, Emmo Hunt...

- Ja też cię kocham, Ramseyu. Bardzo cię kocham.

Łagodnie głaskała go po ramieniu i ręce, ze wszystkich sił usiłując go pocieszyć.

Na weekend pojechali do Monterey. Najpierw obejrżeli Akwarium Zatoki Monterey. Emma była zachwycona meduzami. We trójkę usiedli na ławce przed ogromnym pojemnikiem i przez prawie pół godziny obserwowali meduzy. Potem przeszli przez Karmel, bawili się na pięknej plaży w zatoczce, pojechali do Big Sur i wreszcie zjedli piknik na poboczu Seventeen Mile Drive.

Przez całe trzy dni w ogóle nie myśleli o Sonnym Dickersonie, a w każdym razie bardzo się starali. Po dotarciu do hotelu Ramsey zadzwonił do Virginii Trolley, podał ich numer telefonu i opowiedział jej, jak sobie radzą.

Molly zadzwoniła do ojca, który szybko odzyskiwał siły. Miles tęsknił za nimi, a szczególnie za Emma. Eve powiedziała, że Mason śpi i zaproponowała, by zadzwonili w przyszłym tygodniu, może wtedy z nimi porozmawia.

- Suka! - mruknęła Molly, odkładając słuchawkę.

Ramsey spojrział na nią znad stolika do blackjacka, w którą to grę grał właśnie z Emmą. Nauczył ją grać dwa dni wcześniej. Wygrała z nim, co zaskoczyło go i wpędziło w taką dumę, że mało nie pękł.

- Eve na pewno znacznie lepiej radzi sobie z twoim ojcem, kiedy nikogo nie ma w pobliżu - rzucił z uśmiechem przez ramię. - A zwłaszcza pasierbicy, która jest od niej starsza, oraz córki tejże, czyli przyszywanej wnuczki, która gra we wszystko znacznie lepiej od niej, oraz przystojnego i dowcipnego faceta, który w ogóle nie jest nią zainteresowany. Do diabła, Emmo, nie mogę uwierzyć, że trafiłaś szesnastkę! Trzeba było zaczekać.

Emma wyglądała na tak całkowicie nieobecną i zamkniętą w sobie, że Molly aż się przeraziła, lecz zaraz zrozumiała, że jej córka po prostu się koncentruje.

- Cały czas dokładnie liczyłam karty, tak jak mnie uczyłeś - powiedziała Emma. - Wiedziałam, że muszą być jeszcze dwie trójki oraz dwa asy. Nie pamiętam tylko, ile jest dwójek...

Ramsey parsknął śmiechem, złapał Emmę na ręce i przewrócił się na plecy, potrząsając nią nad sobą. Dziewczynka zanosila się śmiechem.

- Molly, czy mogę wrzucić ją do akwarium z meduzami? - krzyknął Ramsey. - Wtedy usiądziemy sobie na tej tu ławeczce i popatrzymy, jak to dziwne stworzenie zaprzyjaźnia się z innymi dziwnymi stworzeniami.

- Już sobie przypomniałam! Jest jeszcze jedna dwójka! Głupio byłoby czekać na szesnastkę!

- Nie, nie ma więcej dwójek. - Ostrożnie postawił Emmę na ziemi. - Chodźmy sprawdzić. Założę się, że nie ma...

Na stole leżało dwanaście kart. Ostatnią była dwójka karo.

Następnego popołudnia wybrali się na spacer wzdłuż zatoki. Ramsey uwielbiał ten zapach, stanowiący połączenie aromatu soli, drewna i kreozotu, którym impregnowano drewno. Mewy podlatywały blisko, głośno krzycząc i domagając się okruchów. Nad zatoką stało mnóstwo straganów, przy których sprzedawano ryby, i kiedy ktoś zbliżał się do nich późnym popołudniem, w nozdrza uderzał go ostry, prawie obezwładniający zapach solanki i ryb.

Nad wyrzuconymi na brzeg, już nieco wyschniętymi wodorostami unosiły się chmury much. Nie był to przyjemny widok. Lwy morskie porykiwały w pobliżu molo, tłuste i bezczelne, jak zwykle obserwowane przez gromadki zafascynowanych dzieci. Były tu też niezliczone sklepiki z pamiątkami. Emma miała na sobie koszulkę z wielkim napisem KARMEL, białe dżinsy, tenisówki Nike oraz ulubione skarpetki w kratkę. Ostatnio sama prała je prawie codziennie.

Ponieważ było lato, w Monterey aż roiło się od turystów. Słońce świeciło jasno, ale nie było upału. Nad oceanem zdarzał się rzadko. Ramsey lubił nosić Emmę, ponieważ wiedział, że na jego rękach jest całkowicie bezpieczna, ale dziewczynka miała niezależny charakter.

- Ramsey, nic mi się nie stanie - oświadczyła, rzucając mu długie spojrzenie. - Nie zamierzam nigdzie uciec.

Szła więc obok niego, albo trzymając go za rękę, albo próbując go wyprzedzi. Nie spuszczała oka z pewnego lwa morskiego, który głośno ryczał na każdą mijającą go osobę. Był olbrzymi. Ramsey bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jak osiągnął taki rozmiar. Zapytał jednego z rybaków, od jak dawna zwierzę tu przebywa.

- Od dwóch lat - odparł mężczyzna. - Skurkowaniec nigdy nie przestaje jeść. Nazywa się Stary Chester. Z drugiej strony nie ma się co dziwić, przecież San Francisco jest bardzo niedaleko stąd. Tych bestii nie wolno karmić, ale oczywiście wszyscy to robią. Tam można kupić tanie sardynki, widzi pan? Wstydu nie mają...

Ramsey nie bardzo wiedział, czy rybak mówi o turystach, czy o lwach morskich.

- Niech będzie - ustąpił w końcu. - Ale sama będziesz rzucała mi sardynki, Emmo. I nie zbliżaj się za bardzo.

Emma pobłażliwie kiwnęła głową, kupiła trzy sardynki, na szczęście martwe, które sprzedawca zawinął w papierowy ręcznik. Ramsey stał tuż za nią, kiedy przyszła jej kolej na karmienie Starego Chestera. Mało brakowało, a pękłaby ze śmiechu, gdy zaczął na nią porykiwać.

W tej samej chwili Ramsey usłyszał, jak Molly głośno go woła.

## ***Rozdział 32***

Odwrócił się gwałtownie i potknął. Jakiś chłopak próbował wyrwać Molly torebkę. Ramsey pognał ku nim na pełnej prędkości.

- Puść ją, ty mały draniu! - wrzasnął.

Emma!

Obejrzał się. Emma stała na brzegu, z ręką wyciągniętą do lwa morskiego, w ogóle nie zdając sobie sprawy, co się stało. Wokół niej było mnóstwo ludzi. Nic jej nie groziło. I właśnie wtedy, kiedy już miał się znowu odwrócić i pobiec do Molly, dostrzegł go, jak przemykał przez tłum dzieci i ich rodziców. Poznałby tego mężczyznę wszędzie, na jawie i w koszmarnej śnie. Jeszcze parę metrów i zaraz ją chwyci... Tamten był już prawie przy Emmie, świadomy, że zamieszanie w tłumie nie będzie trwało wiecznie, już wyciągał po nią rękę, kiedy Ramsey złapał go za kołnierz, szarpnął z całej siły i wymierzył mu prawy sierpowy w szczękę.

- Dlaczego uderzyłeś tego faceta?! Przecież on nie zrobił nic złego!

- Właśnie, odkąd to wolno tłuc ludzi za nic? Co z tobą, facet?

Wokół nich skupiło się mniej więcej pół tuzina osób. Wszyscy byli wyraźnie wzburzeni, lecz na razie nikt nie zaatakował Ramseya.

- Emmo, biegnij do mamy, ale już! - krzyknął.

Dickerson dźwignął się na nogi, rozcierając sobie szczękę i plując krwią.

- Dlaczego mnie uderzyłeś? - ryknął. - Jestem księdzem! Dlaczego bijesz osobę duchowną?

- Hej, ty, nie trzeba było tego robić!

Ktoś popchnął Ramseya. Ktoś inny szarpnął go za ramię.

- Przestańcie! To mój tatuś, próbował mnie ratować!

Ale nikt nie słuchał małej dziewczynki. Wszyscy ze wzburzeniem powtarzali Ramseyowi, jaki z niego drań. Ramsey był na granicy paniki. Usiłował się opanować, ale nagle zobaczył, jak Dickerson znowu przesuwa się w stronę Emmy.

- Zostaw ją! - wrzasnął, lecz ten zignorował ostrzeżenie, być może nawet w ogóle go nie usłyszał, całkowicie pochłonięty widokiem Emmy.

- Bardzo mi przykro - warknął Ramsey i wykonał szybki półobrót.

Kopnął jednego z mężczyzn w udo, drugiego uderzył pięścią w ramię, trzeciemu wymierzył błyskawiczny cios w brzuch. Był wolny, lecz Dickerson nieuchronnie zbliżał się do Emmy. Tym razem Ramsey nie krzyknął. Pragnął dostać drania w swoje ręce i zbić go na krwawą miazgę. Zalała go fala wściekłości i nieopanowanego pragnienia zemsty.

Dickersona dzieliło od Emmy już tylko pół metra. Twarz miał spokojną, natchnioną, zupełnie jakby patrzył na jakiś piękny obraz, i może rzeczywiście jego chory mózg podsuwał mu kuszące obrazy. Jakiś mężczyzna wpadł na Ramseya, który po prostu odepchnął go z drogi.

Wtedy Dickerson rozejrzał się. Ramsey usłyszał, jak zaklął i znowu potoczył dookoła wzrokiem, zastanawiając się, czy ma jakieś szanse. Musiał dostrzec obietnicę śmierci w oczach Ramseya, bo wycofał się, przemykając wśród ludzi.

- Stój!

Dickerson potknął się, odzyskał równowagę i ruszył biegiem. Ramsey ruszył w pościg, a za nim Emma. Ludzie ustępowali im z drogi. Dickerson obejrzał się, zobaczył, że Ramsey jest blisko, skręcił ostro i skoczył do wody. Ramsey chwycił Emmę, odwrócił się do tęgiej kobiety, otoczonej gromadką dzieci, i ocenił ją szybkim spojrzeniem.

- Tamten mężczyzna to pedofil - rzucił. - Próbował porwać moją córkę. Proszę się nią na chwilę zaopiekować.

Prawie wepchnął Emmę w ramiona kobiety i skoczył za Sonnym Dickersonem prosto w lodowate wody zatoki Monterey. W pierwszej chwili sądził, że ciało odpadnie mu od kości. Płuca skurczyły się, jak ściśnięte imadłem. Wyplął na powierzchnię i poszukał wzrokiem Dickersona. Nigdzie go nie widział. Nie mógł przecież odpłynąć daleko, bo przecież on skoczył do wody tuż za nim.

- Płyń w kierunku falochronu! - usłyszał krzyk Molly. - Pospiesz się, Ramsey! Uważaj! Uważaj, do diabła!

Dickerson dobrze pływał, ale fala była tego dnia bardzo wysoka. Wszędzie wokół nich sterczały ostre, niebezpieczne skały, a woda była potwornie zimna. Tym razem Ramsey nie zamierzał pozwolić, aby mu się wymknął. O nie. Wierzył w sąd, wierzył w sprawiedliwość, lecz wiedział też, że żaden adwokat nie będzie miał okazji reprezentować Sonny'ego Dickersona. Był już blisko porywacza, kiedy nagle Dickerson wyciągnął z kieszeni pistolet i zaczął nim wymachiwać.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - wrzasnął, krztusząc się wodą. - Nie żartuję, Hunt! Jeżeli zmusisz mnie do tego, zastrzelę cię!

- Posłuchaj mnie uważnie, Dickerson! - odkrzyknął Ramsey. - Nigdy nie dostaniesz Emmy! Policja i FBI już o tobie wiedzą! Wszyscy palą się, żeby cię zastrzelić jak psa za to, co zrobiłeś! Nigdy więcej nie skrzywdzisz Emmy ani żadnego innego dziecka! To już koniec, lepiej się poddaj! - Złapał się sterczącej

z falochronu deski, ale była tak śliska, że palce zjechały po niej jak po lodzie. - Nie bądź głupi, poddaj się!

- Kłamiesz! Nikt nie wie, kim jestem! Jestem mistrzem charakteryzacji, Hunt! Mała widziała tylko maskę Clintona!

- Ale na plaży nie miałeś maski! Emma dokładnie cię opisała! Twoje dane są w policyjnych aktach, skurwysynu, nie zapominaj o tym! Czy Rule Shaker wiedział, że jesteś zbrojcem, kiedy cię wynajmował?!

- Nigdy go nie widziałem. Wynajął mnie jeden z jego ludzi. Powtarzał mi w kółko, żebym nie robił małej krzywdy, bo kiedy jej ojciec zgodzi się z nimi współpracować, ma wrócić do matki. Potrzebowałem forsy, więc jasne, że się zgodziłem. Ale kiedy zobaczyłem Emmę, zrozumiałem, że Bóg mi ją zesłał. Tamten tydzień to był dopiero początek, ale oszukała mnie i uciekła. Wcześniej czy później znowu ją złapię, to tylko kwestia czasu!

Ramsey prawie stracił cierpliwość, ale wiedział, że musi jeszcze chwilę wytrzymać.

- Kiedy uciekła, nasłałeś na nas tamtych zbirów, tak?

- Tak. Chciałem ją odzyskać, ale udało się wam uciec.

- Właśnie. A teraz mam cię w ręku, Dickerson!

Dickerson wydał przeraźliwy wrzask i rzucił się ku rozchwianej drewnianej drabince, która wyglądała tak, jakby już dawno powinna rozsypać się w wodzie. Podciągnął się na nią, lecz Ramsey już był przy nim i chwycił go za nogę.

- Puść mnie! Ona jest moja, słyszysz?! Muszę ją mieć, to moja jedyna szansa! Jestem ważniejszy niż ona kiedykolwiek będzie! Potrzebuję jej!

Ramsey szarpnął z całej siły. Dickerson strzelił i kula przeleciała tuż obok lewego ucha Ramseya. Sekundę później rozległ się drugi strzał. Ramsey zachwiał się, nie wypuszczając z żelaznego uścisku nogi Dickersona. Nie czuł bólu, tylko lodowate odrętwienie. Nie mógł poruszyć ręką. Słyszał głos Molly i Emmy.

- On krwawi! - krzyknął ktoś na brzegu. - Jest ranny!

Dickerson uwolnił nogę i mocno kopnął Ramseya w zranione ramię. Oślepiający ból pozbawił Ramseya sił. Osunął się do wody. Jak z wielkiej odległości ujrzał nagle bladą jak kreda twarz Molly, zobaczył, jak podnosi nogę i wymierza Dickersonowi, który dotarł do szczytu drabinki, kopniaka prosto w twarz.

Dickerson poleciał do tyłu, wymachując ramionami i starając się znaleźć jakiś punkt oparcia dla dłoni. Stara, spróchniała drabina złamała się, stopnie z trzaskiem pękały pod jego ciężarem. Dickerson wpadł do wody, lecz tym razem Ramsey mocno chwycił go za szyję. Dickerson wrzeszczał ochryple, woda wypełniła mu usta i Ramsey poczuł, że tamten słabnie. Teraz gra toczyła się o to, który z nich dłużej wytrzyma.

Potworny ból szarpnął nagle ramieniem Ramseya. Zadrzał i przymknął oczy, starając się nie stracić przytomności. Nie puścił Dickersona, wręcz odwrotnie, ścisnął go jeszcze mocniej. Dickerson wił się jak węgorz, usiłując skierować rewolwer w stronę Ramseya. Ramsey próbował podnieść zranioną rękę, lecz nie zdołał tego zrobić. Ramię zwisało bezwładnie, zakrwawione i potwornie obolałe. Zacisnął zęby, nie zwalniając uścisku na szyi Dickersona.

Dlaczego ten drań utrzymywał się na powierzchni? Podtrzymywały go fale, a Ramsey nie miał dość siły, aby go przygnieść. Wcale się nie zdziwił, kiedy Molly skoczyła do wody tuż obok niego. Sekundę później o mało nie umarł ze strachu, ponieważ Molly złapała Dickersona za rękę i wykręciła ją do tyłu. Dickerson krzyczał przeraźliwie, ale nie miało to znaczenia, ponieważ rewolwer znajdował się teraz w dłoni Molly.

Jej twarz była przerażająco biała, oczy płonęły wściekłością. Zbliżyła lufę do twarzy Dickersona i Ramsey uświadomił sobie, że zamierza go zabić. W tej samej chwili zrozumiał, że w żadnym razie nie chce, aby Molly zabiła człowieka, kimkolwiek by on był.



- Nie strzelaj, Molly, bo mogłabyś trafić mnie zamiast niego - powiedział.  
- Trzymam go mocno, widzisz? Nie wymknie mi się. To już koniec. Nie strzelaj, proszę...

Zamrugła i jej oczy straciły ten szalony wyraz. Dickerson jakimś cudem odzyskał swobodę ruchów i uderzył Ramsey'a łokciem w brzuch. Woda zakołysała się, zwiększając siłę uderzenia Dickersona. Ramsey rozluźnił uchwyt i Dickerson zdołał się uwolnić. Rzucił się do przodu, usiłując wyrwać rewolwer z dłoni Molly.

Huknął strzał. Molly walczyła jak lwica i szarpała się, lecz Dickerson był od niej silniejszy. Ramsey kopnął na oślep Dickersona, usiłując jej pomóc. Boże, ależ z niego głupiec! Dlaczego chciał ratować Dickersonowi życie? Okazał się idiotą i przegrywał! Usłyszał, jak Emma go woła.

Nagle w wodzie znalazło się jeszcze dwóch mężczyzn i wszyscy zaczęli walczyć o rewolwer. Kiedy rozległ się następny strzał, nikt nie wiedział, kto go oddał. Na powierzchni wody leżał twarzą w dół nieprzytomny mężczyzna, a spod jego ciała wypływała czerwona od krwi woda.

- Szkoda, że nie zjawiliście się wcześniej - powiedział Ramsey. - Już prawie przestałem wierzyć, że przyjdziecie mi na pomoc.

- Proszę się niczym nie niepokoić, sędzio Hunt - rzekł porucznik McPherson z wydziału kryminalnego, którego twarz przed chwilą pojawiła się w polu widzenia Ramsey'a. - Jest pan w szpitalu w Monterey. Lekarz i pielęgniarka przed chwilą wyszli. Niedługo wróci pan do zdrowia, proszę się nie obawiać. Jestem tu tylko dlatego, że pomyślałem sobie, iż chciałby pan wiedzieć, co z Dickersonem. Nadal przebywa na sali operacyjnej. Lekarze nie są w stanie powiedzieć, czy przeżyje. Kula trafiła go prosto w pierś. Jest jeszcze za wcześnie na prognozy.

- Żałuję, że nie pozwolili temu skurwysynowi umrzeć - mruknął Ramsey.

Prawe ramię miał unieruchomione. Spojrzał na biały temblak i przypomniał sobie, jak wieziono go do sali operacyjnej, tuż obok Dickersona. Molly i Emma szły obok wózka, blade i milczące. Pamiętał, że drobne palce Emmy delikatnie głaskały jego ramię, a Molly mocno, bardzo mocno trzymała go za rękę. Potem ocknął się w tym pokoju i zobaczył twarz McPhersona.

- Ja też mam nadzieję, że Dickerson kopnie w kalendarz - rzucił porucznik. - Wszyscy oszczędzilibyśmy w ten sposób mnóstwo pieniędzy. No, nieważne. Cieszymy się, że nie jest pan ciężko ranny, sędzio Hunt.

- Wie pan, jak przebiegła moja operacja?

- Chirurg rozmawiał z panem parę minut temu, nie pamięta pan?

- Nie. Przypominam sobie tylko jakiś głos, który mówił i mówił, ale zupełnie nie pamiętam co...

- Operowali pana dwie godziny. Chirurg powiedział, że miał pan szczęście. Kula przeszła przez bok, w miejscu, gdzie są tylko mięśnie. Złamała też panu obojczyk i otarła się o jedno żebro, ale nie wyrządziła większych szkód. Rana będzie się długo goiła, a pęknięty obojczyk da się panu we znaki, ale za jakieś trzy, cztery miesiące powinien pan zająć miejsce za stołem sędziowskim. Lekarz bardzo się cieszył, że kula nie uszkodziła żadnego ważnego organu. Powiedział, że nie chce tu afery z powodu sławnego sędziego federalnego. Bardzo go to rozbawiło.

Ramsey nie odpowiedział. Miał wrażenie, że jego mózg wyłącza się i włącza jak zepsuty neon. Dobrze chociaż, że był zupełnie odrętwiały i nie czuł bólu. Żałował tylko, że Dickerson jeszcze żyje. Jeżeli nie umrze, zostanie oskarżony o porwanie i próbę zabójstwa, i wcale niewykluczone, że za jakiś czas wyjdzie z więzienia. Emma nadal nie będzie bezpieczna...

Co za głupstwa... Oczywiście, że będzie bezpieczna. Kiedy Dickerson wyjdzie na wolność, jeśli w ogóle wyjdzie, Emma będzie już dorosła.

- Sędzio Hunt? Słyszysz mnie pan? Czy mam wezwać lekarza?

Ramsey nie zdawał sobie nawet sprawy, że jego głowa opadła do tyłu, na bardzo miękką poduszkę. Kiedy otworzył oczy, spostrzegł zaniepokojoną twarz porucznika McPhersona. Słyszał przestraszony głos młodego policjanta, ale nie mógł zrozumieć jego słów.

- Nic mi nie jest - powiedział z wysiłkiem. - Nie przypuszczałem, że w szpitalach są takie miękkie poduszki...

- To nie jest szpitalna poduszka - oświadczył McPherson. - Przyniosła ją pani Hunt. Pańska żona i córka właśnie się przebierają. Pani Railis kupiła tę poduszkę i ubrania. Nie chciała, żeby przebywały tu w szpitalnych piżamach. Pani Railis była świadkiem całego zajścia na nabrzeżu. To bardzo znana osoba w Monterey. Jeżeli uzna, że ma pan mieć miękką poduszkę, to nikt nie odważy się z nią spierać.

Ramsey chciał zapytać o Molly i Emmę, dowiedzieć się, czy nic im nie jest, ale nie mógł wydobyć słów z gardła. Było to dziwne uczucie. Wiedział, co chce powiedzieć, a nie mógł tego zrobić. Porucznik lekko poklepał go po ramieniu.

- Doktor dał panu jakiś mocny zastrzyk. Powiedział, że nie wygląda pan na takiego, który dobrowolnie się odpręży, więc musi zwalić pana z nóg. Pani Hunt i państwa córka na pewno zaraz tu przyjdą. Pani Railis nalegała, by napiły się kawy i gorącej czekolady, chyba dlatego jeszcze ich nie ma. Próbowałem odwieść doktora od tego pomysłu z zastrzykiem, ale się nie dał. Może pan mówić, sędzio Hunt?

- Nie - odparł Ramsey. - Doktor kompletnie mnie powalił.

McPherson nie odpowiedział, więc Ramsey pomyślał, że pewnie tylko mu się wydawało, że coś mówi. Uśmiechnął się na widok Molly i Emmy, które na palcach weszły do pokoju. Emma miała na sobie bluzę i spodnie, w których nigdy dotąd jej nie widział, a Molly wyglądała jak modelka, ubrana w jasnożółte szerokie spodnie z jakiejś lejącej się tkaniny, żakiet w tym samym kolorze i, o

dziwo, buty na wysokim obcasie. Piękne włosy zebrała na karku i spięła szeroką złotą spinką. Obie wyglądały cudownie.

Miał ochotę krzyknąć, że tym razem wreszcie wygrali, chciał nawrzeszczyć na Molly za to, że skoczyła do wody i jednocześnie podziękować jej, bo przecież uratowała mu życie. Chciał powiedzieć im obu, jak bardzo je kocha, ale słowa nie chciały wydostać się z jego ust. Zastanawiał się, dlaczego stawały tak zdecydowany opór.

- Nie, nic mu nie jest, proszę pani, naprawdę. Co chwilę zapada w drzemkę, to wszystko. Lekarz chciał, żeby odpoczął i odprężył się, więc odpoczywa. Jak się pani czuje, pani Hunt? I pani, i Emma wyglądacie wspaniale. Czy chciałaby pani złożyć teraz zeznanie?

Potem Ramsey usłyszał głos Virginii Trolley, która mówiła McPhersonowi, by zostawił Molly w spokoju, bo porozmawia z nim, kiedy będzie pewna, iż Ramseyowi nic nie grozi. Virginia dotarła do Monterey z prędkością światła.

Ramsey wiedział, że Ginny wszystkim się zajmie. Nie miał też cienia wątpliwości, że surowo rozprawi się z dwoma policjantami, którzy mieli ich ochraniać. Przypomnił sobie, że jeden z nich powiedział, iż musiał wyskoczyć do toalety i właśnie dlatego spóźnili się o kilka minut. Ramsey chciał zapytać, co w tym czasie porabiał jego partner, ale nie miał siły.

Uśmiechnął się słabo do Emmy, która szybko podeszła do łóżka.

- Wszystko w porządku, Em. - Zdawało mu się, że mówi, ale jej twarz nie zmieniła wyrazu.

Poczuł miękkie wargi na swoim policzku.

- Mamy go, Ramsey - szepnęła mu do ucha. - Pani Railis obiecała mi, że on na pewno nie ucieknie ze szpitala.

Ramseyowi zachciało się śmiać, ale znowu zapadł w drzemkę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, był dotyk ciepłych paluszków Emmy na lewej dłoni.

- Będzie żył - powiedziała Molly. - Operowali go przez wiele godzin i wszystko wskazuje na to, że przeżyje.

Siedząca po drugiej stronie łóżka Virginia Trolley westchnęła ciężko.

- Wiedzieli, kogo mają na stole - mruknęła. - Żałuję, że nie pozwolili mu umrzeć. Teraz będziemy musieli postawić go przed sądem, a was czeka kolejny etap nurzania się w tych brudach.

- Wszystko w porządku, Virginio - rzekł Ramsey, którego głos brzmiał dziś rano głęboko i nieco ochryple.

Oddałby kilka lat życia za kubek kawy, ale nikt nie chciał mu jej dać. Pielęgniarka poinformowała go, że jeżeli napije się teraz kawy, będzie rzygał jak kot. Ramsey chętnie pokazałby jej, jak bardzo się myli.

- Gdzie Emma?

- Jestem tutaj, Ramsey. Mama chciała, żebym zajęła się czymś innym, ale przecież ja świetnie wiem, co się dzieje. Czy ramię cię boli?

- Nie, jestem dużym facetem, mówiłem ci. Ramię to nic. Wygląda na to, że za każdym razem, gdy do mnie strzelają, czuję się coraz lepiej.

- Bałam się, że on cię zabije - szepnęła Emma. - Woda była taka czerwona... Chciałam skoczyć ci na pomoc, ale ta duża pani mnie nie puściła.

Na myśl o Emmie skaczącej do wody i lądującej na głowie Dickersona serce prawie przestało mu bić.

- Twoja mama uratowała mi życie w twoim imieniu - odezwał się po chwili milczenia. - Dzięki, Emmo. Co stanie się teraz z Dickersonem, Virginio?

- Twój przyjaciel, Dillon Savich, jest już w drodze. Ponieważ sprawą od początku zajmowali się federalni, chce przesłuchać Dickersona. Przyjedzie także specjalista od sporządzania portretów psychologicznych. Wiesz, że oni zawsze chętnie rozmawiają z psychopatami, zresztą Dickerson rzeczywiście powinien okazać się dla nich prawdziwą kopalnią informacji. Czujesz się na tyle silny, aby złożyć zeznanie?

Ramsey przytaknął. Rozmowa z porucznikiem McPhersonem i jego przełożonym, kapitanem Danielem Mapesem, trwała dosyć długo. Pod koniec Ramsey był już mocno zmęczony.

- Wystarczy, sędzio Hunt - powiedział kapitan Mapes, spoglądając na bladą, zmęczoną twarz Ramseya. - Jeżeli będziemy mieli więcej pytań, zgłosimy się do pana jutro.

- Myślałam, że już nigdy nie wyjdą. - Molly westchnęła. - Nie wyglądasz zbyt dobrze.

- Napiłbym się kawy.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - Do usług.

To był prawdziwy cud. Łakomie obserwował, jak zdejmuje wieczko ze styropianowego kubka. Wypił trzy duże łyki i parę sekund później o mało nie umarł. Czuł się fatalnie, ale nie zamierzał zwymiotować. W końcu mdłości ustąpiły. I wtedy natychmiast wpadł w popłoch.

- Gdzie Emma?!

- Spokojnie, nic jej się nie dzieje. Jest z Virginią, opowiada, co się stało. Z perspektywy dziecka powinno to być bardzo interesujące. Musisz jeszcze trochę odpocząć, Ramsey. Wiem, że to głupio mówić ci, ile masz szczęścia, kiedy leżysz sztywno jak kłoda, nie możesz drgnąć i okropnie się czujesz, ale naprawdę jesteś szczęściarzem. Szybko dojdiesz do siebie. Chirurg powiedział, że jutro wieczorem możesz zaprosić mnie na tańce. No, może nie jutro, może dopiero w środę...

Uśmiechnęła się szeroko, zamknęła drzwi i położyła się obok niego na wąskim szpitalnym łóżku. Pocałowała go w ucho, w nos i wreszcie w usta.

- Smakujesz szpitalem - wymruczała, pieszcząc wargami jego szyję. - Ale ja jestem cała w jedwabkach, więc może podoba mi się to na zasadzie przeciwności. - Westchnęła głęboko. - Jaka szkoda, że nie możemy zabawić się w lekarza...

- Molly, błagam, nie doprowadzaj mnie do erekcji! Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co zrobiłaby siostra Hayman, gdyby wpadła tu i zobaczyła mnie, celującego w sufit!

- Siostra Hayman cię uwielbia. Najprawdopodobniej ściągnęłaby mnie z ciebie i sama zajęła to miejsce.

- No, dobrze, nowożeńcy, wystarczy tych czułości - odezwał się stojący w progu mężczyzna.

- Mimo wszystko dobrze, że to nie siostra Hayman - rzekła Molly i zeskoczyła z łóżka.

Był to Dillon Savich, uśmiechnięty od ucha do ucha. Zza jego pleców do pokoju zaglądał drugi mężczyzna, który wyglądał tak, jakby nigdy w życiu się nie uśmiechał. Miał twarz średniowiecznego mnicha, nieruchomą, długą i wąską, zwieńczoną okalającym głowę wianuszkciem siwych włosów.

- Cześć, Ramsey. Cieszę się, że czujesz się na tyle dobrze, by całować się z Molly. Chciałbym przedstawić wam Thomasa Galviani, znanego jako Tommy Oko, człowieka, którego specjalnością jest tropienie pedofilów. To jeden z najwybitniejszych ekspertów w tej dziedzinie na świecie.

Mężczyzna spokojnie skinął głową, ani na chwilę nie zmieniając wyrazu twarzy, i uścisnął dłoń Ramsey'a.

- Savich uważa, że jestem zbyt poważny, ale to nieprawda. Miło mi pana poznać, sędzio Hunt. Czytałem, jak poradził pan sobie z dilerami narkotyków na sali sądowej. Wszyscy w FBI ciągle o tym mówią. Cieszę się, że tym razem sprawca został ujęty, zanim zdołał kogoś zabić. Gratuluję panu.

- Dziękuję, panie Galviani.

- Tommy Oko - poprawił Ramsey'a ekspert FBI z całkowicie poważną miną.

Savich się roześmiał.

- A gdzie jest Sherlock? - zapytała Molly.

- W toalecie - odparł Savich. - Przeklina mnie. Powiedziałem, że jest w ciąży, ponieważ jeden z lekarzy zaniepokoił się jej bladością. Poczulem się w obowiązku, żeby człowieka uspokoić. To wystarczyło.

- Mam nadzieję, że Sherlock nie zastrzeli cię, zanim miną jej poranne mdłości - rzekł Tommy Oko.

Wszyscy uśmiechnęli się na widok wchodzącej do pokoju Sherlock. Młoda kobieta podeszła do męża i mocno szturchnęła go w ramię, potem zaś pogodnie przywitała się z Molly i Ramseyem.

- Zajrzałam na oddział intensywnej opieki - powiedziała. - Dickerson jest nadal nieprzytomny. Zawiadomią nas, kiedy się obudzi, jeśli w ogóle odzyska przytomność.

- Chciałbym z nim porozmawiać - rzekł Tommy Oko. - Przeczytałem wszystko, co o nim mamy, wszystkie raporty z jego pierwszego procesu, zapisy zeznań i tak dalej. Jest dewiantem, napastuje seksualnie dzieci. Klasyczny typ zbrojeńca. Emmę nie tylko zgwałcił, ale także maltretował fizycznie, można więc śmiało powiedzieć, że w parze z dewiacją seksualną idzie sadyzm. To wszystko należy uzupełnić o jego jednostkową obsesję na punkcie Emmy. Nieczęsto spotyka się to u tego rodzaju dewiantów, czasami jednak zdarza się, że pedofil wybiera jedno dziecko i utwierdza się w przekonaniu, iż musi je zdobyć za wszelką cenę. Dickerson zatracił się w tej obsesji, która okazała się silniejsza nawet od instynktu przetrwania. Większość pedofilów wzruszyłaby ramionami i szybko przeniósł zainteresowanie na inne dziecko, ale nie Dickerson. On po prostu nie był w stanie się powstrzymać. Nie jest głupcem i na pewnym poziomie świadomości musiał zdawać sobie sprawę, że obsesja na punkcie Emmy go zniszczy, lecz nie mógł przestać i zapomnieć o niej. Dowiedziałem się, że jest również specjalistą w dziedzinie makijażu i charakteryzacji.

- Powiedział mi o tym, kiedy byliśmy w wodzie - rzekł Ramsey. - To jeden z głównych powodów, dla którego ludzie Rule'a Shakera zdecydowali się



właśnie na niego. Ponieważ Emma miała zostać zwrócona matce po przedsięwzięciu odpowiednich kroków przez Loueya, porywacz nie mógł odsłonić twarzy, stąd konieczność charakteryzacji.

Tommy Oko pokręcił głową.

- Kiedy dostał tę robotę, na pewno pomyślał, że umarł i poszedł do nieba.

- W jaki sposób to wszystko łączy się z jego życiem duchowym, religijnym? - zapytał Ramsey. - Kilka razy mówił Emmie, że jest mu niezbędnie potrzebna, że potrzebuje jej bardziej niż Bóg jego.

- I dlatego bardzo mi zależy, żeby coś z niego wyciągnąć. Dickerson wierzył, że Emma może uratować jego duszę, więc zadawał jej ból, aby wzięła na siebie karę za jego grzechy. Po prostu nie mogę się doczekać, kiedy zajrzę do jego umysłu. Na razie jednak wszyscy cieszymy się, że został schwytany.

- Odezwij się do nas, gdy dowiesz się czegoś więcej, Tommy - poprosiła Molly.

- Na pewno to zrobię - odparł Tommy Oko, radośnie zacierając dłonie.

### ***Rozdział 33***

Kiedy wszyscy wiedzieli już wszystko, co na tym etapie sprawy można było wiedzieć, Ramsey poczuł się wystarczająco dobrze, aby zejść na dół i zobaczyć się z Emmą. Dziewczynka siedziała wraz z Virginią Trolley w małej kawiarence i rozmawiała z nią z ożywieniem. Na widok Ramseya wydała radosny okrzyk i podbiegła do niego, oplatając ramionami jego nogę.

- Wszystko w porządku, Emmo - odezwał się, delikatnie poklepując ją po głowie. - Chodzę, widzisz? Nikt mnie nie podtrzymuje, świetnie radzę sobie sam. To była tylko jedna mała kula, po prostu nic dla takiego wielkiego faceta jak ja. Podniosę cię trochę, żebyś mogła mnie porządnie uściskać.

- Nie, ja ją podniosę - wtrącił Savich i uniósł Emmę, która natychmiast wyciągnęła ramiona i objęła Ramseyego za szyję.

Pocałował ją w ucho.

- Pięknie pachniesz, Em. Co to za perfumy? Oscara de la Renty?

- Nie, to tylko mydło z hotelu. - Emma odsunęła się na długość ramienia i uważnie spojrzała Ramseyowi w oczy. - Czy to był żart, Ramsey?

Molly westchnęła cicho.

- Ramsey bardzo ją kocha - szepnęła do Sherlock, która wyglądała zdrowo i pięknie, i z nieukrywanym zachwytem wpatrywała się w swego męża.

- Może pewnego dnia mnie także pokocha...

- Facet osiągnął stan nirwany i jest tego absolutnie świadomy, Molly - oświadczyła spokojnie Sherlock, nie spuszczając wzroku z Dillona. - Zawsze lubiłam Ramseya. Teraz, kiedy ma ciebie, wszystko ułoży się jak należy. Nie sądzisz, że Dillon potrafi obchodzić się z dziećmi, Molly? Trzyma Emmę tak, jakby całe życie nosił dzieci na rękach...

Poprzedniego wieczoru salowy wstawił do pokoju Ramseya dwa rozkładane łóżka, cała rodzina była więc razem. Wszyscy troje spali spokojnie, kiedy drzwi otworzyły się nagle i do środka wpadł porucznik McPherson. Ramsey w jednej chwili wyskoczył z łóżka, gotowy do walki, i o mało nie zemdlął. Opadł na materac, ciężko dysząc.

- Co się dzieje, do diabła?!

- Na szczęście nic, panie sędzio - oświadczył McPherson, również z trudem łapiąc oddech. - Przestraszyłem się tylko, że panu też mogło się coś stać. Pomogę panu się położyć, dobrze?

- O co chodzi? - zapytała Molly, podtrzymując Ramseya. Emma zmierzała już w ich stronę z wyraźnym pragnieniem chronienia Ramseya przed dalszymi niespodziankami.

- O Dickersona - wyjaśnił McPherson. - Podobno ktoś wstrzyknął mu truciznę do kroplówki, prawdopodobnie cyjanek. Dickerson nie żyje.

- Ale przecież wszędzie na oddziale intensywnej opieki kręcą się nasi ludzie! - wykrzyknęła Virginia Trolley, z niedowierzaniem potrząsając głową.

McPherson powiedział jej o śmierci Dickersona ponad dziesięć minut temu, lecz do niej nadal nie mogło to dotrzeć. Natychmiast po telefonie narzuciła na siebie ubranie i przyjechała do szpitala. Ramsey nigdy wcześniej nie widział jej bez makijażu, z potarganymi włosami i w nieco wygniecionym swetrze. Wyglądała całkiem ładnie. Oczywiście nie zamierzał jej tego mówić, bo chyba by go rozszarpała.

- Jakim cudem ktokolwiek mógłby się tu dostać, dolać coś do leku w kroplówce i wymknąć się niezauważony? - ciągnęła. - Co prawda Dickersona nikt nie pilnował, bo niby po co? Nigdzie się przecież nie wybierał i nikomu nie przyszło do głowy, że potrzebna mu osobista ochrona. Rozmawialiśmy z ludźmi z ochrony szpitalnej, którzy teraz sprawdzają taśmę z zapisem z monitorów, ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, aby zauważyli coś podejrzanego...

- Porucznik McPherson mówi, że jedna z pielęgniarek widziała na korytarzu kogoś nieznanego w białym fartuchu - odezwała się Molly. - Ale to żaden trop. Biały fartuch na terenie szpitala wywołuje mniej więcej takie samo zainteresowanie jak mundur w Pentagonie. Wystarczy upodobnić się do innych i już nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

- Molly ma rację - powiedział Ramsey. - To jedyne rozsądne wyjaśnienie tego, co się stało. Jesteśmy przecież w szpitalu, nie w instytucji chronionej przez legion uzbrojonych po zęby strażników. I nikt nie ostrzegł tutejszego personelu, nie zalecił im specjalnej ostrożności.

Ramsey zamknął na chwilę oczy. Był wyczerpany, żebro i ramię bardzo mu dokuczały i zastanawiał się, czy nie nadszedł czas, aby poprosić pielęgniarkę o środek przeciwbólowy. Nagle poczuł w swojej dłoni małą łapkę Emmy. Odwrócił głowę i napotkał jej wzrok. Wiedziała, że cierpi i sama cierpiała także, bo nic nie mogła na to poradzić.

- Nic mi nie jest, Emmo - skłamał gładko. - Ale miło, że trzymasz mnie za rękę...

Ogarnęła go fala ogromnej ulgi. Dickerson nie żył, przestał być zagrożeniem dla Emmy i dla kogokolwiek innego. Emma była wreszcie bezpieczna.

Porucznik McPherson odchrząknął.

- Przybiegłem tutaj również dlatego, że pan, sędzio Hunt, jest osobą najbardziej podejrzaną...

- W tej chwili nie poruszam się zbyt szybko - zauważył z rozbawieniem Ramsey. - Kiedy pan tu wpadł, o mało nie zemdlałem. Myślę, że kradzież lekarskiego kitla, a także cyjanku, bo tak się składa, że nie noszę go stale przy sobie, potem zaś wizyta na oddziale intensywnej opieki przekracza moje możliwości, choć nie zaprzeczam, że są one duże.

- To był żart - wyjaśniła Emma McPhersonowi.

- Wiem - oświadczył porucznik. - Cieszę się, że wszyscy tutaj jesteście. To znacznie ułatwi sprawę.

Mniej więcej godzinę później, gdy wreszcie zostali znowu we trójkę, chociaż z okna widzieli parkujące na ulicy furgonetki stacji telewizyjnych, odkryli, że są zbyt podekscytowani, aby zasnąć. Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Molly podniosła słuchawkę i prawie natychmiast z dziwnym wyrazem twarzy podała ją Ramsey owi.

- Nic nie rozumiem - mruknęła. - To mój ojciec, chce z tobą rozmawiać.

Ramsey zastanawiał się, czy nie przełączyć rozmowy na mikrofon zewnętrzny, lecz szybko zrezygnował z tego pomysłu. Nie mógł tego zrobić, w tym samym pokoju była przecież Emma. Wziął słuchawkę z ręki Molly i przedstawił się. Rzeczywiście był to Mason Lord.

- Czuję się już o wiele lepiej i rozumiem, że ty także odzyskujesz siły - powiedział ojciec Molly. - Poinformowano mnie, że nie grożą nam już żadne niespodzianki ze strony tej bestii, która prześladowała Emmę i postrzeliła ciebie.

- Skąd pan o tym wie? - zapytał Ramsey bardzo cicho. Serce biło mu szybko, w uszach szumiało. - Nie upłynęło jeszcze dość czasu od jego śmierci,

aby jakakolwiek stacja telewizyjna zdążyła umieścić tę wiadomość w programie...

Mason się roześmiał.

- Mam przyjaciół w wielu miejscach, Ramsey - rzekł z wyraźnym rozbawieniem. - Dzięki temu błyskawicznie dowiaduję się o różnych sprawach. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że czasami dowiaduję się o czymś niemal przed samym wydarzeniem.

Czy to Gunther zabił Dickersona? A może Mason wynajął jakiegoś lokalnego specjalistę do tego zlecenia? Ramsey uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy wcale nie jest zaskoczony. Milczał. Co niby mógłby powiedzieć? Co tu było do powiedzenia?

- Teraz Emma nie musi się już niczego obawiać, ani ty, ani Molly. Liczę, że wszyscy troje przyjdziecie do mnie na Dziękczynienie. To moje ulubione święto. Nikt nie oczekuje ekstrawaganckich prezentów, tylko wspaniałego obiadu. Oczywiście Miles jak zwykle przejdzie samego siebie.

- Tak - odparł Ramsey. - Przyjędziemy.

Powoli odłożył słuchawkę, spojrzał na Molly i potrząsnął głową. Na moment zmarszczyła brwi, lecz zaraz zrozumiała, o co mu chodzi. Ziewnęła szeroko, z manifestacyjną sennością potarła oczy.

- Idę spać, jestem nieprzytomna - powiedziała. - A ty, Em?

- Ja też, mam. Czego chciał dziadek?

- Chciał się upewnić, czy wszystko u nas w porządku, nic więcej.

- Miło, że zadzwonił - oświadczyła Emma, pocałowała Ramsey'a i pozwoliła, aby matka otuliła ją kocem.

Ramsey wygodnie oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy. Ramię bolało go jak wszyscy diabli, w koniuszkach palców czuł mrowienie, głowa pękała. A teraz jeszcze to... Molly nachyliła się nad nim i musnęła wargami jego usta.

- Kazał zabić Dickersona - szepnął Ramsey. - Co mam z tym zrobić?

- Powiedz McPhersonowi prawdę, i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nikt nigdy nie zbierze wystarczająco przekonujących dowodów, aby postawić ojcu formalne oskarżenie. Mam wrażenie, że on chce, byś powiedział policji. Założę się, że teraz śmieje się, wyobrażając sobie tę sytuację.

Ramsey podejrzewał, że Molly ma rację.

- Dobranoc, Emmo! - zawołał. - Śpij dobrze. Ty także, Molly.

Jest już po wszystkim, myślał Ramsey, wchodząc z Emmą po schodach domu w San Francisco. Po wszystkim. Myślał o matce Dickersona, samotnej kobiecie z Duluth. Zapłaciła za kremację zwłok syna. Ramsey i Savich razem poszli do krematorium. Chcieli się upewnić, chcieli na własne oczy przekonać się, że Dickerson jest teraz tylko garścią szarego prochu.

- Mama śpi - odezwała się Emma. - Była naprawdę bardzo zmęczona. Nie wydaje mi się, aby ostatniej nocy spała zbyt dobrze.

Była to prawda. Ramsey też nie spał zbyt dobrze. Emma powiedziała, że chce spać we własnym pokoju, i to właśnie była główna przyczyna ich niewyspania. Dziwne, ale brakowało mu ciepłego ciała Emmy, zwiniętego w kłębuszek między nimi. No, w każdym razie brakowało mu jej rano...

- Mam nadzieję, że już nie śpi. Chcę zobaczyć, jak się uśmiecha. Odkąd wczoraj wróciliśmy do domu, robi to bardzo często.

Przystanął w drzwiach do ich sypialni. Emma zostawiła go i pobiegła do swojego pokoju po jakąś zabawkę. Molly leżała na boku, plecami do niego. Miała na sobie tylko białe figi, wysoko wycięte na biodrach. Noga, na której się opierała, była wyprostowana, druga lekko zgięta.

Nie mógł sobie wyobrazić bardziej uwodzicielskiej pozy. Przełknął ślinę. Jej włosy były cudownie potargane, rozrzucone na białych ramionach i plecach, tak pięknych, że Ramsey miał ochotę położyć się obok niej i całować ją od karku aż po biodra, potem zaś delikatnie zsunąć z niej figi... Ubiegłej nocy kochali się trzy razy. Nie wątpił, że rano kochaliby się po raz czwarty, ale Emma miała inne plany.

- Mama skopała koc - spokojnie rzekła Emma, stając obok niego.

Podeszła do łóżka i delikatnie podniosła koc, aby przykryć nim matkę. Molly się poruszyła. Przekreśliła się na plecy i otworzyła oczy.

- Emma... - powiedziała i objęła dłonią buzię córeczki. - Opiekowałeś się Ramseyem?

- Tak, mamusiu. Ramsey czuje się o wiele lepiej. Mówi, że ramię boli go tylko troszeczkę. A najwspanialsze jest to, że już nie musi się o mnie martwić.

- Dziecino, będę się o ciebie martwił nawet wtedy, gdy będziesz dziewięćdziesięcioletnią staruszką - rzekł Ramsey. - No, dobrze. Jest piękny dzień. Gdyby tylko udało nam się pozbyć dziennikarzy, wszystko byłoby cudownie. Chciałbym zabrać was do biura i przedstawić wszystkich moich współpracowników. Z okien gabinetu roztacza się wspaniały widok, na pewno będziecie zachwycone. - Westchnął. - Ale dam głowę, że na ulicy czają się hordy dziennikarzy. - Zbliżył się do łóżka i pocałował Molly w nos. - Dobrze spałaś?

Rzuciła mu długie, rozleniwione spojrzenie, od którego od razu zaczął twardnieć.

- Tak, żadnych złych snów. To miłe, dawno już nie spałam tak spokojnie. Och, powinnam zadzwonić do matki, obiecałam, że dam jej znać, co z Emmą. I to zaraz, bo we Włoszech jest już wieczór.

Poszli do kuchni i Molly usiadła przy telefonie. Ramsey kroił brokuły i marchewkę, Emma nakrywała do stołu. Molly uśmiechnęła się lekko i podkraśla kawałek marchwi z miseczki.

- Tak, mamo, to ja. Jak się czujesz?

- Świetnie, kochanie. Wszystko w porządku?

Molly opowiedziała jej krótko, w jaki sposób Dickerson został schwytyany. Wiadomość o jego śmierci w szpitalu zostawiła na sam koniec.

Matka chwilę milczała.

- Twój ojciec zawsze potrafił wszystko załatwić. - Westchnęła. - Czy zadzwonił do was wkrótce potem z informacją, że jesteście bezpieczni?

Molly ze zdumieniem spojrzała na telefon.

- Tak, właśnie tak było. Policja nie złapała jeszcze człowieka, który wstrzyknął cyjanek do kroplówki Dickersona.

- Nie znajdą go, możesz być tego absolutnie pewna. Twój ojciec wynajmuje wyłącznie najlepszych ludzi.

- Chyba masz rację, ale nadal się o niego martwię. Dwa razy prawie został zabity. Ten Rule Shaker nie robi wrażenia człowieka, który łatwo rezygnuje.

- Rule rzeczywiście nigdy się nie poddaje, w każdym razie kiedyś tak było - powiedziała Alicia.

Molly podskoczyła na krześle, o mało nie wyrwijając wtyczki z gniazdka.

- Chcesz powiedzieć, że znasz Rule'a Shakera, mammo?

- Naturalnie, kochanie. Poznałam go dawno temu, kiedy on i twój ojciec dopiero zaczęli prowadzić interesy. Łączyła ich wtedy przyjaźń. Nasze rodziny były z sobą dość blisko, a ja bardzo lubiłam żonę Rule'a, Lornę. Biedna kobieta zginęła w wypadku samochodowym jakieś piętnaście lat temu. Zawsze uważałam, że Rule maczał w tym palce...

- Ależ mammo, Rule i tata są teraz zajadłymi wrogami. To Shaker kazał wysadzić samochód, w którym był Louey, chociaż tak naprawdę mieliśmy nim jechać my, Ramsey, Emma i ja. To ludzie Rule'a zamordowali tego farmera w Kolorado i to oni próbowali dwukrotnie zastrzelić ojca!

- Tak to bywa, Molly. Zaczekaj chwilę... - Molly usłyszała, jak matka przechodzi na melodyjny włoski. - O co chodzi, Mario? Tak, postaw herbatę na stole. Dziękuję, możesz już iść spać. Jesteś tam, Molly? O czym ostatnio mówiłyśmy?

Dobry Boże, daj mi cierpliwość, pomyślała Molly, wznosząc oczy.



- O tym, że Rule Shaker i ojciec usiłują się nawzajem pozabijać, mamó. Dlaczego nigdy mi o tym wszystkim nie mówiłaś? Dlaczego policja nic o tym nie wie? Co się między nimi wydarzyło? Dlaczego teraz się nienawidzą?

- Nie wiem, czy policja rzeczywiście nic nie wie, kochanie. Wcale nie jestem tego pewna. Rozdźwięk między nimi nie był żadną tajemnicą. A jeśli chodzi o ciebie, to niby dlaczego miałabym ci o tym opowiadać? Cała ta sprawa miała miejsce, kiedy byłaś małą dziewczynką, niedługo potem odeszłam od ojca. Rok później żona Rule'a Shakera również zostawiła swojego męża.

- Wiesz, dlaczego?

- Tak, skarbie, ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Jesteś dorosła i sama masz córkę, więc mogę ci powiedzieć, o co poszło. Rule Shaker chciał, żebym się z nim przespała, lecz ja byłam zakochana w twoim ojcu, zresztą Rule nigdy mi się nie podobał. Wyglądał jak gangster, typowy czarny charakter z hollywoodzkich filmów, taki, który pali jak smok i któremu nie ma sensu współczuć. Twój ojciec zawsze robił wrażenie prawdziwego arystokraty i sądząc na podstawie zdjęć, które zamieszcza prasa, nadal tak wygląda.

- Ale co się stało, mamó?

- Mason wszedł do pokoju, kiedy Rule zalecał się do mnie w bardzo prymitywny sposób. Ojciec jest tylko mężczyzną, więc oczywiście uznał, że nie tylko Rule ponosi winę, ale i ja. To był koniec naszego małżeństwa oraz koniec ich przyjaźni i wspólnych interesów. Przeżyłam wtedy ciężkie chwile, kochanie.

- Wyjechałyśmy do Włoch - powiedziała Molly powoli. - Czy to było właśnie po tej kłótni?

- Tak. Dawne czasy, Molly, dwadzieścia lat temu. Daj mi teraz Emmę, skarbie? Chciałabym, żebyście wszyscy przyjechali do Włoch na święto Dziękczynienia. To moje ulubione święto - nie trzeba martwić się o prezenty, a jedzenie wspaniałe. Nasza kucharka, Magdalena, jest znakomita. Dopóki jej nie zatrudniłam, nigdy w życiu nie przyrządzałam indyka. Przyjedziecie?

- Nie mogę ci tego obiecać na pewno, mamó. Zadzwoń, gdy tylko będę wiedziała, jakie mamy plany.

- Zaraz, zaraz, chciałam ci jeszcze o czymś powiedzieć, Molly... Ach, tak, widziałam zdjęcie twojego ojca w „Time”, razem z jego żoną. Wygląda na to, że i tym razem jakoś się wykaraska. To chyba dobrze, bo przecież jednak zadbał o to, aby Emma mogła żyć spokojnie...

- Kazał po prostu zamordować Dickersona, mamó - rzekła Molly, lecz zaraz uświadomiła sobie, że zachowuje się jak zwykła hipokrytka. - Chociaż, prawdę mówiąc, sama chciałam go zabić. Masz rację. Ojciec jest, jaki jest, ale nie ulega wątpliwości, że oszczędził Emmie potwornych przeżyć na sali sądowej.

- Tak czy inaczej, powinien uważać, nie sądzisz?

- Oczywiście. Sama mówisz, że Rule Shaker nigdy się nie poddaje. Na pewno ojciec zna go na tyle dobrze, że jest tego świadom.

- Och, tak, z pewnością jest przekonany o swojej ostrożności, ale ja nie miałam na myśli Rule'a. Mam nadzieję, że twój ojciec wie, co robi.

- O co ci chodzi, mamó?

- O jego żonę, kochanie. Nie miałam pojęcia, z kim się ożenił. Nadal wydaje mi się to zupełnie nieprawdopodobne, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma w tym nic złego. Mężczyźni są dziwni, nie sądzisz? Myślą penisami. Moja matka zawsze mi to powtarzała.

Molly pokręciła głową.

- Nic nie rozumiem, mamó. Co takiego dziwnego jest w Eve? To prawda, że jest ode mnie młodsza, ale wielu mężczyzn żeni się z kobietami, którymi chcą zaimponować innym. Choć zgadzam się z tym, że większość faktycznie myśli penisami.

- Świat jest taki okropny, Molly... Po tamtej awanturze stosunki między twoim ojcem i Shakerem wciąż się pogarszały. Zaczęli rywalizować ze sobą w

interesach. Raz wygrywał jeden, raz drugi, lecz atakowali się z coraz większą zjadłością. Dlatego jest to dla mnie tak wielkim zaskoczeniem...

- Co jest dla ciebie zaskoczeniem? - Molly przewróciła oczami do Ramseya, który uniósł ciemne brwi.

- Małżeństwo twojego ojca, kochanie. Po pierwszym zamachu na niego widziałam w „Time” zdjęcie jego żony. Jak to, ty o niczym nie wiesz? Eve jest najstarszą córką Rule’a Shakera.

### ***Rozdział 34***

Molly weszła do imponującego gabinetu ojca i cicho zamknęła za sobą podwójne drzwi. Mason powoli podniósł się zza biurka.

- Molly? - odezwał się ze zdumieniem. - Nie spodziewałem się twojej wizyty. Czy coś się stało?

Jak zwykle ubrany był nienagannie. Niewiele osób zdołałoby dostrzec, że jest szczuplejszy, a skóra na jego twarzy jest napięta i blada, że powinien nadal leżeć w łóżku i odzyskiwać siły po postrzale w pierś. Molly uśmiechnęła się do niego.

- Nie, nie, wszystko w porządku, tato. Dobrze wyglądasz. Miles mówi, że jesteś dziś na nogach od trzech godzin. Bardzo się o ciebie niepokoi. Uważa, że przesadzasz, za mało odpoczywasz. Powiedział mi też, że wczoraj wieczorem zjadłeś duży kawałek ciasta czekoladowego.

- Tak, z porcją lodów waniliowych roboty Milesa. Źle się czuję w łóżku, Molly. Nic mi nie jest. Gdzie Ramsey?

- Ramsey i Emma są u Milesa. Jest tam też Gunther, podjada ciasteczka czekoladowe. - Molly przerwała na chwilę i znowu się uśmiechnęła. - Szczerze mówiąc, chciałam porozmawiać z tobą w cztery oczy.

- Dlaczego?

Molly pomyślała, że ma dokładnie takie same brwi jak ojciec. Ciekawe, dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi. Musi zapytać Ramsey'a, czy on także dostrzegł to podobieństwo.

- Przyszłam, żeby ci pomóc - powiedziała.

Zmarszczył brwi, dokładnie tak, jak się spodziewała, ponieważ było to coś, czego nie mógł sobie wyobrazić. Wskazał duży skórzany fotel.

- To mój ulubiony fotel - rzekł. - Ale teraz nie mogę go używać, bo trudno mi się z niego podnieść.

- Jak kobiecie w ciąży.

- To raczej mało trafne porównanie. O co więc chodzi, Molly?

Kiedy nie odpowiedziała natychmiast, przeniósł wzrok na gazetę, którą czytał przed jej wejściem, i przestał zwracać na nią uwagę. Wiedziała, że zazwyczaj zachowywał się w ten sposób, gdy chciał zbić z tropu rozmówcę. Dziwne, że teraz, widząc to i rozumiejąc, miała tylko ochotę pogratulować mu wybitnych zdolności aktorskich. Pozwoliła, by spokojnie przebiegł wzrokiem całą stronę.

- Matka opowiedziała mi o tobie i Shakerze, o waszej przyjaźni - odezwała się w końcu. - Podobno przez wiele lat nasze rodziny były ze sobą bardzo blisko. Powiedziała też, że kiedy przyłapałeś Rule'a na zalotach do niej, uznałeś, iż ona również ponosi za to winę.

Poderwał głowę znad gazety.

- Powiedziała ci, że była niewinna, a Rule próbował ją zgwałcić, tak? Założę się, że właśnie to od niej usłyszałaś!

- To prawda. Mówiła, że Rule nigdy jej się nie podobał, że był prymitywny, a ona kochała ciebie, ale oczywiście ty zrzuciłeś całą winę na nią. Pozbyłeś się jej, zatrzymałeś mojego brata, a ja wyjechałam z nią do Włoch.

Wzruszył ramionami i skrzywił się lekko z bólu.

- To wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu. Nie mam pojęcia, dlaczego uznała, że musi ci o tym teraz opowiedzieć. A jeśli chodzi o Rule'a

Shakera, to przez minione lata nie miałem z nim żadnych kłopotów. Może ostatnio sytuacja trochę się pogorszyła... - Zmarszczył brwi i wbił wzrok w nóż do papieru, który robił wrażenie ostrego jak sztylet. Dopiero po chwili spojrzął na Molly. - Szczerze mówiąc, w ostatnich dwóch latach Shaker przejął więcej interesów, niż bym chciał, ale to chwilowa sytuacja. Rule stał się zwykłym zbójem. Zawsze mi zazdrościł. Kiedy byliśmy młodzi, miał fatalne zęby. Założę się, że teraz wstawił sobie sztuczne...

Zamyślił się. Zapomniał o Molly, zapatrzony w odległą przeszłość.

- Zaakceptowałem go, ofiarowałem mu swoją przyjaźń - przemówił po chwili. - Nie mogę uwierzyć, że nie zorientowałem się, jaki jest naprawdę, aż do chwili, gdy zastałem go z twoją matką. Próbował mnie dwukrotnie zabić. Będę musiał rozprawić się z nim raz na zawsze. Nie podoba mi się ta nieustająca ostrożność. Gunther także jest mocno zaniepokojony.

- Rule Shaker nie próbował cię zabić.

Mason obrzucił Molly spojrzeniem pełnym zdziwienia i pogardy.

- Co powiedziałaś?

- Shaker nigdy nie próbował cię zabić - powtórzyła bardzo powoli, jakby mówiła do mało pojętnego dziecka. - To była twoja żona.

Zerwał się na równe nogi, zbladł nagle i zachwiał się. Z jego oczu wyczytała, że cierpi, i zrobiła krok w jego stronę, lecz w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że Mason wolałby umrzeć, niż okazać słabość w obecności kogokolwiek, a zwłaszcza córki. Wykonał gwałtowny gest, jakby odpychał ją od siebie.

- Eve? Mówisz, że Eve usiłowała mnie zabić? Oskarżasz Eve? To jakiś absurd, Molly! Kompletna bzdura! - Odwrócił się i chwycił słuchawkę telefonu.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Jesteś o nią zwyczajnie zazdrosna, prawda, Molly? Nie znosisz jej, ponieważ jest wszystkim, czym ty nie jesteś! Nienawidzisz jej, bo jesteś...

- To Eve zabiła Loueya.

Mason wyprostował się powoli i utkwiał twarde spojrzenie w twarzy Molly. Powoli odłożył słuchawkę.

- Nie, to był Rule - powiedział, kręcąc głową. - Rule chciał zabić ciebie, Emmę i Ramseya, żeby przywołać Loueya do porządku. Ta głupia mała suka, córka Rule'a, chciała mieć Loueya dla siebie, a Rule zabił go przez pomyłkę. Ponieważ jednak zamierzał zamordować ciebie i Emmę, musiałem wziąć na nim odwet. Chciał śmierci mojej córki, więc zabiłem jego córkę. Wystarczy, Molly, nie życzę sobie więcej słuchać tych jadowitych oskarżeń pod adresem Eve. Zaraz po nią zadzwonię...

- Eve wyjechała mniej więcej dziesięć minut temu - przerwała mu Molly, spoglądając na zegarek. - Nie wróci tutaj, a ty nie pojedziesz za nią.

Mogłaby przysiąc, że jego prawa ręka lekko drżała, lecz głos brzmiał jak zwykle chłodno, spokojnie i pobłażliwie.

- O co w tym wszystkim chodzi, Molly? - zapytał.

Molly podniosła się ze skórzanego fotela, podeszła do biurka i oparła otwarte dłonie na mahoniowym blacie.

- Posłuchaj mnie, tato. Eve jest córką Rule'a Shakera. Po śmierci matki skończyła szkołę w Europie, a potem poszła na Harvard. Po powrocie do Stanów nigdy nie mieszkała razem z ojcem i młodszą siostrą, i właśnie dlatego nie miałeś pojęcia o jej istnieniu. Twoja żona jest absolwentką wydziału ekonomii i zarządzania, tato. Jej mocną stroną jest analiza finansowa. Ona i Rule Shaker planowali obrobić cię na tyle, na ile okazałoby się to możliwe. Przed chwilą sam przyznałeś, że w ciągu ostatnich kilku lat przegrywałeś z Shakerem. Nie był to zbieg okoliczności, o nie. Eve dostarczała ojcu informacji na temat twoich poczynań.

W ułamku sekundy zorientowała się, że jej uwierzył. Dostrzegła, że oczy stały się zimne jak lód, widziała, jak przez jego umysł przewijają się obrazy z przeszłości.

- Nie zabijesz Eve - dodała bardzo cicho. - Cała ta sprawa już się zakończyła. Nikt nie będzie próbował cię zabić, a ty nie zorganizujesz zamachu na Rule'a Shakera.

Jego blade policzki zalał ciemny rumieniec. Potrząsnął głową.

- Nie, to niemożliwe - rzucił. - Znam Eve, wiem, kim jest. Myślisz, że jestem głupi? Przed ślubem dokładnie sprawdziłem jej przeszłość. Eve jest Szwedką, pochodzi z Uppsali, miasta położonego na północ od Sztokholmu. Wiem wszystko o jej rodzime. Jej ojciec jest inżynierem - pozwolił, by wzięła na pamiątkę jeden ze swoich dyplomów, który wisi na ścianie w naszej sypialni. Matka jest nauczycielką francuskiego. Eve ma dwie młodsze siostry. Wiem o niej wszystko, na miłość boską. Płynnie mówi po angielsku, bo przez całe dzieciństwo miała angielską nianię. Nigdy nie poszła do college'u, ponieważ...

- Nazywa się Janice Claire Shaker. Jeżeli w ogóle widziałeś ją, gdy była dzieckiem, to mogła mieć wtedy trzy, może cztery lata, ale najprawdopodobniej nigdy jej nie spotkałeś. Kiedy Rule Shaker rozwiódł się z żoną, Janice wyjechała z matką do Bostonu, natomiast Rule zatrzymał Melisę, która wtedy miała zaledwie dwa lata. Podzielili się dziećmi tak samo jak ty i mama. Kiedy Janice miała osiemnaście lat i była na pierwszym roku college'u, wyszła za Szweda. Rok później jej mąż zginął w czasie prac na budowie tamy. Wszyscy szwedzcy przodkowie Eve, o których tyle ci opowiadała, to rodzina jej męża, a na ścianie waszego pokoju wisi jego dyplom. W jakiś czas po jego śmierci Janice lub jej ojciec postanowili cię nabrać. I udało im się. Rzeczywiście wpuścili cię w maliny. Eve przyznała mi się, że to ona zamordowała Loueya. Nienawidziła go i nie chciała, aby jej siostra Melissa z nim była. Wniosła na teren posesji bombę, która go zabiła. Emma i ja wcale nie byłyśmy przewidziane na ofiary. Potem, kiedy kazałeś zabić Melisę, próbowała zastrzelić ciebie. Niewykluczone, że niezależnie od okoliczności wcześniej czy później Eve i tak usiłowałyby cię zamordować. Nie zwierzała mi się ze swoich planów, więc nie znam ich, i ty

także nie. Ale to wszystko nie ma już znaczenia. Czas zakończyć tę sprawę, i to natychmiast.

Mason wyprostował się, a Molly wyobraziła sobie, jak wielki ból musiał w tej chwili przeszyć jego klatkę piersiową. Znieruchomiał, z rękoma opuszczonymi po bokach.

- Jeżeli mówisz prawdę, jeżeli rzeczywiście mnie zdradziła, to jakim cudem można zakończyć tę sprawę? - zapytał cichym, zwodniczo łagodnym głosem.

Molly wolałaby wybuch wściekłości, wolałaby wszystko, tylko nie ten martwy chłód. Nie miała pojęcia, jakim cudem udało jej się znaleźć w sobie dość siły, ale nagle uśmiechnęła się szeroko i szczerze.

- Ja uratowałam ci życie i zamierzam zakończyć tę sprawę - oświadczyła.  
- Nikt już nikogo nie zabije. Spróbuj tylko zorganizować zamach na Eve lub Rule'a Shakera, a opowiem wszystko policji. Fakt, że nie dysponuję wieloma niezbitymi dowodami, ale wiem wystarczająco dużo, aby skomplikować ci życie. I jeszcze jedno - jeżeli nie zgodzisz się zrezygnować z zemsty, nigdy więcej nie zobaczysz ani mnie, ani Emmy. Nie pozwolę, aby stała się pionkiem w grze między tobą i Shakerem. Od dziś nic nie grozi ani tobie, ani nikomu z naszej rodziny, Eve i Rule przystali na to. Zabrałeś życie jednej jego córce, ale oddajesz mu drugą. Louey nie żyje, a ty dwa razy o mało nie zginąłeś. Obydwoje wiedzą, że mogą ich wydać w ręce policji, ponieważ nagrałam swoją rozmowę z Eve i puściłam im spory fragment. Jedną kopię taśmy ma Dillon Savich z FBI, druga znajduje się w biurze prokuratora okręgowego w San Francisco. Mam ich w rękę i teraz ty musisz wykonać ostatni ruch. To konieczne, wierz mi.

Mason powoli podniósł rękę. Przez parę sekund Molly była pewna, że ją uderzy, i zamarła bez ruchu, w oczekiwaniu na cios, lecz ramię Masona opadło.

- Jesteś moją córką i grozisz mi? - odezwał się bardzo cicho, prawie szeptem.



- Tak. Tylko w ten sposób mogę chronić Emmę i ciebie. Nie chcę bać się codziennie, że Emma będzie następną ofiarą w wojnie między tobą i Shakerem. Nie chcę też, aby on lub jego córka zabili ciebie. A teraz daj mi słowo, że zostawisz ich oboje w spokoju.

Mason długo wpatrywał się w córkę i myślał o tym, jak bardzo jest podobna do swojej babki, która bardzo nie chciała, aby Alicia za niego wyszła. Patrzyła na niego jak na ostatniego zbira z ciemnej uliczki. Spojrzała na niego raz i przejrzała go na wylot. Wyczytała tę wiedzę w jej szarzielonych oczach, oczach Molly, i znenawidził teściową całym sercem.

A oto teraz stała przed nim Molly, krew z jej krwi, bardziej podobna do niej niż do niego, i mówiła mu, co ma zrobić. Co się z nim działo, na miłość boską?! Przecież to tylko kobieta... Tylko kobieta...Chciał powiedzieć jej parę słów do słuchu, pokazać, gdzie jej miejsce, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć.

- Zlikwidowałem tego drania, który skrzywdził Emmę - powiedział po chwili.

Jego głos brzmiał nieco dziwnie, zupełnie jakby usiłował się bronić. Zdziwiło to Molly i dodało sił.

- Tak, wiem. Dlatego nie wezwałam policji. Wiesz co, tato? Myślę, że wcale nie jesteś taki zły. Usiłowałeś bronić rodziny i to przemawia na twoją korzyść, nawet bardzo. Więc jak, zgadzasz się, tato? Skończysz z tym raz na zawsze?

Mason Lord zerknął na swoje długie, białe palce. Skóra na wierzchniej stronie dłoni była jakaś obwisła, pomarszczona... Powoli podniósł głowę. Molly stała przed nim spokojnie, jej dzikie, rude włosy były ściągnięte do tyłu i spięte złotą kłamrą.

Ma uszy Alicii, pomyślał. Zawsze podziwiał uszy pierwszej żony. Były kształtne i piękne.

- Zgadzasz się, tato? - powtórzyła Molly. Stojący tuż obok jego lewej dłoni telefon rozdzwonił się gwałtownie i natarczywie.

- Podnieś - poleciła Molly, spoglądając na zegarek. - To Rule Shaker. Widzę, że jest bardzo punktualny. Zakończ to, tato.

Może rzeczywiście przyszedł czas, żeby położyć temu kres. Dziewczyna miała jaja, to nie ulegało wątpliwości. Było też jasne, że odwagę odziedziczyła po nim. A musiała mieć jej dużo, żeby przyjść tutaj i stawić mu czoło...

No, co tam... Mason podniósł słuchawkę.

- Rule? - odezwał się do człowieka, z którym nie rozmawiał od dwudziestu lat. - Tu Mason Lord.

## ***Epilog***

- Chłopiec! - wykrzyknął Ramsey.

Molly i Emma bez tchu wpadły do jego gabinetu. Nacisnął guziczek mikrofonu w telefonie i odłożył słuchawkę.

- Gratulacje! - zawołały chórem. Dalmatyńczyk Emmy, sześciomiesięczny szczeniak Kenny, zaczął szczekać jak szalony i skakać wokół nóg Ramseya. - Kiedy? Jak długo? Jak będzie miał na imię?

Sherlock roześmiała się głośno, szczęśliwa i podniecona.

- Nazywa się Sean Franklin Savich, Ze strasznym krzykiem wysliznął się prosto w ramiona Dillona. Jest duży i zdrowy, i wszystko jest po prostu wspaniale. Dillon świetnie sobie poradził. Podtrzymywał mnie i chodził ze mną po korytarzu, aż w końcu powiedziałam mu, że go ogłuszę, jeżeli nie pozwoli mi położyć się i trochę powrzeszczeć.

Emma chciała wiedzieć, kiedy przywiozą Seana, żeby mogła się z nim pobawić. Niedługo, zapewniła ją Sherlock. Już niedługo. Kiedy skończyli rozmowę, Ramsey usiadł w swoim ukochanym fotelu z ciemnej skóry i wziął Molly na kolana, potem posadził Emmę na kolanach Molly i mocno objął je ramionami. Było to coś, do czego wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić.

Ramsey spojrział na trzy obrazy neoimpresjonistów, wiszące na przeciwnej ścianie. W ciągu ubiegłych miesięcy wybrali je razem z Emmą.

- Moja sekretarka i asystenci pytali mnie, czy Emma nie mogłaby ich odwiedzić - powiedział, całując Molly w ucho. - Twierdzą, że od jej ostatniej wizyty upłynął już co najmniej miesiąc, i że to za długo. Mówią też, że w egoistyczny sposób pozbawiam innych jej towarzystwa. Więc jak, chciałbyście wpaść do mojego biura? Emmo, w poniedziałek masz dzień wolny, więc nie stracisz żadnych zajęć. Co ty na to?

- Czy pani Burger będzie miała ciasteczka cytrynowe? - zapytała Emma.

Ramsey się roześmiał.

- Chciwość zawsze zwycięży. Zapytam ją.

- Jeżeli powie, że tak, możesz na nas liczyć - oświadczyła Molly i pocałowała Emmę w ucho.

- Dzwonił do mnie porucznik O'Connor z posterunku policji w Oak Park - rzekł Ramsey, kiedy Emma zeskoczyła z kolan Molly i pobiegła pobawić się z Kennym na podwórku za domem. - Na wysypisku śmieci gdzieś w południowym Ohio znaleźli zwłoki mężczyzny, który prawdopodobnie strzelał do twojego ojca. Zginął mniej więcej sześć miesięcy temu. Rule Shaker chciał załatwić sprawę do końca.

- Najwyraźniej. Eve musiała powiedzieć ojcu o próbce DNA ze śliny podejrzanego. Snajper splunął i to kosztowało go życie.

- Tak. Cóż, sądzę, że to niewielka strata dla społeczeństwa. Teraz już naprawdę wszystko się skończyło. Twój ojciec na pewno czuje ulgę. - Musnął pocałunkiem szyję Molly, dotknął małego złotego kółka w jej uchu. - Zdecydowałaś już, co zrobimy ze świętem Dziękczynienia? Pojedziemy do Włoch czy do Chicago? Musisz coś postanowić, bo zostało już tylko parę dni i możemy nie dostać biletów na samolot.

- Nie ma problemu - odpowiedziała z szerokim uśmiechem. - Na Dziękczynienie polecimy do Włoch, a na Boże Narodzenie do Chicago.

Powiedziałam już ojcu, że Emma spodziewa się wielu prezentów i właśnie dlatego przypadła mu w udziale Gwiazdka. Prychał i mruczał coś pod nosem, ale w końcu roześmiał się i przyznał, że Gunther chce kupić Emmie lalkę z kompletnym uzbrojeniem. Wyobrażasz to sobie? I kto zdoła przebić prezent Gunthera?

- Nikt. Ja nawet nie będę próbował.

Molly przewróciła oczami.

- Ponieważ sama nadal przechowuję swego Detonicsa na najwyższej półce szafy, nie mam prawa krytykować zamiarów Gunthera - oświadczyła. - Dzwoniłam do pani Garcii. Powiedziała, że doktor Loo przesyła nam uściski i pozdrowienia i że wiosną wybiera się na narty.

- Co mówiła o Emmie?

- Jest zadowolona z jej postępów. Uważa, że Emmie dobrze zrobiłaby jakaś podróż. Jej zdaniem Emma wyrzuciła już ten koszmar z głowy i jest gotowa zrobić następny krok.

- Dzięki Bogu. Czy ja rozpuszczam Emmę jak dziadowski bicz Molly?

- Nie, Emma jest zbyt rozsądna, aby dać się rozpuścić. Szczerze mówiąc, to ona psuje ciębie. Dziś rano pobiegła do kuchni, żeby przygotować dla ciębie grzanki, bo bała się, że zmarzną ci nogi, jeżeli będziesz bosy chodził po zimnych kafelkach.

Ramsey się roześmiał.

- I teraz mamy mnóstwo okruszków w łóżku. A, zapomniałem ci o czymś powiedzieć... Wiesz, że sędziowie okręgowi dostają sprawy w drodze losowania, prawda? Właśnie przydzielono mi kolejny wielki proces handlarzy narkotyków. Mam nadzieję, że ten skończy się inaczej niż poprzedni.

- Chyba będę przychodziła na salę sądową, tak na wszelki wypadek, żeby nikomu nic głupiego nie strzeliło do głowy.

Ramsey pocałował ją w ucho, brodę i w czubek nosa.

- Emma mnie rozpuszcza, a ty zapewniasz mi ochronę. - Rozparł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął się do żony. - Czego więcej można chcieć od życia?